

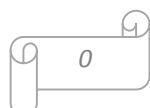


Judith A. Lansdowne



W samą porę

Tytuł oryginału: „Just In Time”



Shropshire, Anglia, 1795

- Puść mnie natychmiast! Do licha, skąd się tu właściwie wzięłeś i co ty wyrabiasz? - Książę Berinwick usilnie starał się odtrącić psa. Lewą dłonią chwycił się framugi, prawą nogą zaś wymachiwał do przodu i do tyłu. Pies warczał i pomrukiwał. Ślina kapiała mu z pyska. Złapał jednak księcia za łydkę i choć nie zdołał przegryźć skóry wysokiego buta, to zacisnął zęby tak mocno, że Berinwick w żaden sposób nie mógł się uwolnić. Rozwścieczony książę uniósł w górę swój palcat. Nie uderzył jednak zwierzęcia po pysku, ale smagnął drzwi plebanii. Raz. A potem drugi i trzeci. - Do diabła! Otwieraj natychmiast, Langton! - wykrzyknął, na dobre już wytrącony z równowagi.

Gdy miał zamiar uderzyć palcatem w drzwi po raz czwarty, stanął w nich nagle jakiś dżentelmen - z pewnością jednak nie Langton. Starszy pan nie miał na sobie ani surduta, ani nawet kamizelki, rękawy jego koszuli były podwinięte do łokci, a zmierzwione, jasne włosy - muśnięte siwizną. Nieznajomy błyskawicznie chwycił psa za kark.

- Puść! - rozkazał, potrząsając zwierzęciem, stanowczo za łagodnie, zdaniem Berinwicka. - Puść to natychmiast, Theophilus!

- Puść to? Ma pan na myśli mnie?

- Chce pan, żeby pana puścił, czy nie?

- I owszem.

- To proszę przestać mnie chwytać za słówka. On nie ma pojęcia, że gryzie człowieka. Wydaje mu się, że zdobył but. Ruszający się but. Theophilus, puść to natychmiast!

Pies posłuchał swego pana, wydając ostatnie warknięcie, przypominające już raczej pomruk. Mężczyzna zwolnił uścisk, przyklęknął i wziął psi łeb w obie ręce. Pogłaskał go delikatnie i szepnął coś, co w uszach Berinwicka zabrzmiało jak pochwała.

- Otóż to! - mruknął książę. - Usłyszysz, jaki to dobry z niego pies i z pewnością znów zrobi to samo.

- Chwalę go za to, że pana puścił, człowieku - odparł niczym niezrażony nieznajomy. - Choć, Bogiem a prawdą, to nie pańska sprawa.

- Nie moja sprawa? Po tym, jak ten szatan...

- To nie żaden szatan. To starzejący się pies, który niemal stracił już wzrok i któremu pozostało niewiele rozumu. - Mężczyzna podniósł się i spojrzał gościowi w oczy. - A ja jestem starzejącym się człowiekiem, który zupełnie zapomniał o zasadach dobrego wychowania - uśmiechnął się. - Bardzo proszę o wybaczenie. Nie powinienem usprawiedliwiać swojego psa, który szarpał pański but, nie zważając na to, że była w nim noga właściciela. Wszystko przez to, że jestem bardzo zmęczony. Theo też by z pewnością pana przeprosił, gdyby zauważył, że w bucie była pańska noga. Jestem nowym pastorem. Nazywam się Richard Dempsey - dodał, wyciągając dłoń do gościa. - A pan?

- Berinwick.

- Berinwick? Jego książęca wysokość, pan tej okolicy?

- Dokładnie.

- Miło mi poznać waszą wysokość. Theophilusie, ty diable, dobrałeś się do buta naszego dobrodzieja.

- Hau! - zaszczekał pies tonem, w którym, zdaniem Berinwicka, wcale nie było skruchy.

- Zechce pan wejść do środka, wasza wysokość - zaprosił Dempsey. - Przykro mi, że na plebanii panuje taki bałagan. Nie spodziewałem się na razie żadnych gości. - Zwłaszcza zaś takiego gościa, dodał Dempsey w duchu, gdy Berinwick uniósł nogę, by przestąpić psa i wejść do korytarza. - Zacząłem właśnie przemeblowanie - ciągnął pastor, prowadząc gościa w stronę salonu i starając się przejść do porządku nad zadziwiająco młodym wiekiem księcia i czarną przepaską na jego lewym oku. Któż by przypuszczał, że Berinwick okaże się tak młodym człowiekiem z marsową miną. - Na szczęście dwa fotele zostały przed kominkiem - powiedział Dempsey - i chyba wiem, gdzie szukać szkła. Jestem pewien, że znajdzie się trochę porto, by je napęlić. Nie ma pan nic przeciwko odrobinie porto, wasza wysokość?

Nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, Dempsey, który właśnie wszedł do salonu, odwrócił się i spostrzegł, że Berinwick stoi na progu, wodząc dokoła srogim wzrokiem.

- Czy specjalnie odwrócił pan sofę w stronę okna? - zaczął dociekać książę. - Jakim cudem ktoś może teraz na niej usiąść?

- No cóż, to rzeczywiście niemożliwe. Sofa stoi tam, ponieważ...

- Mam rozumieć, że pańskim zdaniem stoliki powinny stać jeden na drugim w kącie? - przerwał mu Berinwick.

- Nie, ale...

- Wydaje mi się, że same się tam nie przesunęły. Go się właściwie dzieje z pańskimi krzesłami, panie Dempsey? Tańczą reela?

Dempsey uśmiechnął się pod wąsem. Krzesła, w rzeczy samej, wyglądały tak, jakby tańczyły.

Berinwick, oparłszy dłonie na biodrach, rozglądał się po salonie, nie kryjąc zdziwienia.

- Kiedy pan przyjechał? - zapytał. - To znaczy, ile czasu pan potrzebował, by doprowadzić ten salon do ruiny?

Dempsey spojrzał na gościa z pewnym zakłopotaniem.

- Przyjechałem przed godziną, wasza wysokość. A ponieważ tak czy inaczej musiałem zdjąć pokrowce z mebli, to pomyślałem, że równie dobrze mogę od razu...

- Co? Co pan pomyślał?

- Że mogę odsunąć meble, by przyjrzeć się...

- Dywanowi? Rozumiem. A skoro uznał pan, że dywan niezbyt się mu podoba, to postanowił pan zwinąć go i postawić pod ścianą, czekając na dobrą okazję, by rozpaść ognisko i pozbyć się paru rzeczy.

- Nie. Zwinąłem dywan, ponieważ zauważyłem pod nim dziwne wybrzuszenie i chciałem się przekonać, co to takiego.

Berinwick opuścił ręce. Wsunął palcat za cholewkę, oparł się o framugę i skrzyżował ramiona na piersiach.

- Chciał pan sprawdzić, co to takiego. Myślał pan, że to szczątki pańskiego poprzednika, prawda?

- Nie, wasza wysokość - roześmiał się Dempsey. - To nie było aż tak wielkie wybrzuszenie.

- I co to było?

- Co ma pan na myśli?

- Wybrzuszenie.

- Nic szczególnego. Trochę śmieci.

- Pod dywanem?

Wielebny pan Dempsey wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięły. Proszę łaskawie usiąść, wasza wysokość. Zaraz podam porto. Obiecuję, że nie będę przesuwał żadnych mebli podczas pańskiej wizyty, jeśli tak bardzo to pana irytuje. Zależy mi na tym, by podjąć waszą wysokość w należyty sposób.

Berinwick podszedł do foteli stojących koło kominka. Fotele nie były, rzecz jasna, zwrócone w kierunku paleniska, ale stały naprzeciwko siebie, jakby ktoś przerwał im właśnie zażartą dyskusję. Berinwick usiadł na tym, który sprawiał wrażenie bardziej wygodnego.

- Tam jest wino - mruknął Dempsey pod nosem, gdy jego wzrok spoczął na parapecie za sofą. - Wiedziałem, że gdzieś musi być. Wydobyłem je z piwniczki, by przed obiadem postało chwilę w temperaturze pokojowej. Pan Langton obiecał, że przywiezie moje bagaże i coś do zjedzenia. Tylko gdzie są te kieliszki. Aha, pod sofą!

- Pod sofą? - Berinwick przerwał zdejmowanie rękawiczek i spojrzał na plecy gospodarza. - Dlaczego, u licha, kieliszki stoją pod sofą w salonie?

- Trudno powiedzieć - odparł Dempsey, przyklękając, by wydobyć dwa kieliszki stojące na srebrnej tacy. - Pamiętam, że przedtem były gdzie indziej, tylko nie pamiętam gdzie. Zdaje się, że na którymś stoliku. Ale najważniejsze, że są.

- Zaraz wyjdę z siebie - mruknął Berinwick.

- Wszystkim się to zdarza.

- Co się wszystkim zdarza?

- Każdy czasem wychodzi z siebie - wyjaśnił Dempsey, podnosząc się z podłogi. Postawił kieliszki na sofie i sięgnął po balansującą na krawędzi parapetu, oświetloną promieniami popołudniowego słońca, zakurzoną butelkę z winem. - Nie znam nikogo, komu by się to nie przydarzało przynajmniej raz na jakiś czas, wasza wysokość - dorzucił, napelniając kieliszki.

Berinwick zdjął rękawiczki i rozejrzał się dokoła, szukając miejsca, w którym mógłby je położyć. Nie znalazł jednak nawet odrobiny wolnej przestrzeni. Wszędzie coś już leżało. Książę westchnął więc i rzucił rękawiczki na swój fotel.

- Czy mój ojciec - zagadnął, biorąc kieliszek z rąk gospodarza - czy mój ojciec pana znał, panie Dempsey?

Pastor usiadł naprzeciwko gościa i założył nogę na nogę.

- Pański ojciec? Nie, nie miałem przyjemności znać pańskiego ojca, wasza wysokość.

- Tak właśnie przypuszczałem. Nigdy by panu nie zaproponował tej prebendy, gdyby pana znał. Ojciec nigdy nie przyjąłby kogoś, kto wprowadza taki bałagan i sieje takie zniszczenia.

- A zatem to pański ojciec, a nie pan zaproponował mi tę posadę? - Dempsey szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

- W rzeczy samej. - Berinwick skinął głową tak gwałtownie, że ciemne loki opadły mu na brwi. - I gdyby tu teraz był, pożałowałby tej decyzji i kazał się panu pakować. Zwłaszcza jeśli taki właśnie - książę objął gestem cały pokój - jest stan pańskiego umysłu. Mój ojciec był człowiekiem praktycznym, do wszystkiego podchodził metodycznie. Wszystko miało swoje miejsce. Zarówno myśli, jak i przedmioty. Wystarczyłby rzut oka na ten salon, by przegnał pana gdzie pieprz rośnie.

- Do Herefordshire.

- Do Herefordshire.

- Ale pan, nie zamierza mnie wysłać do Herefordshire, wasza wysokość, jeśli się nie mylę.

- Bardzo poważnie się nad tym zastanawiam. - Berinwick usiadł wygodniej na fotelu i zaczął saczyć porto. - Nie mogę uwierzyć, że ojciec zaproponował prebendę komuś, kogo nie znał. Czy ktoś mu pana polecił? A może nasze rodziny są jakoś spokrewnione? Czy ojciec przegrał zakład? Jeśli nawet wszystkie moje przypuszczenia są prawdziwe, to dlaczego nie złożył panu tej oferty osobiście?

- Dlatego, że byłem wówczas, hm, powiedzmy... niedostępny.

- Niedostępny?

- Dokładnie - kiwnął głową Dempsey. - Przebywałem w jaskini w hrabstwie Kent. Nikt, poza biskupem Herefordem nie wiedział, gdzie mnie szukać. Sądzę zresztą, że i sam Hereford nigdy by tam nie

trafił, nie wspominając nawet o udzieleniu stosownych wskazówek pańskiemu ojcu.

- Przebywał pan w jaskini? - Berinwick uniósł brew z niedowierzaniem.

- Owszem, ale - proszę wybaczyć, wasza wysokość -cała historia z jaskinią jest swego rodzaju tajemnicą. W zasadzie nie powinienem o tym wspominać. Nigdy bym tego nie zrobił, gdyby nie fakt, że zasługuje pan na jakieś wyjaśnienie. Zechce pan zapomnieć o tym wszystkim, wasza wysokość?

Berinwick, który właśnie łyknął trochę całkiem niezłego porto, omal się nie zakrztusił.

- Ależ oczywiście, panie Dempsey - odrzekł, tłumiąc kaszel. - Może pan uważać, że pański pobyt w jaskini w Kent został wymazany z mojej pamięci.

- Naprawdę nic więcej nie mogę powiedzieć. - Oczywiście, że nie.

-Jestem związany tajemnicą aż do śmierci biskupa Hereforda. Nakazał mi absolutne milczenie do tego czasu.

- Nie dziwię się. Sądzę, że to dość kłopotliwe, gdy jeden z podwładnych mieszka w jaskini w Kent. Gdzie jak gdzie, ale w Kent!

- Chyba raczy pan żartować, wasza wysokość -uśmiechnął się Dempsey i opróżnił swój kieliszek jednym haustem,

- Skoro już zacząłem żartować, panie Dempsey - o ile rzeczywiście jest pan wielebnym panem Dempseyem - to pozwoli pan, że zapytam, co pan zrobił z Langtonem, który przez cztery ostatnie lata zajmował się plebanią w St. Milburga's of the Wood?

- Jeśli jestem wielebnym panem Dempseyem? Co zrobiłem z Langtonem? - Tym razem Dempsey zachichotał w przekonaniu, że książkę naprawdę żartuje.

- Nie widzę nic zabawnego w moich pytaniach -oświadczył Berinwick.

- Nie? No cóż, zabrzmiało to tak, jakby uważał mnie pan za wariata, który uciekł z zakładu w Bedlam i podając się za wielebnego pana Dempseya, uciął głowę Langtonowi i ukrył gdzieś jego nieszczęsne szczątki.

- Pozwoli pan, że podkreślę, iż spodziewałem się zastać tu pana Langtona - powiedział Berinwick - i nie zastałem go. Nie spodziewałem się natomiast, że zastanę tu pana. A to właśnie mnie spotkało.

- Czyżbym dotarł wcześniej niż mój list? - zaniepokoił się Dempsey. - W takim razie nic dziwnego, że pan oniemiał na mój widok. Przysięgam, wasza wysokość, że nie zamordowałem pańskiego Langtona. Pojechał dwukółką do wioski, by zabrać moje bagaże. Postanowiłem bowiem, że nie będę dźwigał kufrów i waliz na własnych plecach. Obiecuję, że pan Langton wróci tu cały i zdrowy.

- Zobaczymy - mruknął Berinwick.

Zapadła cisza. Pastor przyglądał się księciu swymi tajemniczymi błękitnymi oczami, rozświetlonymi ciekawością. Berinwick natomiast obrzucał pastora podejrzliwymi spojrzeniami swego jedyne go, czarnego niemal oka. Spod przepaski przesłaniającej drugie oko wymykały się nieregularne linie blizn, znaczące brązową skórę twarzy, która kiedyś musiała być bardzo piękna. Teraz jej

znieszczenia mogły przyprawić każdego o dreszcze. Dempseya ogarnęło współczucie wobec młodego człowieka.

Pastor nie był przygotowany na spotkanie z dżentelmenem, który siedział teraz naprzeciwko, nie spodziewał się widoku jego blizn czy czarnej przepaski. Sądził, że będzie miał do czynienia z Berinwickiem, który zaprosił go tu listownie. Zastanawiał się, czy syn wie coś na temat listu, który napisał jego ojciec. Doszedł jednak do wniosku, że zapewne nic. Wszystko wskazywało na to, że stary książe nie opowiedział o tym nikomu, nawet swemu dziedzicowi.

Za długo zwlekałem z przyjazdem, pomyślał Dempsey, obracając pusty kieliszek w palcach i próbując zignorować posepną minę, z jaką przyglądał mu się Berinwick. Powinienem był przyjechać od razu. Mówiłem to biskupowi. Ale mnie nie posłuchał. Orzekł, że muszę najpierw skończyć moją pracę w Kent. Nie mogłem przecież zdradzić Herefordowi szczegółów listu Berinwicka. Popełniłbym wielki błąd, opowiadając biskupowi o kielichu Glyndwra. Hereford uznał zapewne, że mam dość koczowniczego trybu życia i że w końcu chciałbym gdzieś osiaść i zostać cenionym kaznodzieją.

- Uprzedziłem listownie o moim przyjeździe, wasza wysokość - powiedział Dempsey, przerywając milczenie. - Uprzedziłem pańskiego ojca. Wysłałem list w dniu, w którym opuszczałem Herefordshire.

- A jak się pan dostał z Kent do Herefordshire?

- Przyjechałem.

- Gdy wyszedł pan z jaskini, stała już przed nią kariolka wysłana przez biskupa?

- Właśnie.

- I tutaj także przyjechał pan kariolką?

- Nie. Tutaj przyjechaliśmy dyliżansem pocztowym.

- Wsiadł pan z psem do dyliżansu pocztowego?

- Pies jechał na dachu, wasza wysokość. Na dachu. A ponieważ nikt na nas nie czekał w gospodzie, przyszliśmy tu piechotą. Dlatego musiałem zostawić w gospodzie swoje bagaże i dlatego posłałem po nie Langtona. Uprzedzałem pańskiego ojca, że może upłynąć parę miesięcy, nim będę w stanie objąć oferowaną posadę, ale on...

- Ale on nie miał nic przeciwko temu - wtrącił Berinwick. - Ani ja, ani moja matka także nie mieliśmy nic przeciwko temu. Sześć miesięcy, rok, to już żadna różnica. W St. Milburga's of the Wood nie było pastora od przeszło dwudziestu lat.

- Od dwudziestu lat? Nic więc dziwnego, że to miejsce tak właśnie wygląda - mruknął Dempsey, a Berinwick znów złowieszczo uniósł brew.

- Straciłem oko, panie Dempsey, ale mam świetny słuch.

- Czyżbym powiedział to na głos? Bardzo przepraszam, wasza wysokość. Tu na plebanii nie jest jeszcze tak źle, ale kościół jest zrujnowany. Czy miał pan okazję zerknąć ostatnio na północną wieżę? Wszystko wskazuje na to, że niedługo się zawali.

- Doprawdy?

- I owszem. A dach nad nawą...

- Przecieka. Podczas deszczu Langton stawia tam zawsze wiadro. Nie śpieszyliśmy się z remontem. Od śmierci wielebnego pana Dighta nie było tam żadnego nabożeństwa.

- Przez dwadzieścia lat nie było w tym kościele żadnego nabożeństwa? W takim razie gdzie ludzie się modlą?

- Na ryneczku, jeśli jest ładna pogoda. Albo w domu, jeśli pogoda nie dopisuje.

- Mój Boże! Biedni ludzie! I kościół się marnuje.

- W gruncie rzeczy wszyscy są raczej zadowoleni. Nikt nie musi płacić dziesięciny.

- Wasza wysokość?

- Słucham.

- Czy mam rozumieć, że dwa pokolenia pańskich poddanych cieszyły się z tego, że nie chodzą do kościoła, dlatego, że nie musieli płacić dziesięciny?

- Właśnie tak - pokiwał głową Berinwick. - Ja także się z tego cieszyłem. Nie mam oczywiście nic przeciwko temu, by pan objął parafię, ponieważ stać mnie na płacenie dziesięciny. Znajdą się jednak tacy, którzy nie będą zachwyceni tym, że mój ojciec powierzył panu tę prebendę.

- Czy biskup Hereford wiedział o tym? Że ci ludzie nie mają...

- Nie mają komu płacić dziesięciny?

- Nie mają do kogo zwrócić się w trudnych sytuacjach.

- Oczywiście, że wiedział - wzruszył ramionami Berinwick. -

Bez wątplenia wiedział, że wielebny pan Dight opuścił ten świat.

Nawet arcybiskup Canterbury o tym wiedział. Ojciec pojechał

przecież do Londynu i opowiadał w Parlamencie o tym, co się

wydarzyło. Biskup Hereford przysyłał nam od czasu do czasu jakichś

kaznodziejów, ale nie rekomendował żadnego z nich na stałe. Ojciec

poruszał od czasu do czasu ten problem, ale Hereford zawsze tłumaczył, że nie ma stosownego kandydata.

- Trudno mi to sobie wyobrazić. Nie mam wątpliwości, że przez te dwadzieścia lat znalazłby się niejeden dżentelmen w sutannie skłonny objąć tę parafię. Dlaczego biskup...

- Ze względu na charakter śmierci wielebnego pana Digha, jak sądzę - przerwał mu Berinwick.

- Czy to było coś... zaraźliwego? Jakaś straszna choroba? Wyobrażam sobie, że biskup mógł rzeczywiście chronić swoich duchownych przed zarazą.

- W pewnym sensie można powiedzieć, że to było coś w rodzaju zarazy - odparł Brinwick bez zwłoki. - Mój ojciec przeszył pana Digha rapierem. Tą samą bronią przeszył trzech innych mężczyzn, jednego po drugim - wyjaśnił jeszcze precyzyjniej, wyciągając przed siebie ramię i zadając kilka ciosów w powietrzu, jakby sam trzymał broń. - Szast-prast. Szast-prast. Szast-prast. Sądzę, że po chwili zastanowienia można by to określić jako coś w rodzaju zarazy.

- Nieźle - mruknął Dempsey. - To dlatego opowiadał tę historię w Parlamencie. Zabił czterech ludzi.

- Otóż to. Hereford nie mógł się zdecydować, kogo tu przysłać po tym incydencie. Od czasu do czasu zjawiali się jedynie wędrowni kaznodzieje. Podejrzewam, że Hereford ostrzegał każdego z nich z osobna, bo żaden nie zajrzał nawet do kościoła.

- Pański ojciec zabił pana Digha w kościele?

- Podczas kazania. Trysnęła krew. Pan Dight jęknął i upadł.

Zrobiło się straszne zamieszanie. Pamiętam zwłaszcza krew. No cóż,

byłem wówczas dzieckiem i nigdy przedtem nie widziałem nikogo przeszytego rapierem. Muszę przyznać, że zupełnie nie rozumiem, dlaczego Hereford w końcu zmienił zdanie i spełnił prośbę mego ojca. Może biskup nie troszczy się zupełnie o pańskie bezpieczeństwo, panie Dempsey?

Dempsey nie wytrzymał i zachichotał. Gdy Berinwick się uśmiechnął, w jego jedynym oku pojawiła się diabelska iskra.

- Zjawił się nasz nowy pastor, mamó - oznajmił Berinwick, wchodząc do letniego salonu, położonego we wschodnim skrzydle zamku Blackcastle. - Nazywa się Dempsey i jest dość niezwykłym człowiekiem - dodał, pochylając się, by złożyć obowiązkowy pocałunek na bladym policzku matki. - Niewykluczone, że zamordował Langtona. Nigdzie nie można go znaleźć.

- Nowy pastor? - księżna Berinwick odłożyła gwałtownym ruchem swoją robótkę. - Zjawił się bez uprzedzenia? Muszę porozmawiać z kucharką. Nie przypuszczałam, że będziemy mieli gościa. Dlaczego nie powiadomił nas o dacie swego przyjazdu?

- Twierdzi, że napisał list, mamó. Prawdopodobnie dostaniemy go z opóźnieniem.

- W takim razie Langton powinien się tu zjawić, gdy tylko pastor przyjechał - mruknęła księżna, podnosząc się z sofy, by wziąć dzwoneczek leżący na jednym ze stolików.

- Obawiam się, że Langton nie mógł się tu zjawić. Czy nie słyszałaś, co mówiłem, mamó? Sądzę, że nasz nowy pastor załatwił Langtona i pochował go pod podłogą w salonie.

- Słyszałam, co powiedziałeś, Williamie, i podejrzewam, że się ze mną droczysz - odparła, sięgając po srebrny dzwoneczek. - Nazywa się Dempsey?

- Owszem. - Berinwick podszedł do matki i wyjął dzwoneczek z jej dłoni, nim zdołała zadzwonić. Przyszpilił ją do podłogi spojrzeniem swego jedyne go oka. - Dobrze, że się przedstawił. Wyszedłbym na dumnia, gdyby tego nie zrobił. Nie mogę zrozumieć, dlaczego ojciec zaproponował objęcie parafii człowiekowi, którego nazwiska nam nie zdradził.

- Twój ojciec spodziewał się, że sam przywita tego dżentelmena i przedstawi go nam wszystkim - odparła księżna z wyraźnym wysiłkiem. Źle znosiła tego rodzaju spojrzenia syna. Wyciągnęła dłoń, by wziąć od niego dzwoneczek, po chwili jednak znów ją opuściła. - Znałam pewną rodzinę Dempseyów przed laty - szepnęła. - Ciekawe, czy nasz nowy pastor jest z nimi spokrewniony.

- Wątpię. W Anglii nie brakuje Dempseyów. Jest ich tysiące. Usiądź, mamó. Nie ma potrzeby dzwonić na kamerdynera i posyłać go po kucharkę. Nasz pan Dempsey nie zjawi się na obiedzie. W każdym razie nie dziś wieczorem. - Berinwick odłożył dzwoneczek, wziął matkę za łokieć i odprowadził ją do sof y. Potem usiadł na fotelu. Jego ostrogi zadzwoniły, gdy wyciągnął nogi. - Wielebny pan Dempsey odrzucił moje zaproszenie.

- Odrzucił twoje zaproszenie? - Księżna zmrużyła swoje brązowe oczy. Położyła dłonie na kolanach i wbiła w nie wzrok, licząc kilka ciemnych piegów, które naznaczyły jej młecznobiałą

niegdyś skórę. - Williamie, czy w twoich słowach było coś, co spowodowało, że pastor odrzucił zaproszenie?

- Nie powiedziałem nic niestosownego, mamó.

- A zatem, co mu zrobiłeś?

- Prowadziłem z nim coś w rodzaju towarzyskiej konwersacji, nic więcej.

- Obawiam się, że coś więcej. - Księżna podniosła wzrok na moment, ale zaraz znów go spuściła. Dopiero po chwili wyprostowała się i zmusiła, by spojrzeć synowi w twarz. - Duchowny, który otrzymał prebendę, nie odrzuca zaproszenia swego dobrodzieja. Tak się nie robi.

- W zasadzie nie. Ale przecież to nie ja zaproponowałem mu tę posiadłość, mamó. To ojciec go wybrał, a nie ja. Być może Dempsey podejrzewa, że zmienię decyzję ojca.

- Tym bardziej więc powinien przyjąć zaproszenie i starać się z tobą zaprzyjaźnić.

- No cóż, nie sprawiał wrażenia, jakby chciał się ze mną zaprzyjaźnić. Może sam żałuje swojej decyzji?

- Dlaczego miałby żałować? St. Milburga's of the Wood to jedna z najbardziej lukratywnych...

- Opowiedziałem mu tym, co się stało z poprzednim pastorem, nie wyjaśniając szczegółów - przerwał jej syn.

- Ależ Williamie! Jak mogłeś? Teraz ten człowiek zniknie i St. Milburga's of the Wodd będzie pozbawiona pastora przez kolejne dwadzieścia lat.

- Wydaje mi się, że to nam nie grozi - odparł Berinwick, przeczesując włosy dłonią, co spowodowało, że jego ciemne, rozwiane wiatrem loki zmierzwiły się jeszcze bardziej. - Może trochę żałuje, ale chyba nas nie opuści, mamó. To nie byle kto, ten cały wolebny pan Dempsey.

- Co masz na myśli, mówiąc, że to nie byle kto?

- To nie jest taki całkiem zwyczajny pastor. To nie żaden okrągłutki spryciarz. Nie ma też sylwetki baletmistrza i fioletowej gęby. Jest wysoki i raczej silny. Ma swoje lata, ale przypuszczam, że obie z Hanną uznacie, że jest przystojny. Zachowuje się... nonszalancko. Tak, nonszalancja to chyba najwłaściwsze słowo.

- Kogo mam uznać za przystojnego człowieka? - zapytała młodsza siostra Berinwicka, wchodząc do pokoju.

- Nowego pastora - odparł książę. - Do diaska, co ty masz na sobie, Hanno?

Hanna popatrzyła na brata z pogardą, na jaką może się zdobyć czternastoletnia dziewczyna.

- To jest suknia, którą zamierzam włożyć na moje urodziny, jeśli chcesz wiedzieć, Will. Odebrałam ją dziś po południu i postanowiłam od razu włożyć, żeby sprawdzić, jak w niej wyglądam.

- W takim razie wracaj natychmiast na górę, żeby się przebrać. Ojciec leży w grobie zaledwie dziewięć miesięcy, a ty, Hanno, paradujesz w białej sukni zdobionej wiśniowymi wstawkami.

- Williamie! - wykrzyknęła księżna, a potem natychmiast odwróciła od syna wzrok, wyciągając dłoń w stronę córki, jakby zachęcała ją do zamilknięcia i zajęcia miejsca na sofie.

- Nie musi przecież paradować jak paw w tej sukni, mamó - warknął Berinwick. - Jesteśmy wciąż w żałobie. Ktoś mógłby pomyśleć, że Hannie obojętna jest śmierć ojca.

- Wcale nie! - zaprotestowała Hanna gwałtownie. -Czuję to samo, co ty, Will! Bardzo kochałam papę!

- I właśnie dlatego paradujesz w tym stroju, nie myśląc o tym, że bezczęścisz pamięć ojca.

- Williamie, wystarczy - powiedziała cicho księżna, patrząc na swoje dłonie. - Hanna po prostu przymierzyła nową suknie, żeby sprawdzić, jak w niej wygląda. I to wszystko. Każda młoda dziewczyna zrobiłaby to samo na jej miejscu - dodała, zmuszając się do tego, by znów spojrzeć na syna. - Wyglądasz prześlicznie, Hanno. - Poklepała córkę po dłoni, błagając jednocześnie syna spojrzeniem, by wreszcie zamilkł. - Prześlicznie. Ale przed obiadem przebierzesz się w swoją brązową suknię, prawda?

- Oczywiście, mamó.

Ta suknia wcale nie jest śliczna, pomyślał Berinwick, zdziwiony zarówno spojrzeniami, jak i słowami matki. To okropna suknia. Może na innej, trochę starszej damie, wyglądałaby lepiej. Dlaczego matka nie zaprotestowała, gdy Hanna wybierała ten strój?

William wiedział doskonale, dlaczego matka nie zaprotestowała. Księżna przeczuwała, że ta suknia uszczęśliwi Hannę i że ta radość wcale nie zaszkodzi dziewczynie.

Berinwick ze współczuciem przypomniał sobie wszystkie te lata, kiedy przyjeżdżał do domu ze szkoły, by przywitać się z nowym bratem czy siostrą, a niewiele później wracał na pogrzeb tego samego

dziecka. Dobrze pamiętał stoicko znoszone cierpienia rodziców, pamiętał przeraźliwy smutek, z którego za każdym razem musieli się podnosić. Aż do czasów Hanny. Aż do chwili, w której pucułowata, pogodna Hanna przetrwała okres niemowlęcy, by stać się promykiem słońca, który do tej pory ogrzewał serce matki.

- Przepraszam cię, Hanno - mruknął, obracając jeden z guzików swego surduta. - Nie powinienem tak do ciebie mówić. Wcale nie przestałem rozumieć, jak się czuje ktoś, kto właśnie wrócił ze szkoły i musi nosić ciemne kolory i słuchać kondolencji. Nic dziwnego, że chciałaś przymierzyć swoją nową suknię. Ten strój ożywia w tobie nadzieję na bardziej radosne czasy.

Dempsey stał z rękami wspartymi na biodrach na samym środku jadalni. Zdążył już przywrócić salonowi jego dawny, niezbyt olśniewający wygląd i zamienić jadalnię w coś, co przypominało gniazdo ogłupiałego szczura. Meble zostały rozstawione po wszystkich kątach całkiem przypadkowo, dywan leżał zwinięty pod ścianą.

- Do licha! - mruknął Dempsey. - Ta przeklęta plebania doskonale się nadaje na kryjówkę. Zupełnie jakby została zbudowana właśnie w tym celu. Tylko gdzie to może być? Może w gabinecie albo w kuchni czy w piwnicy?

W piwnicy? Dempsey zamyślił się. Spędził tam zaledwie chwilę, bo nie zauważył nic szczególnego. Ot, stara, zbutwiała piwniczka z pustymi półkami, na których stała tylko jedna, zakurzona butelka porto. Nic więcej. Dempsey dopiero teraz zdziwił się, że ktoś zostawił

tam tylko jedną butelkę wina - opróżnił piwniczkę z całych zapasów i zostawił porto.

- Mam nadzieję, że nie było zatrute - mruknął pod nosem, a w jego oczach pojawił się błysk podejrzenia. - To byłby dość fatalny zbieg okoliczności, gdyby mój dobrodziej po jednym kieliszku porto wypitym na plebanii padł trupem w swoim własnym domu. Choć oczywiście, jeśli wino było zatrute, to i ja padnę trupem lada moment.

Dempsey zabrał się do rozwijania dywanu. Potem rozstawił na miejsca kredensy i serwantki oraz stół z krzesłami. Mięśnie ramion drżały mu lekko, a mięśnie brzucha napinały się niebezpiecznie, gdy przesuwał ciężkie meble. Koszula zrobiła się mokra od potu, ale Dempsey nie zwracał na to uwagi. Na szczęście Langton wróci niebawem nie tylko z bagażem, ale i z jakąś przekąską.

Za poradą stróża pastor postanowił nająć też jego żonę, by przygotowywała mu trzy posiłki dziennie. Zgodził się także zatrudnić córkę Langtonów do sprzątanía na plebanii. Obie kobiety miały przyjeżdżać ze stróżem rano i wracać wieczorem do Barren Wycche. Dzięki temu nikt nie będzie mu zakłócał spokoju w nocy.

- I bardzo dobrze - mruknął Dempsey, przesuając ostatni mebel na miejsce. - Zwłaszcza teraz, gdy Berinwick, którego spodziewałem się tu zastać, nie jest tym, którego zastałem. - Pastor odgarnął wilgotne pasma przetykanych srebrnymi nitkami jasnych włosów i westchnął. Bolały go plecy, a przecież zostały mu jeszcze dwa pomieszczenia na parterze do przeszukania.

- Jutro wieczorem - mruknął, oparłszy się o kredens. Rozejrzał się po pokoju. - Berinwick nie ruszył palcem przez te wszystkie lata, a

potem zmarł, zamiast czekać na mnie i mi pomóc. Nic się nie stanie, jeśli odłożę poszukiwania do jutra. Theophilusie! - zawołał, odwijając rękawy koszuli i chwytając surdut, leżący na stoliku w korytarzu od chwili jego przyjazdu. Ruszył zdecydowanym krokiem w stronę drzwi. - Theophilusie, mój chłopcze, czas się przejść! Jeśli dopisze nam szczęście - dodał już za progiem, pochylając się, by poklepać psa po karku - jeśli dopisze nam szczęście, to Langton zjawi się z bagażami i jedzeniem pod naszą nieobecność i nie będziemy musieli z nim konwersować dziś wieczorem.

Księżna Berinwick odłożyła widelec.

- Zdaje się, że nie jestem głodna - powiedziała. -Wszystko przez to, że jemy obiad później niż zwykle. Wybaczcie mi, Williamie, Hanno. Nie przelknę już ani kęsa. Chyba skorzystam z tego, że zmierzch jeszcze nie zapadł, i przejdę się trochę po parku.

- Ależ mam - zaprotestowała Hanna - kucharka przygotowała twoje ulubione potrawy.

- Owszem. I bardzo pięknie je podała. Przekaż jej to, Hanno.

- Oczywiście, mam.

- Jeden z kamerdynerów będzie ci towarzyszył, mam - oświadczył Berinwick. - Haroldzie, oddasz talerze Johnowi i zadbaj o...

- Nie, nie, nie - przerwała mu księżna. - Haroldzie, zostań na swoim miejscu. Nie potrzebuję eskorty i nie mam ochoty na towarzystwo.

- Ależ mam - zaprotestował Berinwick, zrywając się z miejsca, gdy tylko matka wstała.

Księżna Berinwick wyprostowała się i uniosła nieco brodę. Potrafiła przybrać imponującą postawę, gdy tylko chciała. Uznała to teraz za stosowne, pragnęła bowiem spędzić przynajmniej godzinę w samotności.

- Nie, Williamie, nie chcę, by Harold zaniedbywał swoje obowiązki, nie zgodzę się także, by towarzyszył mi któryś z chłopców stajennych. Całymi latami wędrowałam po parku bez eskorty. Nie rozumiem, co się z tobą stało po śmierci ojca i dlaczego za każdym razem nalegasz, by mi ktoś towarzyszył. Nie zamieniłam się w starą, głupią i niedołązną kobietę tylko dlatego, że twój ojciec nas opuścił.

- Oczywiście, że nie, ale...

- William troszczy się tylko o twoje bezpieczeństwo, mamó - wtrąciła się Hanna. - Boi się, że osaczą cię psy z Little Mynd Moor. Choć żaden z nich nie pojawił się w okolicy Blackcastle od stu lat. Boi się też, że rozszarpie cię stado lisów. Zapomniałaś o lisach? Szalony Jack przywiózł ich całe mnóstwo przed ostatnim sezonem łowieckim. I teraz są wszędzie.

- To prawda - przytaknęła Berinwick, przyglądając się badawczo matce i miętosząc serwetkę w lewej ręce. - Szalony Jack sprowadził nam, na głowę mnóstwo lisów. Już od listopada farmerzy życzą mu wszystkiego najgorszego. Obawiam się przede wszystkim, byś nie skręciła nogi lub nie zaczepiła się o jakieś kolczaste krzewy. W takim przypadku przydałaby ci się z pewnością pomoc Harolda.

- Bardzo cenię Harolda. - Księżna uśmiechnęła się nieznacznie do młodego kamerdynera. - Ale tym razem chciałabym zostać sama. Będę się starała nie skręcić nogi i trzymać z dala od kolczastych

krzaków. A teraz zabierzcie się do jedzenia i nie zapominajcie o dobrych manierach pod moją nieobecność.

Hanna zachichotała, słysząc frazę, którą pamiętała od czasów dzieciństwa. Ale Berinwick wcale się nie uśmiechnął. Patrzył za odchodzącą matką z dziwnym wyrazem twarzy.

- Odstaw talerze, Haroldzie - rozkazał, gdy księżna nie mogła już go usłyszeć - i pójdź za jej wysokością. Trzymaj się w tyle, ale nie spuszczaaj księżnej z oka.

- Oczywiście, wasza wysokość - odparł kamerdyner, oddając talerz lokajowi stojącemu za krzesłem Hanny.

- Och, Jules, dlaczego nie wyskoczyłeś z tego powozu, gdy się zorientowałeś, co wam zagraża? - szepnęła księżna, gdy dotarła na szczyt Thriwck Hill, z którego można było zejść na Little Mynd Moor ścieżką wiodącą przez Grydwynn Wood. W oddali widać było masyw Stiperstones, które wyglądały niczym zjawy przez przesłone mroczniejącego powietrza. W rzeczywistości wcale nie przypominały zjaw: były postrzępione, ale solidne. Równie solidne jak jej zmarły małżonek. Veronika często myślała, że Julian Thorne, podobnie jak Stiperstones, nigdy nie zniknie z jej życia.

Otuliła się szczelniej peleryną i otarła rękawiczką łzę, która załśniła w kąciaku jej oka. Zauważyła, że dotkliwy ból serca zamienił się w nieprzyjemne poczucie pustki, zastanawiała się jednak, czy tego rodzaju doznania kiedykolwiek ją opuszczą. Zapewne nie. Sądziła, że to cierpienie będzie jej towarzyszyć już do końca życia, podobnie jak ból związany z Williamem i ten, który rodził się w niej wtedy, gdy traciła swe kolejne dzieci.

- Zobacz sam, co zrobiłeś, Jules - szepnęła miękko. - Zostawiłeś mnie i teraz sama muszę sobie radzić z Willem. Jak temu podołam? Skąd wezmę siłę? Kto będzie jej źródłem? Dlaczego nie umocniłeś mnie przed swym odejściem?

Na pobliskim drzewie sowa zatrzepotała skrzydłami, pohukując na powitanie nocy. Na samym skraju lasu królik szarpał się we wnykach. Zapadał coraz gęstszy mrok, a na horyzoncie coraz wyraźniej jaśniał półksiężyc. Z oddali, z głębi wrzosowiska, dobiegało ujadanie psów. Tak szczekać mogły tylko posępne, dzikie stworzenia, psy z Little Mynd Moor. Przed wiekami pewien szalony Thorne of Barren Wycche wygnał sforę psów z Blackcastle, by zdechły z zimna i z głodu. Psy jednak nie zdechły. Cierpią aż do dziś zupełnie jak rodzina Thorne'ów z Barren Wycche, której gałąź stanowią Berinwickowie z Blackcastle.

Cierpieli do tej pory, pomyślała księżna, ocierając kolejną łzę. Do tej pory ciągłość rodu nie była zagrożona. Teraz pozostał tylko William. Razem z nim przepadnie tytuł Berinwicków i wygaśnie ród Thorne'ów.

- I to tylko moja wina - szepnęła księżna. - Tylko moja.

Sowa siedząca na dębie znów rozpostarła skrzydła i zahukała. A potem odfrunęła, wyrywając księżną z zamyślenia i każąc powrócić do rzeczywistości i do życia. Veronika zauważyła gęstniejący mrok, jaśniejący księżyc. I usłyszała jakieś dziwne posapywanie. Obróciła się powoli dokoła, żeby się rozejrzeć. U podnóża góry stał spowity mrokiem nieruchomy mężczyzna, który patrzył w jej stronę. Księżna rozpoznała od razu Harolda. William nie posłuchał moich wyraźnych

poleceń i posłał za mną kamerdynera. Veronika musiała przyznać natychmiast, że jej syn miał do tego prawo. Teraz przecież on jest księciem Berinwickiem, a ja tylko księżną wdową. To William wydaje rozkazy, a ja jestem mu jedynie ciężarem.

Gdy obróciła się w drugą stronę, do jej uszu znów dobiegło posapywanie, czy raczej węszenie, a także szelest liści i trawy. Veronika wyteńczyła wzrok i po chwili dojrzała pod dębem sprawcę zamieszania. Drzewo okrążał właśnie pies z podkręconym do góry ogonem i nosem przytkniętym do ziemi, zmierzający niechybnie w jej stronę. Wydało jej się przez chwilę, że to jeden z legendarnych psów z Little Mynd Moor, i zaczęła wołać Harolda. Krzyk zamarł Veronice jednak na ustach, gdy usłyszała gwizd i męski głos:

- Theo! Theophilus! Gdzie ty się podziałeś?

Po chwili trzasnęły gałązki i rozległ się kolejny okrzyk:

- Au! A niech to diabli!

Mężczyzna najwyraźniej próbował się uwolnić z kłaczy winorośli, które rosły na skraju lasu i oplatały się wokół nieostrożnych łydek.

Księżna Berinwick uśmiechnęła się.

- A więc nie należysz do sfory z Little Mynd Moor - stwierdziła patrząc na psa, który był coraz bliżej.

Pies usłyszał słowa księżnej w momencie, w którym uderzył łbem w jeden z jej trzewików. Podniósł pysk, usiadł i przyglądając się jej wzrokiem krótkowidza, zaszczekał, nieco zdziwiony, na powitanie.

- I ja cię witam, mój drogi - powiedziała, księżna, pochylając się, by poklepać psa po łbie. - Zapewne nazywasz się Theophilus.

Theophilus mruknął coś rozkosznie, podając księżnej łapę. Veronika zdążyła ją pochwycić pomimo zdziwienia. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Szelma z ciebie, Theophilusie, skoro podajesz łapę nieznajomej damie. Zdaje się, że oboje cieszymy się z tej znajomości.

- Wasza wysokość?

Kamerdyner właśnie dotarł na szczyt wzgórza.

- Słyszałem gwizdnięcie i męski głos, wasza wysokość. A potem zobaczyłem psa, który się do księżnej zbliżał. Pomyślałem, że może się na coś przydam.

- Dziękuję, Haroldzie - odrzekła księżna, puszcżając psią łapę i prostując się. - Nie sędzę, bym powinna obawiać się czegokolwiek ze strony tego stworzenia, ale zdaje się, że jego właściciel właśnie ku nam zmierza, dewastując leśne poszycie, więc może lepiej będzie, jeśli przy mnie zostaniesz. O, właśnie próbuje się wyplątać spomiędzy gałęzi wiązów. Och, zdaje się, że nie patrzy w naszą stronę. Haroldzie, podejdź do tego człowieka i powiedz, że mamy tu jego psa.

- Oczywiście, wasza wysokość - odparł kamerdyner, ciesząc się, że pies nie zagraża jego pani. - To nie jest groźny pies - mruknął do siebie, zmierzając w stronę nieznajomego. - Nie wygląda na sto lat.

Pies, zlekceważywszy zupełnie Harolda, chwycił delikatnie rękawiczkę księżnej, jakby chciał zwrócić jej uwagę.

- O co chodzi? Nie chcesz, bym się interesowała twoim panem?

- Hau, hau.

- Nie? Mam się interesować tylko tobą?

- Hau.

- Śmieszny z ciebie zwierzak. - Księżna przyklękła obok zwierzęcia, wzięła jego łeb w obie ręce i zaczęła tarmosić pieśczośliwie jego uszy. Uszczęśliwiony Theophilus wywalił jęzor i wydał serię rozkosznych pomruków. A potem wysunął jęzor jeszcze bardziej i liznął Veronikę w policzek.

- Ty hultaju. - Księżna i pies usłyszeli zdyszany głos ponad swoimi głowami. - Kradniesz całusy damie, zupełnie jakbyś był byle jakim psem kanapowym. - Mężczyzna wyciągnął wielką dłoń, by pomóc księżnej wstać. - Przepraszam waszą wysokość za tego szubrawca - ciągnął. - Przepraszam także za moją tu obecność. Wiem, że ani on, ani ja nie mamy prawa spacerować po zamkowych terenach.

- Wasza wysokość, to jest nasz nowy pastor - zaczął Harold, nie mając pewności, czy wypada mu przedstawiać sobie tych dwoje, choć dżentelmen go o to wyraźnie poprosił, gdy szli pod górę. - To wielebny pan Dempsey - dodał, widząc, że księżna nie protestuje. - A to jej wysokość, księżna Berinwick.

Księżna spojrzała na pastora i zamrugała ze zdziwienia. Uniosła dłoń w rękawiczce do jego policzka i obróciła twarz mężczyzny w stronę resztek światła.

- Richard? - zapytała z wahaniem. - Richard Dempsey? Czy to naprawdę ty?

- Nie może pani uwierzyć, że zostałem pastorem, prawda, Veroniko? - powiedział Dempsey, gdy szli, trzymając się pod rękę, w stronę Blackcastle, krocząc śladem Harolda i Theophilusa.

- O-ho-ho.

- Co ma znaczyć to „o-ho-ho”?

- O-ho-ho, powiedziałem „Veroniko”. A nie powinienem. Muszę się pilnować, by od tej pory w moich myślach występowała tylko „wasza wysokość”. Nie przyjdzie mi to łatwo, bo do tej pory zawsze myślałem o Veronice. Proszę zatem o odrobinę cierpliwości.

- Myślał pan o mnie? Szczerze w to wątpię, panie Dempsey.

- No, może trochę cyganię.

- Tak właśnie przypuszczałam.

- Jeśli mam być całkiem szczerzy, to powinienem wyznać, że przez te wszystkie lata myślałem o pełnej życia Vernie z Arrandell.

- Richardzie Dempsey!

- Wiem, wiem. Zapewne na policzkach waszej wysokości pojawił się właśnie rumieniec, ale...

- I owszem. Zwłaszcza że chciałam tylko wyrazić wątpliwość, by pan w ogóle o mnie myślał przez te trzydzieści kilka lat.

- Ma pani jakiegokolwiek wątpliwości? - Dempsey zatrzymał się i spojrzał na księżnę ze zdziwieniem. - Całymi latami o pani myślałem. Byłem w pani do szaleństwa zakochany, wasza wysokość. W myślach

często posyłałem pani matkę i ojczyma prosto do Hadesu za to, że nam panią zabrali.

- Coś podobnego! Któż by się spodziewał takich słów od duchownego. I cóż to za bzdury! Niemożliwe, by był pan we mnie zakochany, Richardzie Dempsey. Był pan przecież dzieckiem. - Veronika pociągnęła go za rękaw do przodu.

- Mówiliśmy sobie po imieniu - przypomniał jej Dempsey, zdziwiony ogromnie, że nagle powróciły do niego wszystkie wspomnienia, że tak wyraźnie pamięta chwile, które spędzili razem. - Pocałowała mnie pani na pożegnanie w policzek. A ja podarowałem pani swoją żabę - powiedział, podkreślając ostatnie słowo. - Żaden młody człowiek nie rozstałby się z żabą, którą schwytał własnymi rękami - z żabą, która była mu najlepszym przyjacielem przez co najmniej rok. Żaden młody człowiek nie wyrzekłby się takiego skarbu, gdyby serce mu tego nie podyktowało.

Księżna Berinwick zachichotała. Dźwięk własnego śmiechu zdziwił ją tak bardzo, że natychmiast zakryła usta dłonią.

- Proszę tego nie robić - zaprotestował Dempsey. - To taki cudowny dźwięk. Walpool.

- Co takiego?

- Walpool. Tak się nazywała moja żaba.

- Tak, oczywiście. Będzie pan zachwycony, gdy się pan dowie, że żaba mieszkała u mnie przez rok. W londyńskim domu mojego ojczyma był taki służący, Jemmy, któremu kazałam łapać muchy dla Wally'ego.

- Walpool przeżył cały rok w Londynie?

- Sądzę, że przeżył wiele lat, ale nie z nami. Mój ojczym nie mógł go znieść i kazał wysłać go na wieś.

- Podejrzewam, że raczej kazał mu skrócić kark.

- Richardzie!

- Nigdy mu nie ufałem, ot, co.

- Był bardzo miły zarówno dla mamy, jak i dla mnie.

- Może i tak, ale zabrał was do Londynu. Nigdy bym nie zgadł...

- Dempsey pokręcił głową.

- Czego?

- Że Veronika z Arrandell została księżną Berinwick. Nikt mi o tym nie wspomniał.

- Można było przeczytać o tym w gazetach.

- Kiedy?

- Dwadzieścia dziewięć lat temu. - Tym razem Veronika roześmiała się głośno. - Miał pan wtedy aż dwanaście lat.

- Trzydzieści, jeśli chodzi o ścisłość. Trzydzieści lat i wielkie ambicje. Nie tak wielkie jednak, bym czytał rubryki towarzyskie w londyńskich gazetach mego ojca. Proszę spojrzeć! - Dempsey zatrzymał się nagle. - Ten zamek nawet z daleka robi wrażenie, ale z tej odległości jest wprost zadziwiający.

- Zwłaszcza w ciemnościach - zgodziła się Veronika. - Zawsze kochałam Blackcastle z rozświetlonymi oknami. Za dnia onieśmiela swoją powagą, ale nocą staje się przyjazny i ciepły. Musisz wypić z nami filiżankę herbaty, Richardzie, podczas gdy Harold będzie szukał latarni dla ciebie. Nie zdołasz wrócić do St. Milburgha's bez latarni. Księżyc daje dziś niewiele światła i za chwilę zrobi się zupełnie

ciemno. I proszę, żebyś mówił mi po imieniu, przynajmniej wówczas, gdy będziemy sami. Jak za dawnych lat.

- Dzięki za propozycję ułatwienia mi powrotu, a jeszcze goręcej dziękuję za przywilej mówienia ci po imieniu, Veroniko. Dziś jednak nie wejść do Blackcastle - powiedział, klepiąc ją po dłoni. - Zaczekam w przedsionku na latarnię.

- Nigdy!

- Ależ Veroniko, w takim stroju nie powinienem nikomu składać wizyty, a już zwłaszcza nie powinienem przestępować progu Blackcastle.

- Też coś! Mam to w nosie!

- Powiedziałaś co innego, gdybyś mnie zobaczyła w pełnym świetle. Podejrzewam, że nie ma w tej chwili na ziemi nikogo tak zanedbanego. A poza tym jest ze mną Theophilus. Jeśli zniknę za zamkniętymi drzwiami, Theo zacznie wyc wniebogłosy. Przez godzinę wprowadzałem go i wyprowadzałem z plebanii, nim się przekonał, że nic mi się nie stanie w środku, i zdecydował się zostać w ogrodzie.

- W takim razie odwiedzisz nas jutro - oświadczyła księżna, puszczając ramię pastora, gdy znaleźli się przed głównym wejściem zamku. Obróciła się do niego, ujęła obie jego dłonie i popatrzyła mu prosto w oczy z zadumą.

Dempsey nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Veronika wspomina cielece lata. Jej blada twarz jaśniała szczęściem w świetle pochodni płonącej obok wielkich, podwójnych drzwi. Serce Dempseya zabiło

mocniej pod wpływem jego własnych wspomnień. Uśmiechnął się do księżnej.

- Zazwyczaj jadamy o siedemnastej trzydzieści - powiedziała. - Ale możemy przesunąć porę obiadu tak, by ci pasowała. Haroldzie - dodała Veronika, nie spuszczać wzroku z pastora - pójdź, proszę, do stajni i przynieś latarnię dla pana Dempseya.

- Tak jest, wasza wysokość - odparł kamerdyner i odszedł natychmiast.

- O której godzinie możemy się ciebie spodziewać, Richardzie? - zapytała księżna Berinwick. - O szóstej? Kwadrans po szóstej?

- Hau! - zaszczeakał Theophilus, szarpiąc księżnę za pelerynę, nim Dempsey zdołał otworzyć usta.

- Zdaje się, że Theo też chciałby zostać zaproszony - roześmiał się pastor.

- Naprawdę chciałbyś, złotko? - zapytała księżna, przenosząc spojrzenie na psa. - W takim razie możesz czuć się zaproszony.

- Nie, Veroniko, nie chcesz chyba, żeby ten niedowidzący pies przez cały wieczór awanturował się pod progiem twojego domu. Doprowadziłby cię do szaleństwa, a ja na razie nie mogę go zostawić samego w domu, bo nie wiem, co mu przyjdzie do łba. Obawiam się, że będę mógł skorzystać z zaproszenia do Blackcastle dopiero za tydzień albo dwa.

- Theophilus nie będzie się awanturował pod progiem mojego domu - odparła Veronika. - Nie tylko przekroczy ten próg, ale nawet wejdzie do jadalni i będzie leżał u twych stóp, jeśli to ma cię skłonić do przyjęcia mego zaproszenia na jutrzejszy wieczór. Nie po raz

pierwszy pies będzie warował u czyichś stóp podczas obiadu w Blackcastle. Za dawnych czasów mężczyźni zawsze jadali w towarzystwie swoich psów. I nikt nie widział w tym nic niezwykłego.

- Przed wiekami - uśmiechnął się Dempsey.

- Wydaje mi się, że całe wieki minęły od chwili, kiedy patrzyłam na twoją piękną twarz, Richardzie - odparła księżna, dotykając dłonią jego policzka. - Twarz tak piękną, że nawet trzydzieści lat nie zdołało wymazać z mej pamięci jej rysów. Na anielską twarz. Przyjdź do nas jutro - szepnęła. - Przyjdź choćby po to, by sprawić mi przyjemność.

- Veronika Longwood została księżną Berinwick - mruknął Dempsey, idąc w stronę St. Milburga's of the Wood, trzymając latarnię w jednym ręku i smycz pożyczoną od stajennego w drugim. Noc była pochmurna. Na kapryśnym świetle księżycy rzeczywiście nie można było polegać. Dempsey z wdzięcznością przyjął latarnię. -

Czy możesz sobie wyobrazić, Theo, jak byśmy wrócili do domu przez ten las? No cóż, ty znalazłbyś zapewne drogę, gdyby tylko zapach zająca poprowadził cię we właściwym kierunku, ale ja z pewnością wylądowałbym w krzakach jeżyn. - Dempsey uśmiechnął się do siebie. Tego wieczoru uśmiech nie schodził mu z twarzy. - Mam ochotę częściej puszczać cię wolno, Theophilusie. Byłeś tylko za każdym razem zdołał upolować równie słodką ptaszynę jak dzisiaj.

- Hau! - zgodził się Theophilus, machając radośnie ogonem.

- Zastanawiam się, czy Berinwick wiedział, że znałem jego żonę w dzieciństwie. Może wspomniała mu kiedyś o mnie? Nie, to niemożliwe. Założę się, że Veronika nigdy o mnie nie pomyślała, gdy wkroczyła w wielki świat. W końcu byłem szczeniakiem. Na pewno

nie miała pojęcia, że to właśnie mnie jej małżonek zaoferował prebendę. W przeciwnym razie nie zdziwiłaby się tak szczerze na mój widok. Theo, ona jest równie piękna jak wtedy, gdy miała czternaście lat. Nie w ten sam sposób. Jest starsza i znacznie okrągłejsza niż wtedy. I tym bardziej zachwycająca. Nic w tym dziwnego. Sam się przecież postarzałem. Przez te wszystkie lata spotkałem wiele kobiet i wyrobiłem sobie gust. Zastanawiam się, czy przyjąłbym ofertę Berinwicka, gdybym wiedział, że Veronika jest jego żoną.

Droga wiodąca z Blackcastle do St. Milburga's of the Wood była piaszczysta i wąska. Wiła się to w prawo, to w lewo, jakby wytyczył ją jakiś rzymski wojownik, wracający do domu po suto zakrapianej uczcie na cześć zwycięstwa. Biegła obok okolonych żywopłotami pól i pośród drzew. Przecinała Grydwynn Wood i wiodła wzdłuż niewysokiej grani, z której Dempsey mógł podziwiać wzgórze zwane Little Mynd i porastające jego zbocza wrzosowiska. Za dnia bardzo by go interesował ten krajobraz.

Teraz jednak widział zaledwie kawałek drogi. Wierzchołki wzgórz i pnie drzew ginęły w mroku.

Jasne, że przyjąłbym propozycję Berinwicka, nawet gdybym wiedział, że Veronika jest jego żoną, pomyślał. Oczywiście, że przyjąłbym tę posadę. Jakże mógłbym odmówić? Księżę błagał mnie, bym się zgodził. To była najbardziej niezwykła, najbardziej pociągająca oferta, jaką mi kiedykolwiek złożono. A skoro taką propozycję wysunął człowiek, którego prace tak bardzo podziwiałem, to przecież nie mógłbym odmówić, nawet gdybym wiedział, że

księżną Berinwick jest Veronika Longwood, choć nigdy nie zdołałem się pogodzić z jej zniknięciem.

- A zresztą nie mogę przecież utrzymywać, że Veronika złamała mi serce - szepnął Dempsey. - Miałem zaledwie osiem lat, gdy wyjechała. W tym wieku chłopcy nie tracą głowy dla dziewcząt nawet wtedy, gdy dziewczęta opuszczają ich na zawsze.

I pomyśleć, że księżę Berinwick, z którym łączyły mnie zainteresowania, ożenił się właśnie z nią, uśmiechnął się Dempsey. Brzmi nieprawdopodobnie. Choć z drugiej strony, nie ma się co dziwić, że Veronika zauroczyła Berinwicka. Zapewne wszyscy dżentelmeni, którzy mieli oczy i serce na właściwym miejscu, pragnęli poślubić Veronikę Longwood, gdy tylko pojawiła się w londyńskich salonach. Dlaczego więc wydaje mu się tak nieprawdopodobne to, że spotkał ją właśnie tu i że jest, nieoczekiwanie owdowiałą, księżną Berinwick.

- Szkoda, że nie przyjechaliśmy tu wcześniej, Theophilusie - mruknął pastor, czując, że jest zły sam na siebie. - Gdybyśmy pojawili się wcześniej, jej mąż żyłby jeszcze i niewykluczone, że zawiązałyby się między nami nic porozumienia, może nawet zostalibyśmy dobrymi przyjaciółmi. A potem, po jego niespodziewanej śmierci, Veronika szukałaby u mnie pocieszenia i... Wielkie nieba! Co ja wygaduję? O czym ja myślę? Rozmawiałem z nią dziś po raz pierwszy od przeszło trzydziestu lat. Ona dorosła. Ja także dorosłem. I nie ma wątpliwości, że dorastaliśmy w zupełnie innych warunkach.

Dempsey był tak pochłonięty swoim monologiem, że nie zauważył, iż pies został w tyle. Niewiele brakowało, a byłby się

przewrócił, bo Theophilus usiadł i smycz naprężyła się niebezpiecznie.

- Co u diabła? - mruknął Dempsey. - Theophilusie? -Gdy się obrócił, zobaczył, że pies wyciągnął nos do góry i obnażył zęby, wydając ciche warknięcie. Pastor uniósł latarnię na wysokość ramienia i zatoczył nią niewielki krąg. Nie dostrzegłszy nic nadzwyczajnego, przykląkł obok psa. - Co jest, staruszkule? Co wywęszyłeś? Raczej nie zajaca, sądząc z twojej miny. Ani nie lisa, bo przecież pociągnąłbyś mnie za nim.

Przez dobrą minutę klęczał, głaszcząc psa po łbie i wsłuchując się w nocne odgłosy. Aż wreszcie pośród szmerów, szelestów i pisków sów, zajęcy, myszy i jastrzębi wyłowił jakąś dziwną nutę, na której dźwięk kark pokryła mu gęsia skórka.

- A cóż on, u licha, robił w Grydwynn Wood? - dopytywał się Berinwick, krążąc po pokoju.

- Czy ty naprawdę go znałaś przed laty, mamoc? -Twarz Hanny promieniała ciekawością, podczas gdy jej brat patrzył na matkę spode łba. - Jak go poznałaś? Czy był jednym z twoich wielbicieli, jak papa?

Księżna, usadowiona w wygodnym fotelu w najmniejszym spośród licznych salonów Blackcastle, uśmiechnęła się do swych myśli.

- Wędrował po lesie, szukając swojego psa, Williamie. Biedny staruszek coś zwęszył i zniknął, więc pan Dempsey musiał ruszyć za nim. On niedowidzi - pies, a nie pan Dempsey - więc pastor obawiał się, że zabłądzi i trafi na wrzosowisko.

- Sądziłbym raczej, że skoro wąż go zaprowadził do Blackcastle, to zaprowadzi go także do domu - mruknął Berinwick.

- Williamie! Kochasz swoje konie. Pozwól panu Dempseyowi kochać swojego psa. Ma w końcu tylko jednego.

- Wolałbym, żeby nieznany nam zupełnie pastor nie błąkał się wokół naszego domu, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota, mamó.

- Och - prychnęła Hanna, chwytając brata za rękę i zatrzymując go przed swoim fotelem. - Za miesiąc albo dwa będziesz znał go doskonale i nie będziesz miał nic przeciwko jego spacerom. Dobrze wiesz, że tak będzie, Will. Nic dziwnego, że pan Dempsey nie chciał, by jego pies błąkał się sam po nieznanej okolicy. Czy on był jednym z twoich wielbicieli, mamó?

Księżna uśmiechnęła się, słysząc pytanie córki.

- Pan Dempsey był moim wielbicielem, nim poznałam twego ojca i nim się dowiedziałam, co to znaczy mieć adoratorów. Zналиśmy się w dzieciństwie. Był przemiłym chłopcem i zdaje się, że teraz jest przemiłym dżentelmenem. Bardzo mnie ucieszyło to spotkanie. Obiecał, że jutro zjawi się u nas na obiedzie.

- I wszyscy będziemy tego żałować - stwierdził Berinwick, siadając na oparciu fotela Hanny, ponieważ siostra nie chciała puścić jego dłoni.

- Dlaczego mielibyśmy tego żałować?

- Wydawało mi się, że raczej go polubięś po dzisiejszej wizycie na plebanii, Williamie - zauważyła księżna.

- Owszem. W pewnym sensie. Ale jeść obiad w towarzystwie pastora...

- Czy kiedykolwiek jadłeś obiad w towarzystwie pastora, Williamie? - zapytała go matka, uświadamiając sobie z niepokojem, że nie ma pojęcia, z kim jej syn lubi jadać obiady i kogo zwykł unikać.

- Nigdy. I wcale się do tego nie palę. Och, wiem, że i tak musielibyśmy go zaprosić, ale miałem nadzieję, że zdążę się jakoś przyzwyczaić do tej myśli.

- Do jakiej myśli?

- Że ktoś się będzie modlił nad każdym daniem, które się pojawi na stole, że będzie błogosławić każdy groszek i każdego ziemniaka, dziękować Bogu za bażanta i przystawki. Ja tymczasem umrę z głodu, a Hanna zacznie tak chichotać, że będzie musiała wyjść z jadalni. Ty, oczywiście, pospieszysz za nią, zostawiając mnie sam na sam z człowiekiem, którego najchętniej bym udusił. I tylko Gaines i kamerdynerzy mogliby wówczas mnie od tego powstrzymać. A wiesz doskonale, że tego nie zrobią.

- Skoro umrzesz z głodu, to nie będziesz go mógł udusić -
Zauważyła Hanna przytomnie, podczas gdy księżna przyglądała się synowi, powątpiewając w to, że powiedział to wszystko żartem.

- Cicho bądź, Theo - szepnął. - Ja też to słyszę, staruszk. Blisko. Coraz bliżej. - Dempsey pospiesznie skrócił smycz psa i zamknął okienko latarni. Potem zerwał się na równe nogi i odciągnął psa na bok. Obaj wkroczyli po cichu w ciemną gęstwinę lasu, tak by nic nie zdradziło ich obecności, nawet zabłąkany promień księżyca. Jęki, które na początku były ledwo słyszalne, stawały się coraz głośniejsze. Dempsey objął psa ramieniem i zaczął tarmosić go

delikatnie za ucho w nadziei, że w ten sposób stępi trochę słuch zwierzęcia i powstrzyma je przed ujadaniem.

Przez chwilę panowała cisza. Potem znów rozległy się dziwne jęki, jakby -wydawała je udęczona dusza. Dźwięki dobiegały z prawej strony. Pastor słyszał wyraźnie, że do zawodzenia przyłączyło się dziwne pobrzękiwanie i postukiwanie, przypominające bicie ludzkiego serca. Dempsey wyteżał wzrok, by dojrzeć coś w ciemnościach, ale jak na razie nic nie było widać. Nic. I wtedy stłumione postukiwanie zaczęło otaczać go ze wszystkich stron. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że coś pobrzękuje w jego głowie i że jęki rozlegają się tuż nad nią. Roztrzęsiony pies próbował wtulić się jeszcze bardziej w pelerynę swego pana, gdy w odległości zaledwie trzech stóp od miejsca, w którym się kryli, wyłoniła się przedziwna zjawa. Mglista, jakby oszroniona męska postać jęczała i zawodziła, a potem puściła się galopem na koniu, który także wyglądał raczej jak zjawa niż jak zwierzę. Na szarej postaci, popędzającej konia w stronę St. Milburga's of the Wood, pobrzękiwały resztki starodawnej zbroi.

Dempsey patrzył, jak koń i jeździec znikają za zakrętem. Potem otworzył okienko latarni, wyplątał psa spośród fałd swego płaszcza i przemówił do niego łagodnym tonem.

- Słyszałeś to, Theophilusie, ale nic nie widziałeś. A było na co popatrzeć. Po rozmowie z młodym Berinwickiem byłbym skłonny przypuszczać, że to wielebny pan Dight szuka swojej duszy, ale sędzę, że to jednak ktoś inny. Zbroja, którą zjawa miała na sobie pozwala twierdzić, że to Owain Glyndwr. Na pewno go pamiętasz,

Teophilusie. Opowiadałem ci o nim tysiąc razy od czasu, gdy dostaliśmy list od Berinwicka.

W odpowiedzi na informacje pana Theophilus znów wetknął mu głowę za pazuchę.

- Ależ, Theo. Teraz nie ma już żadnych powodów, by się chować - zaśmiał się Dempsey. - Glyndwr był ostatnim prawdziwym księciem Walii, a nie żadnym barbarzyńcą. A to, że był przywódcą walijskiego powstania przeciwko angielskiej dominacji, nie znaczy jeszcze, że chciałby ci zrobić krzywdę. Wątpię, by miało to dla niego jakiegokolwiek znaczenie, czy jesteś walijskim, czy angielskim psem. - Dempsey usiłował wydobyć psi łeb spod swego płaszcza, ale zwierzę trzęsło się tak okropnie, że przestał się z nim siłować. Przemawiał do niego wciąż łagodnym tonem i poklepywał po boku. - To wprost nie do wiary, Theo, że książę Berinwick pisał do nas o ostatnim księciu Walii, a teraz ujrzeliśmy ducha Owaina Glyndwra. I to zaraz po przyjeździe. Chociaż zupełnie nie rozumiem, dlaczego ten staruszek jeździ po lesie, jęcząc nad swoim losem. Powinien raczej szukać po cichutku swego kielicha.

Pies, uspokojony tonem głosu swego pana, wyrzwał spod płaszcza i spojrzał pytająco w oczy pastora.

- No widzisz, od razu lepiej - uśmiechnął się Dempsey. - Jaki mądry z ciebie pies. Jesteś znacznie inteligentniejszy niż ten duch. Berinwick opowiedział nam w swym liście pasjonującą historię, prawda? Czytałem ci ją. Słuchałeś w napięciu, staruszkule. Chodźmy już, Theophilusie. Już wszystko w porządku. Wątpię, by ten Owain

Glyndwr znów do nas podjechał. Podejrzewam, że może się pojawiać tylko raz w ciągu nocy, jeśli nie chce stracić na tajemniczości.

Poczuwszy, że psu zaczyna wracać odwaga, Dempsey wziął latarnię i otworzył drugie okienko, z którego wypłynęła struga jasnego światła. Pastor i pies wrócili na drogę i ruszyli w stronę St. Milburga's of the Wood. Theophilusowi z każdym krokiem przybywało śmiałości, przytknął więc nos do ziemi i znów zaczął węszyć. Po chwili zatrzymał się i kichnął.

Dempsey także się zatrzymał, unosząc zarazem brew. Przyklęknął i zaczął przyglądać się śladom na drodze, korzystając ze światła latarni. Przyłożył palec do ziemi, a potem do ust.

- Cienie Jasia i Małgosi - mruknął. - Nie, to nie jest dobre porównanie. Oni rzucali okruszki chleba, by znaleźć drogę do domu. A poza tym, ich plan się nie powiódł. A to jest mąka. Skorzystam więc z okazji i pójdę śladem naszego ducha. Mój plan z pewnością się powiedzie. Muszę jednak popracować nad porównaniami. Teraz, gdy mam zostać prawdziwym kaznodzieją, będę potrzebował ze dwóch trafnych analogii do każdego kazania.

Księżna Berinwick wstrzymała oddech, gdy jej syn zasiadł do fortepianu. Od śmieci ojca nie dotykał klawiatury. I choć przedtem jego przepełniona bólem muzyka potęgowała jej wyrzuty sumienia, to brak tej muzyki okazał się równie wielką torturą. Czyżby dziś wieczorem zamierzał zagrać? Dlaczego? Co sprawiło, że podjął wreszcie taką decyzję?

Gdy długie palce Berinwicka dotknęły klawiszy, jego matka wzięła głęboki oddech. Jej serce zgubiło rytm. Popłynęła melodia -

śpiwna, urzekająca, piękna jak Little Mynd Moor w świetle księżyca. Wypełniła salon pełną sprzeczności atmosferą, w której była zarówno melancholia i tęsknota, jak i męstwo bycia.

Oczy Veroniki wypełniły się łzami. Zadrżała jej dolna warga. Patrzyła na siedzącego przy fortepianie syna i zastanawiała się, jak ten biedny człowiek o zniekształconej twarzy może być źródłem takiego piękna. Zastanawiała się, co sprawia, że ta muzyka porusza w niej, w Hannie i we wszystkich mieszkańcach Blackcastle najczulszą nutę. Księżna nie miała wątpliwości, że pokojówki i lokaje przerwali swoje zajęcia. Gaines odłożył sztućce, które właśnie polerował. Lokaje zebrali się u stóp schodów. Kucharka i jej pomocnicy wspięli się na kuchenne schody, żeby lepiej słyszeć. Prawdziwy głos tego wyjątkowego Berinwicka, którego ona dała światu, przyciągnął wszystkich mieszkańców Blackcastle, by dzielili każde poruszenie jego duszy.

Gdy skończył grać, w zamku panowała całkowita cisza. Berinwick siedział nieruchomo, wpatrzony swym jednym okiem w coś, czego jego matka nie mogła zobaczyć, choć pragnęła tego całym sercem. Potem wstał i obrócił się w jej stronę.

- Muszę przejrzeć księgi - powiedział. - Panie wybaczą. -I nim Veronika zdążyła odpowiedzieć, już go nie było.

- Czy mam ci poczytać, mamo? - zapytała Hanna. -Nie skończyliśmy jeszcze Raju utraconego.

Veronika pokiwała głową. Raj utracony, pomyślała. Raczej ukradziony. Raj ukradziony Williamowi, raj, którego jej syn już nigdy

nie odzyska. I nigdy nawet nie wyobrazi sobie, co to słowo oznacza. A wszystko z powodu mojego egoizmu.

- Uwielbiam muzykę Williama - wyznała cicho Hanna, sadowiąc się z książką na sofie. - Ale on nigdy nie chce tego dla mnie zapisać. Gdyby zanotował dla mnie nuty, mogłabym nauczyć się jego pieśni. I kiedyś, w przyszłości, mogłabym ich nauczyć moje dzieci i wnuki. I w ten sposób William zawsze byłby z nami, mamó. Nawet wtedy, gdy już go nie będzie.

- Nigdy byś tego nie zagrała, Hanno - odparła księżna. - Muzyka twego brata to nie tylko nuty.

- Wiem - westchnęła Hanna. - Ale mając nuty, mogłabym od czegoś zacząć, prawda?

Theophilus nie odstępował swego pana nawet na krok, gdy Dempsey okrążył plebanię i wszedł do środka kuchennymi drzwiami. Zapalił kilka świeczek i lampę olejną, a potem znów wyszedł na dwór, by napełnić miskę psa wodą ze studni. Po raz drugi wyszedł na podwórko w samym środku posiłku, pozostawionego mu przez Langtona, ponieważ wydało mu się, że słyszy jakieś stłumione kroki. Po raz trzeci opuścił kuchnię, gdy usłyszał jakieś wycie.

- Zdaje się, że czyjś pies zwęszył jelenia i teraz go goni - mruknął do siebie, wracając do kuchni. - Nie sądzę, by to było coś więcej. Nie sądzę, by Owain Glyndwr miał się tu pojawić. Całe szczęście, że nie ma tu Langtona i że nie muszę bawić go konwersacją. Obaj się starzejemy, Theo. W przeciwnym razie nie zgubiłbym śladu tego ducha.

Znów zostawił psa w kuchni, pozwalając mu rozkoszować się mięsnym pierogiem, wziął świeczkę i ruszył w głąb plebanii, szukając śladów mąki na parterze. Potem wszedł na górę. Zaczął od największej sypialni, gdzie koło łóżka leżały jego własne, wciąż zamknięte bagaże. Pastor przyklęknął, by sprawdzić zamek. Nikt go nie próbował naruszyć. Dempsey odetchnął z ulgą.

Dlaczego zresztą ktokolwiek miałby zaglądać do bagażu pastora? Co mógłby ukraść? Modlitewniki i brewiarze? Ale ze mnie głupiec. Widok tego nieszczęsnego upiora rozbudził moją wyobraźnię i nie jestem już w stanie myśleć racjonalnie. Dlaczego ten przeklęty duch miałby się ukazać właśnie mnie i wędrować po mojej plebanii? Pastor postanowił jednak sprawdzić pozostałe pokoje oraz strych, nie troszcząc się o to, czy postępuje racjonalnie, czy nie. Dlaczego ktokolwiek miałby tracić czas, by wyprowadzić z równowagi byle kaznodzieję, i to na dodatek nowego kaznodzieję? Zwłaszcza że nikt nie wie, że już przyjechałem. Nie, niemożliwe, bym stanowił dla kogoś zagrożenie. A może to wcale nie ja miałem zobaczyć potężnego Walijczyka...

Dempsey zatrzymał się gwałtownie.

- To nie dla mnie był przeznaczony widok Glyndwra! - wykrzyknął i gwizdnął przez zęby. - Nie ma żadnego powodu, by rzekomy duch miał się zjawiać przede mną. Chyba że ktoś odgadł, że przybyłem tu w nieco innych celach niż te, które podaję oficjalnie. Nie. Kto mógłby to odgadnąć? Nawet Hereford wierzy, że w końcu zapragnąłem mieć własną parafię i ciepłą posadę. Gdyby przeczytał list Berinwicka, domyśliłby się prawdy. Ale pieczęć nie była złamana,

gdy Hereford odesłał list do mnie. Nawet gdyby ktoś przypuszczał, że Berinwick wspomniał komuś o kielichu, to dlaczego miałby sądzić, że napisał o tym właśnie do mnie? I skąd mógłby wiedzieć, że opuściłem plebanię, by przejść się z Theophilusem? I że można mnie spotkać na drodze z Blackcastle do St. Milburga's? Sam się nie spodziewałem, że się tam dziś znajdę. Nikt o tym nie wiedział. Nikt oprócz Veroniki, ale ona z pewnością nie ma nic wspólnego z tą zjawą, która wyjechała z lasu.

Dempsey wypowiedział jej imię na głos: „Veronika”. I uśmiechnął się. Dlaczego zajmuję się jakimś zwariowanym lunatykiem obsypanym mąką, który udaje nieżyjącego Walińczyka, zamiast myśleć o Veronice Longwood? upomniał sam siebie, wspominając uśmiechniętą twarz księżnej wdowy. Nie przypuszczałem, że ją kiedykolwiek zobaczę. A jednak. Piękna, delikatna i miła jak zawsze. Jakże gorąco ją kiedyś kochałem. Dempsey uśmiechnął się jeszcze szerzej. I jak gorąco mógłbym ją znów pokochać, pomyślał. Gdyby tylko dała mi cień nadziei, pokochałbym ją natychmiast.

Berinwick, siedzący za wielkim mahoniowym biurkiem w gabinecie ojca, uniósł głowę znad ksiąg rachunkowych, słysząc kroki siostry.

- Tak? - zapytał, gdy dziewczyna zatrzymała się w drzwiach. - O co chodzi, Hanno?

- Mama poszła już do siebie.

- I?

- I chciałabym wiedzieć...

Berinwick czekał, aż Hanna dokończy zdanie. Nie zrobiła tego, więc zmarszczył brwi i zamknął księgę. Wsparł się na łokciach, opierając brodę na dłoniach.

- Co chciałabyś wiedzieć, Hanno? Słucham cię uważnie. Pytaj.

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego papa powierzył parafię temu wielebnemu panu Dempseyowi - powiedziała pospiesznie, miętosząc w palcach rąbek brązowej jedwabnej sukni.

- Ja także - odparł Berinwick, przyglądając się siostrze uważnie swym jednym okiem, wokół którego w świetle świecy jeszcze wyraźniej rysowały się blizny.

- Chodzi mi o to, że w St. Milburga's nigdy nie było żadnego pastora, prawda? Dlaczego papa nagle podjął decyzję, żeby kogoś zaprosić? I dlaczego wybrał dżentelmena, którego mama знаła w dzieciństwie?

- Wątpię, by ojciec podejrzewał, że Dempsey znał mamę, gdy oboje byli dziećmi, Hanno. - Berinwick sięgnął po bibułkę do atramentu i zaczął ją obracać w palcach. - Wówczas zdradziłby mamie, jak się ten człowiek nazywa. A przecież tego nie zrobił. Powiedział tylko, że wreszcie udało mu się znaleźć kandydata. Ja dowiedziałem się tego samego. Nigdy nie wymieniał jego nazwiska.

- Może chciał zrobić mamie niespodziankę?

- Dlaczego?

- Nie wiem. Tylko jeden powód przychodzi mi do głowy... -

Hanna weszła do pokoju, zbliżyła się do biurka ojca. W dalszym ciągu nazywała je biurkiem ojca, a nie brata. Wiedziała, że Will podobnie to odczuwa. Zacisnęła palce na oparciu krzesła. - Czy nie sądzisz, że

papa wiedział, co mu się przydarzy, i dlatego zadbał, żeby mama znalazła oparcie w kimś, komu nie jest obojętna?

- Ojciec? Sądzisz, że ojciec zaprosił jednego z dawnych znajomych mamy celowo? Żeby ją pocieszył po jego śmierci? W życiu nie słyszałem takich romantycznych bzdur. - Berinwick zauważył, jak kurczowo palce Hanny zaciskają się na oparciu, i zrobiło mu się nieswojo.

- To wcale nie są romantyczne bzdury.

- Ależ tak, Hanno. Ojciec, Thistledown i dwaj lokaje zginęli, gdy powóz przewrócił się na zakręcie, nieopodal St. Milburga's. Ten zakręt był zawsze zdradziecki. Czy sądzisz, że ojciec przewidywał wypadek?

- No, nie. Niezupełnie - odparła Hanna.

- No właśnie.

- Myślałam raczej, że może papa był chory i chciał, żeby wielbny pan Dempsey tu przyjechał, by pocieszyć mamę w razie jego śmierci.

Berinwick wstał, obszedł biurko dookoła i wziął ręce siostry w swoje dłonie.

- Czego się boisz, Hanno? Powiedz mi, proszę.

- Niczego. Tylko nie mogę znieść myśli, że papa był chory i nikt z nas nic o tym nie wiedział...

- Ojciec nie był chory.

- Jesteś tego pewien, Will?

- Całkowicie. On nigdy nie chorował, Hanno - zapewnił ją brat. - Wyjechał do Ludlow w świetnej kondycji. Siedział na koźle obok

Thistledowna, trzymając w ręku lejce i kierując czterema końmi, gdy wyjeżdżał z Blackcastle. Żaden człowiek, który podejrzewa, że jest chory, nie zrobiłby tego, nie powoziłby czwórką koni na tych drogach. Nie zaryzykowałby życia czterech mężczyzn, a może i kogoś jeszcze, gdyby z naprzeciwka nadjechał inny powóz. W każdym razie nasz ojciec z pewnością by tego nie uczynił. Zwłaszcza że jechał z nim Thistledown, który równie dobrze mógłby powozić. A co do Dempseya jako człowieka, który miałby pocieszać mamę, to przecież sama słyszałaś, że nie widzieli się od lat. Od dzieciństwa. Dlaczego ojciec miałby zakładać, że Dempsey będzie lepszym pocieszycielem niż pani Hepplewaithe, która jest najlepszą przyjaciółką mamy i spędziła z nami dwa miesiące po pogrzebie?

- W takim razie co wielbny pan Dempsey tu robi, Will?

Niemożliwe, by papa naprawdę chciał mieć pastora w St. Milburga's. Kościół jest przecież od lat opuszczony. Dlaczego popadał w coraz większą ruinę? Ojciec nigdy tam nie zaglądał.

- Owszem, zajrzał tam przed twoim urodzeniem, Hanno.

- Naprawdę?

- Owszem. Zabił wielbnego pana Dighta właśnie w tym kościele.

- Och! - Hanna otworzyła usta ze zdziwienia. Wyrwała bratu jedną rękę i zasłoniła usta dłonią. Wlepiała w brata zdziwione spojrzenie. - Williamie - powiedziała prawie bez tchu - nie sądzisz chyba, że papa zaprosił tu wielbnego pana Dempseya, żeby jego także zabić?

- Nie. Wcale tak nie myślę. - Berinwick objął siostrę ramieniem i odprowadził ją do drzwi. - Połóż się już spać, Hanno - powiedział cicho. - Gotyckie powieści pisane przez szaleńców całkiem opanowały twoją wyobraźnię. Pomyśl tylko. Nawet jeśli ojciec z jakichś tajemniczych powodów chciał przebić Dempseya rapierem, to w tej chwili nie ma powodu do zmartwień. Ojciec nie żyje, a ja nigdy nie słyszałem o tym człowieku. Ojciec nie powierzył mi żadnych sekretów na jego temat i nie przykazał mi go zabić, w przypadku gdyby sam nie mógł tego uczynić. Wiedziałem tylko, że prędzej czy później w St. Milburga's zjawi się jakiś pastor. Z tego wynika, że twój pan Dempsey nie straci życia za sprawą żadnego Berinwicka. A poza tym ojciec nie zabił wielebnego pana Dighta dla kaprysu. Poprzedni pastor zrobił coś niegodziwego i...

- Co? - zapytała Hanna, gdy znaleźli się na korytarzu. - Co on takiego zrobił?

- Nieważne. Nie chcę, byś miała złe sny. Połóż się spać, Hanno, i pomyśl o czymś przyjemnym. Pomyśl o swoich urodzinach i o tym, jak będziesz wyglądała w tej nowej sukience. Postanowiłem, że rozpoczniemy żniwa dopiero po twoich urodzinach. Zaprosimy wszystkich z Blackcastle i z Barren Wycche. Wówczas zdejmemy już żałobę. Sprowadzę muzyków z Ludlow albo z Shrewsbury, albo nawet z Londynu. Skąd tylko zechcesz. W końcu będziesz mogła tańczyć, Hanno. Zatańczysz z bratem panny Tofar albo z jednym z jej kuzynów. Albo z moim przyjacielem Elliotem, jeśli nas odwiedzi. Na niebie będzie świecił księżyc w pełni. Kolejni młodzieńcy będą cię prowadzić na parkiet przy dźwięku skrzypiec. Zrobię wszystko, żeby

to była najwspanialsza noc. Pomyśl o tym, zamiast zaprzętać sobie głowę dziwnymi podejrzeniami na temat pana Dempseya i ojca.

Berinwick pochylił się i niezręcznie pocałował siostrę w policzek. Nie zwykł zdradzać się w ten sposób ze swoimi uczuciami, więc w Hannie, cokolwiek uspokojonej jego ostatnimi słowami, znów obudziły się okropne podejrzenia.

Księżna Berinwick zgasła lampę, wślizgnęła się pod kołdrę i podciągnęła ją sobie pod brodę. Zadrżała lekko nie dlatego, że było jej zimno, ale z powodu braku ciepłego ciała męża.

- Czy kiedykolwiek przestanę marznąć? - szepnęła w ciemnościach. - Oczywiście można się w końcu przyzwyczać do spania w samotności.

Tydzień po pogrzebie Veronika opuściła główną sypialnię w Blackcastle, nalegając, by zajął ją jej syn. Dla siebie wybrała uroczy apartament w południowym skrzydle, z dala od swej dawnej małżeńskiej sypialni i z dala od swych dzieci. Gdyby był tu jakiś wdowi domek, z pewnością przeniosłaby się do niego, ale żaden z książąt Berinwick nie pomyślał, by go zbudować. Prawdopodobnie dlatego, że w Blackcastle nie brakowało miejsca.

Do tej pory nie rozumiałam, po co się buduje wdowie domki, pomyślała Veronika, czekając, aż wreszcie zmorzy ją sen. Zawsze uważałam za okrucieństwo wyrzucanie wdowy z domu po śmierci jej męża. A teraz, choć nie przestałam kochać Blackcastle, to w każdym kącie tego domu czuję tylko wielki ból po stracie Juliana, marzę o tym, by znaleźć się w jego ramionach, poczuć jego usta na szyi. Nawet w tych pokojach pod baldachimem tęsknię za Julianem.

Pamiętam, jak kupowaliśmy to łóżko w Londynie. Jak się cieszyliśmy na wizytę królowej w naszym domu. Pamiętam, jak Jules poganiał robotników, którzy malowali i tapetowali całe południowe skrzydło z okazji jej przyjazdu.

- I jak przedstawiłeś każdego z tych prostych ludzi królowej i księżniczce - szepnęła Veronika. - Tylko ty mogłeś coś takiego wymyślić, Jules! Robotnicy zamarli bez ruchu, a królowa i jej świta nie mogły wyjść ze zdumienia. Jestem przekonana, że opowiedziała o tym królowi.

Dlaczego Williama przy tym nie było? Co powiedziałam, co zrobiłam, by trzymał się z dala od domu? I dlaczego nigdy mi się nie sprzeciwiłeś, Julianie, dlaczego nie powiedziałeś, że William powinien być z nami? Nigdy nie robiłeś takich cudownych głupstw, gdy on był w domu. Wątpię, czy Will kiedykolwiek zobaczył uśmiech w twoich oczach, tę szarlatańską iskrę, którą tak uwielbiałam. Nie. William bał się ciebie i szanował cię. Czczył ciebie, tak jak teraz czcisz twoją pamięć. Nie wiedział, że potrafisz być także urwisem i że za to właśnie tak cię kochałam.

Powinniśmy być dumni z Williama, Jules. Wziął na siebie odpowiedzialność za cały majątek i wszystkie książęce obowiązki. Ale pamięta cię tylko jako pochmurnego i surowego ojca, który nie pozwolił mu ukryć się przed światem tu w Blackcastle i zażądał, by skończył Harrow i Cambridge. Och, Jules, posłaliśmy go w świat, by żył pośród okrutnych chłopców, którzy dokuczali mu nieustannie. Uczyliśmy go odwagi i niezależności. Ale nie nauczyliśmy go śmiać się i kochać.

- Powinniśmy nauczyć go radości życia i miłości - szepnęła Veronika. - Ale ja nie potrafiłam się do tego zmusić, a ty nigdy mi się nie sprzeciwiałeś. Ja byłam słaba i samolubna, a ty nie nalegałeś, bym się zmieniła. I teraz nie mogę się zdobyć na odwagę, choć bardzo tego pragnę. Bo nie wiem, w jaki sposób nauczyć Williama miłości i radości. Jest już za późno. Nie mam pojęcia, od czego zacząć. Will naśladuje Hannę. Udaje radość. Udaje, że się wygłupia. Ale w jego oczach nigdy nie pojawia się ta filuterna iskra. Nie! Muszę wreszcie temu sprostać - upomniała się księżna. - Filuterna iskra nie pojawia się w oku Williama. W jego jedynym, ciemnym, niezwykłym oku. W oku, którego spojrzenie wprawiło nie raz i nie dwa w drżenie samego księcia Walii, jeśli wierzyć plotkom.

Dempsey obudził się o świcie. Gdy wychodził z plebanii, wschodziło właśnie słońce. Ruszył prosto do kościoła z Theophilusem, który deptał mu po piętach. Pastor przyglądał się kościołowi w zamyśleniu, drapiąc się po świeżo ogolonym policzku. Potem zszedł z brukowanego dziedzińca na wąską dróżkę i skierował się do budynku z boku. Theophilus dreptał za nim z nosem przy ziemi i zaszczekał głośno, gdy się zatrzymali.

- Tak, masz rację - zgodził się Dempsey, kucając obok psa. - Nie wiem, jak to się stało, że straciliśmy ślad wczoraj wieczorem. Rosa sprawiła, że z mąki zrobiły się kluski i teraz znacznie lepiej je widać. Najwyraźniej zjawa naszego Walijczyka na swym zjawiskowym koniu wędrowała drogą aż do tego miejsca, a potem skręciła na cmentarz.

Dempsey podniósł się, otworzył żelazną bramę i wszedł na cmentarz. Ślady z mąki zniknęły pośród głębokiej trawy, zaniedbanej tak samo jak kościół. Wokół grobów trawa była gęsta i wysoka, ale duch konia wydeptał ścieżkę, Dempsey ruszył więc jego śladem. Koń przeskoczył najprawdopodobniej kilka grobów i pomknął w stronę drugiego końca cmentarza, by przesadzić ogrodzenie i zniknąć gdzieś w lesie po drugiej stronie.

- Nic się tu kupy nie trzyma - mruknął Dempsey, patrząc w stronę lasu, w którym najprawdopodobniej zniknął koń z jeźdźcem. - Jeśli to nie ja miałem oglądać Owaina Glyndwra, to dlaczego koń

przejechał koło plebanii, kościoła i przez cmentarz? Kto miał go oglądać? Pan Langton? Czyżby ktoś chciał przestraszyć Langtona? On tu był wczoraj wieczorem. Przyniósł moje bagaże, gdy wyszliśmy na spacer. Ciekawe, czy pan Langton wie cokolwiek na temat Owaina Glyndwra?

Gdy Dempsey wrócił na plebanie, dwukółka Harveya Langtona stała już na dziedzińcu. Zza budynku dochodziły odgłosy trzepania dywanów, a nad jednym z trzech kominów unosił się dym.

- O, jest pan, panie Dempsey - zawołał Langton, otwierając drzwi swemu chlebodawcy. - Proszę wejść. Moja Eulie rozpała już w piecu i grzeje wodę, ale nie wie, co pan by zjadł na śniadanie.

- A czy przywieźliście coś na śniadanie?

- Owszem, sir. Eulie wzięła to i owo z domu. Mówi, że potem pojedzie do Barren Wycche, żeby kupić wszystko, czego panu brakuje. Powiedziałem jej, że panu wszystkiego brakuje. Nic dziwnego. Nikt tu nie mieszkał od lat. Tylko ja nocowałem tu czasami, gdy mgła była za gęsta, bym mógł jechać do domu, nie narażając się na spotkanie z Dusicielem ze Stiperstone. Eulie zatroszczy się o wszystko, co trzeba. Już ją ją znam. Witaj, Theophilus - dodał Langton, schylając się, by poklepać psa po łbie. - Piękny dzień na dobry początek.

- Dusiciel ze Stiperstone? - zdziwił się Dempsey, wchodząc do środka.

- Lepiej nie wywoływać wilka z lasu, panie Dempsey. A poza tym to już stara historia. Byłem jeszcze dzieckiem, gdy po raz pierwszy o nim usłyszałem.

- Czy nie jest on już przypadkiem martwy i nie jeździ w starodawnej zbroi na koniu, jęcząc, jakby cierpiał duszne katusze.

- Jeździec na koniu? W starodawnej zbroi? Jęczący jakby cierpiał duszne katusze? Nie, to musi być duch Owaina Glyndwra. Nie chce pan chyba powiedzieć, że widział pan ducha Owaina Glyndwra, panie Dempsey?

Wyraz przerażenia na twarzy Langtona sprawił, że Dempsey postanowił odstąpić od zamiaru porozmawiania z nim o swej nocnej przygodzie.

- Skądże znowu. Chciałem tylko wiedzieć, jak wygląda Dusiciel ze Stiperstone.

- Nie, nie, to istny olbrzym z łapami jak patelnie. Ale on już nie zagląda do tego hrabstwa. Chyba że trzeba się rozprawić z jakimiś niegrzecznymi dziećmi. - Wyraz przerażenia zniknął z twarzy Langtona tak szybko jak się pojawił. Nim dotarli do kuchni, stróż znów się śmiał. Dempsey uznał, że to miły, szczery śmiech, śmiech człowieka, któremu można zaufać, i zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek będzie musiał zaufać obcemu. Miał nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Veronika okryła kobietę świeżo wypranym pledem. Potem przysiadła na brzegu łóżka i odgarnęła kosmyk jasnych włosów z czoła wdowy Thistledown.

- Musisz odpoczywać, Henrietto - powiedziała łagodnie. - Nigdy nie wyzdrowiejesz, jeśli nie będziesz odpoczywać. Oboje z panem Graftonem ciągle ci to powtarzamy. No i co zobaczyłam, gdy tu przyjechałam dziś rano? Siedziałaś na tylnych schodach i skubałaś

kurczaka. Zapewne sama go złapałaś, prawda? To już stanowczo za wielki wysiłek. Nic dziwnego, że zemdlałaś, gdy wstałaś na powitanie.

- Naprawdę zemdlałam, wasza wysokość? - zapytała kobieta.

- Ależ tak. I to bardzo elegancko, o ile się na tym znam.

Zemdlałaś jak jakaś wielka londyńska dama w samym środku balu. Zabrakło tylko wachlarza, który powinien wypaść ci z ręki. Przyznaję, że w podziw wprowadził mnie twój styl, Henrietto, ale wolałabym tego więcej nie oglądać. Czy rozumiesz, co mówię?

- Tak, wasza wysokość. Przepraszam, wasza wysokość. Ja tylko...

- I tak nie zrobisz tego, o co cię proszę. -Przecież nie mogę tu leżeć beczynnienie od świtu do nocy. Ktoś musi się zająć Millie i Charliem. Staralam się odpoczywać, ale trzeba nakarmić dzieci, posprzątać w domu. Nie mogę znieść brudu. Wcale nie miałam zamiaru skubać kurczaka. Meg miała to zrobić, ale wrzasnęła tylko ze strachu i uciekła, nim było co skubać.

- Naprawdę?

- O, tak, wasza wysokość. Gdy tylko kurczak ruszył biegiem, choć już nie miał łba, Meg wrzasnęła i zwała. Śmiertelnie się przestraszyła. Jeszcze nie wróciła, prawda?

- Nie widziałam ani Meg, ani Millie, ani Charliego, Henrietto. Czy wszyscy uciekli na widok obiadu biegającego bez łba?

- Millie i Charlie pojechali gdzieś z księciem. Myślałam, że wasza wysokość o tym wie. Księżę przyjechał i ich zabrał. Powiedział, że potrzebuje ich pomocy. Wsiedli razem z nim na konia.

A zatem nie tylko ja martwię się o zdrowie pani Thistledown. Najwyraźniej William również się o nią niepokoi. Czy miałby jakiś inny powód, by zabierać dzieci? Na pewno chciał, żeby trochę odpoczęła. On nie ma pojęcia o dzieciach i niemożliwe, by potrzebował ich pomocy. Cóż za zagadkowy z niego człowiek. Utrzymuje mnie w przekonaniu, że obwinia stangreta Thistledowna o spowodowanie wypadku, w którym zginął Julian, a przecież natychmiast przyznał dożywotnią rentę wdowie. I pozwolił jej mieszkać w tym domku za darmo. Kupił kilka kur i krowę. Posyła swoich ogrodników, by pomagali jej uprawiać ogród. Nie mogę uwierzyć, że robiłby takie rzeczy, gdyby naprawdę winił stangreta za śmierć ojca. A może w każdym wypadku tak by postąpił? Powinnam to wiedzieć. Jest przecież moim synem. Powinnam go znać na wylot, a nie znam go wcale.

- Niewykluczone, że Meg jest już w Blackcastle i błaga panią Bigham o jakąkolwiek posadę - powiedziała Veronika, przerywając ciszę. - Może doszła do wniosku, że najlepsze, co może dla was zrobić, to przynieść trochę pieniędzy, bo historia z kurczakiem przekonała ją, że nie nadaje się na gospodynię domową. Pamiętam, jak sama pierwszy raz zobaczyłam kurczaka biegającego bez głowy - dodała księżna. - Osłupiałam ze zdumienia.

- Naprawdę pani to widziała, wasza wysokość?

- Och, tak. Gdy mieszkałam w Arrandell z moim opiekunem podczas podróży mojej matki do Grecji, Italii i Szwecji. Żona mego opiekuna często posyłała swoich synów na podwórko, by zabili jednego czy dwa kurczaki.

- Ale nigdy nie kazała tego robić waszej wysokości?

- Nie. Ale ja byłam ciekawa, jak to wygląda, i kiedyś jej młodszy syn, Richard, zabrał mnie ze sobą. Ale to nieważne. Zaraz odeślę Meg do domu, Henrietto. - Veronika przerwała na chwilę, zastanawiając się nad czymś intensywnie. - Chyba poproszę Martę, by z nią tu przyjechała. Tak. To dobry pomysł. Marta miała zaledwie trzynaście lat, gdy została sierotą, i musiała opiekować się rodzeństwem. Dobrze pamięta, jak trudno jej wówczas było, i dlatego będzie bardzo miła dla Meg. A przy okazji nauczy ją, jak się skubie kurczęta, a ty sobie odpoczniesz.

- Ale jeśli Meg chciałaby służyć w Blackcastle...

- Kiedyś coś dla niej znajdziemy. Ale nie teraz, kiedy jesteś chora - oświadczyła Veronika. - Meg jest tu potrzebna. Nie mogłabyś odpocząć, jak należy, gdyby najstarsza córka nie pomogła ci w domu i w gospodarstwie.

Berinwick postawił dzieci na ziemi pod starą stodołą na skraju pola Hattera. Martwiło go to, że pole leży odłogiem po trudnej zimie i kiepskich zbiorach w zeszłym roku, ale teraz nic już nie mógł na to poradzić.

- Charlie - powiedział, podając chłopcu wodze. - Weź Penn i przywiąż ją do drzewa.

- Do którego drzewa?

- Do cienkiego.

- Dlaczego?

- Dlatego, że chciałbym, żeby mogła sobie wokół niego chodzić, Charlie. A jeśli przywiążesz ją do grubego drzewa, to zużyjesz całą wodze.

- Aha - mruknął pięciolatek i pobiegł wykonać polecenie księcia. Zgodnie z oczekiwaniami Berinwicka klacz ruszyła posłusznie za dzieckiem. Wybrał Penn dlatego, że miała cierpliwość do dzieci nawet wtedy, gdy skakały wokół niej. Tak mu powiedział chłopak stajenny. Penn należała do Hanny. Berinwick nigdy przedtem na niej nie jeździł. Zadziwiony cierpliwością, jaką klacz okazała siedzącym na jej grzbiecie, chichoczącym i wiercącym się dzieciakom, księżę nie spuszczał wzroku z Charliego, pragnąc upewnić się, że maluch potrafi porządnie przywiązać zwierzę. Chłopiec poradził sobie z zadaniem. Tymczasem Millie chwyciła księcia za osłoniętą rękawiczką dłoń, zaciskając paluszki z całej siły. Berinwick spojrział na dziewczynkę srogo, gdy tylko poczuł ten uścisk.

Niewinne błękitne oczy odwzajemniły spojrzenie, łagodząc trochę srogość wzroku księcia. Uścisk rączki sześciolatniej dziewczynki nieco osłabł.

- Czy boisz się czegoś, Millie? - zapytał Berinwick.

- Nie, wasza wysokość.

- W takim razie dlaczego chwyciłaś mnie za rękę?

- A nie wolno mi trzymać ręki księcia?

- Jeśli nie lękasz się niczego i nie potrzebujesz mojego wsparcia, to nie wolno ci trzymać mnie za rękę. Ja jestem księciem, Millie. A ty jesteś córką stangreta. To nie przystoi.

- Może się trochę boję - przyznała Millie.

- Naprawdę? W takim razie możesz mnie trzymać za rękę.

Czego się boisz?

- Tej starej stodoły. Chyba nie idziemy do tej starej stodoły?

- Oczywiście, że nie - odparł Berinwick. - Będziemy tylko stać tu i patrzeć.

- Naprawdę?

- Nie. Żartowałem. Oczywiście, że wejdziemy do stodoły, Millie. Dlaczego mielibyśmy tego nie robić?

- Dlatego, że tam straszy.

- Straszy? Właśnie w tej stodole?

- Mhm. Mama nam mówiła.

- Kiedy?

- Nie pamiętam.

- Dawno temu?

- Niedawno. Mama mówiła.

- Straszy?

- Mhm.

Berinwick nie wierzył własnym uszom. Dlaczego wdowa Thistledown mówiła dzieciom, że w starej stodole Hattera straszy? Żeby przypadkiem nie pobiegły się tam bawić? Dlaczego właściwie nie miałyby się tam bawić? W zeszłym roku nikt tam nie trzymał zbiorów. W tym roku także stodoła pozostanie pusta.

Pole leży odłogiem. Stodoła jest pusta. Dzieciom nic tu nie grozi. Nic z wyjątkiem lisów, przypomniał sobie nagle. Może pani Thistledown nie chce, by dzieci włóczyły się po polu, bo boi się lisów

Szalonego Jacka. Ale lisy z pewnością uciekłyby, nim dzieci zdążyłyby je zobaczyć.

- Ho, ho! - wykrzyknął Charlie, zatrzymując się przed księciem z promiennym uśmiechem na twarzy. - Dobrze ją przywiązałem. Penn nigdzie nie ucieknie. Wcale.

- Bardzo dobrze - skinął głową Berinwick.

- Księżę chce wejść do stodoły - poinformowała brata Millie poważnym tonem.

- Do środka?

- Tak - potwierdził Berinwick. - Do środka.

- A nie mówiłaś mu o duchu, Millie? W tej stajni mieszka duch
Mama nam mówiła.

- Chyba nie wierzysz w duchy, Charlie?

- Mhm.

Teraz dwie pary niewinnych, niebieskich oczu wpatrywały się w księcia i dwie małe rączki zaciskały się na jego palcach. Berinwick, czując się coraz bardziej niezręcznie, ale też nie chcąc zawieść zaufania maluchów, oskarżał się w duchu o głupotę. Nie powinien był zabierać tych płowowłosych urwisów na wycieczkę. Chciał w ten sposób zapewnić pani Thistledown trochę wytchnienia. Im dłużej się jednak zastanawiał nad swym pomysłem, tym bardziej się dziwił, jakim cudem mógł przypuszczać, że to mu się powiedzie. Nie wiedział przecież nic o dzieciach. Za czasów dzieciństwa Hanny chodził do szkoły, studiował na uniwersytecie, mieszkał w Londynie, zwiedzał Anglię. Gdy zaś czasami przyjeżdżał do domu, matka zawsze była w pobliżu małej i dbała o jej rozrywkę.

- Duchy nie istnieją - burknął. - Wasza mama widziała tu zapewne cień gałęzi poruszanej wiatrem albo cień chmury.

- Kto ci powiedział, że duchów nie ma? - dopytywał się Charlie, chwytając dłoń księcia obiema rączkami. -Twoja mama?

- Nikt. Ja to po prostu wiem.

- Ale skąd? - dociekała Millie.

Berinwick zamilkł, zastanawiając się nad najlepszą odpowiedzią.

- Wiem, bo jestem księciem - oświadczył. - Książęta wiedzą znacznie więcej niż zwykli ludzie, tacy jak wasza mama.

- Och - wykrzyknęły dzieci chórem.

- To co, wchodzimy? Millie? Charlie?

Dwie jasne główki przytaknęły z pewnym ociąganiem.

Berinwick postawił jeden długi krok w stronę stodoły. Millie, nie chcąc wypuścić jego dłoni, zrobiła trzy małe kroczyki. Charlie - aż pięć. I tak, kawałek po kawałku, cała trójka doszła do drzwi.

- Coś słyszę - wykrzyknęła Millie scenicznym szeptem, gdy Berinwick chciał wejść do środka.

- K-ktoś oddycha... - zalekniony Charlie zaczął się jąkać.

- I sapie - szepnęła Millie.

- Duchy nie oddychają - poinformował ich Berinwick. -I nie sapia.

- A co robią? - Millie zachwiała się i byłąby upadła, gdyby nie trzymała tak kurczowo ręki księcia.

-Jęczą.

- Słyszę jęki! - wykrzyknął Charlie. - Uciekamy! Zanim Berinwick zdołał cokolwiek powiedzieć, dzieci obróciły go o sto

osiemdziesiąt stopni i pociągnęły w stronę konia. Gdyby księżę nie stracił na moment równowagi, zapewne nie zdołałyby go ruszyć z miejsca.

- Uciekamy! - nalegał Charlie, gdy Berinwick zatrzymał maluchy, odzyskawszy równowagę. - Duch nas złapie, jeśli nie uciekniemy.

- W takim razie uciekajcie. No dalej. Schowajcie się za Penn. Ja nigdzie nie biegnę - burknął Berinwick.

- Musisz uciekać - krzyknęła Millie. - Duchy są straszne. One zjadają ludzi!

- Nie zjadają - sprostował Berinwick.

- Skąd wiesz, że nie? - denerwowała się Millie, szarpiąc księcia za palce.

- Jestem księciem i wiem wszystko.

- A skąd wiesz, co robią duchy, skoro duchów nie ma? - pisał Charlie, ciągnąc księcia z całej siły, acz bezskutecznie. - Jeśli nie ma duchów, tak jak mówiłeś, to nie możesz nic o nich wiedzieć. A przecież powiedziałeś, że jęczą i że nie zjadają ludzi.

- Chodziło mi o to, że gdyby na świecie były duchy, to raczej by jęczały, a nie sapały. I nawet gdyby istniały, to nie zjadałyby ludzi. Mogę wam znowu powiedzieć, że duchów nie ma, ale wcale nie musicie mi wierzyć - powiedział Berinwick ze zniecierpliwieniem, usiłując strząsnąć z siebie małe rączki. - Jeśli mi nie wierzycie i wciąż myślicie, że w stodole mieszka duch, który chce was zjeść, to biegnijcie do Penn. Ona was obroni.

- I mamy ci pozwolić, żebyś tam wszedł sam? - Millie otworzyła oczy jeszcze szerzej i błękit nieba wyblakł w zestawieniu z ich barwą.

- Nigdy - oświadczył Charlie, patrząc z przerażeniem w stronę otwartych drzwi do stodoły.

- Mhm - potwierdziła Millie. - Jesteś naszym księciem i musimy o ciebie dbać.

- Właśnie - zgodził się Charlie. - I nie odstępimy cię aż do śmierci. Tak jak nasz tata nie odstąpił twojego taty.

Pani Eulie Langton była pogodną kobietą o szerokim uśmiechu, który odsłaniał istotne braki w jej uzębieniu. Na jej okrągłym brzuchu talię wyznaczał tylko fartuch.

- Bardzo się cieszymy, że pastor do nas przyjechał - powiedziała, nalewając Dempseyowi drugą filiżankę herbaty. - Pan Langton i ja od miesięcy modliliśmy się o nowego pastora.

- Naprawdę? - zdziwił się Dempsey. - Pomyśleć, że książe chciał mnie przekonać, że parafianie doskonale obywają się bez pastora.

- Niemożliwe! Naprawdę tak powiedział? Książe?

- Coś w tym stylu. Niechże pan wejdzie, panie Langton, i wypije ze mną filiżankę herbaty - zawołał, zauważywszy stróża za kuchennymi drzwiami. - Niech pani także z nami usiądzie, pani Langton. Proszę zostawić to zmywanie i nalać sobie herbaty.

- To dla mnie wielki zaszczyt. - Pani Langton natychmiast ruszyła po filiżanki dla siebie i męża. - I dla pana Langtona także.

- Tak, tak, ja też jestem zaszczycony - powiedział Langton, wchodząc do kuchni. - Przestań się kręcić, Eulie, i siadaj - ponaglił kobietę, odsuwając jej krzesło. Nalał herbaty żonie i sobie, doprawił

śmietanką i odstawivszy dzbanek, usiadł przy stole. - Mieliśmy nadzieję, że uda się nam z panem porozmawiać, panie Dempsey, choć nie przypuszczaliśmy, że okazja nadarzy się tak szybko, prawda, Eulie? Wydawało nam się, że upłynie ładnych parę miesięcy, nim się bliżej poznamy.

- Och, panie Langton. Czy naprawdę powinniśmy? Już teraz? - zaniepokoiła się gospodyni.

- Naprawdę, moja droga. Przyznaję, że i ja miałem wątpliwości, nie wiedząc, jakim człowiekiem będzie nasz nowy pastor, ale teraz już wiemy, że nie trafił nam się żaden tchórzliwy grubas. Ani ktoś, kto zblednie na widok czegoś niezwykłego i zwieje do domu, gdy tylko zobaczy coś strasznego.

- Skąd pan wie? - uśmiechnął się Dempsey. Theophilus leżący pod stołem, podniósł się, pokręcił w kółko i znów się położył z głębokim westchnieniem.

- To widać - odparł Langton. - Wystarczy na pana popatrzeć i z panem porozmawiać. Nie wygląda pan na wiecznie biadolącego nauczyciela muzyki, panie Dempsey. Nigdy się nie mylę co do ludzi i twierdzę, że jest pan człowiekiem honorowym, odważnym, człowiekiem, który nie ulęknie się nawet największej groźby.

- Podejrzewam, że pańska opinia zrodziła się wczoraj, w północnej wieży kościoła, gdy wyraziłem się lekceważąco o Berinwickach, prawda?

- Może trochę. Pamiętam też, co pan powiedział, wchodząc do wieży w głównej nawie. Nieźle jak na duchownego. Zrobił pan na mnie wrażenie. Ale to przede wszystkim pana spojrzenie i postawa

oraz to, jak pan traktuje ludzi, zdecydowało, że uważam pana za człowieka godnego zaufania. Widzi pan, Eulie i ja mamy pewne kłopoty - ciągnął Langton, opierając się łokciami o stół i biorąc do rąk filiżankę. - Wszyscy mieszkańcy Blackcastle i Barren Wycche będą mieć niedługo kłopoty, jeśli się nic z tym nie zrobi. Pani Langton i ja modliliśmy się, by zjawił się tu pastor, i na dodatek okazało się, że jest pan człowiekiem, jakiego nam trzeba.

- Rzeczywiście. - Pani Langton radośnie pokiwała głową, akceptując w pełni opinię swojego męża. - Całymi miesiącami modliliśmy się o nieustraszonego kaznodzieję i duchownego.

- Dlaczego?

- Bo znaleźliśmy się w wielkim niebezpieczeństwie, panie Dempsey. Wszyscy.

- Wszyscy? - Brwi Dempseya podskoczyły do góry.

- Słowo daję, że to prawda - potwierdziła pani Dempsey. - Księżę, księżna, lady Hanna, ja i mój najdroższy pan Langton. W końcu pan Langton musi o tym wszystkim opowiedzieć. One i tak wszystko wiedzą. Duchy.

Dempsey odchylił się do tyłu i zmierzył Langtonów wzrokiem.

- O jakich duchach mówicie? - zapytał. - Bo ja, moi drodzy, nie wierzę w duchy.

- Księżę też nie wierzy i dlatego pan Langton, Thomas Hasty i Harold Belowes muszą pilnować jego, księżnej i lady Hanny - oświadczyła kobieta. - Okazało się, że to wcale nie takie proste zadanie.

- Nawet całkiem trudne - przytaknął Langton. - Niemal niewykonalne. Zwłaszcza jeśli chodzi o księcia.

- Czy mówi pan o księciu Berinwick? O tym surowym, młodym dżentelmenie, który wkroczył wczoraj wieczorem na plebanię dostojnym krokiem i niewiele brakowało, a odesłałby mnie do domu?

- Naprawdę? Wkroczył dostojnym krokiem? Prawie odesłał pana do domu? To rzeczywiście wygląda na niego.

- Ten książę nie sprawił na mnie wrażenia człowieka, który potrzebuje czyjejs opieki.

- On rzeczywiście nie sprawia wrażenia człowieka, który potrzebuje opieki, ale potrzebuje - potwierdziła pani Langton.

- W każdym razie my tak uważamy. Eulie i ja. Nie mamy pewności, że książę ma zostać zamordowany, ale wiemy na pewno, że jego ojciec został zamordowany.

- Ojciec Berinwicka został zamordowany? - Dempsey spojrzał na Langtona ze zdumieniem. - Czy młody książę o tym wie?

- Próbowałem mu to powiedzieć wiele razy, ale nie daje wiary - odparł Langton. - Uważa, że ojciec zginął w wypadku. Jego matka i lady Hanna myślą tak samo.

- Ale pan jest innego zdania, panie Langton? Pan, Harold Belowes i Thomas Hasty?

- I ja - wtrąciła się pani Langton, a dłoń, w której trzymała filiżankę, zadrżała. - Ja też w to wierzę, panie Dempsey.

- Ja wiem, że książę został zamordowany - oświadczył mężczyzna. - Tam, na zakręcie za cmentarzem, powóz wypadł z drogi i się przewrócił. Wszyscy zginęli - Thistledown, dwaj lokaje, Jeffries i

Gulliver, no i sam księżę. Widziałem, jak to się stało, i wiem, że to nie był wypadek. Ktoś przewrócił powóz.

- Ktoś przewrócił powóz? Jak ktokolwiek może przewrócić powóz? - zdziwił się Dempsey.

- Zaraz panu opowiem - zaczął Langton. - Szedłem właśnie do domu przez cmentarz. Zapadał mrok i podnosiła się mgła, a ja musiałem iść piechotą, bo w mojej dwukółce złamała się oś. Byłem tuż za kościołem, gdy usłyszałem turkot powozu księcia. Pędził bardzo szybko, więc pomyślałem sobie, że pewnie jedzie jak szalony, żeby zdążyć na urodziny lady Hanny.

- Następnego dnia wypadał dzień urodzin lady Hanny - wyjaśniła pani Langton. - Ojciec co roku urządzał jej jakąś niespodziankę z tej okazji.

- Co roku - zgodził się jej małżonek. - Odkładał nawet najważniejsze sprawy i niezależnie od tego, co robił poprzedniego dnia, to trzydziestego pierwszego października był w Blackcastle, by świętować urodziny córki. Dlatego wcale się nie zdziwiłem, gdy zobaczyłem pędzący powóz. Przystanąłem na chwilę, żeby na nich popatrzeć. I wtedy zobaczyłem tego łajdaka, wyłaniającego się z mgły. Jakby wyrósł spod ziemi i popędził swego diabelskiego konia w stronę zakrętu. - Dempsey zauważył wyraz przerażenia w oczach Langtona. - Krzyknąłem głośno i ruszyłem za nim, ale potknąłem się i upadłem. Słyszałem tylko rżenie koni i krzyki ludzi, usłyszałem, jak powóz się przewraca i toczy się, toczy. Kiedy wreszcie się pozbierałem, zobaczyłem tego drania na samym środku drogi. Śmiał się do rozpuku. A potem obrócił się w moją stronę i wskazał mnie

palcem, jakby chciał powiedzieć, że wie, kim jestem i że muszę uważać. Krew mi w żyłach zmroził tym spojrzeniem. A potem odjechał, minął ten nieszczęsny powóz i tych nieszczęsnych ludzi i zniknął.

- Kto? - zapytał Dempsey szeptem.

- Glyndwr, panie Dempsey. Duch Owaina Glyndwra.

Millie i Charlie przylgnęli kurczowo do Berinwicka, gdy cała trójka wchodziła do stodoły.

- No i widzicie? - zapytał. - Nie ma żadnych duchów. Nie ma tu nic oprócz resztek pszenicy, złamanego pługa i bezużytecznych rupieci.

- No to kto tu jęczał? - zapytał Charlie, rozglądając się ostrożnie dookoła i nie odstępując Berinwicka nawet na krok.

- I kto oddychał i sapał? - dorzuciła Millie.

- To wiatr jęczał w szparach starej stodoły. Sądzę, że usłyszałaś oddechy naszej trójki, Millie. A sapał ktoś, z czyjego powodu was tu przyprowadziłem. Otóż w tej stodole, ktoś po kryjomu mieszka.

- Ktoś tu mieszka?

- Owszem. Ktoś, kto sam sobie nie poradzi. Potrzebuję waszej pomocy, żeby umieścić go w trochę lepszych warunkach. No tak. Tak właśnie myślałem. Teraz jest tutaj.

- Gdzie? - zapytały dzieci równocześnie, rozglądając się ciekawie dokoła.

- W tamtym rogu.

- Tam jest bardzo ciemno, książę - mruknął Charlie, mrużąc oczy, by lepiej widzieć w pomroku. - Nic nie widzę.

- A ja widzę - zawołała Millie. - To jeź! To musi być jeź, prawda, wasza wysokość?

- Owszem, Millie. I ten jeź nie powinien mieszkać w starej stodole. Jeże nie mieszkają w stodołach.

- Nie? - Charlie jeszcze bardziej zmrużył oczy. Chciał za wszelką cenę zobaczyć jeża. - To co on tu robi?

- Sądzę, że pośród tych wszystkich kłosów pszenicy i suchych liści było mu całkiem miło zimą. Ale zima dawno minęła. Zbudował sobie całkiem eleganckie gniazdo tam, za deskami. - Berinwick położył dłonie na ramionach dzieci i popchnął je lekko do przodu. - Idźcie powoli i ostrożnie, bo wywołacie z niego diabła.

- O nie, tylko nie to - szepnęła Millie.

- Nigdy - wtórował siostrze Charlie. - Widzę go, książę! - wykrzyknął po chwili. - Widzę!

- To dobrze, ale nie tak głośno, Charlie. Spędziłem tu prawie cały tydzień, oswajając ją na tyle, by pozwoliła nam się do siebie zbliżyć.

- To dziewczynka?

- Tak sądzą. Chyba zraniła się kiedyś w jedną łapkę, bo ma ją krótszą niż pozostałe.

- Skąd wiesz? - dopytywał się Charlie. - Co?

- Że jedną łapkę ma krótszą.

- Bo widziałem, jak chodzi.

- Teraz nie chodzi.

- Nie. Ona nas wacha - zachichotała Millie. - Ale jest śmieszna.

Bardzo ostrożnie, dbając o to, by dzieci zachowywały się jak najciszej, Berinwick prowadził je do kolczastego zwierzątka. Gdy znaleźli się w odległości trzech stóp od jeża, książę przyklęknął i zatrzymał swoich podopiecznych.

- Uklęknijcie - przykazał. - Powoli. I po cichu, Charlie.

- Przecież jestem cicho - zaprotestował Charlie, klękając. - Och, patrz, Millie. Ona nie ucieka.

- Jeże nigdy nie uciekają - wyjaśnił książę. - Gdy się czegoś boją, zwijają się w kłębek. Ale nie chcemy przecież, żeby się zwinęła w kłębek, prawda?

- Dlaczego? - Millie nie odrywała wzroku od brązowo--szarego stworzonka.

- Bo chcemy wziąć ją na ręce, a jeśli się zwinie w kłębek, to bardzo nas pokłuje.

- Książę ma przecież rękawiczki na rękach - zauważył Charlie. - Nie pokłuje cię przez rękawiczki.

- Kto wie - mruknął Berinwick. - Witaj, panno Quillbristle. Pamiętasz mnie, prawda? Przyprowadziłem Millie i Charliego, tak jak ci obiecałem.

- Ona się nazywa panna Quillbristle? - zachichotała Millie, a książę sięgnął do kieszeni swego myśliwskiego stroju.

Gdy Berinwick wyciągnął przed siebie rękę, Charlie otworzył oczy ze zdumienia.

- Twoja mama pozwala ci trzymać robaki w kieszeni?

- Tylko dlatego, że jestem księciem, Charlie - odparł Berinwick.

- Proszę bardzo, panno Quillbristle. Oto lunch dla pani.

Dzieci wstrzymały oddech, gdy wilgotny nosek uniósł się jeszcze wyżej i jeź, rozpoznając zapach Berinwicka i dżdżownic, zaczął się posuwać w ich stronę.

- Co z nią zrobimy, jak już ją złapiemy? - szepnął Charlie.

- Zabierzemy ją do waszego domu, Charlie - wyjaśnił ksiązę - i wypuścimy, żeby mogła sobie wędrować po waszym ogrodzie. Będzie jadła wszystkie ślimaki i gąsienice, które niszczą wasze rośliny.

Pomożemy jej zbudować gniazdo z liści i gałązek koło drewni albo koło krzaków róż. Tylko musicie pamiętać, by codziennie wieczorem nalać jej wody. Będziecie pamiętać?

- Tak - odparły dzieci równocześnie, gdy panna Quillbristle wspięła się, by wziąć dżdżownicę z dłoni Berinwicka. - Nigdy o tym nie zapomnimy. Przenigdy.

Veronika zatrzymała konia przy drodze i spojrzała zamyślona w błękitne niebo.

- Czy czegoś pani sobie życzy, wasza wysokość? - zapytał chłopak stajenny, zatrzymując się obok swej pani.

- Nie, Tom. Zamyśliłam się. Nie minęło jeszcze południe, a już zdążyłam zawieźć pani Hynde galaretkę pigwową, wytłumaczyłam Readingowi, że jeśli jeszcze raz się dowiem, że bije swoją żonę, to ksiązę osobiście odwiezie go na skraj naszych ziem, zajrzałam do Margaret May, żeby sprawdzić, czy naprawdę je jabłka, które jej dostarczyłeś w zeszłym tygodniu, i odwiedziłam wdowę Thistledown.

- Tak, wasza wysokość.

- Na razie nie ma żadnych innych pilnych spraw?

- Nie, wasza wysokość.

- W takim razie pojedę do St. Milburga's i odwiedzę nowego pastora. Ty możesz wracać do Blackcastle. Powiesz Marcie, żeby odprowadziła Meg do domu i pomogła jej skubać tego kurczaka, dobrze? Musi jej także pomóc przygotować jakiś przyzwoity obiad dla całej rodziny. Niech Marta nie wraca do Blackcastle przed wpół do czwartej. A Meg ma zostać w domu, póki jej matka nie wydobrzeje.

Tom Hasty poruszył się nerwowo na siodle. Spojrzał na drogę, potem na drzewa i znowu na drogę.

- Tom? O co chodzi?

- Słucham, wasza wysokość?

- Co ci się nie podoba w moim prostym planie? Nie powiedziałeś „tak, wasza wysokość” i nie odjechałeś od razu, by wykonać moje polecenie.

- Wasza wysokość nie powinna sama nigdzie jeździć.

- Na miłość boską! Co się z wami wszystkimi dzieje? Jeździłam sama tą drogą wtedy, gdy ty jeszcze biegałeś w krótkich spodenkach, Thomasie Hasty, i zamierzam tędy jeździć jeszcze przez ładnych parę lat. Czy mój syn kazał ci się czepić mnie jak rzep psiego ogona?

- N-nie, wasza wysokość.

- Na pewno? Bo jeśli William sądzi, że jestem już za stara i że mogę w każdej chwili paść trupem, siedząc na tej starej klaczy, to już ja sobie z nim porozmawiam. Słowo daję. I nigdy więcej nie wyda takiego rozkazu.

- N-nie, wasza wysokość. Książę nic takiego nie mówił. Tylko że... w Anglii nastały teraz ciężkie czasy, wasza wysokość.

Niebezpieczne czasy. Przez tę fatalną pogodę i kiepskie zbiory w

zeszłym roku rośnie cena zboża i wiele rodzin cierpi głód. Miesiąc temu McClane natknął się na gromadę zdesperowanych włóczęgów. Byli biedni, głodni i wściekli, nie mogli znaleźć pracy i zmierzali właśnie do Londynu, żeby przyłączyć się do ulicznych zamieszek.

- Postąpili bardzo niemądrze. Powinni tu zostać, zamiast iść do Londynu. Czyż nie zaczęliśmy już sianokosów, Tom? Zaczęliśmy. I przydałyby się ręce do pracy. Jeśli są w okolicy jacyś głodni ludzie, to powinni przyjść do Blackcastle. Wszyscy, którzy stracili domy i gospodarstwa, znajdą u nas pracę.

- Wiem, wasza wysokość, ale niektórzy z nich całkiem już zdziczeli i wolą kraść, zamiast pracować. I gdyby taki człowiek zobaczył samotną kobietę, to...

- Ależ Tom! - wykrzyknęła Veronika i z trudem stłumiła śmiech, widząc, jak Tom się zarumienił. - Nie sądzisz chyba, że któryś z nich mógłby napaść na mnie?

- Takie rzeczy się zdarzają, wasza wysokość. Zwłaszcza wtedy, gdy czasy są niespokojne i ludzie się burzą.

- W takim razie najlepiej będzie, jeśli odprowadzisz Martę i Meg do wdowy Thistledown i zostaniesz tam, by przyprowadzić Martę z powrotem do zamku. Jeśli rzeczywiście tego rodzaju ludzie włóczą się po okolicy, to nie ja, stara wdowa, ale Marta i Meg mogą się znaleźć w niebezpieczeństwie. Nigdy nie uwierzę, by ktokolwiek chciał napaść na mnie. Sądzę jednak, że powinieneś zaopiekować się Martą i Meg, jeśli mówisz prawdę. A teraz już zmykaj!

Tom Hasty westchnął, ale nie pozostało mu nic innego, jak skłonić głowę i ponaglić swego konia, pozwalając księżnej odjechać w stronę St. Milburga's.

Dempsey podziękował losowi za przychylność, zmieniając nieco pozycję i biorąc do ręki kolejną dachówkę. Całe szczęście, że znalazł trochę dachówek. Dzięki temu, że jeden z Berinwicków kupił wcale pokaźny zapas, kościół nie będzie pstrokaty. Pastor zastanawiał się, który z Berinwicków dokonał tego zakupu, ojciec czy syn.

Każdy z nich mógł to zrobić, pomyślał Dempsey, gdy, umieściwszy dachówkę na właściwym miejscu, sięgnął po młotek i gwóźdź. Obaj się mnie spodziewali. Choć temu młodemu Berinwickowi stan kościoła jest najwyraźniej zupełnie obojętny. Jego ojcu też na tym szczególnie nie zależało. To przecież za jego czasów kościół popadł w ruinę. Niewykluczone, że stary książę się do tego przyczynił, szukając kielicha.

- Langton? - zawołał Dempsey. - Kto kupił te dachówki?

- Chyba księżna, wasza wielbność.

Tak, pomyślał pastor, Veronika przejęła się ciekącym dachem.

- O i to także musi być jej wysokość - dodał Langton ze swego stanowiska na szczycie dachu.

- Gdzie?

- Właśnie tu jedzie, panie Dempsey. Jej wysokość.

Najwspanialsza księżna pod słońcem.

- Gdzie ty ją widzisz?

- Na drodze.

Dempsey, pragnąc zobaczyć księżną, wdrapał się na szczyt dachu. Przerzucił właśnie nogę na drugą stronę, gdy niespodziewanie oderwała się jedna dachówka. Langton pochylił się, by złapać pastora za rękę, ale nie zdążył. Dempsey stracił równowagę i ześlizgnął się po dachu, usiłując za wszelką cenę się czegoś chwycić. Lewą ręką zrzucił wszystkie dachówki Langtona, które roztrzaskały się natychmiast na bruku. Prawą ręką natrafił na wyjątkowo obrzydliwą kupę błota. Wyraz jego twarzy zdradzał zdenerwowanie.

- Czy właśnie to mi, Panie, przeznaczyłeś? - wykrzyknął, czując, jak serce mu szybko bije i jak pot spływa mu po skroni. - Bym, spotkawszy Veronikę po tylu latach, padł martwy u jej stóp ze złamanym karkiem? Co za wstyd. - I właśnie w tym momencie jego obie stopy znalazły oparcie na pękniętych dachówkach, a jedna ręka natrafiła na dziurę w dachu, o którą dało się zaczepić palce. Pastor zatrzymał się nagle na skraju wieczności, w pozycji orła z rozłożonymi skrzydłami. - Wybacz mi, Panie - szepnął. - Nie powinienem był krzyczeć na Ciebie.

Hałas, który wywołała przygoda pastora, przyciągnął uwagę Veroniki. Popędziła więc swoją klacz i stanęła pod kościołem w chwili, w której Dempsey się tak gwałtownie zatrzymał.

- Wielki Boże! - wykrzyknęła księżna. - Czy nic panu nie jest?

- Nic a nic, wasza wysokość - odparł Dempsey nieco zduszonym głosem. Langton tymczasem zbliżał się do niego kawałek po kawałeczku. - Nigdy nie czułem się lepiej.

Minęło dobre dziesięć minut, nim po powiększeniu dziury w dachu pan Langton, pani Langton, ich najstarsza córka i księżna

zdołali wspólnymi siłami sprowadzić pastora na ziemię wewnątrz kościoła.

- I co ja narobiłem - mruknął zawstydzony i wściekły Dempsey, gdy tylko dotknął stopami ziemi. - Nie ma takiego wiadra, które teraz zdołałoby pomieścić deszczówkę, lejącą się strumieniami do środka. I na pewno zabraknie nam dachówek, by tę dziurę załatać.

- Dachówek starczy nawet na cały nowy dach - zapewnił go Langton, z wyrazem ulgi na twarzy. - To przecież tylko dziura w dachu, panie Dempsey. Dziura w dachu to głupstwo w porównaniu z pastorem leżącym bez ducha na bruku pod kościołem.

- Zgadzam się - oświadczyła księżna. -A jeśli zabraknie dachówek, to pošlę McClane'a, by kupił ich jeszcze więcej. Najważniejsze, że jest pan cały i zdrowy, panie Dempsey. Proszę pomyśleć, jak wytłumaczylibyśmy parafianom, że mieliśmy wprawdzie nowego pastora, ale niestety złamał kark, zanim zdążył wygłosić pierwsze kazanie. Wolałabym im tego nie mówić osobiście.

- Nie dziwię się - rzucił Langton.

- A gdyby William miał im to powiedzieć, to narobiłby tylko zamieszania. Najprawdopodobniej wszyscy parafianie uznaliby, że to mój syn własnoręcznie zepchnął pana z dachu.

Dempsey zobaczył figlarny błysk w oku Veroniki.

- Chodźmy na plebanie, panie Dempsey. Eulie zrobi nam trochę herbaty.

- Oj zrobię, zrobię, wasza wysokość - powiedziała pani Langton, przepuszczając córkę. - I dodam kropelkę brandy do obu filiżanek.

- Brandy? - zapytał Dempsey.

- Och, przepraszam, panie Dempsey. Pan nie pije alkoholu?
- Byłbym wdzięczy za kropelkę brandy w herbacie, pani Langton. Ze względów zdrowotnych, oczywiście. Ale nie mamy brandy.

- Proszę się nie martwić - uspokoiła go gospodyni. - Wiem, gdzie szukać - oświadczyła i poszła przodem.

- Ja także - dodała Veronika, prowadząc obolałego pastora w stronę plebanii.

- Gdzie? - zapytał Dempsey, zadziwiony tym, jak srebrzą się jej włosy i jak złoci się jej twarz w promieniach słońca.

- W piersiówce schowanej w którejś z kieszeni Langtona.

- Langton nosi przy sobie brandy?

- O, tak. Wszyscy panowie w Barren Wycche i w Blackcastle mają taki zwyczaj. Nawet Julian to robił. Nigdy nie wiadomo, kiedy i komu może się przydać odrobina brandy. Ze względów medycznych, ma się rozumieć.

- Mam nadzieję, że nie posłużysz się tym wypadkiem, by wykręcić się od obiadu w Blackcastle - powiedziała księżna, sadowiac się wygodnie na sofie w salonie.

- Miałbym się wykręcić od obiadu? Nie. - Dempsey, który dla przyzwoitości narzucił surdut na ramiona, ale nie włożył fulara i kamizelki, przyglądał się uważnie swemu gościowi. - Nie mogę się doczekać obiadu w Blackcastle, Veroniko - dodał, zastanawiając się, dlaczego jej uśmiech zabarwiony jest smutkiem.

Może myśli o zmarłym mężu? Wątpię, by księżę mógł kiedykolwiek zjechać z dachu jak byle prostak.

- Żałuję, że nie poznałem twojego męża - powiedział. -
Podejrzewam, że był wyjątkowym człowiekiem.

- Nigdy się nie spotkaliście?

- Nigdy.

- W takim razie dlaczego...?

- Co dlaczego?

- Dlaczego Julian zaproponował ci, to znaczy, czym zwróciłeś na siebie jego uwagę? Dlaczego zaproponował właśnie tobie tę parafię, skoro nigdy się nie spotkaliście?

- Słyszał o mnie tu i ówdzie.

- O!

- Wypij herbatę, Veroniko, bo ci wystygnie.

- Piję moją herbatę. - Veronika uniosła filiżankę do ust. Kropla brandy nadała herbacie wyjątkowo przyjemny aromat. - Powinieneś częściej zjeżdżać po dachu. Herbata z kropelką brandy jest wyśmienita.

Dempsey zaśmiał się, a Veronika ze zdumieniem stwierdziła, że jego śmiech wywołał w niej przyjemny dreszcz. Przyglądała się pastorowi przez obłoczek pary, unoszący się nad filiżanką.

- Co się stało? - zapytał.

- N-nic. Wyrosłeś na niezwykłego człowieka, Richardzie Dempsey.

- Ja? Dlaczego tak sądzisz?

Bo masz piękną twarz, barczyste ramiona, jesteś odważny i budzisz zaufanie nawet teraz, gdy zwyczajnie siedzisz i pijesz herbatę, pomyślała księżna.

- Powinnam była powiedzieć, że stałeś się niezwykłym pastorem
- odparła. - Nawet William tak sądzi.

- Naprawdę? Twój syn? Kamień z serca mi spadł.

- Dlaczego?

- Ponieważ myślałem, że ci powie, że jestem najgorzej zorganizowanym i najbardziej zwariowanym pastorem, jakiego widział. Spotkaliśmy się w niezbyt sprzyjających okolicznościach.

- Tak czy inaczej William uważa, że jesteś wyjątkowy. Ale nie da ci żyć, jeśli nie sprostasz jego wymaganiom. A jest przyzwyczajony, by wszystko szło po jego myśli, niezależnie od tego, czy innym to pasuje. Ty...

- Co ja?

- Sądzę, że ty także jesteś do tego przyzwyczajony.

- Masz rację. Jestem starym uparciuchem, gdy w grę wchodzi sprawy, na których mi zależy.

- Starym? Nie protestuję przeciwko uparciuchowi, bo byłeś nim już w dzieciństwie, ale muszę zakwestionować określenie „stary”.

- Skończyłem czterdzieści lat w tym roku. Na pewno nie jestem młodzieniaszkiem.

- Jesteś w kwiecie wieku.

- Miłe słowa, ale wiosna mego życia już dawno minęła, mówiąc: „Oto jestem, Richardzie. Korzystaj ze mnie póki możesz”.

Oczy Veroniki roziskrzyły się śmiechem.

- Wiosna życia mówi do człowieka?

- A i owszem. Tymi właśnie słowy.

- No i co? Skorzystałeś z niej?

- W pewnym sensie chyba tak.

-Jak?

- Nie mogę o tym mówić. Nie teraz. - Uśmiechnął się równie figlarnie jak za dawnych lat. - Może za rok albo dwa, gdy już zostanę uznany za niezastąpionego pastora i twój syn nie zechce mnie odesłać. Może wtedy zacznę cię zamęczać opowieściami o przygodach pastora. Ale nie teraz. Powiedz mi raczej, jak to się stało, że zostałam księżną Berinwick. Ucieszyłaś się zapewne, gdy książę poprosił cię o rękę. Choć nie wątpię, że zakochał się w tobie od pierwszego wejrzenia. Podejrzewam, że zupełnie stracił głowę.

- Rzeczywiście - potwierdziła Veronika. - Jedno gorące spojrzenie tych diabelsko pięknych oczu i miałam Juliana Thorne'a w kieszeni.

- Diabelsko pięknych oczu? Tak je nazywał?

- Owszem.

- Nie miał poetyckiego usposobienia, prawda?

- Wcale a wcale - uśmiechnęła się swobodnie Veronika. - Po tobie nie spotkałam już żadnego dżentelmena o poetyckim usposobieniu.

- Ja miałem coś wspólnego z poezją?

- Nie pamiętasz? A ja trzymałam to jak jakiś skarb przez te wszystkie lata. Dziś rano wyjęłam kartkę z pudełka z biżuterią i miałam zamiar przeczytać ci to po obiedzie.

- Przeczytać mi? Co chciałaś mi przeczytać? - Dempsey nieopatrznie wziął do ust odrobinę herbaty.

- Wiersz, który dla mnie napisałeś, gdy miałeś siedem lat.

Herbata wytrysnęła z ust pastora niczym fontanna.

W tym samym momencie zakasłał i podskoczył. Pospiesznie sięgnął po chusteczkę, mrużąc jakieś usprawiedliwienia pod nosem. Otarł usta, kłapy surduta, koszulę, startł także parę kropel, które upadły na stół. Włosy, które zaczesał palcami do tyłu, nakładając surdut, teraz opadły mu na oczy. Uszy pastora poczerwieniały. Dempsey spuścił wzrok, żeby uniknąć spojrzenia Veroniki.

- Od tamtej pory surowo oceniałam poetyckie wysiłki wszystkich innych. Nikt nie mógł ci dorównać, a tym bardziej przewyższyć twego kunsztu. Sądzę, że to pamiętasz, prawda?

- Staram się sobie przypomnieć - przyznał Dempsey, siadając ponownie na krześle - Veroniko, dlaczego to zachowałeś? - zapytał, patrząc jej w oczy. - Bazgroły siedmiolatka.

- Nad swój wiek rozwiniętego siedmiolatka, którego pokochałam całym sercem.

- Naprawdę?

- O, tak. Jakże mogłam cię nie pokochać, Richardzie, skoro pierwszego dnia objąłeś mnie i powiedziałeś, żebym nie płakała z powodu wyjazdu mamy i że sprawię ci zaszczyt, jeśli zechcę uznać twoją mamę za własną, tak długo, jak długo będę tego potrzebowała. A potem, a potem zabrałeś mnie... czy pamiętasz, dokąd mnie zabrałeś? W końcu miałeś tylko pięć czy sześć lat.

- Zabrałem cię do kościoła mego ojca i zaprowadziłem, przez maleńkie drzwi za ołtarzem do Kaplicy Jezusowej.

- Kaplica Jezusowa. - Oczy Veroniki rozbłysły pod wpływem wspomnień. - Od tamtej pory nie widziałam nic równie pięknego. Nawet tu, w Shropshire, gdy słońce zachodzi nad Little Mynd Moor, nie jest tak pięknie. Czy pamiętasz promienie słońca układają się w tęczę, przenikając przez witraże?

- Pamiętam.

- I jak wiatr szeptał nam coś do uszu i jak deszcz szemrał, i oddychał niczym żywe stworzenie?

- Pamiętam.

- Och, Richardzie. Tyle czasu nie myślałam o tym miejscu. Jaka szkoda, że nie mogę go teraz zobaczyć. Tak bym chciała wejść do tej kaplicy i poczuć się bezpieczna.

- Bezpieczna? - Dempsey uniósł brwi. - W jakim sensie bezpieczna, Veroniko? Czy coś ci zagraża? - Czyżby Veronika coś wiedziała? Langton twierdził, że jest nieświadoma. Jej syn nie wierzy, że księżę został zamordowany, i nie pozwala o tym wspominać księżnej i lady Hannie. Nikomu.

- Sama jestem dla siebie zagrożeniem - odparła po cichu. - Chciałabym uwolnić się od innych wspomnień, znacznie mniej przyjemnych niż te, które dzielę z tobą. Skomplikowałam sobie życie, Richardzie. Nie tylko sobie, ale i swojemu synowi. Zniszczyłam mu życie.

Cztery głowy skłoniły się nad jadalnianym stołem.

- Ojciec niebieski, dziękujemy Ci z pokorą za dary, które mamy spożyć. Amen - powiedział Dempsey.

- Amen - odpowiedzieli wszyscy pozostali. Leżący pod stołem Theophilus oparł łeb na nodze swego pana i przymknął ślepią.

Po tej prostej modlitwie na stole pojawiła się wonna zupa korzenna.

- Sądzę, że rzeczywiście powinniśmy dziękować z pokorą - mruknął Berinwick - za to, że fala głodu nie dosięgła Blackcastle i Barren Wycche. Nasze spiżarnie nie są wprawdzie tak pełne, jak to niegdyś bywało, ale ludzie nie panikują i nie muszą tak bardzo zaciskać pasa. Zdaje się, że nie wszędzie jest tak dobrze. Niektórym brakuje nawet chleba.

Dempsey przełknął łyżkę zupy i pokiwał głową.

- Wasza wysokość ma rację. Nastąpiły trudne czasy. Wojna, kiepskie zbiory i podwyżka podatków, wszystko to utrudniło życie ludziom, zwłaszcza w miastach. Zamieszki wybuchły już w Nottingham, w Coventry, w Sheffield i w Sussex.

- I w Londynie - dorzuciła księżna. - Słyszałam, że zaatakowano królewską karetkę i że ludzie wybili szyby w rezydencji premiera Pitta.

- Nie wszystkie szyby, ale całkiem sporo - potwierdził Dempsey.
- Nigdy zresztą nie wiadomo, której gazecie należałoby uwierzyć.

- A co słyhać w Kent? - zainteresował się Berinwick. - Jak ta sprawa wygląda w Kent, panie Dempsey? Czy ktoś już wybił okna w którejś jaskini?

- W jaskini? - Księżna spojrzała na syna z bezgranicznym zdumieniem.

- Czy naprawdę w Kent ludzie mieszkają w jaskiniach? -zapytała Hanna. - I mają okna w tych jaskiniach? Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Ty chyba żartujesz, Will.

- Jeśli chodzi o okna, to istotnie, zażartowałem - przyznał Berinwick - ale ludzie w Kent mieszkają w jaskiniach. Znam takich.

- Znasz takich?

- Znam w każdym razie jednego - sprecyzował Berinwick. - To duchowny.

- Bzdury opowiadasz - orzekła Hanna. - Żadnemu duchownemu nawet przez myśl by nie przeszło, żeby zamieszkać w jaskini. Może tak bywało przed laty, ale dziś każdy z nich chce mieć parafię i regularne dochody, elegancką plebanię. Na dziesięć można zbić fortunę. Sam mi to mówiłeś, Will. Nawet wędrownym kaznodziejom chodzi o pieniądze i o władzę. Gdyby tylko ktoś im zaoferował parafię, natychmiast by się zgodzili.

Księżna Berinwick znacząco zakasłała.

- Och! - wykrzyknęła Hanna. - Och, bardzo pana przepraszam, panie Dempsey. Nie chciałam zasugerować, że pan...

- Zapomniała pani o tym, że dziś przy stole siedzi duchowny? Nic nie szkodzi - uśmiechnął się Dempsey. -Nie mam wątpliwości, że

pani opinia znajduje potwierdzenie w rzeczywistości. Ale nie wszyscy duchowni są ulepiani z tej samej gliny.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się Veronika. - Musi pan wybaczyć Hannie uogólnienie. Ona często słucha pomrukiwań Williama do samego siebie. Moje dzieci w zasadzie nie znają duchowieństwa. Żaden duchowny nie mieszkał w naszej okolicy.

- Wiem - odparł Dempsey. - Ale to się zmieni.

- Doprawdy? - zdziwił się Berinwick, unosząc brew do góry. - Dlaczego pan tak myśli, panie Dempsey?

- Williamie! - wykrzyknęła księżna.

- Księżę ma rację, wasza wysokość - powiedział Dempsey, mrugając do Veroniki. - Myślę tak z powodu wrodzonego optymizmu - zwrócił się do Berinwicka.

- Z powodu wrodzonego optymizmu?

- Owszem. A także dlatego, że postanowiłem zostać w St. Milburga's of the Wood nawet wtedy, gdy księżę cofnie mi prebendę. Nie ruszę się stąd, póki ten nieszczęsny kościół nie zostanie odremontowany. Przekona się pan wkrótce, jakim jestem upartym człowiekiem, wasza wysokość. Nic mnie nie skłoni do zmiany planów.

- Nic a nic, panie Dempsey?

- Nic, wasza wysokość. Nawet jeśli wasza wysokość cofnie mi prebendę i odbierze parafię, to zostanę tu, by wyremontować kościół, choćbym miał mieszkać w szałasie na wrzosowisku i żebrać o jedzenie.

Lokaje bezszelestnie sprzątnęli talerze po zupie, a kamerdyner nalał odrobinę czerwonego wina do kieliszka księcia. Berinwick skosztował trunku i pokiwał głową. Po chwili bordowy płyn iskrzył się we wszystkich kieliszkach. Berinwick spojrzął na pastora. Dempsey odwzajemnił spojrzenie, uśmiechnął się i uniósł puchar. Książę zrobił to samo i obaj dżentelmeni wypili wino. Potem książę uniósł kieliszek w stronę matki, a pastor - w stronę Hanny. Wszystko odbyło się zgodnie z tradycją, którą Berinwick uważał za śmieszna. Powinno się pić wtedy, kiedy się ma na to ochotę, a nie wtedy, gdy wypada. Tego wieczoru odprawił jednak lekceważony rytuał ze względu na matkę, której bardzo zależało na tym, by podjąć godnie nowego pastora. William dojrzał błysk nadziei w oczach księżnej już po południu. Nie mógł się powstrzymać, by nie podroczyć się trochę z gościem, dbał jednak o to, by nie zniweczyć tych nadziei na dobre stosunki z pastorem.

Do jadalni wnoszono właśnie półmiski z wędzonym łososiem, skarpem w sosie ostrygowym, karafki z różnymi rodzajami oliwy i liczne przystawki. Dempsey pochylił głowę i znów zaczął się modlić.

- Dziękujemy Ci, Panie, za te dary morza. Amen.

- Amen - odpowiedzieli pozostali biesiadnicy.

W oczach księżnej igrały dziwne ogniki. Gdy danie zostało zjedzone, Gaines znów nappełnił kieliszki, a Berinwick rozpoczął kolejną rytualną rundę przepijania do wszystkich obecnych. Po chwili służba przyniosła następne półmiski z dymiącym bżantem i gołębem, udekorowane groszkiem, szparagami i ogórkiem. Lokaje znów stanęli w drzwiach, ponieważ Dempsey pochylił głowę.

- O, najlepszy Panie, pobłogosław tego wyśmienitego bażanta i te chrupiące gołąbki, które będziemy spożywać. Składamy Ci dzięki za groszek, za szparagi i za ogórki. Amen.

- A-amen - zachichotała Hanna.

- Amen. - Księżna powstrzymała się od śmiechu, ale w jej oczach igrały figlarne ogniki.

- Do licha, ja naprawdę umrę z głodu przy swoim własnym stole - mruknął Berinwick, usłyszał to jednak tylko Gaines, stojący za krzesłem swego pana. Lokaj skinął więc ponagląco na służbę.

Przed kolejnymi trzema daniami odbyły się podobne modły. Opróżniono trzy kolejne butelki czerwonego wina i pół butelki burgunda. Gdy w drzwiach pojawiły się tace z owocami, serami, kremem czekoladowym i puddingiem śliwkowym, Dempsey znów pochylił głowę.

- Najdroższy Ojcze... - zaczął.

- Pan pozwoli, panie Dempsey - przerwał mu Berinwick, którego cierpliwość się wyczerpała. - Najdroższy Ojcze, jeśli masz w opiece tego swojego sługę, to zamknij mu jakoś usta, ponieważ jeśli wypowie jeszcze jedno błogosławieństwo, to go niechybnie uduszę. Amen.

Dempsey ryknął śmiechem. Lady Hannę ogarnęła tak wielka wesołość, że dziewczyna musiała skryć twarz za serwetką. Księżna Berinwick roześmiała się perlistym śmiechem. Theophilus obudził się, ziewnął, przeciągnął i zaszczekał.

Berinwick patrzył na wszystkich po kolei. Pochylił się nawet, by spojrzeć na psa.

- Co takiego? Ty także brałeś w tym udział? - zapytał zwierzę. Potem się wyprostował, ukroił kawałek sera. -Przestań szczeakać, ty potworze - mruknął, podając psu ser i poklepując go po łbie. - Która z was opowiedziała wielebnemu panu Dempseyowi o moich obawach? - zapytał, prostując się. - Ty, Hanno?

Hanna, wciąż zasłaniając usta serwetką, pokręciła głową.

- Mamo?

- Wspomniałam, że się obawiałeś modłów nad bażantem i groszkiem - przyznała księżna, ocierając łzy, które śmiech wycisnął z jej oczu. - Ale nie miałam pojęcia, że pastor zrobi coś takiego.

- To tylko moja wina, wasza wysokość - oświadczył Dempsey, uśmiechając się od ucha do ucha. - Przyszło mi do głowy, że przynajmniej przez jeden wieczór powinien pan mieć takiego pastora, jakiego się pan spodziewał. Niechże pan się podda i uśmiechnie. Nie zamierzałem zażartować z pana, tylko z tych wcale licznych pochlebców w sutannach, którzy udają świętoszków i przy każdej okazji afiszują się ze swoją pobożnością. Duchowni odpowiadający pańskim wyobrażeniom naprawdę istnieją. Zdarzało mi się jadać w ich towarzystwie. Żałuję, że nie poprosiłem Pana, by zamknął im usta, nim ja czułem się do tego zmuszony! Zapewniam pana, że wielu z nich przejrzałoby wówczas na oczy!

Gdy Berinwick, Hanna, wielebny pan Dempsey i Theophilus usadowili się już wygodnie w salonie, księżna wdowa wzięła ze stolika nadszarpnięty zębem czasu skrawek papieru.

- Moja córka pyta mnie bez ustanku o nasze niegdysiejsze relacje, panie Dempsey.

- O nasze relacje? - zdziwił się pastor.
- Owszem. Powiedziałam dzieciom, że znaleźliśmy się przed laty.
- Naprawdę?
- Naprawdę - mruknął Berinwick. - Dlaczego pan tak nagle

poblądł, panie Dempsey?

- Poblądłem? Wcale nie poblądłem - zaprotestował Dempsey, nie odrywając wzroku od księżnej i od karteczki, którą wciąż trzymała w dłoni. - Veroniko, nie zamierzasz chyba...

- Veroniko? - Berinwick tak bardzo się zdziwił, słysząc imię swej matki z ust pastora, że zerwał się na równe nogi, kopiąc niechcący psa w zadek. Theophilus wyrwany z sennej beczynności w okamgnieniu rzucił się na wrogi but w barbarzyńską dzikością.

- Psiakrew! - zawołał Berinwick, przekrzykując powarkiwanie i pokłapywanie psa.

- Theophilusie, przestań! - rozkazał psu Dempsey. Zerwał się z krzesła i przyklęknąwszy koło psa, objął go za szyję, próbując odciągnąć go od księcia. - Przestań, staruszk. Księżę nie chciał cię skrzywdzić.

- Skrzywdzić? Ledwo dotknąłem tej bestii.
- Kopnął go pan - sprecyzował Dempsey.
- Szturchnąłem go piętą. Nie miałem pojęcia, że tam leży.
- Powinien pan wiedzieć. Leżał przecież tuż koło pańskich stóp.

Theo, przestań! Niechże wasza wysokość przestanie szarpać butem.

Niczego pana nie nauczyła ostatnia przygoda? A tym razem jest znacznie gorzej. On nie uważa, że to pusty but. Jest przekonany, że

udało mu się chwycić kogoś, kto chciał go skrzywdzić. Kiedy pan szarpie butem, pies sądzi, że musi się bronić.

- Staram się go strząsnąć.

- To się panu nie uda. Pozostało mu wprawdzie niewiele zębów, ale ma mocną szczękę. Jak mam go odciągnąć, jeśli nie przestaje pan go atakować?

- Ja go atakuję? - Berinwick spojrzął z góry na psa i jego właściciela i przestał się ruszać, starając się przenieść ciężar ciała na drugą nogę.

Dempsey szepnął coś do psa i poklepał go po łbie. Potem przyklęknął przed zwierzęciem i zdecydowanym ruchem rozwarł mu szczękę.

- Biedny Theo - odezwał się łagodnie, biorąc psa w ramiona. - Biedny staruszek. Księżę się poddał. Już po wszystkim. Jego wysokość na pewno nie przystąpi już do ataku. Masz na to moje słowo.

- Powiniennem zastrzelić tę bestię - oświadczył Berinwick. - Obrazić księcia w jego własnych progach! Hanno, zadzwoń na Gainesa, niech wyprowadzi to zwierzę z mojego domu razem z jego właścicielem.

- Hanno, nie waż się tego robić - powiedziała księżna. - Williamie, przestań wprowadzać ryle zamieszania. Theophilus nic ci przecież nie zrobił.

- Nie, ale próbował. Chociaż przed chwilą dostał ode mnie kawałek sera.

- On tylko myślał - oznajmił Dempsey głaszcząc psa po uszach - że pan chce go skrzywdzić. Gdy ogarnia go senność, nie zdaje sobie sprawy, co się dokoła niego dzieje. Jako szczeniak doświadczył wiele okrucieństwa. Był bity, a potem wylądował w worku i miał zostać utopiony. Podejrzewam, że pańskie kopnięcie wywołało w nim złe skojarzenia i wspomnienia.

- Biedny, biedny pies - szepnęła Hanna ze współczuciem.

- Nie musi pan wzywać kamerdynera, wasza wysokość. Sami znajdziemy wyjście.

- Nie możecie tego zrobić - zaprotestowała Veronika.

- Proszę tego nie robić - dorzucił Berinwick, gdy Dempsey poklepał psa po łbie i podniósł się z kolan.

- Podziękuję tylko pańskiej matce i siostrze za wspaniały wieczór i już znikamy.

- Powiedziałem przecież, że wcale nie musicie wychodzić. Co jeszcze mam zrobić? Paść na kolana i przeprosić tę bestię? Przykro mi, że go kopnąłem. Przykro mi, że był źle traktowany jako szczeniak, i rozumiem jego reakcję. Wybaczam temu przekłętemu psu!

- Naprawdę? To dobrze.

- Dobrze by było, żeby pan i dla siebie znalazł jakieś sensowne usprawiedliwienie.

- Usprawiedliwienie? Z jakiego powodu?

- Z jakiego powodu? Jakim prawem mówi pan do mojej matki po imieniu?

- Ja nigdy... - zaczął Dempsey.

- Powiedziałeś tak, Richardzie - uśmiechnęła się księżna. - Gdy się przestraszyłeś, że zamierzam przeczytać twój wiersz.

- Richardzie? - Berinwick spojrział na matkę. - Mówisz do niego po imieniu?

- Owszem, Williamie. Zwracaliśmy się do siebie po imieniu w dzieciństwie. To całkiem naturalne dla nas obojga. A teraz obaj usiądźcie, proszę, żebyśmy mogli kontynuować ten tak miły i interesujący wieczór.

- Miły i interesujący wieczór - burknął Berinwick, siadając na krześle. - Nasz nowy pastor odprawia modły nad każdym daniem, wprawia Hannę w histeryczną wesołość, dziesiątkuje moją piwnicę z winami, mówi do mojej matki po imieniu, a na dodatek jego pies rzuca się na mnie z nagłą i niespodziewanie. W rzeczy samej, to bardzo miły i interesujący wieczór.

Dempsey parsknął śmiechem.

Berinwick spiorunował go wzrokiem.

- Dość tego - wtrąciła się księżna. - Williamie, Theophilus znów układa się koło twoich stóp. Postaraj się nie zrywać z miejsca tak gwałtownie jak poprzednio. Richardzie, na twoim miejscu nie śmiałabym się tak głośno, bo zamierzam właśnie przeczytać uroczy wiersz, który napisałeś dla mnie przed laty.

- Wiersz? - zapytała Hanna mile zaskoczona.

- Najpiękniejszy wiersz, jaki kiedykolwiek ktoś dla mnie napisał - pokiwała głową Veronika. - Nie, nie rumień się, Richardzie. Nie ma żadnego powodu, byś czuł się zakłopotany. Wiersz jest naprawdę

prześliczny. Dzięki niemu moje dzieci dowiedzą się, kim byłeś wówczas, gdy się poznaliśmy.

- To znaczy kiedy? - zapytał Berinwick i zauważył, że czerwona plama oblewa już nie tylko szyję ale i policzki gościa.

- Gdy Richard miał siedem lat.

- A ty?

- Chyba trzynaście albo czternaście. A teraz cicho. -Veronika odsunęła karteczkę i przymrużyła oczy. - Mam nadzieję, Richardzie - powiedziała, kręcąc głową - że twój charakter pisma nieco się wyrobił od tamtego czasu.

- Przeczytaj to, mamó - ponagliła ją Hanna z uśmiechem.

- Proszę bardzo. Wiersz nosi tytuł Do Veroniki.

- Bardzo oryginalnie - mruknął Berinwick.

- Will, cicho bądź! - skarciła go Hanna.

- Do Veroniki - powtórzyła księżna.

Jesteś tak piękna jak portret, który wisi w papy gabinecie.

Mówisz piękniej niż słowiki śpiewają.

Twoje włosy podziwiają wszystkie konie na całym świecie.

Przy tobie nawet pszczoły żądlić zapominają.

- „Twoje włosy podziwiają wszystkie konie”?

- Pan Dempsey miał zaledwie siedem lat, Will. - Hanna wystąpiła w obronie pastora. - To bardzo piękny wiersz, panie Dempsey.

- To jeszcze nie koniec - oświadczyła księżna, zauważywszy, że choć pastor zapadł się w krzesło i we własne ubranie, to jednak jego

oczy załśniły pod wpływem wspomnień, a nawet pojawiły się w nich iskierki śmiechu.

Nigdy cię nie opuszczę, w żadnej potrzebie.

Dla ciebie będę szczery, odważny oraz dzielny.

Veronika z Arrandell to anioł na mym niebie,

Więc aż do samej śmierci będę jej zawsze wierny.

Księżna wdowa opuściła kartkę i spojrzała na gościa.

- Zachowałam to przez tyle lat - powiedziała po chwili milczenia - ponieważ zawsze uważałam, że to najbardziej niewinna i szczerą deklaracją miłości, jaką zdarzyło mi się usłyszeć. Nie mam pojęcia, w jaki sposób mój mąż wybrał właśnie ciebie, Richardzie, na naszego nowego pastora, wiem jednak, że nie mógł sprawić mi większej przyjemności.

Dempsey odrzucił propozycję powrotu do domu książęcym powozem.

- Wolę chodzić piechotą, gdy tylko nadarza się okazja - wyjaśnił.
- Dziś zabrałem ze sobą zarówno latarnię, jak i smycz dla Theophilusa, by tym razem mi nie uciekł, zmuszając mnie do przekroczenia granicy książęcego terytorium.

- Nie mam nic przeciwko temu, by przekraczał pan granice naszej posiadłości, gdy tylko będzie pan miał na to ochotę - powiedział Berinwick, gdy już stanęli w ogromnych podwójnych wrotach. - Zamknij dobrze drzwi, Haroldzie. Mam zamiar zajrzeć do stajni, żeby obejrzyć pęcinę Triumphu. Sam sobie otworzę, kiedy już wrócę.

- Oczywiście, wasza wysokość - odparł lokaj.

- Mogę przekraczać granicę pańskiej posiadłości, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota? - Dempsey nie wierzył własnym uszom.

- Owszem. Nie pamiętam, by kiedykolwiek uśmiech gościł na twarzy mojej matki tak często, jak dziś wieczorem.

- To niemożliwe. Ja nie przypominam sobie, by uśmiech kiedykolwiek opuszczał twarz pańskiej matki. Sądzę, że często się uśmiechała przed śmiercią księcia, wasza wysokość.

- Być może, ale ja tego nie pamiętam. Rzadko bywałem wtedy w domu. Ojciec wysłał mnie do szkoły z internatem, gdy miałem sześć lat. Nie mam pojęcia, co się działo w Blackcastle pod moją nieobecność. Może wówczas moi rodzice się śmiali. Hanna powinna to wiedzieć. Nawiasem mówiąc, nie pamiętam, by Hanna kiedykolwiek tak długo chichotała bez opamiętania. Ja prowokuję częściej wybuchy jej złości niż śmiechu. Postanowiłem więc, że będzie pan mógł zjawiać się w Blackcastle o każdej porze, ponieważ dzięki panu w ścianach tego domu dźwięczy śmiech. A zarówno moja matka, jak i moja siostra potrzebują radości jak powietrza. Odprowadzę pana aż do końca podjazdu, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie mamy nic przeciwko temu, prawda, Theo?

- Hau - potwierdził pies.

- Czy pan zawsze zwraca się do tego zwierzęcia, jakby było człowiekiem?

- Owszem. A dlaczego księżę pyta?

- Z ciekawości. To znaczy, że spędzacie wiele czasu w swoim towarzystwie.

Pastor spojrział na młodego człowieka z ukosa.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Dawno temu zrozumiałem, kiedy ktoś zaczyna mówić do zwierząt tak jak do ludzi. Mnie to się także parę razy przytrafiło. Tak się dzieje wtedy, gdy człowiek nie ma do kogo otworzyć ust. Gdy życie w samotności się przedłuża, zaczynamy traktować zwierzęta i przedmioty jak ludzi. A wracając do tego wiersza, to zauważyłem, że zaczerwienił się pan jak burak, gdy matka zabrała się do czytania, a jednak nie zaprotestował pan.

- Nie. Jakże mógłbym to zrobić? Ona zamierzała to przeczytać bez względu na konsekwencje, a ja, choć wielce zakłopotany, przypomniałem sobie najszcześniejsze lata mego życia.

- Czasy, kiedy nawet pszczoły nie żądają.

Szli w milczeniu pod konarami więzów, którymi wysadzono aleję aż do kordegardy

- Nie ma już odźwiernego? - zdziwił się Dempsey.

- Od czasów mego prapradziada. Nie potrzeba odźwiernego, skoro brama zniknęła.

- Brama zniknęła?

- Najprawdopodobniej została zburzona - wyjaśnił Berinwick - choć nikt nigdy nie opowiadał mi tej historii. Ojciec obiecywał, że to zrobi, gdy dorosnę. Wydaje mi się, że już od lat jestem dorosły, ale jakoś do tego nie doszło. Znajdzie pan drogę prowadzącą na plebanie, panie Dempsey?

- Owszem. Droga jest wprawdzie kręta, ale przecież nie ma żadnej innej.

- Właśnie. A zatem dobranoc i...

- I?

- I niech pan uważa na pszczoły, panie Dempsey. Obawiam się, że nawet obecność mojej matki już ich teraz nie onieśmiela. W każdym razie ja nie zauważyłem, by miała na nie jakiś zbawienny wpływ.

Zdaje się, że niejedna pszczoła wbiła swoje żądło w tego dżentelmena, pomyślał Dempsey, maszerując w stronę St. Milburga's of the Wood. Co więcej, kąsały go jakieś barbarzyńskie pszczoły. Teraz z byle powodu zwija się w kłębek jak jeż, który w każdej chwili spodziewa się ataku.

Rozważając słowa księcia, pastor co chwila marszczył brwi. Jak to możliwe, by Berinwick nie widywał uśmiechniętej matki? Co to za syn, który nie pielęgnuje wspomnień matczynych uśmiechów? I o co chodziło staremu księciu, gdy wysyłał sześciolatniego chłopca do szkół, by nie pozwolić mu wrócić do domu przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia?

Nie, to niemożliwe. Veronika nigdy by do tego nie dopuściła. Na pewno Berinwick bywał w domu znacznie częściej, niż twierdzi. Najprawdopodobniej jest po prostu przygnębiony z jakiegoś powodu. Podczas obiadu nie dał tego po sobie poznać, ale oddalwszy się od matki i siostry, pogrążył się w swoich smutnych rozmyślaniach. Może rozmowa w salonie przywiodła mu na myśl jakieś bolesne wspomnienia i uznał, że w moim towarzystwie może sobie pozwolić na odrobinę żalu nad sobą. Każdy z nas miewa takie chwile. A właściwie, to dlaczego ja się nad tym zastanawiam?

- Ciekawe, czy dzisiaj także zobaczymy jakieś widziadło, Theophilusie - mruknął Dempsey, starając się przestawić swoje myśli na inny tor. - Chętnie rzuciłbym okiem na tego Owaina Glyndwra, zwłaszcza po tym, co opowiedział mi Langton. Langton wierzy, że widział prawdziwego ducha i że to on spowodował śmierć starego Berinwicka. Wyobrażasz to sobie? No cóż, ale Langton nie miał do dyspozycji twego niezawodnego nosa,

Theo, by przekonać się, że grobowy proch jest zwykłą mąką, a duch człowiekiem w przebraniu. Ode mnie też się tego nie dowiedział. Powinienem go uspokoić, gdy wyznał, że wczoraj wieczorem znów widział ducha. Ten drań chciał z pewnością przestraszyć Langtona. Langton czekał na nas z jedzeniem, ale gdy ujrzał ducha, natychmiast dał drapaka.

Przez chwilę szli w milczeniu. Dempsey wsłuchiwał się w odgłosy lasu, próbując wyłowić jęki, pobrząkiwanie łańcuchów albo stłumiony tętent kopyt. Nic takiego nie usłyszał.

- Nie przewidziałem, że będę miał do czynienia z morderstwem, gdy zgodziłem się przyjąć propozycję księcia - powiedział w końcu pastor. - Sądziłem, że książę ma się świetnie i że obaj będziemy się dobrze bawić, szukając kielicha.

- Hau - Theophilus zgodził się ze swym panem.

- Tak, tak, staruszk. A teraz oprócz szukania kielicha muszę się zajmować remontem kościoła i opiekować jego rodziną. Książę Berinwick zaproponował mi coś więcej niż prebendę. Sądziś, że nie wiedział, iż zarówno on, jak i jego rodzina są w niebezpieczeństwie? Niewykluczone, że nie wspomniał o tym z premedytacją, lękając się,

że odrzucę jego propozycję. Wydaje mi się, że, biorąc pod uwagę fakt, iż jestem duchownym, mógł się obawiać, że wystarczy wzmianka o niebezpieczeństwie, krwi i tego rodzaju sprawach, bym mu podziękował za ofertę.

- Ymmm... - wyraził swą opinię.

- Masz rację, Theo. Jeśli jednak tak było, to książe Berinwick nie znał mnie tak dobrze, jak mu się wydawało. Słyszał sporo o moich zainteresowaniach historycznych i antykwarycznych, ale najprawdopodobniej nic nie wiedział na temat mojej osobistej reputacji. Przyjechałbym znacznie wcześniej, gdybym wiedział, że księciu i jego rodzinie cokolwiek zagraża. Bez względu na prawdopodobieństwo odnalezienia kielicha przeciwstawiłbym się biskupowi Herefordowi, przestałbym szukać rubinowo-diaamentowego pierścienia Tudorów i od razu przyjechałbym do St. Milburga's.

W każdym razie dobrze, że już tu jestem, pomyślał Dempsey, zatrzymując się przy drodze, by znów ponasłuchiwać trochę. Nie miałem okazji, by obronić starego księcia Berinwicka, ale postaram się zadbać o bezpieczeństwo obecnego księcia, lady Hanny i Veroniki.

- Veroniko - szepnął - gdybyś była w powozie, który ten drań zepchnął z drogi, gdybyś zginęła tylko dlatego, że opóźniłem swój przyjazd o tyle miesięcy, nigdy bym sobie tego nie darował. Nigdy.

Ale Veroniki nie było w tym powozie. Ona nawet nie podejrzewa, że śmierć jej małżonka nie była przypadkowa.

Jak pięknie wyglądała dziś wieczorem, pomyślał Dempsey, ruszając znów przed siebie. Jej twarz jaśniała na tle czarnej sukni i naszyjnika. Oczy iskrzyły się śmiechem, zwłaszcza podczas obiadu.

Gdy czytała mój wiersz, na jej policzkach zakwitł różowy rumieniec. Jak to możliwe, że zarumieniła się tak pięknie, podczas gdy ja zrobiłem się po prostu czerwony jak burak. Choć z drugiej strony wcale, bym nie chciał, by ktoś mówił: Popatrzcie, jak pięknie rumieni się wielebny pan Dempsey. O nie, wcale bym sobie tego nie życzył. A jej włosy są wciąż ciemne, lśniące i wspaniałe i tylko tu i ówdzie przetkane srebrnymi nitkami. Ile bym dał za to, by zobaczyć jej rozpuszczone loki.

- Ale ze mnie głupiec, Theophilusie - mruknął Dempsey pod nosem. - Straciłem głowę dla Veroniki Longwood, gdy miałem siedem lat, i dopiero teraz zrozumiałem, że tej głowy nie odzyskałem. Przez te wszystkie lata nie dotarło do mnie, dlaczego żadna inna kobieta mnie nie uwiodła, dlaczego żadna nie sprowokowała mnie do rozważań na temat małżeństwa, dlaczego żadna nie potrafiła rozbroić mnie swym uśmiechem. I teraz już rozumiem. Teraz, gdy na wszystko jest już za późno.

- Wydaje mi się, że to był udany wieczór, nie sądzisz, Hanno? - zapytała Veronika, sadowiając się wygodnie przed kominkiem. - Sądzę, że nasz wielebny pan Dempsey doskonale nadaje się na pastora w St. Milburga's of the Wood. To silny, odważny mężczyzna. Nie żaden mięczak, który się będzie wił pod każdym spojrzeniem Williama.

- Jeżeli chcesz przez to powiedzieć, że pan Dempsey nie złamie swoich zasad nawet ze względu na Willa, to sądzę, że masz rację, mamo.

- Otóż to - przytaknęła Veronika. - Mam tylko nadzieję, że nie mylę się również co do innych spraw.

- Co do jakich spraw?

- Hmm? Och, to nic takiego. Myślałam tylko o tym, że pan Dempsey może wyrzucić dobry wpływ na twojego brata.

- Dobry wpływ? - Hanna nie kryła zdziwienia. - Dlaczego sądzisz, że na Williama ktoś powinien wpłynąć?

- Uważasz, że niczego mu nie brakuje?

- Niczego. Jesteś innego zdania?

- Owszem - odparła Veronika, spoglądając w płomienie. - Czasami wydaje mi się, że William jest zupełnie pozbawiony wrażliwości. Jego chłodny, błyskotliwy umysł potrafi każdemu dopiec do żywego. Ma bardzo cyniczny stosunek do ludzi i do świata. I nigdy się nie śmieje.

- Śmiał się dziś wieczorem, mamó.

- Niezupełnie. Wydawał z siebie dźwięki podobne do śmiechu, ponieważ sądził, że tego się od niego oczekuje.

- Dlaczego tak myślisz?

- Ja to wiem, Hanno. Gdy lepiej poznasz świat i ludzi, sama nauczysz się odróżniać śmiech, który rodzi się tylko na ustach, od śmiechu, który rodzi się w sercu.

- Tobie się wydaje, że Will nie ma serca, prawda, mamó? - zapytała Hanna podnosząc się z miejsca, by przysiąc na podnóżku, stojącym koło fotela księżnej. - Nie patrz tak na mnie - dodała, ujmując matczyne dłonie, które nagle zaczęły drżeć. - I nie drzyj tak. Nie sądzisz chyba, że spędziłam czternaście lat w Blackcastle z zamkniętymi oczami i zatkanymi uszami. Czasami boisz się Willa, prawda? Widziałam, jak mu się przyglądasz i jak ważysz w duchu

każdą jego uwagę, by ocenić jego nastrój. Zauważyłam nawet, że starasz się nie przebywać z nim sam na sam.

- Cóż za melodramatyczne bzdury! - odparła księżna. - Ja miałabym się bać twojego brata? Coś podobnego? - Ale dłonie Veroniki nie przestały drżeć. Hanna zaczęła je rozmasowywać kciukami.

- To nie są żadne bzdury. Taka jest prawda. Bardzo smutna prawda. Chciałabym cię za wszelką cenę przekonać, że się mylisz co do Willa. Wcale nie trzeba go unikać ani się bać. Jest bardzo miły, uprzejmy, troskliwy i chętnie pomógłby każdemu, kto potrzebuje pomocy.

- Nasz William?

Hanna uśmiechnęła się do matki, a ta odwzajemniła jej uśmiech.

- Wiem, że Will jest mrukiem i że bardzo często gdera - ciągnęła Hanna. - A czasami zanurza się w całkiem innym świecie, w świecie, do którego nikt z nas nie ma dostępu.

I wtedy łatwo się do niego zniechęcić, Ale Will ma dobre serce i je okazuje. On tylko skrywa swą dobroć za nieprzyjazną maską i ostrymi słowami... Wydaje mi się, że możemy zaufać wielebnemu panu Dempseyowi. To człowiek, który potrafi przejrzeć Williama na wylot, nie przejmując się jego z pozoru skandalicznym zachowaniem. Sądzę, że z czasem bardzo się polubią, może nawet zostaną dobrymi przyjaciółmi. W zasadzie jestem tego pewna.

Oby to były prorocze słowa, pomyślała Veronika, wypuszczając dłonie córki, by Hanna mogła się obrócić w stronę ognia. Księżna pochyliła się do przodu i objęła dziewczynę w serdecznym uścisku.

- Mylisz się co do jednego, moja kochana - szepnęła, opierając brodę o głowę córki i omiatając oddechem jej włosy. - Ja nie boję się twojego brata, Hanno. Boję się o niego. Dziękuję Bogu za to, że natchnął twego ojca, by zaprosił tu pana Dempseya. Jeszcze nie zdążyłaś go dobrze poznać. Ale gdy poznasz go lepiej i gdy dowiesz się o mnie tego, czego jeszcze nie wiesz, to przypomnisz sobie moje słowa. Mam dziś nadzieję, której do tej pory nie miałam. Nadzieję na cud. Richard Dempsey nie zmienił się od czasów dzieciństwa. I jeśli ktokolwiek potrafi czynić cuda, to jest to właśnie Richard. Mam nadzieję, że dokona cudu dla mnie, jeśli tylko starczy mi odwagi, by go o to poprosić.

- Jak on się czuje, Tom? - zapytał Berinwick, głaszcząc konia po nozdrzach. - Chciałem przyjść wcześniej, ale dziś był u nas na obiedzie nowy pastor.

- Tak, wasza wysokość. Rana chyba wkrótce się zagoi. Miałem właśnie zamiar jeszcze raz ją przeczyścić, położyć maść i zawiązać świeżym bandażem.

- Pomogę ci. Chętnie przyjrzę się jego pęcinnie z bliska. Zaczniij usuwać stary opatrunek i czyścić, a ja przyniosę maść.

- Trzeba domieszać trochę więcej wody, wasza wysokość - zawołał Tom Hasty.

- Dobrze, Tom. Zajmę się tym.

- I jeszcze szczyptę talku - dorzucił stajenny, wchodząc do boksu i ustawiając się ostrożnie przy lewej tylnej nodze ogiera. - Spokojnie, Triumph, spokojnie, stary - szepnął, klepiąc konia po boku. - Chyba nie zamierzasz rozrabiać, co? Jest tu dziś sam książę. Jego wysokość

uważa, że jesteś najwspanialszym koniem w całej Anglii. Nie chcesz go chyba pozbawić tych złudzeń, zachowując się jak ostatnia fujara.

- Triumph zachowywał się jak fujara? - zdziwił się Berinwick, który właśnie wszedł do boksu, mieszając maść. - Wydaje mi się, że on nie może znieść zapachu tego paskudztwa. Maść rzeczywiście strasznie cuchnie.

- Ja też tak uważam, wasza wysokość - uśmiechnął się Hasty. - Trudno nie zmarszczyć nosa. Podejrzewam, że Triumph też po swoim marszczy nos. Ale to wspaniały koń. - Hasty usunął stary opatrunek i zabrał się do czyszczenia rany.

- Nie mam pojęcia, jak to się mogło stać - powiedział Berinwick, odstawiając maść, by przykłęknąć koło konia i obejrzeć jego pęcinę. - Dziś po południu skakaliśmy przez płot koło południowej bramy. Nic mu nie było przed skokiem, ale gdy tylko wylądowaliśmy, zaczął tańczyć pode mną, jakby armia mrówek zaczęła walczyć o najlepsze pozycje na jego bokach.

- W pobliżu nie było żadnych kolczastych krzaków?

- Myślisz, że to rana po jakimś kolcu, Tom? Ale przecież stracił kawałek skóry i mięśnia. Czy wyobrażasz sobie kolec wielkości męskiego palca, ostry jak żyłotka i w dodatku okrągły? Nie, nie sądzę, by to była przyczyna, nawet o tym nie pomyślałem. Rozglądałem się dokoła dość długo, ale nie mogłem pozwolić, by Triumph się wykrwawił. Przytrzymaj mu pysk, Tom. Ja nałożę maść. Obawiam się, że jeśli zrobisz to jeszcze raz, to cię kopnie.

- Lepiej żeby kopnął mnie niż waszą wysokość - stwierdził Hasty, ale zrobił, co mu kazano, wziął czarnego ogiera za kantar i

przemawiał do niego spokojnie, głaszcząc pieszczotliwie po chrapach. Patrzył, jak Berinwick rozprowadza grubą warstwę maści na pęcinnie, a potem owija końską nogę bandażem.

- Wróciłem tam, Tom, żeby się rozejrzeć, gdy tylko zaprowadziłem konia do stajni - powiedział Berinwick. - Nie znalazłem niczego, co mogłoby spowodować tak wielką ranę. Ale nie pomyślałem o kolcach. Jutro rano muszę tam znowu pojechać i poszukać wielkich kolców. Dobrze, że przywiozłem Penny do domu i zabrałem Triumphę, gdy jechałem sprawdzić, jak idą sianokosy. Moja siostra nigdy by mi nie wybaczyła, gdyby coś takiego przytrafiło się Penny.

- Ja się tam jutro wybiorę, wasza wysokość - zaproponował Hasty. - Z przyjemnością. Może trzeba świeżego spojrzenia.

- Czy chcesz zasugerować, że ja swoim jednym okiem nie zobaczę tego, co ty?

- Ja? Nigdy w życiu. Nie chciałbym oberwać od waszej wysokości.

- Pewnie nie chciałbyś także szukać nowej posady, co? - zaśmiał się Berinwick.

- No właśnie. Ale może się zdarzyć, że coś innego zwróci moją uwagę.

- To niewykluczone. A zatem zgoda - powiedział książę, zabierając brudny opatrunek, prawie pusty kubek i moździerz. Podał to wszystko stajennemu. - Zrobisz coś z tym, Tom? Chciałbym porozmawiać chwilę z Triumphem.

Hasty skinął głową, patrząc, jak księżę ociera dłonie o aksamitne bryczesy. Uśmiechnął się pod nosem, gdy księżę wyjął z kieszeni surduta marchewkę i podał ją ogierowi.

- Nie zapomnisz, Tom? Pojedziesz tam z samego rana i dasz mi znać, jeśli cokolwiek znajdziesz, dobrze? Zależy mi na tym, by coś takiego nigdy się nie powtórzyło - rzucił Berinwick przez ramię.

Tom Hasty odniósł przybory do komórki, a kubek z reszką maści wstawił do szafki. A potem wyszedł ze stajni, by rzucić stary opatrunek na stos śmieci, które miały być spalone nazajutrz z samego rana. Przez chwilę stał całkiem nieruchomo, rozglądając się po padoku i okolicznych kępach drzew, nasłuchując, czy pośród dobrze znanych dźwięków nie usłyszy nic podejrzanego. Ale nic takiego nie usłyszał. Tylko głos księcia dobiegający ze stajni.

- Rozmawia z tym koniem jak z człowiekiem - zauważył Hasty, idąc w stronę pompy, by umyć moździerz. - Nie. W rozmowę z tym koniem wkłada znacznie więcej serca niż w rozmowy z większością ludzi. Chociaż to nie jego wina. To wcale nie jego wina.

Kolec, pomyślał Hasty, pompując wodę. Dlaczego to powiedziałem? Dlaczego nie powiedziałem tego, co przyszło mi do głowy od razu, gdy tylko księżę przyprowadził konia do stajni.

- Dlatego, że nie mógłbym tego udowodnić - powiedział do siebie na głos. - Nie mogę udowodnić, że to jest rana postrzałowa, podobnie jak Langton nie może udowodnić, że starego księcia zamordował duch Owaina Glyndwra. Nie byłem przy tym i nie słyszałem strzału. Langton wprawdzie widział ducha, ale i tak po morderstwie nie zostały żadne ślady. Wszyscy mieli połamane karki.

To całkiem normalne w tego rodzaju sytuacji. Żadnych dowodów, że to nie był wypadek. Na dodatek Harvey pociągał przecież brandy ze swojej piersiówki. Przyznał się do tego. Niewykluczone, że Harvey Langton wyobraził sobie tego ducha.

Przez dziewięć miesięcy zupełnie nic się nie działo, pomyślał Hasty. Dlaczego więc jakiś wymyślony duch miałby wstać z grobu właśnie dziś, żeby postrzelić książęcego konia? O to właśnie zapyta mnie książę. I co wtedy odpowiem? Nie mam pojęcia, wasza wysokość, ale tak właśnie było. Tak przecież nie mogę odpowiedzieć. Muszę porozmawiać z Langtonem z samego rana.

Biedny Langton dostanie palpacji serca, gdy mu o wszystkim opowiem, pomyślał Hasty, płucząc mózdzierz. Jedno jest pewne. Ani Belowes, ani ja nie traciliśmy wcale czasu, czuwając nad księciem, księżną i lady Hanną. Jestem coraz bardziej przekonany, że Langton wcale nie był pijany, gdy widział tamtego ducha. Jakiś drań, może z mgły i szronu, a może z krwi i kości, zamordował ósmego księcia Berinwicka, a teraz czyha na dziewiątego. I musimy księciu o tym powiedzieć bez owijania w bawełnę. Powinien wiedzieć, co mu zagraża.

Wielebny pan Dempsey siedział wygodnie oparty o poduchy na swoim łóżku i patrzył w przestrzeń. Czuł się cokolwiek rozczarowany, ponieważ tym razem jego nocnego spaceru z Blackcastle na plebanię nie urozmaiciło pojawienie się ducha ani nawet stłumiony tętent kopyt jego konia.

- Same nudy - mruknął do siebie. - Ani Theo, ani ja nie potknęliśmy się na drodze. Ta cegła jest jakaś dziwna - zawołał nagle, zatrzymując spojrzenie na jednej z cegieł tworzących gzyms kominka w jego sypialni. Przyglądał się podejrzanym cegle ze wzmożoną uwagą, choć na pozór wyglądała tak samo jak pozostałe.

Po chwili podniósł się z łóżka i podszedł do kominka. Przyklęknął i musnął dłonią fragment gzymsu, w którym tkwiła ta dziwna cegła.

- Pozostałe są równe, a ta jedna troszeczkę wystaje - mruknął.

Ogarnęło go dziwne podniecenie. Zerwał się na równe nogi, podbiegł do komody i chwycił nóż do rozcinalnia papieru. Gdy ostrożnie podważył cegłę, natychmiast się ruszyła. Dempsey podwoił więc wysiłki, aż w końcu zdołał ją wyjąć. Okazało się, że to nie była pełna cegła. Dempsey włożył dłoń w dziurę, która powstała w gzymsie. Krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach. Czyżby znalazł to, czego szukał? Czy właśnie tu został ukryty kielich Glyndwra? Sięgnął jeszcze głębiej i wreszcie natrafił na coś palcami.

Na coś niewielkiego, co z pewnością nie było kielichem.
Zacisnął palce i wydobył tajemniczy przedmiot.

Wstał i zaczął przyglądać się zdobyczy w świetle migoczącego na kominku ognia, nie zważając na to, że ma na sobie tylko koszulę nocną i szlafmycę.

- Co to może być, do licha? - mruknął pod nosem. Podeszedł do swego łóżka, by obejrzeć tajemniczy przedmiot w świetle kandelabra stojącego na nocnym stoliku. Wyglądało to jak czarny lew, trzymający w przednich łapach koronę, ponad którą coś się unosiło. - Ależ to głowa gryfa! - wykrzyknął pastor. - Lew, który trzyma koronę udekorowaną głową gryfa! Misterna robota! Niezłe cacko! Jak sądzisz, Theo, jakie było przeznaczenie tego drobiazgu?

Stary pies, wyciągnięty wygodnie pod łóżkiem swego pana, mrugnął do niego i ziewnął.

- To nie jest kielich Glyndwra, ale ma swoje lata. Co najmniej dwadzieścia. Przez dwadzieścia lat nikt tu nie mieszkał. Może to cacko należało do nieszczęsnego pana Digha? Wydaje mi się, że ten drobiazg jest zrobiony ze srebra pokrytego teraz patyną. Tylko co to właściwie jest? Na pewno nie szpilka ani nie broszka - mruknął, obracając niezwykle znalezisko w palcach. - Nie sądzę, by to był fragment kolii albo bransolety. Ten lew ma jedno czerwone oko! - wykrzyknął pastor po chwili. - Najprawdopodobniej z rubinów. Z bardzo małych rubinów, na których nie sposób się wzbogacić. Muszę to jutro wypolerować. Wtedy się okaże, czy to rzeczywiście srebro.

Dempsey wrócił do kominka, by jeszcze raz spenetrować dziurę i upewnić się, że nic więcej się w niej nie kryje. Potem umieścił cegłę

na właściwym miejscu i podszedł do umywalni, żeby zmyć brud z rąk i ramion. Wróciwszy do łóżka, odmówił wieczorną modlitwę i zgasił świece. Oparł się o poduchy i zamknął oczy. Theophilus już od dawna spał. Dźwięk jego pochrapywania wywołał uśmiech na twarzy pastora.

Uśmiech na jego twarzy rozjaśnił się jeszcze bardziej, gdy przed oczami stanęła mu postać młodziutkiej Veroniki Longwood. Zrywała kwiaty na łące nieopodal plebanii jego ojca i dekorowała nimi swój kapelusz. Dokoła niej skakało sześć brązowo-białych szczeniąt. Szarpały tren jej sukni, drapały trzewiki, przewracały się i fikały w wysokiej trawie tak długo, aż przestała się im opierać. Odłożyła kwiaty, usiadła w trawie i pozwoliła, by wdrapały się niezdarnie na jej kolana. Dempsey miał przed oczami rozświetlony promieniami popołudniowego słońca obraz dziewczyny pośród wrzosów, kwiatów i rozbawionych szczeniąt. Veronika odrzuciła włosy do tyłu, roześmiała się i w tym momencie obraz zastygł jak najpiękniejsze malowidło. Pastor przymknął oczy i napawał się pięknem tej wizji, wydobytej z zakamarków pamięci. Serce biło mu radośnie w piersiach. Wielebny pan Dempsey zasnął tej nocy przy wtórze słodkiego śmiechu Veroniki Longwood.

Veronika ostrożnie zwinęła karteczkę z wierszem Richarda Dempseya i wsunęła ją do szkatułki na biżuterię. Potem przebiegła po miękkim dywanie i, otuliwszy się jedwabną koszulą, wślizgnęła się do łóżka i zgasła lampę. Po raz pierwszy od długich dziewięciu miesięcy łóżko nie wydało się jej zimne. Po raz pierwszy od śmierci męża jego nieobecność nie ciążyła jej tak bardzo.

William odprowadził Richarda aż do drzwi frontowych. A potem, jak twierdził zagadnięty przez księżnę Harold Belowes, poszedł z gościem aż do końca podjazdu. William nie zwykł tak postępować. Nigdy przedtem nie zdarzyło się, by odprowadził gościa do drzwi. Zegnał się ze wszystkimi w drzwiach któregoś z salonów, pozwalając, by Gaines sprowadzał ich krętymi schodami i korytarzami do głównego holu i na dziedziniec. Tym razem jednak zwolnił kamerdynera z jego obowiązków. Sam zajął się pastorem. Harold Belowes, który pełnił właśnie służbę w głównym holu, był tak zdziwiony, że niemal zapomniał otworzyć obu dżentelmenom drzwi.

Niby nic wielkiego, pomyślała Veronika. Ot, niewielka zmiana w obyczajach Williama. Nie powinnam przywiązywać do tego wielkiej wagi. Ale to już coś.

- To musi coś znaczyć, skoro zadał sobie tyle trudu i odprowadził Richarda tak daleko - szepnęła Veronika.

Leżała spokojnie pod baldachimem. Zamknęła oczy i pozwoliła myślom swobodnie szybować. Po chwili ogarnęły ją wspomnienia w barwach zieleni, złota, pomarańczy i fioletu. Ujrzała sama siebie, młodszą o wiele lat, zbierającą kwiaty do dekoracji kapelusza. Dokoła niej hasały szczenięta, więc gdy tylko skończyła ozdabiać kapelusz, usiadła na łące, by się z nimi pobawić. Wszystko ją uszczęśliwiało - łąka, kwiaty, psiaki. Wszystkie szczeniaki wdrapały się jej na kolana, więc roześmiała się szczerze i radośnie.

Właśnie wtedy go zobaczyła. Siedział na brunatnym kucyku, nieopodal, pod dębem. Przyglądał się jej w milczeniu, z uśmiechem na swej anielskiej twarzy. Nie miał kapelusza, więc wiatr rozwiewał

jego złote loki. Richard nie wszedł jeszcze w wiek nastoletniej niezdarności, jak jego starsi bracia. Był krzepkim, przysadzystym chłopcem i miał na sobie wcale elegancki żakiet myśliwski po Goeffreyu, skórzane bryczesy po Arturze i wysokie buty do jazdy konnej po Johnie. Veronika nie mogła dostrzec z tej odległości oczu Richarda, wyobrażała sobie jednak, że są jak zwykle szeroko otwarte, błyszczące i bardziej błękitne niż niebo.

Pomachała do niego, a on ponaglił kucyka.

- Mam coś dla ciebie, Vernie! - zawołał swym dzieciennym głosem, zatrzymując się nieopodal. Zsunął się z siodła i podbiegł do niej. Natychmiast obkoczyły go wesołe psiaki. Richard zatrzymał się i zaczął niespokojnie przetrząsać kieszenie. - To musi gdzieś tu być. Na pewno. O, już mam! - wykrzyknął z podnieceniem i wyciągnął jakiś skrawek papieru. Ukłonił się dwornie i pokazał jej kartkę. - To wiersz, Vernie! Sam go napisałem! Zajęło mi to całą godzinę!

Veronika rozwinęła karteczkę. Pomimo kleksów i skreśleń udało jej się odczytać rymowane wersy i serce jej stanęło na chwilę.

- Och, Richardzie! - powiedziała, przyklękawszy, by uściskać chłopca z całego serca. - To przepiękny wiersz. Najlepszy spośród tych, które czytałam. Zatrzymam go na zawsze.

- Na zawsze - mruknęła księżna Berinwick, zasypiając z promiennym uśmiechem na twarzy.

- Trzeba było przekonać księcia, gdy była po temu pora - powiedział Tom Hasty, nadgryzając tosta, oparty o jedną z szafek w kuchni na plebanii tuż po siódmej następnego ranka. - Trzeba było

skłamać i powiedzieć, że widziałeś zwykłego człowieka, a nie ducha Owaina Glyndwra.

- A co bym powiedział, gdyby księżę zapytał, jak ten człowiek wyglądał? - zapytał Langton. - Miałem coś wymyślić? A gdyby tak przeze mnie powieszono niewinnego człowieka? Widziałem ducha Owaina Glyndwra. Ty mi uwierzyłeś. Belowes także. Nie moja wina, że księżę nie uwierzył.

Tom Hasty wzruszył ramionami, a potem zapatrzył się tępo w podłogę.

- Szczerze mówiąc, Harvey, to ja ci też nie wierzę. To znaczy nie wierzę w tego ducha. To Belowes przekonał mnie, że powinniśmy uważać, niezależnie od tego, czy to był duch, czy nie. No bo księżę nie żyje. I basta.

- Nie mogłem przecież pokazać żadnego dowodu, dzięki któremu księżę byłby mi uwierzył - westchnął Langton. - Dobrze wiesz, że tak było. Powóz wjechał w zakręt bardzo szybko i się przewrócił. Nie padł żaden strzał, nikt nie wyciągnął miecza. Wszyscy złamali sobie karki, ale to nic dziwnego w takiej sytuacji. Gdyby mnie tam nie było, nikt by nie wiedział, że za śmierć księcia odpowiada duch Glyndwra. Ned Thistledown mógł przecież zapomnieć, jaki to ostry zakręt, albo zdrzemnąć się na chwilę czy też za mocno pociągnąć za lejce. To byłoby morderstwo doskonałe, gdyby nie przypadkowy świadek. Duchy potrafią popełniać morderstwa doskonałe. Nie pozostawiają po sobie żadnych śladów.

- Po wczorajszym ataku pozostał ślad, Harvey - stwierdził Hasty.
- Jeśli to, co położyłem na twoim stole, nie jest łuską po naboju, to

jesz i pijesz na mój koszt przez trzy kolejne dni. Ranę na pęcinnie Triumphu spowodował strzał, tak jak przypuszczałem. Znalazłem to w okolicy południowej bramy dziś, z samego rana.

- Triumph to imię konia? - zapytał nagle jakiś głos. Tom Hasty, zaskoczony dźwiękiem głosu wielebnego pana Dempseya, podrzucił tosta tak wysoko, że ten omal nie przykleił się do sufitu, a potem spadł prosto na głowę Eulie Langton, która właśnie weszła do kuchni z ogrodu.

Pani Langton zdjęła tosta ze swego czepka i spojrzała na niego ze zdumieniem. Potem spojrzała na sufit.

- Tomie Hasty, nie wyjdiesz stąd, dopóki nie zmyjesz tej plamy - oświadczyła spokojnie.

- Oczywiście, pani Langton - zgodził się Hasty bezzwłocznie.

- I obaj z panem Langtonem natychmiast przeprosicie wielebnego pana Dempseya za rzucanie tostami w jego kuchni. Dzień dobry, pastorze - dodała i dygnęła, skinąwszy uprzejmie głową gospodarzowi. Zaczęła obracać chleb w palcach.

- Nakarmi tym ptaki - stwierdził Langton. - Dzień dobry, panie Dempsey. To jest właśnie Tom Hasty,

- Dzień dobry, panie Dempsey - rzucił pośpiesznie gość. - Zaskoczył mnie pan, zakradając się tu tak niespodziewanie.

- Wcale się tu nie zakradłem - zaprotestował Dempsey, opierając się o framugę i krzyżując ramiona na piersiach. - Rzadko się zakradam do swojej własnej kuchni. Zdaje się, że był pan tak bardzo pogrążony w konwersacji z Langtonem, że nie usłyszał pan, jak wchodziłem. Czy Triumph to imię konia?

Hasty zerknął pytająco na Langtona, który podniósł się na widok gospodarza, a teraz znów usiadł na swoim miejscu.

- Możesz mówić wszystko - wyjaśnił przyjacielowi. -

Opowiedziałem panu Dempseyowi całą tę historię.

- Naprawdę? Przecież prawie nie znasz naszego nowego pastora.

- Zna mnie wystarczająco dobrze - oświadczył Dempsey. -

Ludzie dość szybko się poznają nawzajem, gdy muszą przybijać dachówki na kościelnej wieży w skwarze i upale. Zapewniam pana, panie Hasty, że z mojej strony nic waszemu księciu nie grozi.

Szczerze mówiąc, zamierzam nawet przyłączyć się do waszej trójki i dbać o bezpieczeństwo księcia i jego rodziny. Pytam raz jeszcze. Czy dobrze usłyszałem? Mówiliście o ranie w pęcinie? Triumph to koń?

- Tak - odparł Hasty, opierając się ponownie o szafkę. - To nowy ogier księcia. Przywiozłem go z Gurley Farm zaledwie trzy tygodnie temu.

- I ktoś go postrzelił? - Dempsey wszedł do kuchni, wyjął z szafki dwa kubki i postawił je na stole. Potem sięgnął po dzbanek z kawą. - Proszę usiąść, panie Hasty, i napić się z nami kawy.

- Ktoś postrzelił konia wczoraj po południu - wyjaśnił stajenny, siadając przy stole i biorąc kubek z kawą. - Obawiam się, że chciał zastrzelić księcia, ale nie trafił.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Dlatego, że koń nie zrobił jeszcze nic, za co można by go chcieć postrzelić.

- A księżę zrobił coś takiego? - uśmiechnął się Dempsey.

- Książę obraża kogoś mniej więcej co drugi dzień - westchnął Hasty. - Gdy jest w dobrym humorze i ma dobry tydzień.

- A jeśli ma kiepski tydzień i zły humor, to obraża kogoś codziennie, a w sobotę i niedzielę nawet dwa razy dziennie - dorzucił Langton.

Dempsey roześmiał się szczerze.

- I właśnie tego dżentelmena postanowiliście chronić? Nie chcę przez to powiedzieć, że nie powinniście tego robić, ale ciekaw jestem, co wami powodowało?

- Bo przez całe swoje życie był naszym baronem Thor-nem of Barren Wycche, a teraz jest naszym księciem Berinwick.

- Wszyscy członkowie tego rodu, nawet najbardziej zdziwaczali, byli zawsze wobec nas lojalni i roztaczali nad nami opiekę, panie Dempsey. Tak było od dawien dawna - wtrącił Langton. - Nikt z nas się nie obraża z powodu szorstkich manier księcia.

- Książę jest przynajmniej szczerzy - powiedział Hasty.

- To prawda. Maniery nie są najważniejsze - dodał Langton. - Będzie taki sam, jak wszyscy Thorne'owie. Bardzo poważnie traktuje to, za co jest odpowiedzialny.

- Jeśli gdzieś w okolicy jest ktoś, komu brakuje chleba, dachu nad głową albo pieniędzy, to dzieje się tak tylko dlatego, że książę nie wie o jego istnieniu - wyjaśnił Hasty, obracając kubek w dłoniach i wpatrując się w wirującą w kubku kawę.

- Właśnie. W całym kraju ludzie tracą ziemię i swoje gospodarstwa, a nawet prawa do uprawy gruntów gromadzkich. Wszędzie, ale nie u nas - powiedział Langton z powagą. - Wielu

Anglików ucieka teraz do miast, by jakoś zarobić na życie. Zewsząd, ale nie stąd. Dziś mamy więcej praw i ziemi niż pięćdziesiąt lat temu.

- A poza tym - Hasty przerwał to, co zapowiadało się na długi monolog Langtona - my jesteśmy tacy sami jak książę.

- To wystarczające uzasadnienie - uśmiechnął się Dempsey. - A teraz proszę mi o wszystkim opowiedzieć, panie Hasty. Co się stało z ogierem księcia?

Nieco później tego samego ranka Veronika ze zdumieniem, ale i z radością przywitała pastora, którego lokaj wprowadził do dziennego salonu.

- Dziś nie przyprowadził pan Theophilusa - zauważyła, gdy pastor pochylił się nad jej wyciągniętą dłonią.

- Nie. Dziś Theo został pod opieką pani Langton. Pani Langton piecze tarty - wyjaśnił Dempsey z chłopięcym uśmiechem. - A Theophilus uwielbia tarty.

- I z pewnością przekona ją, by upiekła jedną albo dwie specjalnie dla niego. Założę się, że tak będzie. Zechce pan usiąść, panie Dempsey? Czy sprowadza pana coś szczególnego? Może trzeba więcej dachówek albo...

- Przyjechałem, by porozmawiać z pani synem, ale Gaines mi powiedział, że książę pojechał do północnego gospodarstwa.

- Owszem. Dziś zaczynają się sianokosy. Sądzę jednak, że William niedługo wróci. Czy możemy pana czymś poczęstować? Jadł pan już śniadanie?

- Marzę tylko o tym, by zechciała pani dotrzymać mi towarzystwa, gdy będę czekał na księcia.

- W takim razie możesz odejść, Gaines. Gdy tylko księżę wróci, powiedz mu, że wielbny pan Dempsey czeka tu na niego.

- Oczywiście, wasza wysokość. - Kamerdyner się uklonił i wyszedł.

- Sianokosami zajmuje się McClane, ale William nie zamierza scedować wszystkich obowiązków na swego rządcę. Woli sam trzymać pieczę nad wszystkim, jeśli tylko może. Sądzę, że wróci najdalej za pół godziny, gdy tylko wyda odpowiednie dyspozycje. Wydaje mi się, że wczoraj bardzo dobrze się wam rozmawiało, Richardzie - dorzuciła z nutą nadziei w głosie, która nie uszła uwagi Dempseya.

- Obawiałaś się, że będzie inaczej? Polubiłem twojego syna, Veroniko. Z czasem on także mnie polubi. Możesz być tego pewna. Musimy tylko przejść kilka prób, a zaprzyjaźnimy się na dobre i złe mimo to, że on bywa wściekły jak osa, a ja uparty jak osioł.

- Wiem, że William może się wydawać swarliwy. - Veronika mówiła ciszej i spuściła wzrok, by zatrzymać spojrzenie na splecionych na kolanach dłoniach. - Wiem, że jego sposób bycia może działać na nerwy. Ale to tylko dlatego, że...

- Dlaczego? - zainteresował się Dempsey, widząc, że Veronika nagle zeszywniała i w bardzo dziwny sposób pochyliła głowę. W jej zachowaniu w okamgnieniu zaszła ogromna zmiana. Dlaczego? Z powodu jego niestosownego żartu? Dempsey poczuł nagle ściskanie w dołku. - Veroniko, co się stało? Ja tylko żartowałem, że twój syn bywa wściekły jak osa.

- Nie, to nie był żart, Richardzie. William jest drażliwy, bywa irytujący i czasem zachowuje się fatalnie. -Księżna w dalszym ciągu unikała spojrzenia gościa. - To wszystko przeze mnie.

- Na pewno nie! - wykrzyknął Dempsey.

- Tak, Richardzie. Ja... Ja... to moja wina, że Will stał się cynicznym i nieprzyjemnym człowiekiem. Och, co ja robię? Po co ja to mówię? Ledwo do nas przyjechałeś, Richardzie. Z pewnością wolałbyś nie słuchać tych głupstw. - Spojrzała na pastora, próbując zdobyć się na uśmiech, ale jej usta tylko zadrżały i nie zdołały go utrzymać. -

O niczym nie wiesz. Nie zdołasz tego zrozumieć. Nie powinnam ci zawracać głowy.

- Bardzo bym chciał, żebyś mi o tym opowiedziała, jeśli tylko jesteś w stanie, Vernie - powiedział Dempsey łagodnie, ujmując dłoń księżnej. W dalszym ciągu nie chciała mu spojrzeć w oczy, więc zaczął przyglądać się jej słodkim, pulchnym palcom. - Bardzo chętnie posłucham i postaram się zrozumieć, moja droga. Nie powinnaś jednak mówić, że twój syn jest nieprzyjemnym cynikiem. Każdy z nas taki bywa od czasu do czasu. Ja nie powinienem mówić, że bywa wściekły jak osa. Chciałem tylko zażartować zarówno z niego, jak i z siebie samego. Wczoraj wieczorem twój syn okazał się nader uprzejmym i sympatycznym gospodarzem.

- To prawda. Zachowywał się całkiem nieźle przez większą część wieczoru. Sama nie wiem, dlaczego. Zazwyczaj okazuje gościom znacznie mniej cierpliwości.

- Doprawdy? - uśmiechnął się pastor. - W takim razie jestem ci winien wdzięczność, Veroniko, bo z pewnością zdobył się na cierpliwość tylko ze względu na ciebie, ze względu na to, że znamy się od dzieciństwa.

- Sądzisz, że William był dla ciebie miły i uprzejmy, żeby mi sprawić przyjemność?

- Owszem. Czy widzisz jakiś inny powód, moja droga? - Dempsey oderwał wzrok od jej dłoni i spojrzał na twarz księżnej. Wciąż unikała jego spojrzenia, ale zdołał zauważyć łzę, która zakręciła się w kącie oka i spłynęła po policzku.

- Twój syn cię kocha, Veroniko, i dlatego pragnie ci sprawić przyjemność. Dlaczego płaczesz? - zapytał łagodnie.

- William wcale mnie nie kocha - szepnęła drżącym głosem.

- Księżę cię nie kocha? - Wielebny pan Dempsey przesiadł się na sofę, nie wypuszczając dłoni Veroniki z ręki. - Veroniko, co ty mówisz?

- Mówię, że... że... William mnie nie kocha i nie powinien mnie kochać. Mylisz się, sądząc, że to ze względu na mnie był wobec ciebie cierpliwy i uprzejmy.

Po raz pierwszy od wielu lat Richard Dempsey nie wiedział, co powiedzieć. Zupełnie nic mu nie przychodziło do głowy. Szukał więc natchnienia w sercu. Veronika z pewnością się myli. Słodka, miła Veronika Longwood, która była promyczkiem jego dzieciństwa, kochana przez wszystkich bez wyjątku i wszystkim odpłacająca miłością, twierdzi, że jej własny syn jej nie kocha? Jak to możliwe?

- Nie mogę w to uwierzyć. - Dempsey przerwał wreszcie milczenie. - Veroniko, wszyscy, którzy cię znają, kochają cię. Nie mogę sobie wyobrazić żadnego powodu, dla którego twój syn miałby żywić inne uczucia.

- Wystarczy na niego spojrzeć, by odgadnąć przyczynę - szepnęła drżącym głosem. - Nie jesteś przecież ślepy, Richardzie.

- Sądziysz, że księżę cię nie kocha z powodu uszkodzonego oka?

- To nie jest uszkodzone oko. On w ogóle nie ma oka. Z mojej winy. Ja jestem winna wszystkim cierpieniom i wszystkim bliznom Williama - nie tylko tym, które ma na twarzy, ale także tym, które nosi w sercu i duszy. To wszystko przeze mnie.

Dempsey miał ochotę wykrzyknąć na cały głos: „Bzdura!”, ale nie zrobił tego. Siedział w milczeniu i głaskał Veronikę po dłoni, czekając, aż księżna znajdzie w sobie dość odwagi i dość zaufania, by kontynuować.

- Nie chcesz ich zatrudnić? - Księżę Berinwick spiorunował wzrokiem swego rządcę. - A dlaczegoż to, jeśli wolno wiedzieć?

- Dlatego, że są Walijszykami, wasza wysokość. Cała piątka.

- Powiedz mi, McClane, czy nie potrzebujemy rąk do pracy?

Czy mamy dość woźniców? Czy nie przydałoby się więcej kosiarzy i ludzi do stawiania stogów?

- Dodatkowe ręce do pracy zawsze mogą się przydać.

Szczególnie w tym roku, na tym polu, ale...

- A czy ktoś z naszych ludzi nie ma pracy?

- Nie, wasza wysokość.

- W takim razie możecie się zabierać do roboty - powiedział książę do pięciu mężczyzn, którzy stali nieopodal. - Spisz ich nazwiska, McClane, i zadбай o to, by dostali taką samą dniówkę jak pozostali.

- To Walińczycy - powtórzył rządcą. - Lepiej im nie ufać. Niech idą gdzie indziej.

Przybysze spojrzeli na McClane'a z niedowierzaniem. Przyjechali z daleka z nadzieją, że przynajmniej na czas sianokosów znajdą pracę w Blackcastle. Teraz spuścili głowy w milczeniu i przełknęli cisnące się na usta przekleństwa. Nie odważyli, się jednak zaprotestować głośno w obecności samego księcia.

- Mają iść gdzie indziej? - powtórzył książę tak głośno, że wszyscy usłyszeli nutę gniewu w jego głosie. - Lepiej nie ufać Walińczykom? Czyś ty oszalał, McClane? Sianokosy w Blackcastle nigdy by się nie udały, gdyby nie silne i sprawne ręce Walińczyków. Jeżeli jest ktoś, komu wahałbym się zaufać ostatnimi czasy, to byłbyś to właśnie ty. Zaczynam podejrzewać, że jakiś robak draży ci mózg i odbiera zdrowy rozsądek. Zapisz ich nazwiska i przydziel pracę, jeśli sam nie chcesz szukać nowej posady przed zachodem słońca.

Berinwick odczekał chwilę, pilnując, by rządcą wykonał polecenie. Patrzył, jak Walińczycy dołączają do kosiarzy, witani życzliwie i przyjaźnie. Zmierzył wzrokiem ogromną łąkę, zerkając od czasu do czasu na rządcę i zastanawiając się, co mu się stało w ostatnich dniach. Potem skinął McClane'owi głową, dosiadł konia i skierował go w stronę zamku. Zatrzymał się na najbliższym wzgórzu, by jeszcze raz rzucić okiem na pole. Przyszło mu do głowy, że może

postąpił trochę nierozsądnie, traktując McClane'a w ten sposób w obecności Walijczyków.

- Też coś! - mruknął zagniewany, ruszając przed siebie. - Jeśli on stroi takie fochy, to sam się zajmę sianokosami. Wiem przecież doskonale, co trzeba robić. Do diabła! Jak ten człowiek mógł zasugerować, że przybyszom nie można zaufać tylko dlatego, że są Walijczykami! Jakbyśmy my, Thorne'owie, nie byli Walijczykami wtedy, gdy postawiliśmy naszą stopę na tej ziemi, by zbudować tu Blackcastle.

Pomyślał, że może warto pojechać koło południowej bramy, by jeszcze raz przeszukać miejsce, w którym Triumph został zraniony, ale odstąpił od tego zamiaru. Tom Hasty zaoferował, że to zrobi, a książę nie chciał okazać mu braku zaufania. W przeciwieństwie do McClane'a, zatrudnionego przez ojca Berinwicka czternaście miesięcy temu na miejsce Davida Hancocka, Tom Hasty urodził się w Blackcastle. Syn książęcego stangreta i pokojówki mieszkał na zamku trzy lata dłużej niż William.

- Przez te wszystkie lata Tom służył mi i ani razu nie słyszałem, by narzekał - mruknął Berinwick, jadąc w stronę stajni. - To święty człowiek. No cóż, przynajmniej po śmierci nie będzie musiał borykać się z żadnym z książąt Berinwick. Nie sądzę, by choć jeden Thorne of Barren Wycche trafił do nieba.

Nie, pomyślał z uśmiechem. Choć wydaje mi się, że wielbny pan Dempsey także nie trafi tam bez trudu. Już sobie wyobrażam, jak negocjuje ze świętym Piotrem.

Dlaczego pomyślałem o Dempseyu? Czyżby siedział na dachu kościelnej wieży i przeklinał moje imię?

- William miał wtedy zaledwie trzy lata - zaczęła Veronika tak cicho, że Dempsey musiał wyteńczyć słuch, choć siedzieli bardzo blisko siebie. - Tej wiosny pojechał z nami i ze swoją nianią do Londynu. Był takim pięknym dzieckiem. Słodkim i pełnym życia. To się zdarzyło wieczorem dwudziestego trzeciego kwietnia 1773 roku. Nigdy nie zapomnę tej daty. Do końca życia. Dostaliśmy osobiste zaproszenie króla na obiad w pałacu świętego Jakuba.

Veronika przerwała, a jej dłonie, które pastor wciąż trzymał w swoich, zdrząły bezwiednie.

- Trudno mi sobie wyobrazić taki zaszczyt - powiedział Dempsey, chcąc przerwać milczenie. Obawiał się, że Veronika nie zechce kontynuować, jeśli on się nie odezwie.

- Wyjątkowy zaszczyt - szepnęła. - Kupiłam sobie wspaniałą suknię na tę okazję. Powinnam była pójść najpierw do pokoju dziecięcego, by się pożegnać z Williamem. Ale byłam tak zaabsorbowana sobą, swoją suknią i fryzurą, że nie zrobiłam tego. - Veronika spojrzała na Dempseya oczami pełnymi łez. - William uciekł niani i zszedł po schodach, by mnie znaleźć. Żeby się ze mną pożegnać. „Mama!” zawołał wesoło i przytuptał do mojej garderoby. „Znalazłem cię!” I podbiegł do mnie, żeby mnie uściskać. Na jego paluszkach były wszystkie kolory tęczy. Tylko to widziałam. Kolorowe paluszki. Bałam się, że zniszczy moją wspaniałą suknię. Nie mogłabym wówczas pójść na obiad. Julian popadłby w niełaskę u

króla Jerzego i królowej Małgorzaty i moje życie ległoby w gruzach. Tak wtedy myślałam. Byłam prózną i głupią egoistką. Jakby liczyła się tylko moja suknia i obiad w pałacu świętego Jakuba.

- Byłaś bardzo, bardzo młoda - uspokajał ją pastor, nie dopuszczając do tego, by rozdzieliła ich cisza.

- Odepchnęłam go! - Veronika wykrzyknęła te słowa z wielką gwałtownością. - Odepchnęłam go tak mocno, że poleciał na drugą stronę pokoju. Uderzył się o kant bieliźniarki, a potem wpadł na lustro. Nie mogę tego zapomnieć - nie mogę zapomnieć obrazu szlochającego Williama pośród odłamków szkła. I własnego krzyku. Krzyczałam i krzyczałam, aż wreszcie Jules przyszedł i wziął małego na ręce. Na koszuli Juliana były plamy od krwi i łez. Na koszuli, na koronkowym żabocie, na jedwabnej, niebieskiej kamizelce. - Księżna Berinwick nie mogła już dłużej powstrzymać się od łez. Wyrwała dłonie pastorowi i zarzuciła mu ramiona na szyję, kryjąc zapłakaną twarz na jego piersi. - William uderzył okiem o kant bieliźniarki - szepnęła. - Skóra wokół oka była rozcięta tysiącami drobinek szkła. Mój chłopiec, mój malutki chłopiec cały zakrwawiony płakał w ramionach Julesa tylko dlatego, że ja nie chciałam, by poplamił mi suknię. A farba była sucha! - Głos księżnej był już ledwo słyszalny. - Farba na słodkich paluszkach Willa była sucha!

Wielebny pan Dempsey przytulił księżną Berinwick. Kołysał ją łagodnie i głaskał po plecach, odgarniał włosy z rozpalonych, zalanych łzami policzków. Jego surdut, kamizelka i koszula były coraz bardziej mokre od jej łez, ale pastor wcale tego nie zauważył.

Tom Hasty wyszedł natychmiast, by przejąć wodze, gdy tylko księżę zatrzymał się przed stajnią.

- Szukałem cię dziś rano, Tom - powiedział Berinwick. - Lancaster twierdził, że wybrałeś się na plebanię.

Hasty pokiwał głową.

- Byłeś też przy południowej bramie? Hasty raz jeszcze skinął głową.

- Znalazłeś coś?

- Żadnych kolców, wasza wysokość. Wstąpiłem na chwilę do St. Milburga's, żeby pogadać z Langtonem.

- O kolcach?

- W pewnym sensie - mruknął Hasty pod nosem. - Musimy z księciem o czymś ważnym porozmawiać. Ja, Lang-ton i wielbny pan Dempsey. Zastanawialiśmy się, czy księżę nie zechciałby wstąpić z nami na piwo do gospody Pod Psem, żebyśmy mogli swobodnie pogawędzić. Berinwick uniósł brew ze zdziwienia.

- A nie obawiasz się, że to spowoduje mnóstwo plotek, Tom? Ty, ja, Langton i nowy pastor przy jednym stole w gospodzie.

- Mnóstwo plotek?

- Tak. Nie wiesz, jak się rodzą plotki. Gdy ostatnio wybraliśmy się razem z Langtonem do gospody, gruchnęła wieść, że uwiodłem najstarszą córkę Langtona, a ty usiłujesz załagodzić sytuację i doprowadzić do jakiegoś porozumienia.

- To prawda - uśmiechnął się Tom. - Ludzie gadali głupstwa. Ale nikt w Barren Wycche nie wierzył w ani jedno słowo. To była dla nich tylko rozrywka.

- Jak ona ma na imię?

- Kto, wasza wysokość?

- Najstarsza córka Langtona.

- Chyba Beth.

- Jak ona to zniosła? Langton jakoś nic o tym nie wspominał.

- Całkiem dobrze, wasza wysokość. Nieźle się bawiła. Chodziła po wsi jak królowa. Beth ma poczucie humoru. Jak jej matka. W zeszłym miesiącu zaręczyła się z Gilesem Pervisem. Pobiorą się zaraz po żniwach.

- To dobrze. W takim razie przyjdę dziś do gospody. Skoro tamte plotki przeszły bez echa, to najprawdopodobniej trzeba puścić w ruch nowe.

- Pewnie tym razem głównym bohaterem będzie nowy pastor. Ciekawe, co ludzie wymyślą. A zresztą on jest właśnie na zamku.

- Kto?

- Wielebny pan Dempsey. Chce porozmawiać ze mną na jakiś inny temat. Na razie rozmawia z księżną.

- Lady Hanna pojechała odwiedzić pannę Tofar. Posłałem z nią Lancastera, wasza wysokość.

- To dobrze. O której wybieramy się do gospody?

- Umówiłem się z Langtonem kwadrans po siódmej, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wasza wysokość.

Berinwick pokiwał głową, obrócił się i podszedł do jednego z bocznych wejść do zamku, podzwaniając ostrogami i wzniecając niewielkie obłoczki kurzu na dziedzińcu. Niezależnie od tego, o czym chce rozmawiać Dempsey, będzie musiał poczekać, aż się przebiorę.

Najprawdopodobniej matka cieszy się, że mogą spędzić trochę czasu sam na sam. Pewnie wspominają dawne czasy i ludzi, których znali w Arrandell. Chyba nie byłaby najszcześliwsza, gdybym wparował w samym środku rozmowy, w zakurzonym i cuchnącym stroju do jazdy konnej. Matka lubi pana Dempseya.

- Lubi Richarda - mruknął z dość cynicznym uśmiechem. - Będzie do niego mówić po imieniu, wtedy, gdy będzie miała na to ochotę. A on ją będzie nazywał Veronika. Mam tylko nadzieję, że nikt ze służby nie słyszał tej deklaracji.

Jeśli jakieś plotki na ten temat dotrą dziś wieczorem do gospody, to jutro cała wieś będzie huczała o tym, że wielbny pan Dempsey przyjechał do St. Milburga's, by poślubić moją matkę. I że przy piwie prosi mnie o jej rękę. Na pewno rozniesie się także, że Hasty i Langton przyszli tam po to, by mnie powstrzymać od rękoczynów. Książę Berinwick zachichotał, wspinając się po schodach do swego pokoju.

- Po tym wszystkim nie mogłam znieść kontaktów z własnym synem - powiedziała Veronika, wsparta o ramię Dempseya, ocierając łzy jego chusteczką. - Bałam się zostać z nim sam na sam. Unikałam go, gdy tylko mogłam. Gdy na niego patrzyłam, przypominałam sobie, co zrobiłam z powodu swej próżności i głupoty. Nawet dziś, gdy na niego patrzę, ogarnia mnie poczucie winy.

- Veroniko, to był wypadek. - Pastor otoczył ją ramieniem. - Nie chciałaś przecież, by to się zdarzyło.

- Nie. Nigdy. Ale gdy to się już zdarzyło, Richardzie, nie mogłam się zmusić do tego, by wziąć Williama na ręce, by coś do

niego powiedzieć, by go przytulić. Trzęsłam się, gdy tylko usłyszałam jego głos. A w jego obecności zachowywałam się tak, jakbym była wykuta z kamienia. Tymczasem Julian, który mnie kochał, wciąż mnie usprawiedliwiał. Zamiast zmusić mnie do stawienia czoła temu, co sama spowodowałam, odsyłał małego do pokoju dziecięcego i troszczył się, bym go nie widywała, o ile sobie tego nie życzyłam. Gdy zaś William skończył sześć lat, Jules wysłał go do szkoły.

Dempsey wyobraził sobie, jak się mógł czuć taki maluch z wielką blizną pośród starszych uczniów, i serce mu podeszło do gardła.

- Inni chłopcy byli dla niego tacy okrutni. Julian nigdy mi o tym nie mówił, ale słyszałam, jak William go błagał, by pozwolił mu zostać w domu i uczyć się z guwernerami. William miał wtedy dziewięć lat. Właśnie wtedy urodziła się nasza córka, Charlotte.

- I co księżę powiedział, gdy syn prosił o pozwolenie na naukę w domu? - zainteresował się Dempsey, zastanawiając się jednocześnie, co sam by powiedział w takiej sytuacji.

- Powiedział, że Will musi się nauczyć zachowywać jak mężczyzna. „Noś wysoko głowę”, powiedział. „Nie jesteś byle smarkaczem, którego łatwo wystraszyć spojrzeniem czy głupim docinkiem. Pewnego dnia będziesz dziewiątym księciem Berinwick. Zachowuj się, jak przystało na księcia”. Och, jakże on mógł - zaszlochała Veronika. - Jak Julian mógł być tak surowy i nieczuły wobec własnego syna. Chłopiec, który miał tak okropną matkę, potrzebował kochającego ojca. William cierpiał przecież nie z własnej

winy, cierpiał tylko dlatego, że pewnego dnia zbiegł na dół po schodach, by pożegnać się z własną matką.

- Twój mąż chciał ci zapewnić spokój, Veroniko. Wiedział, jak działa na ciebie widok chłopca i...

- Traktował mnie jak delikatną roślinkę. Niczego ode mnie nie żądał. Niczego ode mnie nie oczekiwał. Pozwalał, bym pograżała się w swym własnym egoizmie, aż w końcu stały się rzeczy nieodwracalne. Julian powinien więcej ode mnie wymagać, więcej oczekiwać. Nie. Nie. To nieprawda. To niesprawiedliwe. Sama powinnam więcej od siebie wymagać. Powinnam odnaleźć w sobie siłę i odwagę zarówno ze względu na Willa, jak i na siebie. Ale nie zrobiłam tego, a Jules nie chciał mnie do tego zmuszać. I teraz melancholijne usposobienie mojego syna, jego szorstkość, nieczułość i porywczosć, wszystko to trzeba dodać do mojej pierwotnej winy.

Veronika odwróciła się i znów zaczęła szlochać wtulona w ramię Dempseya. Pastor pogłaskał ją delikatnie po plecach. Czuł, że powinien coś powiedzieć. Czuł, że jeśli się nie odezwie, Veronika będzie w dalszym ciągu wierzyła w to, co przed chwilą powiedziała. I że do końca życia będzie się czuła winna, gdy tylko jej syn spojrzy na kogoś krzywo, odezwie się cynicznie albo wpadnie w posepny nastrój.

- Co pan wyprawia, na miły Bóg? - ryknął Berinwick, gdy Dempsey uniósł dłoń, by odgarnąć kosmyk z wilgotnego policzka Veroniki. - Proszę przestać głaskać moją matkę, jakby była pańskim psem, i proszę natychmiast zdjąć z niej swoje łapy, chyba że chce pan, bym mu je odciął.

- Williamie, nie mów takich rzeczy - zaprotestowała księżna, odsuwając się błyskawicznie od pastora i osuszając oczy jego chusteczką.

- On nie ma prawa cię tak obejmować, a ty nie powinnaś tulić mu się do ramienia jak byłe kto. Jesteś w końcu księżną, a on pastorem!

- On tylko starał się mnie pocieszyć - odrzekła Veronika, wydmuchując nos w chusteczkę Dempseya. - Opowiadałam mu o Charlotte... i...

- Och. - Berinwick wszedł do salonu i zajął miejsce zwolnione przez pastora. - Czy mama płakała?

Veronika pokiwała głową.

- W takim razie przepraszam za to, co powiedziałem. Mama kochała Charlotte najbardziej z nas wszystkich. Przepraszam pana, panie Dempsey. Zapewne zrobił pan to, co należało, skoro mama opłakiwała śmierć Charlotty. Czy już lepiej, mamo?

Księżna przytaknęła.

- Czy mam zadzwonić na Gainesa i kazać podać herbatę?

- Nie, dziękuję, Williamie.

- Tom Hasty mówił, że chciał pan ze mną zamienić parę słów. - Berinwick raptownie zmienił temat. - Czy chciał pan porozmawiać na osobności?

- Owszem, ale skoro pańska matka...

- Idźcie - powiedziała księżna. - Idźcie porozmawiać w gabinecie. Czuję się zupełnie dobrze i mam parę spraw do załatwienia przed zachodem słońca.

Obaj panowie wyszli. Dempsey trochę się ociągał, by zerknąć jeszcze na księżną.

- Czy pańska matka często płacze? - zapytał Berinwicka, gdy szli długim korytarzem.

- Wydaje mi się, że rzadko. Nigdy nie widziałem, żeby płakała.

- Na pewno pan widział, tylko pan nie pamięta. Gdy stracił pan oko... o, przepraszam, nie powinienem o tym wspominać.

- Dlaczego nie?

- To musiało być straszne doświadczenie i nie sądzę, by chciał pan je pamiętać. - Dempsey miał ochotę wymierzyć sobie policzek i byłby to zrobił, gdyby nie obawa, że wyjdzie na kompletnego durnia. Z całego serca pragnął wprowadzić pomoc Veronice i jej synowi, ale uwagi o oku księcia były z pewnością nie na miejscu. Veronika nie chciała przecież zdradzić synowi, o czym rozmawiali. Wspomniała coś o śmierci Charlotty. Powinien więc udawać, że wie wszystko o śmierci Charlotty i nic na temat oka Berinwicka.

Berinwick skrzył w drugi korytarz po prawej stronie.

- Matka z pewnością płakała, gdy straciłem oko - rzekł z zadumą w głosie. - Ale ja nic o tym nie wiem. Nikt mi o tym nie wspominał.

- A pan nic nie pamięta?

- Nic a nic. W ogóle nie pamiętam tego WYPADKU. Wszyscy tak to określali, gdy byłem dzieckiem. WYPADEK. Zawsze wyobrażałem sobie, że to słowo powinno być pisane wielkimi literami - powiedział Berinwick z krzywym uśmiechem.

- Nie wie pan, jak pan stracił oko? - Dempsey nie wierzył własnym uszom.

- Nie mam pojęcia. Nigdy nie ośmieliłem się zapytać.

Podejrzewam, że popełniłem jakieś dziecinne głupstwo i w rezultacie straciłem oko. Proszę tutaj, panie Dempsey. Niechże pan siada. O czym chciał pan ze mną porozmawiać tak pilnie, że nie mógł pan tego odłożyć do wieczornego spotkania w gospodzie? - zapytał księżę, sadowiając się za ojcowskim biurkiem.

- A więc księżę zamierza się do nas przyłączyć? - zdziwił się pastor. - Mimo że to publiczne miejsce?

- Dlaczegożby nie? Barren Wycche to niewielka wioska. Mamy tylko jeden pub. Jeśli księżę chce się napić piwa w gospodzie razem ze stajennym, stróżem i pastorem, to nie ma wielkiego wyboru. W gospodzie wszyscy są równi. Wszystkie ławy są takie same, nie obowiązuje żadna hierarchia.

- Rozumiem.

- Nie sądzę, by pan rozumiał, ale to nie ma znaczenia. Wkrótce pan pozna tutejsze obyczaje i obowiązującą hierarchię. A więc cóż to za pilna sprawa?

- Chodzi o ten drobiazg - wyjaśnił Dempsey, wyjmując wypolerowanego srebrnego lwa z kieszeni surduta i kładąc go na biurku Berinwicka.

Księżę aż podskoczył na widok bibelotu. Zerwał się z miejsca i porwał rapier ze ściany. Nim wielebny pan Dempsey zdołał się zorientować w sytuacji, szpic szpady opierał się już o jego własny surdut, parę cali od serca.

- Kim pan jest? - zapytał Berinwick bardzo cicho, ledwie ruszając ustami i ciskając pioruny swym jednym okiem. -

Nieemożliwe, by był pan Richardem Dempseyem, za którego ma pana moja matka. Dlaczego pan sądzi, że może pan wejść swobodnie do mojego domu i położyć tego przekłętego lwa na biurku mego ojca, zupełnie jakby to był nic nie znaczący drobiazg? Dlaczego pan sądzi, że nie przebiję pana tym rapierem?

RS

Dempsey patrzył przez chwilę na szpic szpady, a potem spojrzął w jedyne, roziskrzone wściekłością oko gospodarza. Ostrożnie wziął koniec rapiera w palce i przesunął ostrze w bok, tak że zawisło pod jego lewym ramieniem.

- Gdybym wiedział, że z powodu tego przekłętą lwa mogę stracić życie, z pewnością zostawiłbym go w kryjówce, w której go znalazłem - oświadczył. - Bój się Boga, Berinwick! Zabić człowieka za jedno niewinne pytanie?

- Proszę nie mówić do mnie „Berinwick"! Nie jesteśmy krewnymi ani przyjaciółmi.

- Proszę o wybaczenie, wasza wysokość. Ostrze szpady wymierzone w moje serce sprawiło, że zapomniałem o dobrych manierach. Czy zechce mi pan powiedzieć, dlaczego ta figurka wzbudziła w panu taki gniew? Bo ja nie mam pojęcia, jaka jest tego przyczyna. Przyniosłem tego lwa panu, żeby się dowiedzieć, co to właściwie jest. Bo, jak sądzę, nie jest to całkiem zwyczajny drobiazg. Czy też może jest pan po prostu szaleńcem?

- O jakiej kryjówce pan mówi? Gdzie pan to znalazł? -zapytał Berinwick, nie wypuszczając rapiera z dłoni, gotów w każdej chwili przesunąć ostrze w okolicę serca pastora, gdyby ten udzielił niezbyt satysfakcjonującej odpowiedzi.

- Znalazłem to wczoraj w nocy za ruchomą cegłą w kominku we własnej sypialni.

- Co pan wyprawia na naszej plebanii? Przebudowuje pan teraz kominek? - ryknął Berinwick. - Od początku nie miałem do pana wielkiego zaufania, a teraz już zupełnie panu nie ufam.

- Pan chyba nikomu nie ufa, prawda?

- Oczywiście, że to nieprawda.

- Obawiam się, że to prawda. Tu w Blackcastle nie ma nikogo, komu by pan w pełni ufał. Sądzę, że nawet matce czy siostrze nie zwierza się pan ze swych myśli, ze swych obaw i ze swych uczuć.

- O czym pan mówi, do diaska? - zdenerwował się Berinwick i świsnął rapierem koło ucha gościa. - Dlaczego miałbym się komukolwiek zwierzać? Zdaje się, że chce pan odwrócić moją uwagę od tematu i od tego, co pan trzyma w ręce.

- Od tematu? Od tematu, którym ma być moja śmierć z pańskiej ręki? Uważa pan, że nie powinienem się starać odwrócić od tego pańskiej uwagi?

Berinwick nic nie odpowiedział, ale na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Byłbym idiotą, gdybym tego nie robił. Pan też tak uważa. Proszę to przyznać.

- Niczego nie będę przyznawał. Ma pan do czynienia z dżentelmenem, który trzyma broń w swojej dłoni.

- Tego nie musi mi pan przypominać. Podejrzewam, że wkrótce stracę ucho, jeśli nie przestanie pan wymachiwać tym, co pan trzyma w rękę. Wolałbym, żeby ten rapier wrócił na swoje miejsce na ścianie - mruknął Dempsey. - To doprawdy bardzo deprymujące.

- Mogę przyłożyć ostrze do pańskiego serca, jeśli pan woli.

- Dziękuję bardzo. To nadmiar uprzejmości z pańskiej strony.

Berinwick zachichotał cicho.

- Naprawdę znalazł pan tego lwa za cegłą w kominku?

- Za pustą cegłą. To byłaby doskonała kryjówka, gdyby nie fakt, że cegła zaczęła trochę wystawać. Tylko odrobinę, ale to wystarczyło, by zwrócić moją uwagę.

- Ma pan niezły wzrok jak na starego człowieka.

- Ja nie jestem starym człowiekiem - zaprotestował Dempsey, gdy Berinwick opuścił rapier i odwrócił się, by powiesić go na ścianie. - Cóż za impertynencja.

- Jestem urodzonym impertynentem - oświadczył książę, siadając na swoim miejscu. - Ale jak pan widzi, nie brak mi rozsądku. Wszystko wskazuje na to, że lwa ukrył w kominku wielebny pan Dight. Ciekawe, dlaczego ojciec nie rozebrał plebanii w poszukiwaniu tego drobiazgu. Może wcale mu tak na tym nie zależało. Miał inne dowody niegodziwości Dighta. - Berinwick wziął lwa do ręki i zaczął mu się przyglądać z uwagą. - Wygląda tak, jak pozostałe - dodał, obracając figurkę w palcach.

- Pozostałe?

- W rękach naszej rodziny są jeszcze dwa. Ten będzie trzeci. Chodźmy, pokażę je panu.

Dempsey podążył za gospodarzem krótkim korytarzem zakończonym pięcioma stopniami, za którym zaczynał się kolejny korytarz. Potem zeszli krętymi schodami w dół do jakiegoś tunelu, za którym były kolejne kręte schody, prowadzące tym razem w górę. Zatrzymali się przed dębowymi drzwiami z miedzianymi okuciami.

Berinwick włożył ogromny klucz do ogromnego zamka, przekreślił go i otworzył drzwi. Obaj dżentelmeni weszli do okrągłej izby.

Dempsey wstrzymał oddech na widok tego, co błyszczało w promieniach słońca, wpadających przez sześć wąskich okien.

- Lampy nie będą nam chyba potrzebne - mruknął Berinwick, patrząc na osłupiałego ze zdumienia pastora. - Powinna stać gdzieś na tej półce. Tak. Jest.

Książę wziął do ręki jakiś srebrny przedmiot i postawił go na stole. Podstawę tworzyły trzy figurki smoków, stojących na tylnych łapach i trzymających w przednich łapach srebrną, okrągłą tacę. Ich pyski wyciągały się do góry. Patera miała jakieś dwanaście cali wysokości.

- Wygląda, jakby pochodziła z czasów celtyckich, prawda? - powiedział Berinwick, szukając czegoś na innej półce. - Ale nie pochodzi. Patera została wykonana we Włoszech na zamówienie Edwarda III.

- Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego - westchnął Dempsey, mając na myśli nie tyle patere, którą postawił przed nim książę, co półki zastawione innymi cackami. - Nawet nie marzyłem, że kiedykolwiek zobaczę...

- Tak, mój ojciec był kolekcjonerem - przyznał Berinwick. - Określał to jako artefakty. Pełno ich wszędzie w całym Blackcastle. To tylko resztki.

- Resztki?

- Owszem. To, na co nie starczyło miejsca. Niech pan spojrzy na tę patere, Dempsey. Jeśli chce się pan dowiedzieć czegoś na temat lwa, to właśnie tym powinien się pan zainteresować.

Dempsey z trudem oderwał wzrok od półek ze skarbami i spojrzał na patere.

- Wspaniałe rękodzieło - powiedział po chwili. - Kto...

- Nie mam pojęcia, kto to zrobił - przerwał mu Berinwick. - O, proszę! To będzie pasować. - Berinwick przyniósł niewielką złotą misę i umieścił ją na srebrnej podstawie. - Głowę lwa trzeba umieścić na obrzeżu misy, pomiędzy smoczymi łbami. Dlatego korona jest trochę wysunięta do przodu.

- Powiedział pan, że to należało do Edwarda III? - Dempsey nie mógł oderwać wzroku od patery, choć Berinwick znów się odwrócił i szukał czegoś na półkach.

- Powiedziałem tylko, że to zostało wykonane na jego zamówienie - odparł Berinwick. - Jako dar dla rodziny Pole'ów z Wyke, gdy William Pole otrzymał tytuł barona. Tak

twierdził mój ojciec. Tak, tu są dwa pozostałe. Identyczne. Na tyle, na ile to możliwe w przypadku ręcznej roboty.

Berinwick umieścił dwa pozostałe lwy na obrzeżu naczynia tak, że utworzyły trójkąt.

- Nie do wiary - mruknął Dempsey pod nosem, muskając głowę jednego ze smoków koniuszkiem palca. - Nie dość że to prawdziwe dzieło sztuki, to jeszcze pochodzi z czternastego wieku.

- Lubi pan antyki, Dempsey? To jeszcze nic w porównaniu z większością pozostałych przedmiotów zgromadzonych w tej izbie.

Gdy pan obejrzy kolekcję rzymską i celtycką, patera Pole'ów wyda się panu czymś prawie współczesnym.

- Jeśli Edward III podarował to cacko rodzinie Pole'ów, to jakim cudem znalazło się ono w rękach Thorne'ów? -zapytał Dempsey, wciąż niezdolny do oderwania wzroku od srebrno-złotego cacka. - I dlaczego na widok lwa, którego wyraźnie brakowało do kompletu, zaatakował mnie pan rapierem? Powinien pan raczej podziękować mi za znalezisko.

- Dziękuję - mruknął Berinwick, przyglądając się pastorowi równie uważnie, jak tamten przyglądał się paterze. - Lew, którego pan przyniósł, nie jest wcale ostatni. Jeśli ojciec się nie mylił, powinny być jeszcze dwa, choć nie mam pojęcia, gdzie należałoby je umieścić. Może paterze brakuje jeszcze jakiejś części - wzruszył ramionami Berinwick. - Historia Thorne'ów i Pole'ów jest długa i skomplikowana. Wojna między naszymi rodzinami rozpoczęła się w piętnastym wieku, a ostatnia bitwa została stoczona, gdy mój ojciec rozlał krew wielebnego pana Dighta na kościelnej podłodze.

- Wojna? Ostatnia bitwa?

- Ostatnia jak na razie. Niewykluczone, że wkrótce nastąpi kolejna. Srebrny lew widnieje na tarczy Pole'ów, a głowa gryfa w ich herbie. Ten niewielki przedmiot jest więc ich doskonałym symbolem. Gdy zobaczyłem lwa, sądziłem, że w pańskiej dłoni zaraz pojawi się pistolet.

- Przecież nie nazywam się Pole.

- Nie sądzę, by ktokolwiek nosił jeszcze to nazwisko. Mój ojciec też na początku nie przypuszczał, że wielebny pan Dight jest

potomkiem Pole'ów - choć tylko bocznej linii. A zatem nie pochodzi pan z rodziny Pole'ów. W takim razie kim pan jest, do diabła? Kim są Dempseyowie i dlaczego mój ojciec pana tu sprowadził? Szczerze mówiąc, wątpię, by był pan naprawdę duchownym.

- Słucham?

- Wątpię, by był pan duchownym. Nie dostrzegam w pańskich oczach chciwości. Nie kalkuluje pan, ile warte są te przedmioty, i nie oblicza, ile by pan zyskał, gdybym chciał ofiarować coś kościołowi. A tak by postąpił prawdziwy pastor.

- Berinwick! - wykrzyknął Dempsey. - Dość tego! Nie zamierzam tolerować tego, że pan obraża duchownych.

- Mówię tylko na podstawie własnego doświadczenia, panie Dempsey. I proszę się nie zwracać do mnie w ten sposób.

- Będę się zwracał do pana tak, jak mi się podoba, jeśli nie przestanie pan oczerniać duchowych przywódców anglikańskiego kościoła.

- Wcale ich nie oczerniam. Zasłużyli na każde słowo. Spotkałem tylko chciwe, liche kreatury w sutannach, a zapewniam pana, że miałem okazję poznać wielu duchownych. Tylko pan jest inny.

Dlaczego?

- Może dlatego, że nazywam się Dempsey, a Dempseyowie mają swój honor. Może dlatego, że mój ojciec i moi bracia są duchownymi i wszyscy jesteśmy dumni z tego, co robimy. I powiem panu, że nie brakuje nam zajęć. Na mnie też czeka wiele obowiązków, drogi książę

- dodał, odwracając się w stronę drzwi. - Muszę wyremontować kościół. A chciałbym zamienić parę słów z pańską matką, nim

opuszczę Blackcastle. Nie czułbym się najlepiej, gdybym nie pocieszył jej po stracie Charlotty i pańskiego ojca. To mi przypomina, że miałem zadać panu jeszcze jedno pytanie.

- Słucham.

- Czy pan kocha swoją matkę?

- Oczywiście, że kocham swoją matkę. Cóż za...

- Cóż za impertynencja? - roześmiał się Dempsey. - Wiem. Wiem także, że ją pan kocha. Zauważyłem to wczoraj wieczorem. Chciałem to tylko usłyszeć z pańskich ust. Jeśli rzeczywiście zamierza pan wybrać się z nami do gospody dziś wieczorem, z przyjemnością odpowiem na wszystkie pańskie impertynenckie pytania.

- Na pewno się zjawię w gospodzie. I może pan liczyć na moją impertynencję.

Veronika, już spokojna i opanowana, wsunęła dłoń pod ramię pastora, by go odprowadzić do drogi.

- Nie jeździsz już konno? - zapytała.

- Jeździłbym, gdybym miał konia - uśmiechnął się Dempsey, a na jego policzkach pojawiły się dołeczki.

- Nie masz żadnego konia?

- Nie. Udało mi się przekonać woźnicę, by zabrał Theophilusa na dach dyliżansu, ale sądzę, że stanąłby okoniem, gdybym poprosił o przewiezienie konia.

- Przestań się ze mną droczyć, Richardzie. Wiesz dobrze, co miałam na myśli. Sądziłam, że twój koń, albo twój powóz z końmi, jest w drodze z Herefordshire.

- Tak mogłoby być, gdybym nie sprzedał dwukółki sekretarzowi biskupa. A konia pod siodło nie miałem już od trzech lat.

- Od trzech lat? Richardzie, przecież tak bardzo lubiłeś jazdę konną jako dziecko.

- Wciąż lubię, ale nie znalazłem do tej pory konia, godnego zająć miejsce mojego Trubadura, który teraz skubie sobie trawę na farmie mego brata Johna w Kent. Najprawdopodobniej biedny Trubadur dziękuje Bogu, że po dwudziestu dwóch latach wiernej służby został wreszcie zwolniony.

- Sądzę raczej, że staruszek tęskni za tobą. Jakież to piękne imię dla konia, Trubadur.

- Nosił je, gdy go kupiłem, choć sam nie wiem, skąd się mogło Wziąć. Bez wątpienia nie potrafił ani grać na lutni, ani śpiewać.

Veronika zachichotała. Serce Dempseya zabiło szybciej, gdy to usłyszał. Całe szczęście, że zapomniała na chwilę o swojej żalobie i o swoim żalu. To dobry początek.

- Chciałabym cię przeprosić, Richardzie - powiedziała po chwili.

- Nie powinnam cię zamęczać zwierzeniami na temat swego poczucia winy. Nigdy nie mówiłam o tym nikomu z wyjątkiem Julesa. I sama nie rozumiem, dlaczego...

- Bardzo dobrze, że mi się zwierzyłaś - przerwał jej Dempsey. - I nie musisz przeproszać mnie za to, że płakałaś na moim ramieniu, bo, szczerze mówiąc, czułem się zaszczycony twoim zaufaniem i tym, że nie kryłaś przede mną swoich łez. Powinienem raczej zostać z tobą i osuszyć je do końca, Veroniko. Zrobiłbym to z pewnością, gdyby twój

syn nie nadszedł tak niespodziewanie. Z drugiej strony, cieszę się, że się pojawił, Vernie.

- Naprawdę?

- Owszem, ponieważ dzięki temu mogę ci powiedzieć coś więcej niż tylko ciche słowa pocieszenia. Mogę ci zdradzić coś, co pomoże ci przepłynąć przez morze poczucia winy, które się w tobie nagromadziło przez te wszystkie lata. Twój syn nawet nie podejrzewa, że masz cokolwiek wspólnego z jego kalectwem. Nic nie pamięta i nikt mu nie opowiedział tej historii.

- William nie wie...

- Nie. Przypuszcza, że zrobił w dzieciństwie coś niedozwolonego i że sam jest winien swemu nieszczęściu.

- Och, Richardzie! To jeszcze gorzej! Dla Williama...

- Szs- Veroniko! To tylko część koła ratunkowego, które chciałem ci rzucić. Pomyśl przez chwilę. Widok Williama przypomina ci o tym strasznym wydarzeniu i napętnia poczuciem winy i dlatego sądzisz, że on także, widząc ciebie, wspomina ten okropny wieczór i nie potrafi ci wybaczyć ani cię pokochać. Tymczasem on nic nie pamięta i kocha cię. Zapytałem go o to, a on nie wahał się ani chwili- „Oczywiście, że kocham swoją matkę”, powiedział.

- Jak to możliwe? Nawet jeśli nie pamięta tego, co się zdarzyło, to przecież pamięta, że jego matka całe życie go unikała i pozwoliła, by ojciec odesłał go z domu.

- Wątpię, by podejrzewał, że miałaś z tym cokolwiek wspólnego. Jeśli wini kogokolwiek, to wini ojca. Głowę rodziny. Nawet mu nie przyjdzie do głowy, że to z twojego powodu wiecznie przebywał w

dziecięcym pokoju i że tak wcześnie wyjechał do szkoły. Twój małżonek na pewno nigdy nie powiedział: „Nie możesz za wiele przebywać w domu, Will, bo twoja matka cierpi, gdy cię widzi”.

- No... nie...

- No widzisz, moja droga. A zatem nie należy tracić nadziei.

Niewykluczone, że twój syn nie wie, jak okazać ci swoją miłość, ale stara się to robić po swojemu. Dostrzegłem uczucie w jego oczach już wczoraj wieczorem, gdy zdecydował się, że będzie mnie tolerował ze względu na ciebie. Sama się o tym przekonasz, gdy tylko spojrzysz na niego wzrokiem, którego nie zaćmiewa poczucie winy.

- Ale mój wzrok zawsze zaćmiewa poczucie winy, Richardzie. Od lat nie mogę się go pozbyć. Z wielu powodów.

- Być może, ale teraz masz w swoim ręku narzędzie, by z tym walczyć, Veroniko. Wiesz, że William cię kocha, i wiesz, że jest ciekaw, jak naprawdę wyglądał WYPADEK. On właśnie tak to określa: WYPADEK, pisany wielkimi literami. Wystarczy jedno twoje słowo, a usiądzie i wysłucha prawdy.

- Chcesz, żebym mu wszystko powiedziała?

- Nie musisz mówić wszystkiego od razu. Ale dobrze by było, gdybyś zaczęła. Powoli. Kawałek po kawałku.

- Nie potrafię!

- Zaufaj mi, Vernie. To twój syn. Wyciągnąłby do ciebie rękę, gdyby tylko wiedział, jak to zrobić. Już teraz próbuje, choć czyni to niezdarnie. Naucz go okazywać miłość i śmiać się, naucz go serdeczności. Jeszcze nie jest za późno, Veroniko. Póki nie leżymy w grobie, nigdy nie jest za późno, by naprawić wyrządzone krzywdy.

Pub Pod Psem mieścił się w starodawnym, drewnianym budynku, dobudowanym do zajazdu, ale nie był jego częścią. We wspólnej ścianie pubu i zajazdu nie było drzwi. Jeżeli jakiś gość, który nocował w zajazdzie, miał ochotę coś zjeść lub się napić, musiał wyjść na dwór i wejść do karczmy frontowymi drzwiami. Dempsey nie krył swego zdziwienia. Siedział przy starodawnym stole koło Langtona nad kuflem miejscowego piwa i spoglądał na obrazki wiszące na drewnianych ścianach, na biały balkonik nad barem, na nierówną podłogę, na której leżał Theophilus, chłepcąc piwo ze swej miski. Pod kilkoma stołami leżały inne psy, nie zwracając uwagi na siebie nawzajem.

- Czemu służy ten balkonik? - zapytał Dempsey, starając się przekrzyczeć grających w darta, którzy wesoło hałasowali w jednym rogu.

- To balkon dla Jane i dla Ellen - odparł Langton, rozglądając się po sali w poszukiwaniu osób, którym jeszcze nie przedstawił owego pastora.

- Dla Jane i Ellen? A kto to taki?

- Dwie młode kobiety z Londynu. - Langton nie uchylał się od odpowiedzi.

- Dwie młode kobiety z Londynu? Właściciel pubu zbudował balkonik, na który nie da się wejść, dla dwóch młodych kobiet, które nie mieszkają w Barren Wycche?

- To było konieczne. - Langton spojrzał na swego sąsiada. - Chyba wszystkim już pana przedstawiłem.

- To prawda, choć wątpię, czy ktokolwiek miał ochotę poznać nowego kaznodzieję.

- Tu się pan myli - uśmiechnął się Langton. - Prosiłem, byśmy przyszli wcześniej niż księżę, bo wszyscy chcieli pana poznać. Wszyscy są pana ciekawi. Większość kobiet przysłała tu swoich mężów dziś wieczorem właśnie po to, by pana poznali. Jest pan głównym tematem rozmów w wiosce. „Spotkałem dziś nowego pastora w pubie”, powie każdy z nich po powrocie do domu. „Równy gość. Nie udaje świętoszka”.

- Skąd pan wie, co powiedzą w domach?

- Ano stąd, że wszedł pan tu całkiem zwyczajnie, usiadł i pije nasze piwo z uśmiechem na twarzy. Bo przyprowadził pan psa i jemu także nalał pan piwa. Wszyscy pana za to polubią.

- To dobrze. Chciałbym, żeby mnie polubili.

- Całe szczęście. Bo gdyby pana nie polubili, to żaden nie pokazałby się w kościele, gdy już go wyremontujemy. Gdyby nie przypadł im pan do gustu, przysyłałiby na nabożeństwa tylko swoje żony. Chłopcy z Barren Wycche są bardzo uparci. Wciąż się pojawiały i wisiały w powietrzu.

- Kto? - Dempsey nie miał już wątpliwości, że Langton postradał zmysły.

-Jane i Ellen - wyjaśnił Langton, chichocząc na widok wyrazu twarzy pastora. - Dlatego Logan musiał tu zbudować balkon. Nawet w tamtych czasach ludzi deprimował widok młodych dziewcząt unoszących się w powietrzu jak je Pan Bóg stworzył.

- Znowu jakieś duchy?

- A i owszem. W Barren Wycche nie brakuje duchów. Jane i Ellen wracały do Londynu z odwiedzin u swojej ciotki i zatrzymały się na noc w Barren Wycche. Wtedy nie było tu jeszcze zajazdu, tylko dwa pokoje do wynajęcia nad gospodą.

- Proszę mi pozwolić zgadywać - uśmiechnął się Dempsey. - I właśnie tej nocy w karczmie wybuchł pożar i dziewczęta spłonęły żywcem.

- No właśnie. Karczmę odbudowano w nieco innym miejscu. Tam, gdzie teraz jest bar, był przedtem balkon gościnnego pokoju starej gospody.

Dempsey pokręcił głową. Nie tyle na temat historii z duchami, co w związku z tym, że Langton powiedział „stara gospoda”. Miejsce, w którym się znajdowali, pochodziło bez wątpienia z czasów średniowiecza. Z jakich czasów mogła więc pochodzić „stara gospoda”? Pastor miał zamiar zadać to pytanie swemu towarzyszowi, ale właśnie w tym momencie do karczmy wszedł książę razem ze swym stajennym i ze wszystkich stron rozległy się okrzyki pozdrowienia.

- Mam nadzieję, że namówiłeś księcia, żeby zostawił swoją szpadę w domu - odezwał się jakiś wesoły głos z kąta, w którym grano w darta. - Wolelibyśmy, żeby nasz nowy pastor pobyl tu z rok może dwa.

- Ano - zawtórował mu inny głos. - Ten pastor nie jest chyba taki zły, wasza wysokość, skoro pije piwo Logana.

- Witamy łaskawego księcia - dołączył kolejny głos. - Wasza wysokość postawi każdemu piwo albo dwa?

- Może trzy?

- Dajcie spokój księciu. Chyba widzicie, że chce zrobić dobre wrażenie na naszym nowym pastorze.

- Ho, ho! Zapowiada się niezły wieczór. Berinwick, pobrzękując ostrogami, podszedł do stołu, przy którym siedział Dempsey, a jego twarz zdradzała rozbawienie. Tom Hasty usiadł obok swego pana. Po chwili stały już przed nimi kufle z piwem.

- Nalej każdemu z nich kufel albo dwa, Nancy - powiedział Berinwick do barmanki.

- A naleję, naleję - dygnęła dziewczyna. - Ucieszą się, wasza wysokość. Żaden nie odmówi.

- Coś jeszcze? - zagadnął książe, widząc, że dziewczyna ociąga się z odejściem.

- Zastanawiałam się, wasza wysokość, co mam zrobić z psami.

- Psy powinny dostać wody, Nancy. Nie znam gorszego widoku niż sfera pijanych psów pętająca się ludziom koło nóg. - Berinwick pochylił się i zajrzał pod stół. - A więc - powiedział, podnosząc się - Langton poradził panu, by zabrał pan ze sobą Theophilusa?

- Nie, wasza wysokość. Pastor sam na to wpadł - odparł Langton.

- Pasuje do nas ten nasz nowy pastor, prawda? - Hasty mrugnął do Langtona. - Chyba go zatrzymamy.

Rozmawiali przez chwilę o sianokosach, o remoncie kościoła, o tym, ilu mieszkańców wioski zjawi się na pierwszym nabożeństwie Dempseya.

- Wszyscy się ucieszą - orzekł Langton. - Ludzie chcieliby mieć wreszcie własnego kaznodzieję.

Wyraz twarzy Berinwicka zdradzał wątpliwości. Zamiast odpowiedzieć, książę napił się trochę piwa. Potem spojrzał na pastora.

- Jeszcze zobaczymy, czy będą mieć swego kaznodzieję, czy też nie, Langton. Chciałbym zadać wielebnemu panu Dempseyowi parę impertynenckich pytań. I zobaczymy, czy nie stchórzy i nie zwieje gdzie pieprz rośnie.

- Ja nigdy nie tchórzę - odparł Dempsey. - Proszę jednak poczekać ze swymi pytaniami, bo chcemy coś waszej wysokości opowiedzieć. Dobrze by było, gdyby książę nas wysłuchał i powstrzymał się na razie od wszelkich komentarzy.

- Słyszałem już te bzdury na temat ducha dziewięć miesięcy temu - zaprotestował Berinwick, gdy tylko Langton zaczął mówić. - Byłeś wtedy pijany, Langton. Noc była zimna. Wypiłeś parę kropelek za dużo ze swej piersióweczki i...

- Przysięgam, że tak nie było.

- Przeraziłeś się na widok tego wypadku, zemdląłeś i miałeś koszmarne zwidy.

- Ja też tak na początku myślałem - wtrącił Tom Hasty. - Mimo to postanowiliśmy, że ja i Harold Belowes będziemy czuwać nad waszą wysokością, nad księżną i nad lady Hanną. Na wszelki wypadek. Aż do wczoraj nic się nie wydarzyło.

- A co się wydarzyło wczoraj?

- Wczoraj ktoś do księcia strzelał.

- Ktoś do mnie strzelał? Czyś ty oszalał, Tom? Nikt do mnie nie strzelał. Chyba bym to zauważył.

- Proszę sobie przypomnieć ranę w pęcinie Triumphu, wasza wysokość. To nie żaden kolec, tylko kula. Od razu tak pomyślałem, ale wołałem tego pana nie mówić. W ranie nie było kuli. - Ale proszę tylko popatrzeć. - Hasty wyciągnął kulę z kieszeni i położył ją na stole. - Wydobyłem to ze słupa przy południowej bramie. Pomyślałem, że powinienem najpierw pogadać z Langtonem, nim wybiorę się do księcia. W środku naszej rozmowy do kuchni wszedł wielbny pan Dempsey i nagle cała historia przestała mieć tak wiele wspólnego z duchami, ale za to stała się znacznie bardziej przerażająca.

Berwick przeczesał czuprynę palcami, mierzwiąc sobie włosy.

- Nie słyszałem żadnego strzału. Nie czułem prochu. Zaraz, zaraz. Może i coś usłyszałem. Jakby gdzieś w lesie trzasnęła gałązka. Niewykluczone, że ktoś rzeczywiście strzelił z długiej strzelby. Ale dlaczego czekałeś z tym aż do wieczora, Tom? Dlaczego nie przyszedłeś porozmawiać ze mną, gdy tylko się przekonałeś...

- Może dlatego, że ksiązę czasami onieśmiela ludzi? - zasugerował pastor. - Harvey bał się, że ksiązę spuści go z kościelnej wieży, gdy tylko ośmieli się wspomnieć jeszcze raz o duchu. A Tom sądził, że ksiązę obetnie mu ucho za sugestię, że wasza wysokość nie potrafi odróżnić rany postrzałowej od innej. Dlatego postanowiliśmy, że opowiemy o tym wszyscy razem.

- Mogę zrozumieć, że Hasty i Langton nie chcieli ze mną gadać w pojedynkę, ale po co zaprosili pana na to spotkanie? Czyżby chcieli

się schować za księżą sutanną? A tak przy okazji, to dlaczego nie wspomniał mi pan o tym wszystkim dziś po południu, podczas naszej rozmowy w Blackcastle?

- Może byłem trochę onieśmielony? - Dempsey uniósł nieco brwi.

- Wcale pan nie był onieśmielony.

- Wybaczy pan, Berinwick, ale tu nie mogę się z panem zgodzić.

Gdy wymierzył pan we mnie ten rapier, zrozumiałem, dlaczego Langton i Hasty nalegali, by nasze spotkanie odbyło się w miejscu publicznym, w którym nie tak łatwo chwycić za broń.

- Książę groził wielbnemu panu Dempseyowi rapierem? - Tom Hasty szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

Harvey Langton zachłysnął się piwem.

- Nie patrzcie tak na mnie - zaprotestował Berinwick. -Przecież nie przeszyłem go tym rapierem. A pan niech nie mówi do mnie „Berinwick”, panie Dempsey. Jeśli zapomni się pan raz jeszcze, przygwożdżę pański język do ściany w salonie na plebanii. I niech pan wtedy spróbuje wygłosić kazanie. Dlaczego cała historia wydała się jeszcze bardziej przerażająca, gdy pastor się do was przyłączył?

Chyba nie dokończyłeś, Tom?

- Dlatego, że on na własne oczy widział ducha Owaina Glyndwra - odparł Hasty ściszym głosem.

- Wieczorem, w dniu mego przyjazdu - uściślił Dempsey. - Gdy wracałem razem z Theophilusem z Blackcastle.

- Co pan nosi w swojej piersiówce, pastorze? - zapytał Berinwick zuchwale. -I ile kropelek pan wysączył po drodze do domu?

- Bardzo zabawne, ale nie na temat. Duch wyjechał z lasu prosto na nas, zawodząc jak potępiona dusza. Od razu pomyślałem, że to musi być Glyndwr ze względu na jego strój i miejsce, w którym się znajdowaliśmy.

- Co to znaczy? Co on miał na sobie i gdzie się znajdowaliście?

- Miał na sobie zbroję. Średniowieczną zbroję w dość oplakany stan. Ale rozpoznawalną. A znajdujemy się w okolicy, w której legenda Glyndwra jest wciąż żywa, nie mówiąc już o tym, że pański ojciec... to nieważne. Musi pan wiedzieć, wasza wysokość, że Langton i ja widzieliśmy tego samego ducha. Każdy z nas opisał go z detalami. Tyle że ja byłem na tyle blisko, że odkryłem ślady mąki na drodze, którą odjechał mój duch.

- Czy wszyscy mieszkańcy Barren Wycche, z wyjątkiem mnie jednego, widzieli już tego ducha? Nawet wdowa Thistledown twierdzi, że go widziała. Czy nie sądzicie, że jeśli zamordował mego ojca, a teraz łaknie mojej krwi, to powinien się ukazać właśnie mnie? Mąka, pastorze?

- Owszem. Obaj z Langtonem stwierdziliśmy, że wyglądał, jakby był utkany z mgły i szronu. To dzięki mące. Zostawił ślady koło kościoła, a potem na cmentarzu, ale trop urwał się za drogą.

- Po co przejeżdżał koło kościoła? - zdziwił się Berinwick.

- Żeby przestraszyć Langtona, tak samo jak wówczas, gdy zginął pański ojciec. Langton przywiózł moje bagaże i jedzenie na plebanię.

Niewykluczone, że chciał przestraszyć także mnie, zakładając, że trzęsący się ze strachu Langton wszystko mi od razu opowie. Tyle że mnie wówczas nie było na plebanii.

- No dobrze. A czy teraz się pan boi, panie Dempsey?

- Nie. Ale jestem bardzo zaintrygowany.

- Rozumiem. A ty, Tom?

- Ja jestem wściekły, wasza wysokość.

- A ty, Langton?

- Ja się cieszę - oświadczył Langton nieoczekiwanie.

- Cieszysz się? - zdziwił się Hasty.

- Cieszę się, że w końcu mi uwierzyliście. Całe szczęście, że ten przekłety duch ukazał się pastorowi, bo w przeciwnym razie wciąż wątpilibyście w moje słowa.

- Ale chyba rozumiesz, że tamtej nocy, gdy zginął mój ojciec, nie widziałeś żadnego ducha, prawda, Langton? -dopytywał się Berinwick. - Zrozumiałeś, że to był człowiek przebrany za ducha?

- Wszyscy jesteście o tym przekonani, a mnie to nie przeszkadza - wzruszył ramionami Langton. - Człowiek czy duch, tak czy inaczej, to właśnie on spowodował śmierć pańskiego ojca i od tej pory musimy bardzo na niego uważać.

Hanna, która spędziła cały dzień u swej najdroższej przyjaciółki, panny Anny Tofar, i została u niej na obiedzie, wracała właśnie do domu, gdy zaczął zapadać zmrok. Tuż za nią jechał stajenny.

- Lancaster - krzyknęła przez ramię. - Proszę przyspieszyć i jechać koło mnie. Nie zamierzasz chyba jechać z tyłu przez całą drogę do Blackcastle. I tak nikt nas nie widzi.

- Dobrze, milady. - Lancaster ponaglił swego konia.
- Czy widziałeś żrebaka Eloquent? Dobrze się jej przyjrzałeś?
- Tak, milady.
- I co o niej sądzisz? Jest zdrowa?
- Zdrowa i silna.

- To dobrze, bo zamierzam ją kupić, gdy tylko będzie można odłączyć ją od matki. No, może nie od razu, bo chyba nie zdążę uzbierać dość pieniędzy. Ale na pewno kupię ją przed Bożym Narodzeniem.

- Sądziłem, że pani bardzo lubi Penny i Marigold, milady.

- To prawda. To dwa najwspanialsze konie w całym hrabstwie. Prawda, Marigold, moja kochana? - dodała, klepiąc klacz po szyi. - Nie zamierzam kupować tego żrebaka dla siebie, Davey. To będzie prezent dla księcia.

- Dla księcia, milady?

- Tak. Nie wydaje ci się, że to świetny pomysł? Jest czarna jak węgiel, zupełnie jak Triumph. Wiem, że spodoba się Williamowi. Nie ma żadnej łatki ani skarpetki.

- Księżę lubi kare konie - pokiwał głową stajenny, a potem chwycił Marigold za wodze i zatrzymał oba konie.

- Lancaster, co ty wyprawiasz...

- Szszsz... - szepnął.

- Dlaczego? Co usłyszałeś?

- Szsz, milady.

Hanna zamilkła i też zaczęła nasłuchiwać. Ptaki szeleściły liśćmi gdzieś wysoko w konarach drzew. W krzakach kolo drogi pełzały

zwierzęta, szykujące się na nocny żer. W oddali na wrzosowisku śpiewał słowik.

- Nie słyszę nic podejrzanego, Lancaster.

- Coś się tu działo - odparł stajenny. - Nie słyszę tego teraz, ale na pewno słyszałem.

Lancaster puścił wodze Marigold i Hanna ruszyła do przodu.

- Co właściwie słyszałeś, Lancaster?

- Coś jakby lisy Szalonego Jacka.

- Lisy Szalonego Jacka?

- Tak, milady. Jakby przekradały się cichuteńko przez Grydwynn Wood. Ale teraz ich nie słychać. Zniknęły, jeśli w ogóle tu były. Jeśli to były lisy.

Gdy dotarli do zakrętu, Hanna zwolniła i zaczęła rozglądać się dokoła, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie widać gdzieś jakichś lisów. Nie zauważyła jednak nic nadzwyczajnego. Mrok gęstniał coraz bardziej, a na skraju lasu tańczyły cienie. Igraszki światła sprawiały, iż trudno się było oprzeć wrażeniu, że krzaki nagle ożyły.

- Jeśli nawet grasowały tu lisy, to chyba je wystraszyliśmy - westchnęła Hanna, oglądając się za siebie. - A może to była jakaś sowa albo sokół... - W pewnej chwili uwagę dziewczyny przykuł jakiś ruch wysoko między konarami drzew. - Lancaster, co to jest? Tam, na czubku tamtej gałęzi.

- Gdzie, milady?

- Tam - wskazała Hanna i przejechała na skrawek zielonej, miękkiej trawy, oddzielającej drogę od lasu. Zatrzymała się pod przedmiotem, który zwrócił jej uwagę, i zdjęła go z gałęzi.

- Milady! - krzyknął Lancaster, stając między Hanną a ścianą lasu. - Niech pani pędzi do domu jak najszybciej - zawołał, uderzając Marigold batem po boku. - Proszę się nie zatrzymywać! Pod żadnym pozorem!

Marigold ruszyła do przodu. Hanna nie rozumiała, co się dzieje, ale wsunąwszy znaleziony przedmiot do kieszeni, odzyskała równowagę. Posłuchała polecenia stajennego, skierowała konia na drogę i pogalopowała w stronę domu. Obejrzała się za siebie, żeby sprawdzić, czy jedzie za nią Lancaster, ale nikogo nie spostrzegła. Musiał wjechać do lasu, pomyślała, poganiając klacz. Ale po co? Co takiego zobaczył?

Hanna wyrosła na młodą kobietę bardzo odważną i bardzo ciekawską zarazem. Najchętniej zawróciłaby konia, żeby sprawdzić, co się stało ze stajennym. Wyrosła jednak także na kobietę bardzo rozsądną i dlatego oparła się tej pokusie. Galopowała w stronę Blackcastle. Zjechała z drogi u podnóża Sycharr Hill, przesadziła wąski żywopłot i znalazła się na wschodniej łące. Nie miała pojęcia, przed czym tak ucieka, znała jednak doskonale drogę do domu przez łąkę i padok aż do stajni. Marigold cwałowała tak, że nikt by ich nie dogonił. Dopiero na padoku Hanna przeszła do galopu, a potem do kłusa. Przed stajniami zaczęła jechać stępą. Najmłodszy chłopak stajenny wyszedł jej na spotkanie i przejął wodze.

- Johnny - zapytała Hanna, zsiadając z klaczy - czy jest tu gdzieś Tom Hasty?

- Nie, milady. Pojechał z księciem do Barren Wycche.

- A Trewellyn albo. Overfiled?

- Pan Trewellyn zmienia opatrunek Triumphowi, a pan Overfield czyści jakieś narzędzia.

- Zajmij się Marigold. Galopowała dość długo. Powinna trochę pochodzić stępa, zanim wróci do stajni.

- Dobrze, milady.

Hanna poklepała klacz po chrapach i wbiegła do stajni. W pierwszej siodłami było pusto, poszła więc do następnej i zawołała:

- Overfiled!

- Tak, milady. - Stajenny odłożył natychmiast robotę i odwrócił się do swojej pani.

- Coś się stało z Lancasterem. Nie wiem co. Wracaliśmy do domu przez Widowen Lane. Zatrzymaliśmy się, żeby spojrzeć na coś, co wisiało na drzewie, i wtedy Lancaster kazał mi jechać jak najprędzej do domu. Smagnął Marigold po boku i krzyknął, żebym się pod żadnym pozorem nie zatrzymywała. A sam wjechał do lasu. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo gdy się obejrzałam, już go nie było.

- Zaraz tam pojedę, milady - odparł Overfield. - Gdzie został Lancaster?

- Na zakręcie, tam gdzie droga graniczy prawie z lasem.

- Znam to miejsce.

- Niewykluczone, że nic mu się nie stało, ale wolałabym, żeby ktoś pojechał tam i sprawdził.

- Oczywiście, milady. Już jadę. Powiem tylko Johnny'emu i Trewellynowi, żeby mieli na wszystko baczenie.

Hanna pokiwała głową i wyszła ze stajni. Weszła wschodnimi drzwiami i zajrzała do kantorka rządcy, chcąc wysłać jeszcze

McClane'a na poszukiwanie Lancastera. W kantorku nikogo jednak nie było. Skierowała się zatem starymi schodami na piętro. Z najmniejszego saloniku sączyło się światło, ruszyła więc w tamtą stronę, a jej kroki tłumił gruby dywan.

Veronika podniosła wzrok, gdy Hanna otworzyła drzwi do salonu.

- Jesteś już? - uśmiechnęła się do córki. - Dobrze się bawiłaś w towarzystwie Anny? Hanno, co się stało? Zgubiłaś swój kapelusz. Masz zupełnie rozczochrane włosy i cała jesteś pokryta kurzem.

- Coś się stało, mamó.

- Co takiego? Chyba nie spadłaś z konia? Nie jesteś ranna? - Księżna odłożyła książkę, podniosła się i podeszła do córki. Wzięła ją za rękę i podprowadziła w stronę okna. - Usiądź tu, kochanie. Weź głęboki oddech. Zadzwońię po Gainesa i poproszę, żeby przyniósł ci coś do picia. Może herbaty?

- Owszem, mamó. Chętnie wypiję trochę herbaty. Obawiam się, że w gardle mam jeszcze więcej kurzu niż na sukni. Pędziłam do domu, jakby mnie demony ścigały. Davey Lancaster zniknął, mamó.

- Zniknął? - Veronika nerwowo pociągnęła za aksamitną taśmę wiszącą w rogu salonu. - To powinno kogoś obudzić - mruknęła, po czym usiadła koło córki. - Jakim cudem Lancaster mógł zniknąć na drodze do Blackcastle? I dlaczego pędziłaś do domu, jakby cię goniły demony?

Hanna opowiedziała matce całą przygodę, uzmysławiając sobie, jak niewiele potrafi wyjaśnić.

- Nie mam pojęcia, co Davey usłyszał bądź zobaczył, ale wolałam go posłuchać.

- Bardzo dobrze. Świetnie, że posłałaś Overfielda, by go poszukał. Cieszę się, że zrobiłaś to od razu. Twój brat jest w Barren Wycche i...

- Wiem. Johnny mi już to powiedział. W przeciwnym razie poszłabym od razu do Willa. Chciałam też wysłać tam McClane'a, ale nie zastałam go w kantorku. - Hanna wyjęła z kieszeni przedmiot, który wisiał na drzewie, i zaczęła mu się przyglądać. - Właśnie to spostrzegłam na gałęzi. Jeszcze nie miałam czasu, żeby... Mamo! Popatrz! -Hanna nie wierzyła własnym oczom. Na jej dłoni leżał srebrny wisiołek na plecionym skórzanym rzemyku.

Księżna wyjęła tajemniczy przedmiot z dłoni córki i przesunęła się w stronę najbliższego kandelabra.

- Znalazłaś to na drzewie na skraju Grydwynn Wood? -zapytała ściszym głosem.

- Tak, mamó. Zupełnie jakby komuś zależało, żeby to zostało znalezione.

- Bo komuś na tym zależało - mruknęła Veronika, przyglądając się wisiorowi zasepionym wzrokiem. -A mnie zależało na tym przed wielu laty.

- Na pewno nic mu nie jest, Tom? - zapytała księżna po raz trzeci stajennego, który jechał koło niej w stronę St. Milburga's następnego ranka. - Hanna bardzo lubi Lancastera. Może potrzeba mu lekarza... Możemy posłać do chirurga do Ludlow, jeśli to konieczne.

- Davey czuje się całkiem znośnie, wasza wysokość. Był trochę zamroczony i cały posiniaczony, gdy Overfield go znalazł, ale dziś rano czuł się nieźle. Pojechał do sianokosów, jakby nic się nie zdarzyło.

- Nie mogę uwierzyć, że ktoś zaatakował Lancastera na Widowen Lane.

- Ściślej rzecz biorąc, tamten człowiek zaatakował go dopiero, gdy Davey wjechał do lasu, wasza wysokość. W pierwszej chwili Lancaster pomyślał, że to jakiś rozbójnik. Siedział na swym koniu nieruchomo, jakby czyhał na przejeżdżający powóz.

- Zapadał zmrok - powiedziała księżna. - Niewiele było widać. To wymarzona pora dla rozbójników, ale nie wyobrażam sobie, by ktoś mógł się zaciąć na Widowen Lane. Równie dobrze mógł czekać rok albo dwa na jakiś powóz, który warto obrabować.

- No właśnie - zgodził się Tom Hasty. - Davey pomyślał to samo. Ale jeździec stał tak nieruchomo, że dreszcze mu przeszły po plecach, więc kazał lady Hannie wracać do domu, a sam się obrócił w stronę nieznanego. Ale tymczasem jeździec w okamgnieniu

zniknął. Wjechał do lasu. Davey przysięga, że zupełnie nic nie słyszał, ani szelestu liści, ani odgłosu kopyt.

- I wtedy Davey Lancaster także wjechał do lasu.

- Tak, wasza wysokość. Postanowił sprawdzić, co za człowiek i dlaczego tak się wpatrywał w lady Hannę. Trudno się poruszać po lesie w ciemnościach, ale ten drań nie miał z tym żadnego kłopotu. Szkoda, że Davey nie zachował większej ostrożności - dodał Hasty po cichu, jakby do siebie. - Mógł go złapać. A tymczasem rąbnął głową w najbliższą gałąź.

- Nie sądzę, by zrobił to specjalnie, Tom.

- Wiem, wiem, wasza wysokość. Ale wtedy tamten podjechał z tyłu i pobił Lancastera do nieprzytomności. Na szczęście wszystko się dobrze goi. Overfield posmarował mu rany na głowie maścią Triumphu. Posmarował mu także wszystkie siniaki i Davey ma się całkiem dobrze.

- Jestem ogromnie wdzięczna Overfieldowi, że od razu pojechał szukać Lancastera i dał nam znać, gdy go znalazł. W przeciwnym razie Hanna denerwowałaby się przez całą noc.

- Sam bym wyruszył na poszukiwanie Lancastera po powrocie z gospody, gdyby nie fakt, że Overfield już go przywiózł do domu.

- Na pewno - pokiwała głową Veronika. - Czy sądzisz, że pastorowi spodoba się prezent? - zapytała, zmieniając temat.

- Na pewno będzie pod wrażeniem i nie ma się co dziwić. Sam się zdumiałem, gdy książkę wyraził zgodę.

Langton zauważył nadjeżdżających gości i krzyknął do Dempseya, który był na dole w kościele:

- Księżna nadjeżdża, panie Dempsey.

- Księżna? - zdziwił się pastor, stawiając na miejsce kolejną przewróconą ławkę. - Chyba nie jest sama?

- Nie, sir. Jedzie z nią Tom Hasty.

- Dzięki Bogu - mruknął pastor i przeszedł do tylnej części kościoła. - Musimy zrobić coś z tą podłogą, Harvey -krzyknął. - Jest w niej tyle dziur i szczelin, co w starej drodze do Herefordshire.

Dempsey popchnął drzwi, ledwo się trzymające na zardzewiałych zawiasach, i wyszedł na słońce. Goście jechali kłusem. Pastor pomyślał, że Veronika wygląda jak Arduina, walijska bogini łowów. Siedziała na swym koniu dumna i wyprostowana, a fałdy jej czarnej sukni jeździeckiej opływały siwe boki konia. Czarny kapelusz z szerokim rondem, ozdobiony jedną różą, osłaniał jej twarz przed słońcem. Dempsey wstrzymał oddech na widok księżnej Berinwick.

- Panie Dempsey - powiedziała, zatrzymując się przed nim - przywiozłam panu prezent.

- Prezent? Jaki prezent?

- Norville'a.

Dempsey wpatrzony w Veronikę nie zauważył, że Tom Hasty trzyma wodze jeszcze jednego, kasztanowego wałacha, spostrzegł jednak urocze dołeczki w policzkach Veroniki i jej czarujący uśmiech.

- Norville'a? Co to takiego?

- Proszę otworzyć oczy, panie Dempsey. Norville jest tak duży, że nawet krótkowidz by go zauważył.

Nie jestem krótkowidzem, pomyślał Dempsey, gdy Tom Hasty przyprowadził mu konia przed sam nos. Jestem zauroczony. Nie ośmielił się jednak tego powiedzieć. Ujął natomiast wodze kasztana.

- To dla mnie? - zapytał. - Jakież wspaniałe koń. Nie mogę go przyjąć.

- Może pan i zrobi to pan, pastorze. Oboje z synem postanowiliśmy, że od dziś Norville należy do pana. Wkrótce pojawi się służba, żeby przygotować dla niego stajnię. Bez konia nie byłby pan prawdziwym pastorem. W jaki sposób doglądałby pan swojej trzódki? Nie do wszystkich parafian da się dotrzeć na piechotę.

- W stajni stoi dwukółka.

- Owszem, tyle że nie ma konia, który mógłby ją pociągnąć. Przecież Langton nie może panu pożyczać swojej Dolly w nieskończoność. Norville'a można zaprząć do dwukółki w razie potrzeby. Może chodzić pod siodłem albo w zaprzęgu.

- To niemożliwe. Takie szlachetne zwierzę przyzwyczajone do chodzenia w zaprzęgu?

- No cóż, nie przepada za tym, ale pójdzie, jeśli będzie trzeba. To dumny koń i woli jazdę wierzchem. Ogłowie i siodło też należą już do pana. Dalej, niechże pan wsiada, panie Dempsey, i wypróbuj swego konia.

Wielebny pan Dempsey uśmiechnął się szeroko. Zarzucił wodze koniowi na szyję i wspiał się na jego grzbiet.

- Wasza wysokość zechce mi towarzyszyć podczas tej pierwszej przejażdżki? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Oczywiście, panie Dempsey. Tymczasem Thomas chętnie pomoże Langtonowi w robocie, prawda?

- Oczywiście, wasza wysokość - odparł stajenny. -Z przyjemnością.

Księżna i pastor odjechali w milczeniu. Ptaki śpiewały, w powietrzu tańczyły motyle, a serce Dempseya było przepelnione szczęściem.

- Nie powinnaś tego robić, Veroniko - powiedział w końcu. - Mam pieniądze i stać mnie na konia.

- Owszem, ale to nie byłby taki piękny koń jak Norville. A poza tym kupiłbyś go dopiero za jakiś czas, prawda?

- Nie wiem, ale...

- Nie ma żadnego ale. Norville należy do ciebie. Chciałam, żeby był twój, i William także.

- Księżę chciał mi podarować Norville'a?

- Tak. To on pierwszy wymienił imię tego konia, gdy wspomniałam, że nie masz żadnego wierzchowca.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego wymienił imię właśnie tego konia? Czy coś się za tym kryje?

- Nie. Oczywiście, że nie - oświadczyła Veronika poważnym tonem, ale jej usta drgnęły lekko, jakby z trudem powstrzymywała uśmiech.

- A więc trafiłem - uśmiechnął się Dempsey. - Coś się za tym kryje.

- Nic szczególnego, Richardzie. William powiedział tylko, że człowiek, który ma psa imieniem Theophilus, powinien mieć konia imieniem Norville. A właściwie gdzie jest nasz drogi Theo?

- W kuchni naszej drogiej pani Langton. Pani Langton piecze pierniczki, a Theophilus...

- Uwielbia pierniczki...

- Właśnie. Zbliżamy się chyba do całkiem ładnego pola, na którym można by wypróbować wszystkie chody Norville'a. Nie sądzę, by w tym roku miały się tu odbyć sianokosy albo żniwa.

- Rzeczywiście. Ta ziemia zowie się polem Hattera i w tym roku powinny tu rosnać rzepa i buraki pastewne, żeby użyźnić glebę, ale William był zbyt zajęty przygotowaniami do pogrzebu Juliana, gdy trzeba się było tym zająć, a pan McClane, nasz rządca, zapomniał o tym. Za starą stodołą mieszkają twoi parafianie. Nie widać stąd ich domku, ale tą drogą można dojechać do pani Thistledown. Pani Thistledown jest chora i z pewnością się ucieszy z odwiedzin nowego pastora.

- W takim razie odwiedzę ją jutro z samego rana.

- Sądzę, że powinniśmy zajechać do niej od razu. Przedstawię cię jej i dzięki temu jeszcze bardziej cię polubi.

Oba konie skreśliły w pole, by Dempsey mógł wypróbować wszystkie chody swego nowego konia. Veronika jechała za nim.

- Sam widzisz, że to dobry koń - powiedziała, gdy Dempsey się zatrzymał. - Jeden z najlepszych w hrabstwie.

- Rzeczywiście. I tym bardziej nie mogę go przyjąć. Jest stanowczo za dobry dla zwykłego duchownego.

- Być może - powiedziała Veronika. - Ale nie wiem, czy jest wystarczająco dobry dla mojego Richarda. Nie powiedziałeś mi, że umówiłeś się z Williamem w gospodzie wczoraj wieczorem - dodała, gdy Dempsey zsiadł i pomógł jej zrobić to samo, powstrzymując się z całej siły, by nie przytrzymać dłoni na jej talii dłużej niż trzeba. Zaczęli iść przez pole, brodząc w gąszczu traw i polnych kwiatów, a konie ruszyły za nimi. - A może spotkaliście się tam przypadkiem?

- Nie, to było zaplanowane spotkanie. Mieliśmy parę spraw do omówienia. Czy rozmawiałaś już ze swym synem...

- Nie - przerwała mu i machnęła ręką, jakby chciała odpędzić to pytanie. - Porozmawiam z nim, Richardzie, gdy będzie mnie na to stać. Jeszcze nie teraz. Nie tak szybko. Obawiam się, że poznawszy prawdę, William odwróci się ode mnie na zawsze.

- Zdarza się, że taka właśnie jest pierwsza reakcja człowieka, który dowie się prawdy. Ale zazwyczaj potem, rozważywszy wszystko spokojnie, ludzie wracają, Veroniko. Każdy szuka prawdy i odpowiedzi na wszystkie swoje pytania i gotów jest zwrócić się nawet do człowieka, którego nienawidzi.

- On mnie znienawidzi. Nawet ty to przyznajesz.

- Wcale tego nie powiedziałem. Mówiłem ogólnie, Vernie. Nawet jeśli znienawidzi cię na chwilę, to nie odwróci się od ciebie na zawsze. To niemożliwe.

- To całkiem możliwe - mruknęła Veronika. - I będzie miał do tego prawo. Ale wiem, że to nie powinno się liczyć. Co do jednego zgadzam się z tobą, Richardzie. William musi poznać prawdę, a ja muszę ponieść wszelkie konsekwencje. Ale wolałabym o tym teraz

nie myśleć, więc zmienmy temat. Chciałam ci coś pokazać. -
Veronika zatrzymała się, sięgnęła do kieszeni, by wyciągnąć
znaleziony przez Hannę wisiołek. - Zgubiłam to wiele lat temu, ale
wczoraj wieczorem Hanna znalazła ten wisiołek na gałęzi na skraju
lasu.

- Zapewne wiąże się z tym jakaś historia? - zapytał Dempsey,
przyglądając się srebrnej ozdobie.

- Owszem, zaraz ci ją opowiem. Czy znasz się trochę na
antykach, Richardzie?

- Trochę.

- Możesz mi powiedzieć coś na temat tego wisiora?

- Wydaje mi się, że to dość stary przedmiot, pochodzi z czasów
celtyckich.

- Jak stary?

- Nie potrafię tego dokładnie określić, Vernie. Pozory mylą.
Niewykluczone, że to tylko kopia.

- A jeśli to nie jest kopia?

- To pochodzi z szóstego wieku lub z czasów późniejszych.
Celtowie zaczęli posługiwać się tym ornamentem dopiero po
przybyciu saksońskich mnichów.

- Znasz się na antykach. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Dlatego, że o tym nie rozmawialiśmy - uśmiechnął się
Dempsey. - Wiem także, że krzyżowanie motywów zwierzęcych z
plecionymi ornamentami wprowadzili wikingowie.

- Julian mi mówił, że ten wisiołek należy do rodziny Thorne'ów
od dziesiątego wieku.

- Może być nawet starszy - zaśmiał się Dempsey. – Czy dzik symbolizuje Thorne'ów? Wydaje mi się, że to trafny symbol. O ile dobrze pamiętam, dzik oznaczał u Celtów wojownika - a także płodność, zamożność i odwagę. U Celtów każdy symbol miał kilka wykładni.

- Julian dał mi ten wisiołek podczas naszej nocy poślubnej - powiedziała Veronika. - Powiedział, że matki w rodzinie Thorne'ów dają to swoim pierworodnym synom, by przekazywali to swoim żonom. Ja powinnam go oddać Williamowi. I zamierzałam to zrobić, dopóki wisiołek nie zginął. Skoro go odzyskałam, to dam go Williamowi, choć obawiam się, że nigdy nie będzie miał żony.

- Dlaczego tak sądzisz, Veroniko?

- Bo wszystkie młode damy w Londynie się go boją. Nawet londyńscy dżentelmeni omijają go szerokim łukiem.

- W takim razie znajdzie sobie żonę poza Londynem. Zbyt często myślisz o jego kłopotach, Vernie. Pomyśl raczej o jego możliwościach.

Dempsey zawiązał rzemyk z wisiorkiem na szyi Veroniki, a potem wziął ją za rękę i poszli dalej. Księżna opowiedziała mu o tym, co spotkało Hannę i Lancastera. Pastor czuł ciepło jej dłoni przez rękawiczkę od jazdy konnej. Zauważył też, że zwykły spacer w jej towarzystwie czyni go szczęśliwym.

- Tylko dlaczego ktoś to powiesił na drzewie przy Widowen Lane? - zastanawiała się Veronika głośno.

- Czy ktoś wiedział, że lady Hanna będzie tamtędy przejeżdżać, Vernie?

- Każdy, kto słyszał, że wybrała się do Anny. Dziewczęta zawsze jeżdżą do siebie tamtą drogą. A o czym myślisz, Richardzie?

- Że ten, kto umieścił tam wisiołek, mógł nie mieć pojęcia, jaką wartość ten przedmiot przedstawia dla ciebie. I że powiesił go tylko po to, by zwabić Hannę i odciągnąć ją od stajennego, który jej towarzyszył.

- Ale po co? Nie chcesz chyba powiedzieć, że ktoś chciał skrzywdzić moją córkę?

- Nic takiego nie powiedziałem, Vernie. Szukam tylko prawdopodobnych rozwiązań. Może któryś z sąsiadów znalazł wisiołek i powiesił na drzewie, pragnąc zachować anonimowość i wiedząc, że Hanna ci go przekaże. Mógł się obawiać, że pomyślisz, iż ktoś z jego rodziny ukradł tę ozdobę przed laty.

- Tak, to prawdopodobne. To znacznie bardziej prawdopodobne, bo nie wyobrażam sobie, dlaczego ktoś mógłby chcieć skrzywdzić Hannę. Zapewne ten ktoś czekał nieopodal, by się upewnić, że Hanna znajdzie wisiołek, a potem znokautował Lancastera, by nie zostać rozpoznany.

Dempsey pokiwał głową. Powinienem powiedzieć księżnej, że jej mąż został zamordowany, że jej syn jest w niebezpieczeństwie i że zarówno jej, jak i lady Hannie także może coś zagrażać, pomyślał. Ale nie do mnie należy ten obowiązek. To zadanie Berinwicka, a on z pewnością nie byłby zadowolony, gdybym go wyręczył. Na pewno wkrótce jej powie. Już od dawna troszczy się o to, by ani matka, ani siostra nie ruszały się nigdzie bez asysty.

- Co Julian do ciebie napisał, by nakłonić cię do przyjazdu, Richardzie? - zapytała Veronika, przerywając ciszę. - Czy przesadził, opisując walory tej prebendy? To kiedyś była rzeczywiście znakomita prebenda, ale teraz wiąże się z nią więcej kłopotów niż pożytków.

- Rzeczywiście - odparł Dempsey, zatrzymał swą towarzyszkę i obrócił w swoją stronę, położywszy ręce na jej ramionach. Byli prawie tego samego wzrostu, ale pastor nie widział twarzy księżnej skrytej pod szerokim rondem kapelusza, póki nie odchyliła głowy do tyłu, by spojrzeć mu pytająco w oczy.

- O co chodzi, Richardzie? - zapytała. - Co chcesz mi powiedzieć? Czy Julian skłamał, by cię tu ściągnąć?

Serce Dempseya zabiło mocniej, gdy księżna zwilżyła koniuszkiem języka swe czerwone wargi, z niepokojem czekając na odpowiedź. Na alabastrowym czole pojawiły się drobne zmarszczki, ale policzki Veroniki były tak samo krągłe i zaróżowione jak niegdyś, a w jej brązowych oczach igrały te same złote iskierki. Nie pozwoli, by ktokolwiek skrzywdził tę kobietę. Nigdy. Nawet jej syn. Nawet jej córka. Kiedyś ona wniosła w jego życie radość i miłość, teraz on się postara, by radość, miłość i spokój znów ją wypełniły. Już na zawsze.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką stworzył Bóg - szepnął Dempsey nieco schrypniętym głosem, muskając palcem jej aksamitną szyję. - I w każdym roku twego życia Bóg od nowa obdarowywał cię pięknem wewnętrznym i zewnętrznym. Teraz na twój widok moje serce krzyczy z zachwytu.

- Oszalałeś - szepnęła Veronika, zatopiona w błękitnie jego oczu.

- Naprawdę?

- Tak.

Jej osłonięta rękawiczką dłoń spoczęła na jego policzku. Włosy Richarda nie były już tak jasne jak kiedyś. Teraz miały barwę miodu i iskrzyły się w słońcu złotem i srebrem, opadając miękko na czoło. Jego ogromne, przejmująco piękne oczy, okolone ciemnymi rzęsami zadawały jej jakieś pytanie. Między rozchyłonymi lekko ustami połyskiwały białe zęby. Veronika nie miała wątpliwości, że ma do czynienia z honorowym i godnym szacunku mężczyzną. Wspięła się na palce i dotknęła wargami jego ust.

- Ja także Oszalałam - szepnęła, gdy ich usta się rozdzieliły.

Dłuższą chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. Potem Dempsey przytrzymał konia księżnej i pomógł jej wsiąść. Sam dosiadł Norville'a i pojechali dalej.

- Twój mąż mnie nie okłamał. W swym liście prosił mnie o pomoc - wyjaśnił pastor, gdy znaleźli się na drodze. - Nigdy się nie spotkaliśmy, ale czytał kilka moich artykułów i...

- Jakich artykułów, Richardzie?

- Na temat antyków, kultury, historii i genealogii mieszkańców Marches. To moje hobby. Przez te wszystkie lata przedstawiłem wiele referatów...

- Gdzie?

- Och, o tym także jeszcze nie wspomniałem. Jestem członkiem Londyńskiej Akademii Królewskiej, Veroniko. Ale tam nikt mnie nie zna jako ekscentrycznego pastora Dempseya. W Akademii jestem R. R. Dempseyem, doktorem nauk i teologii. Nie lubię jednak, by mnie

nazywano doktorem Dempseyem, dlatego raczej o tym nie wspominał.

- Jesteś członkiem Królewskiej Akademii? Jules także był jej członkiem.

- Właśnie. Szkoda, że nigdy go nie poznałem, Veroniko. Naprawdę żałuję. On jednak znał moją reputację i napisał, że istnieją pewne przesłanki, by sądzić, że pierwszy książę Berinwick posłał swego młodszego syna do Machynlleth, na pierwsze posiedzenie parlamentu zwołane przez Owaina Glyndwra. Młody książę był świadkiem...

- Przyjechałeś po to, by pomóc Julianowi szukać kielicha - przerwała mu Veronika. Wysokie mniemanie, jakie sobie o nim wyrobiła zachwiało się nagle w posadach. A więc przyjechał tu tylko po to, by znaleźć kielich Glyndwra i zapisać się złotymi zgłoskami w księgach Królewskiej Akademii.

- Znasz historię kielicha? - zdziwił się Dempsey.

- Owszem.

- W takim razie rozu...

Veronika nie pozwoliła mu dokończyć słowa.

- Wierzyłam, że przyjechałeś tu po to, by zająć się podupadłą parafią St. Milburga's of the Wood, Richardzie Dempsey - oświadczyła, a w jej oczach zatańczyło niebezpieczne światło. - Czy chcesz mi teraz powiedzieć, że prebenda była tylko pretekstem, który wymyśliliście z Julianem? Chcesz mi powiedzieć, że nie zamierzasz zajmować się swymi parafianami? I że w rzeczywistości miałeś zamiar pomóc mojemu mężowi rozebrać ten nieszczęsny kościół

kawałek po kawałku? I że teraz, gdy Julesa nie ma pośród nas, chcesz zrobić to sam, szukając jakiegoś legendarnego kielicha, a potem nas opuścisz? - Veronika zatrzymała konia i spojrzała na Dempseya tak groźnie, że zrobiło mu się nieswojo. - Czy właśnie to zamierzasz mi powiedzieć?

- Niezupełnie.

- Co właściwie masz na myśli?

- Jeśli nawet zamierzałem ci coś takiego powiedzieć, to teraz za bardzo się ciebie boję, Vernie. Ależ ty potrafisz onieśmielać ludzi, gdy tylko zechcesz. Trudno cię rozpoznać, gdy ciskasz takie groźne spojrzenia i miotasz pioruny wzrokiem.

- Zapewne sądzisz, że jestem słabą lalką, która płacze z byle powodu. No cóż, może byłam nią kiedyś, ale teraz już nie. Nic nie poradzę na to, że się rozplakałam, gdy opowiadałam ci historię Williama. Żałoba, którą noszę w sercu, jest tak wielka, że muszę z tego powodu czasami płakać.

Dempsey pokiwał głową. Nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy.

- Gdyby mama, a potem Jules nie obchodzili się ze mną jak z delikatną roślinką, może miałabym dość odwagi, by od razu przyznać się do swych grzechów. Może wzięłabym moje niewinne dziecko w ramiona i błagała o wybaczenie, zamiast pogłębiać jego nieszczęście i własną winę. Nie znajduję w sobie dość odwagi, by stanąć twarzą w twarz z Williamem, ale starczy mi jej, by bronić moich poddanych. I powiem ci, Richardzie Dempseyu, że jeśli przyjechałeś tu pod fałszywą flagą, udając tylko, że chcesz, by ci ludzie mieli kościół i

pastora z prawdziwego zdarzenia, a w rzeczywistości zamierzasz zająć się szukaniem kielicha bądź udowadnianiem, że go tu nie ma, to powinienes od razu skierować Norville'a w stronę Hereford. Ruszaj galopem i nie oglądaj się za siebie.

Richard Dempsey nie mógł oderwać wzroku od uniesionej wysoko brody Veroniki i od jej roziskrzonych pasją oczu. Wydało mu się, że z jej uszu za chwilę pójdzie dym, i to go tak rozbawiło, że wybuchnął śmiechem i miał spore kłopoty, by się opanować.

- Nie sądzę, bym powiedziała coś zabawnego, Richardzie Dempsey - oświadczyła księżna, mrużąc oczy.

- Nie, nie. Wyobraziłem sobie... Mniejsza z tym, co sobie wyobraziłem. Przysięgam, że zamierzam zostać prawdziwym, uczciwym pastorem. Zostanę tu tak długo, jak długo moi wierni będą sobie tego życzyć.

- To dlaczego powiedziałeś?...

- Wspomniałem o kielichu Glyndwra, ponieważ twój mąż nigdy nie zaproponowałby mi tej prebendy, gdyby nie życzył sobie mej pomocy w poszukiwaniach i ocenie autentyczności tego antyku. Tak bardzo mu zależało na tym, bym przyjął jego propozycję, że zaoferował mi także pełen dostęp do swej biblioteki i do swojej kolekcji. Jego list wydał mi się prawdziwym darem Bożym.

- Może i był takim darem.

Nie tylko z tego powodu, pomyślał Dempsey, ale nic nie powiedział.

- Sądziłem, że już do końca życia będę musiał pracować dla Hereforda, Vernie. Sądziłem, że nigdy nie będę miał swojej parafii,

jak mój ojciec. Zawsze marzyłem o prebendzie, której patron nie będzie uważał moich Zainteresowań za stratę czasu. I wtedy nadszedł list od twego męża.

- W takim razie przepraszam cię, Richardzie. Źle oceniłam twoje intencje.

- Nie musisz mnie przepraszać. - Dempsey ruszył do przodu i ucieszył się, widząc, że księżna robi to samo i że gniew znika z jej twarzy. - Zastanawiam się, Veroniko - zaczął pastor, gdy dotarli do rozwidlenia, którego jedna droga wiodła do domku pani Thistledown, a druga z powrotem do kościoła. - Zastanawiam się, czy twój syn słyszał o kielichu Glyndwra. Pytam dlatego, że z listu twójego męża wywnioskowałem, że nikomu o tym nie mówił, a jednak okazało się, że ty słyszałaś tę historię.

- Nie sądzę, by Julian rozmawiał o tym z Williamem - odparła Veronika, odgarniając niesforny kosmyk włosów z policzka. - Will nie interesuje się antykami, ale gospodarstwem. Niewykluczone, że zostanie politykiem, surowym politykiem, jeśli zechce wykorzystać należne mu miejsce w Parlamencie. Lepiej nie mówić mu o kielichu, chyba że będziesz mu musiał wyjaśnić, dlaczego chcesz skorzystać z zapisków, księgozbioru lub kolekcji Julesa. Zapewne zechcesz skorzystać z jego zapisków. Na pewno prowadził je sumiennie do samego końca. Jules podchodził do wszystkiego bardzo metodycznie.

- Nie, chyba na razie nie muszę tego robić.

- Dlaczego marszczysz czoło? Czy powiedziałam coś...

- Nie, nie. - Dempsey przypomniał sobie nagle spotkanie w gospodzie. Wtedy nie przyszło mu do głowy, że Juliana Thorne'a

mógł zamordować ktoś, komu książę odmówił dostępu do swych zapisków, książek i zbiorów. Czy małżonka Veroniki nie zabił przypadkiem ktoś, kto go dobrze znał? Ktoś, kto znał Veronikę, Williama, Hannę i próbował teraz nakłonić młodego księcia, by... - Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć, Veroniko - powiedział, przerażony myślą, że ktoś, komu Veronika ufa, może być mordercą jej męża, gotowym zabić także jej syna, córkę i ją samą, jeśli nie osiągnie tego, na czym mu zależy.

- Co takiego?

- N-nic. Ja... to nie ja powinienem ci o tym powiedzieć, ale twój syn.

- Richardzie!

- Nie. Bardzo bym chciał, ale nie mogę. Muszę zostawić to Berinwickowi. Ale mam nadzieję, że zrobisz coś dla mnie, Vernie. Mam nadzieję, że ani ty, ani Hanna nie będziecie już grymasić, gdy książę zażąda, byście nie opuszczały zamku bez towarzystwa.

- Na miłość boską, Richardzie! - wykrzyknęła księżna, gdy skręcili w stronę domu pani Thistledown. - Czy ty także nasłuchiłeś się opowieści Toma? Czy tobie także naopowiadał o grasujących bandach okropnych typów oszalałych z żądzy? Jeśli nawet William nie rozkaże, by ktoś mi towarzyszył, to Tom Hasty z własnej inicjatywy siodła swego konia, gdy ma przygotować mojego, albo Harold Belowes wskakuje na tył mojego powozu i chodzi za mną jak cień po wszystkich kramach w Barren Wycche albo w East Hill Downs. A teraz będę musiała walczyć jeszcze z tobą? Słowo daję, że gdyby nie gruboskórność Patricka McClane'a, który ma w nosie to,

czy spadnę z konia, czy noga mi ugrzęźnie w króliczej norze, czy też porwie mnie banda szaleńców z zamiarem zrobienia mi krzywdy, to byłabym przekonana, że każdemu mężczyźnie, który ma coś wspólnego z Blackcastle, brakuje piątej klepki.

- Przysięgam, że z naszymi klepkami wszystko w porządku, ale...

Dempsey przerwał w pół słowa, ponieważ usłyszał jakiś złowieszczy świst, poczuł gwałtowne, bolesne ukłucie i zobaczył kulę, która utkwiała w drzewie. Norville cofnął się ze strachu, a potem ruszył jak szalony do przodu.

- Co, u diabła... - krzyknął zdezorientowany pastor, gdy drzewa zaczęły mu migać przed oczami. Poczuł, że coś spływa mu po twarzy i po szyi, ale nie miał czasu się tym zająć, ponieważ musiał się skoncentrować na tym, by odzyskać kontrolę nad koniem.

Było już późne popołudnie, gdy Berinwick zatrzymał swego konia przed kuchennymi drzwiami domku wdowy Thistledown. Patrick McClane wyjechał z samego rana do Ludlow, więc Berinwick skorzystał z okazji, by spędzić cały dzień na północnym polu, zastępując czasem mężczyzn kobiety i dzieci przy pracy. Doglądał koni i wozów, a czasem wyręczał kosiarzy, którzy potrzebowali odpoczynku. Układał też stogi siana. Miał za sobą długi, pracowity i bardzo przyjemny dzień.

Surdut, kamizelkę i fular już dawno porzucił gdzieś na łące. Cały pokryty kurzem, na twarzy miał ciemne smugi. Przeupocona koszula kleiła mu się do ciała, a czupryna była w wielkim nieładzie. Wcale się jednak nie przejmował swoim wyglądem. Pojechał dłuższą drogą,

ponieważ chciał wstąpić do wdowy Thistledown i wypytać ją dokładnie o ducha, którego rzekomo widziała w stodole na polu Hattera.

Zsiadał właśnie z konia, gdy usłyszał radosne okrzyki. Obrócił się w samą porę, by zobaczyć dwa maluchy zeskakujące z kurnika i pędzące ku niemu z wyciągniętymi rękami.

- Książę - wołał Charlie.

- Książę - wtórowała mu Millie.

Po chwili oboje zahamowali przed księciem. Charlie położył jedną rękę na brzuchu, a drugą na plecach i uklonił się. Millie ujęła fałdy swojej spódniczki i dygnęła.

- Czy książę przyjechał, żeby odwiedzić panią Cuillbristle? - zapytał Charlie.

- Nie.

- To dobrze. Bo ona śpi w drewnitni i nie zamierza wstawać przed zmrokiem. Od razu się najeża, jeśli ktoś ją obudzi przed zachodem słońca.

- Czy książę przyjechał, żeby odwiedzić Charliego i mnie? - dociekała Millie.

- W zasadzie chciałem porozmawiać z waszą mamą. Czy jest gdzieś tutaj?

- Zaraz ją przyprowadzę - zaproponował Charlie i zanim Berinwick zdołał powiedzieć, że przecież sam może zapukać do kuchennych drzwi, chłopiec zniknął w domu.

- Mama czuje się już lepiej. - Millie patrzyła księciu w oczy z wielką powagą. - Jeśli to pana interesuje.

- Oczywiście, że mnie to interesuje. Cieszę się, że to słyszę - powiedział Berinwick, przywiązując konia do słupa przed domem.

- Meg nauczyła się skubać kurczęta i doić krowę - poinformowała go Millie, gdy koń był już przywiązany.

- Naprawdę?

- Tak. Ale wczoraj mama chciała jej pokazać, jak wypatroszyć bązanta, i Meg zwróciła całe śniadanie na podłogę w kuchni.

- Jeśli wolno spytać - powiedział Berinwick z wyraźną rezerwą w głosie - to dlaczego mi o tym opowiadasz?

- Zabawiam księcia, póki mama nie przysła.

- Aha. - Berinwick wcale nie był pewien, że pragnie tego rodzaju rozrywki, odetchnął więc z ulgą, usłyszawszy głos pani Thistledown.

- Wasza wysokość?

Książę obrócił się w jej stronę i ze zdziwieniem stwierdził, że policzki wdowy są różowione, a jej oczy równie niebieskie jak oczy dzieciaków.

- Wygląda pani znacznie lepiej, pani Thistledown - powiedział.

- Za to książę wygląda na wykończonego, jeśli wolno się tak wyrazić. Może wasza wysokość wejdzie na chwilę, żeby napić się trochę mleka? Mleko będzie chłodniejsze niż herbata, dlatego to proponuję.

Berinwick zastanawiał się, dlaczego jej policzki różowiają się jeszcze bardziej z każdym słowem.

- Książę nie może wejść, mamó - stwierdził Charlie. - Nie jest właściwie ubrany.

- Jego wysokość może zawsze wejść do naszego domu, Charlie.
Niezależnie od tego, jak jest ubrany - pouczyła syna pani Thistledown.

- Ale on jest prawie nagi - zaprotestował gorąco Charlie.

Policzki pani Thistledown zaróżowiły się jeszcze bardziej, a koniuszki uszu wystające spod czepka zrobiły się czerwone.

Berinwick uniósł brew, patrząc na małego.

- No przecież księżę jest prawie nagi - powtórzył chłopiec niczym niezrażony.

- Księżę nie ma surduta ani kamizelki - dodała Millie. -Od razu to zauważyłam, ale myślałam, że byłoby niegrzecznie zwracać księciu uwagę. No bo to chyba jest niegrzeczne, prawda?

- Owszem - potwierdził Berinwick.

- Dlaczego? - zdziwił się Charlie, patrząc to na gościa, to na siostrę. - Myślałem, że księżę chciałby się tego dowiedzieć.

- Bo księżę nie lubi, żeby mu zwracać uwagę, nawet jeśli zrobi coś całkiem głupiego - wyjaśnił Berinwick, nim Millie zdążyła otworzyć usta. - Zwłaszcza jeśli wybiera się do kogoś z wizytą w samej koszuli. Lepsi od ciebie, Charlie, zawiśli na końcu mojej szpady za mniej bezczelną uwagę.

Charlie zachichotał.

- O, nie, sir. Nie ma się z czego śmiać. Gdyby twoja matka nie była taką dobrą kobietą, wyzwałbym cię na pojedynek. Przepraszam panią, pani Thistledown, jeśli wprowadziłem panią w zakłopotanie - dodał Berinwick, zwracając się do wdowy po stangrecie. - Chciałem tylko zamienić z panią parę słów i zupełnie nie pomyślałem o tym, jak

wyglądam. Dziękuję za miłą propozycję, ale rzeczywiście nie wejść. Może przejdziemy się raczej do pani pięknego ogródka.

- Oczywiście, wasza wysokość. Charlie, Millie, zmykajcie czym prędzej. Musicie dokończyć sprzątanie w kurniku. Książę nie chce z wami rozmawiać.

- Właśnie - potwierdził Berinwick, podając ramię kobiecie. - Zmykajcie. Bardzo panią przepraszam, pani Thistledown - powtórzył, gdy dzieci sobie poszły. - Pomagałem trochę w sianokosach i...

- Wielkie nieba! Książę przecież nie musi mnie przepraszać. Widziałam pana Thistledowna w samej koszuli tysiące razy. Sama nie wiem, czemu się tak zarumieniłam. Może jest trochę za gorąco...

- Chyba tak. - Książę poprowadził ją przez ogródek warzywny po trawie, na której się pasły cztery owce, aż do ogrodu, w którym kwitły krzaki głogu i dzikiej róży. W cieniu pod dębem stała niewielka ławeczka z widokiem na drogę i pole Hattera. Książę posadził gospodynię na ławeczce, a sam stanął przed nią z rękami założonymi do tyłu, wsparty ramieniem o pień wiąza. - Mam nadzieję, że nie weźmie mnie pani za idiotę, ale przyjechałem porozmawiać o duchu.

- O duchu, wasza wysokość?

- Owszem. Gdy zabieraliśmy jeża ze stodoły, Millie i Charlie wspomnieli, że widziała pani tam ducha.

- To prawda - pokiwała głową pani Thistledown. - Widziałam go stąd. Daleko stąd do stodoły, ale nie na darmo pan Thistledown zawsze mówił, że mam sokoli wzrok.

- Sokoli wzrok. To nadzwyczajne, pani Thistledown -powtórzył książę.

- Lubię tu przychodzić wieczorami, niezależnie od pogody, żeby powąchać kwiaty i posłuchać śpiewu ptaków. Nie wiem, jak księciu dziękować, że podarował książę mnie i dzieciom taki wspaniały domek. Nikt inny nie byłby tak dobry dla biednej wdowy i sierot po stangrecie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, pani Thistledown - oświadczył Berinwick, przenosząc ciężar z nogi na nogę. -Ciekaw jestem, czy pani pamięta, kiedy pani widziała tego ducha?

Pani Thistledown wygładziła fałdy spódnicy i zamyśliła się głęboko. Zdjęła fartuch, gdy tylko usłyszała, że książę chce z nią rozmawiać. Zmieniła stary czepiec, na odświętny, koronkowy. W jej świecie była to kwestia honoru. W obecności księcia należy wyglądać porządnie, nawet gdy człowiek się go nie spodziewa. A gdy książę zadaje pytanie, trzeba się dobrze zastanowić, a nie pleść trzy po trzy. Trzeba sobie wszystko dokładnie przypomnieć.

- Czy przypomina sobie pani, kiedy widziała pani ducha?

- Zawsze po zachodzie słońca, wasza wysokość. Pamiętam, że zawsze rzucał długie cienie, jak wtedy, gdy zapada zmierzch. Niech no pomyślę. Cztery razy w czasie wielkiego postu. A potem w poniedziałek wielkanocny.

- W poniedziałek wielkanocny?

- I w trzy kolejne soboty. A potem zachorowałam i nie wychodziłam do ogrodu, wasza wysokość.

- I jak on wyglądał, pani Thistledown?

- Jakby składał się z kawałków i kawałeczków, które trzyma w kupie wiatr.

- A potrafiłaby pani określić, czy był to mężczyzna, czy też kobieta?

- O! To na pewno był mężczyzna, wasza wysokość. Siedział na koniu po męsku. To był Owain Glyndwr. Któż inny? Wszyscy wiedzą, że gdy będzie już miał dość walijskich zamków, to przyjedzie do Blackcastle i Barren Wycche, żeby tu czekać na swój czas. Mój Boże! - wykrzyknęła nagle wdowa Thistledown, podnosząc się z ławki i patrząc gdzieś w dal ponad głową Berinwicka. Księżę obrócił się, żeby także popatrzeć.

- Co się dzieje, do diabła?

- To chyba nie jest duch - mruknęła pani Thistledown. - W każdym razie tego nigdy nie widziałam.

- Nie, nie, to nie jest duch, pani Thistledown - oświadczył księżę, rozpoznając pędzącego cwałem Norville'a i mężczyznę, który starał się go zatrzymać. - To jest nasz nowy pastor. Do licha! - wykrzyknął księżę na widok kolejnego jeźdźca. - Moja matka próbuje go dogonić.

Berinwick rzucił się do biegu. Gdyby zdołał dobiec do drogi przed Dempseyem, mógłby złapać Norville'a za wodze i zatrzymać go. Nim jednak dotarł do drogi, księżna Berinwick dogoniła wałacha. Serce podeszło Williamowi do gardła.

- To niemożliwe - mruknął. - Nie złapie go z damskiego siodła.

Ale księżna złapała Norville'a za uzdę. Pastor ciągnął uparcie za wodze i oboje mówili coś do konia. Berinwick nie rozumiał ich słów,

ale słyszał ich uspokajający ton. Gdy klacz matki zwolniła, wałach zrobił to samo i wreszcie oba konie przeszły do kłusa, a potem do stępa. Dopiero wtedy księżna puściła uzdę Norville'a i oba konie zawróciły w stronę domku wdowy Thistledown. Berinwick, zadyszany z nerwów, ruszył w stronę drogi zdecydowanym krokiem i stanął na samym środku z dłońmi wspartymi na biodrach.

- Mamo, nic ci nie jest? - zapytał, gdy matczyna siwa klacz zatrzymała się przed nim. - Cóż to za głupota! Mogłaś przecież spaść! Konie mogły cię stratować!

- Tak, tak, wiem Williamie - odparła księżna. - Ale kto miał zatrzymać tego oszalałego konia? Wiesz przecież, jaki Norville jest uparty, gdy się czegoś przestraszy. Powinnam była przestrzec Richarda, ale któż mógł przypuszczać, że w taki dzień zdarzy się coś, co wprawi go w panikę? Proszę, pomóż mi zsiąść, Williamie. Marzę o tym, by znaleźć się na ziemi.

Berinwick pomógł matce zsiąść z konia i dopiero wtedy odwrócił się w stronę pastora.

- Do diabła! Co się właściwie stało? - krzyknął, gdy spojrzał na Dempseya.

- Richardzie! Ty krwawisz! - zawołała Veronika. - Twoja apaszka jest przesiąknięta krwią!

- Naprawdę? - zdziwił się Dempsey, usiłując zsiąść z konia. - Trochę mi się kręci w głowie. Obawiam się, że zostałem postrzelony, Veroniko.

Berinwick rzucił się do przodu, wsparł pastora ramieniem i pomógł mu stanąć na ziemi.

- Co ty mówisz? - Veronika przerwała opatrywanie ucha Dempseya, by spojrzeć na syna z niedowierzaniem.

- Wszyscy zostali zamordowani - powtórzył William ściszym głosem, by wdowa Thistledown, która przygotowywała właśnie herbatę i zajmowała się dziećmi, nie usłyszała jego słów. - Zamierzałem powiedzieć wam o tym dziś wieczorem w nieco bardziej delikatny sposób. Ale teraz, gdy pan Dempsey został postrzelony, nie mam już żadnych wątpliwości. Ojciec, pan Thistledown i obaj lokaje zostali zamordowani.

- Ale dlaczego? Dlaczego? - wyszeptała Veronika, siadając obok pastora na kanapie pani Thistledown. - Czy Jules zrobił coś, za co ktokolwiek mógł go zamordować?

I dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś? - W jej głosie pojawiła się nuta gniewu. - Jak mogłeś trzymać to w tajemnicy tak długo, Williamie?

- Chłopak nie miał pojęcia, co się naprawdę stało, aż do wczoraj, Veroniko - powiedział Dempsey, nim Berinwick zdążył otworzyć usta. - Sądził, że to był wypadek, tak jak wszyscy. Gdybym nie zobaczył ducha Harveya Langtona na własne oczy...

- Ducha Harveya Langtona?

- Langton widział ducha, mamo - wyjaśnił księżę, siadając okrakiem na krześle. - Langton od razu twierdził, że ten duch

specjalnie wyrócił powóz. Oczywiście mu nie uwierzyłem. Duch? I to w dodatku duch Owaina

Glyndwra? Opowiem ci o wszystkim, gdy wrócimy do Blackcastle, bo tymczasem pan Dempsey znów krwawi. Powinnaś chyba dokończyć opatrunek. Pozwolę sobie zauważyć, że już od dawna nie jestem chłopakiem, panie Dempsey. A co do twojego pytania, czym ojciec sobie zasłużył na taki los - dodał, gdy matka znów zajęła się uchem pastora - to nie, powinniśmy zapominać, że zabił pana Dighta i jego towarzyszy.

- Jeszcze jeden Pole! - wykrzyknęła Veronika.

- Au! - jęknął Dempsey.

- Och! Przepraszam, Richardzie. Nie chciałam cię tak pociągnąć za to nieszczęsne ucho. Williamie, czy ty naprawdę sądzisz, że zjawił się tu kolejny Pole, by pomścić śmierć krewniaków? Czy ta idiotyczna historia skończy się kiedykolwiek?

- To nie jest taka idiotyczna historia, mamó. Wielu dżentelmenów straciło życie, majątek i tytuł, od kiedy to wszystko się zaczęło. Wmieszane w to były nawet królewskie rody różnych krajów.

- Ale to wszystko działo się podczas wojny stuletniej, Williamie. Przed wiekami. Skoro wojna trwała aż sto lat, to dlaczego walka Thorne'ów z Pole'ami ciągnie się aż do dziś? Ostatni Pole zmarł w tysiąc pięćset dwudziestym piątym roku. Można to przeczytać w kronice rodzinnej oraz w historii Anglii. Tak samo twierdził twój ojciec, gdy po raz pierwszy opowiadał mi tę historię. Dlaczego więc każde pokolenie Thorne'ów musi się zmagać z Pole'ami? Nie wierzyłam w to, póki nie zjawił się tu waleczny pan Dight, który

chciał zabić twojego ojca. Jak to możliwe, by należał do rodziny Pole'ów, skoro ostatni jej potomek zginął podczas bitwy wiele lat temu? Nic nie rozumiem. To nieprawdopodobne. A skoro ojciec odkrył, kim on naprawdę jest, i zabił go, to tym bardziej nie powinno już być żadnych innych Pole'ów.

- Szszy, mammo. Pani Thistledown cię usłyszy.

- Wszystko mi jedno. Mam tego dość. Powiadam ci, że nie wierzę w istnienie rodziny Pole'ów. Tak samo jak nie wierzę w Jacka Dusiciela i w ducha Owaina Glyndwra, i w duchy Ellen i Jane!

- Szszy, Veroniko... - szepnął Dempsey, sadzając ją na sofie i klepiąc po ręce. - Pani Thistledown niesie nam herbatę. Porozmawiamy o tym wszystkim później, Vernie. Spotkamy się o dziesiątej przy kordegardzie - szepnął przez ramię, by nie usłyszał go książę.

Po powrocie do Blackcastle Tom Hasty opowiedział wszystkim, którzy chcieli go słuchać, o ataku na księżną i pastora. O tym, jak oniemiał ze zdumienia, gdy przed plebanią pojawił się wielebny pan Dempsey z zabandażowanym uchem, w towarzystwie księcia i księżnej. Wszystko się w nim wzburzyło, gdy księżna opowiedziała o strzelaninie. Duma Toma została urażona. Nie powinien był odstępować księżnej na krok, powinien był jechać za nią i pastorem zamiast pomagać Langtonowi w kościele.

- Gdybym tam był, może nie ośmieliliby się zaatakować - zwierzał się towarzyszom w stajni. - Albo przynajmniej dogoniłbym tego drania i przygwoździł do ziemi.

- To by chyba niewiele pomogło naszemu pastorowi -mruknął Overfield. - Gdybyś pobił tego drania po tym, jak postrzelił pastora.

- Ale przynajmniej dowiedzielibyśmy się, kim on jest, prawda? - rzucił Johnny. - Ciekawe, czy to ten sam człowiek, którego spotkał pan w lesie, panie Lancaster.

- Ciekawe - przytaknął Davey Lancaster, podając Hasty'emu świeżą maść dla Triumph'a.

- Nigdy się nie dowiemy - westchnął Hasty. - Nie pojechałem z nimi i ten drań uszedł cało. Dlaczego myślałem, że księżna będzie bezpieczna w towarzystwie pastora, nawet jeśli ten pastor jest taki jak nasz pan Dempsey?

- Nie sądzisz chyba, że ten drań chciał strzelić do księżnej? - zaniepokoił się Overfield.

- Skąd mogę wiedzieć, skoro mnie tam nie było? Ale sami powiedzcie, kto chciałby strzelić do pastora, który ledwo co tu przyjechał?

- Może księżę? - zasugerował Johnny. - Kto wie, może nasz pastor już zalał za skórę księciu?

- Skądże - mruknął Overfield. - Nie wygłosił przecież jeszcze żadnego kazania. A poza tym księżę nie strzelałby do nikogo z ukrycia. Stanąłby przed nim z szablą w dłoni.

Historia o przygodzie pastora wraz z podejrzeniami Hasty'ego, że to księżna, a nie Dempsey była celem ataku, powędrowała do zamkowej kuchni i po chwili znała ją już cała służba w Blackcastle. Pan Langton wraz z żoną i córką zatroszczył się natomiast o to, by o tym wydarzeniu usłyszeli wszyscy mieszkańcy Barren Wycche.

- Byłam w szoku - mruzczała pani Langton raz po raz. -Ty nie, panie Langton? Ja byłam w szoku. Tyle krwi! Kto by przypuszczał, że w uchu pastora jest tyle krwi.

- Całe szczęście, że to nie była krew księżnej - westchnęła Beth, pragnąc czym prędzej podzielić się nowinami z rodzeństwem i przyjaciółkami. - Tom Hasty podejrzewa, że ktoś strzelał raczej do księżnej.

- Coś podobnego! - wykrzyknęła pani Langton. - Co też on wygaduje? Przecież nasza pani nigdy w życiu nikogo nie skrzywdziła.

- Ale mam, przecież pastor też nikogo nie skrzywdził. Nie miał czasu, by wzbudzić czyjś gniew. Prawda, tato?

- Rozgniewał tylko księcia - stwierdził Langton, zastanawiając się, ile osób zechce mu postawić piwo wieczorem w pubie, by usłyszeć całą tę historię. Urzeczony wspaniałą perspektywą, żałował tylko, że nie ma psa, który mógłby z nim dzielić chwałę. - Chociaż oczywiście nie sądzę, by książę mógł postrzelić wielbego pana Dempseya, Bethany - dodał. - Nie, to nie był książę. Nasz książę nie zrobiłby tego z ukrycia. Stanałby z pastorem twarzą w twarz.

- W takim razie kto to zrobił, papo? I do kogo strzelał? Do księżnej?

- Tak sądzę, ale nie mam żadnych dowodów, moja droga. To straszne, że księżna nie może jeździć bezpiecznie po drogach, które należą do jej syna. Nie mam pojęcia, kto mógł popełnić taki straszny czyn. Wiem tylko, że to nie był duch. To nie był duch Owaina Glyndwra. On by nie umiał posługiwać się strzelbą.

O siódmej wszystkie córki Langtonów trajkotały, rozmawiając o uchu pastora i niebezpieczeństwie, w jakim znalazła się księżna. Młody Pervis, narzeczony Beth, który przyszedł do Langtonów na obiad, zaniósł nowiny do swego domu. Nazajutrz jego bracia z pewnością opowiedzą o wszystkim innym kosiarzom, a młode Langtonówny wszystkim swoim przyjaciółkom w Barren Wycche. W ten sposób wieść o ataku rozniesie się z prędkością wiatru po całej wsi i po hrabstwie. Za dzień albo dwa o wszystkim usłyszą także Tofarowie.

Kordegarda Blackcastle była kamienną rotundą i wyglądała jak czubek zamkowej wieży, odcięty mieczem olbrzymia i postawiony jego ogromną łapą na początku podjazdu. O godzinie dziesiątej wielebny pan Dempsey zsiadł ze swego konia i postawił latarnię na ziemi. Potem przywiązał Norville'a, pogłaskał Theophilusa po uchu i wzięwszy latarnię, ruszył w stronę wartowni. Przez wąziutkie okienko sączyło się światło. Dempsey zajrzał do środka i zobaczył latarnię stojącą na stoliku. Zapukał do drzwi i otworzył je.

- A więc przyjechałeś - uśmiechnęła się Veronika, wciągając go do środka. - I wzięłeś ze sobą Theophilusa.

- Owszem. Langtonowie pojechali już do domu, wolałem więc nie zostawiać go samego na plebanii. W związku z tymi wszystkimi duchami plebania nie jest chyba najlepszym miejscem dla samotnego psa, zwłaszcza gdy w kuchni nie dzieje się nic interesującego.

Veronika pochyliła się nad psem.

- Jak się miewasz, mój drogi? Wszystko w porządku? Sądzę, że twój pan pragnął twego towarzystwa i wcale nie zabrał cię tylko dlatego, żeby cię nie zostawiać samego w domu.

- Pfff - sapnął Theophilus, liżąc Veronikę po ręce i podając jej prawą łapę.

- Pod kominkiem leżą drwa, Richardzie. I na pewno są tu jeszcze jakieś świece.

Zachowuję się jak pensjonarka, pomyślała Veronika ze zdumieniem. Wypuściła psią łapę i próbowała przywołać się do porządku. Drżącymi dłońmi zdjęła kapelusz i położyła go na okrągłym stoliku stojącym na środku izby. Co się ze mną dzieje? zastanawiała się. Serce trzepoce mi w piersi, oblewają mnie fale gorąca. Może mam gorączkę? Nie, skądże znowu. Chodzi tylko o to, że jestem tu sam na sam z dżentelmenem, który nie jest moim mężem.

Ale przecież to jest Richard. Nie żaden uwodziciel, który zaprosił mnie na potajemną schadzkę. To Richard Dempsey z Arrandell. Richard, którego kiedyś kochałam jak młodszego brata i którego dziś kocham w ten sam sposób. Richard Randolph Dempsey, któremu ufam bez reszty.

Doprawdy, Veroniko, skarciła się w duchu, spostrzegłszy, że Richard, odwrócony do niej plecami, szuka świec, twój mąż został zamordowany, ktoś strzelał do twego syna i najprawdopodobniej do ciebie także, a ty stoisz tu i podziwiasz szerokie bary pastora, drżąc z przejęcia na samo wspomnienie smaku jego ust i dotyku jego dłoni.

W jego ramionach w salonie czułam się tak bezpiecznie, pomyślała księżna, gdy Dempsey zaczął zapalać świece. Jeśli się

jeszcze kiedyś rozplącę, będę marzyć o tym, by Richard ogarnął mnie ramieniem. On najprawdopodobniej nawet nie podejrzewa, jak bardzo mnie pocieszył. Nie wie także, ile odwagi wlał w moje serce.

- Wydawało mi się, że Berinwick twierdził, iż w Blackcastle nie ma odźwiernego.

- Bo nie ma. Och, chodzi ci o świece, stół i kominek?

- O sofę, fotele i ten piękny dywan oraz obraz na ścianie - powiedział Dempsey, zapalając kolejne świece.

- To przytulne miejsce - odparła Veronika. - Zawsze je lubiłam. Nie rozumiem, dlaczego nie byłam tu od miesiący. Z tą izbą wiążą mnie wspomnienia. Miłe wspomnienia.

- Na temat twego męża?

- Tak. Jules lubił tu przychodzić i...

- I?...

- Bawić się w smoka i... To nie twoja sprawa, Richardzie Dempsey. - Oczy księżnej rozbłyły, a jej policzki zarumieniły się na myśl o zabawach z Julianem i o tym, że teraz Richard jest z nią w tym samym miejscu.

- W smoka? Czy to jakaś gra w karty?

- N-nie. Usiądź, Richardzie. Jak się czujesz? Czy ucho bardzo cię boli?

- Raczej szczypie, gdy wieje wiatr - odparł Dempsey, siadając na sofie przed kominkiem, w którym wesoło trzaskały płomienie. - Nie staraj się grać uprzejmej gospodyni, Veroniko. Nie ma potrzeby troszczyć się teraz o moje ucho ani proponować mi herbaty. Chciałem

spotkać się z tobą tutaj, żebyśmy mogli porozmawiać spokojnie na osobności. Mam nadzieję, że będę umiał cię jakoś uspokoić.

- Wiem, Richardzie. Dziś po południu zachowałam się jak histeryczka. Sama nie wiem, co mnie napadło.

- Miałaś wszelkie powody, by się niepokoić, moja droga. Dowiedziałaś się właśnie, że twój mąż został zamordowany. - Dempsey poklepał miejsce obok siebie na sofie. -Usiądź koło mnie. Porozmawiamy o duchach i o Pole'ach.

O wszystkim i o niczym. Wiadomość o tym, że twój mąż został zamordowany, musiała cię zaszokować. Sądzę, że czułaś się tak, jakbyś straciła go po raz drugi.

- Nie, to nie było aż tak straszne - odparła Veronika. -Usiadła sztywno na skraju sofy, wyprostowana jak struna, z dłońmi złożonymi na kolanach i wzrokiem utkwionym w płomieniach. - Ale zaskoczyło mnie to ogromnie, Richardzie. Myśl, że ktoś mógł celowo przewrócić powóz. Kto mógł to zrobić? Zabić nie tylko Julesa, ale także ich wszystkich. Jak można się do tego posunąć! Jakby życie pana Thistledowna i lokajów nic nie znaczyło. Jakby nikogo nie obchodziła śmierć zupełnie niewinnych ludzi. Jakby ludzie, którzy nikomu nie wyrządzili krzywdy, zginęli tylko dlatego, że służyli księciu Berinwickowi.

- To był doprawdy haniebnny czyn - zgodził się Dempsey i zamilkł. Zachowanie Veroniki sprawiło, że nie powiedział tego, co miał na końcu języka. Wyciągnął dłoń i zaczął delikatnie głaskać księżnę po plecach, by rozluźnić mięśnie, spięte, jak sądził,

przerażeniem. Ten gest wzbudził w nim nieoczekiwane uczucia. Jakże pragnął dotykać jej w zupełnie inny sposób, pieścić całkiem inaczej.

Gdybym urodził się parę lat wcześniej, gdybym był bogatszy i utytułowany, sam mógłbym się ożenić z tą cudowną kobietą. Byłaby teraz moją żoną i wiodłaby zupełnie inne życie. Moje życie także byłoby całkiem inne - nigdy nie czułbym się samotny, nie brakowałoby mi radości, miłości i śmiechu.

- To haniebny czyn, którego i ja nie potrafię wytłumaczyć. Ale to należy już do przeszłości, Veroniko. Nie można zapobiec temu, co już się wydarzyło. Możemy jednak powstrzymać tego łotra, by nie czynił więcej zła, by nie powodował już bólu. Nie powinnaś się go bać, bo ja go znajdę i położę kres złu. Przyrzekam.

Veronika westchnęła. Dotyk dłoni Dempseya i spokojny ton jego głosu podziałał na nią odprężająco. Czowała, że jej ciało nie jest już tak sztywne.

- Ja się nie boję, Richardzie - szepnęła, sadowiąc się wygodniej, ze stopami na sofie. - Nie boję się, kiedy jesteś przy mnie. - Oparła lekko głowę na jego ramieniu. - Ale jestem taka zmęczona. Stara i zmęczona. Wolałabym w dalszym ciągu być małą dziewczynką. Taka byłam szczęśliwa w Arrandell z twoją mamą, z twoim papą, z tobą i twoimi braćmi. W Arrandell nie było zła.

- Obawiam się, że było, Vernie - powiedział Dempsey, obejmując ją ramieniem. - Byliśmy jednak zbyt niewinni, by je rozpoznać. Byliśmy za młodzi, by nas dotknęło. Ale wiem, co masz na myśli. I gdybym mógł przenieść cię do Arrandell, do czasów naszej młodości, zrobiłbym to natychmiast. Nie wierzysz, że osoba, która

spowodowała śmierć twojego męża i strzelała do nas dziś po południu, pochodzi z tej legendarnej właściwie rodziny Pole'ów z Wyke?

- Nie. Tak. Nie. Nie wiem. Nie mogę sobie tego wyobrazić. Skąd oni się biorą? Czy rozmnażają się jak króliki? Julian utrzymywał, że pan Dight jest w rzeczywistości Pole'em. Twierdził, że ma na to dowody i że ma też dowody jego złych intencji. I to wcale nie było tak, że Julian wskoczył na ambonę i ni z tego, ni z owego przeszył go rapierem - dodała, bawiąc się guzikiem surduta Dempseya. - Zapewne tak ci to przedstawił William, prawda?

- Mniej więcej.

- Było całkiem inaczej. Julian wstał i oskarżył pana Dighta o to, że zamierza zamordować nas wszystkich we śnie, obrabować Blackcastle i spalić nasz dom. „Nieważne, jakie pan nosi nazwisko, i tak jest pan Pole'em”, po wiedział. „Płynię we mnie ich krew za sprawą mojej prapraprababki i jestem z tego dumny”, oświadczył pastor i wyciągnął pistolet spod pulpitu.

- Wielkie nieba!

- Tak właśnie było. Ale nim zdołał wypalić, Jules popchnął mnie i Williama na podłogę, wskoczył z naszej ławki i przeszył go rapierem. Wtedy trzech mężczyzn, najęci na czas żniw na prośbę pana Dighta, wyłonili się z nawy z nożami w rękach. Nasi próbowali ich powstrzymać, ale nikt nie miał przy sobie broni. Wielu zostało ranionych, nim Julian przeszył wszystkich trzech swoim rapierem. Szsz, szsz, szsz...

Dempsey poczuł dreszcze przebiegające mu po plecach.

Przytulił Veronikę mocniej.

- Jak to możliwe, Richardzie? - zapytała cicho. - Czy zemsta nie ma końca? Dlaczego mszczą się ludzie o nazwiskach Dight, Clay czy Everrette, w których żyłach krew Pole'ów jest już tak rozrzedzona, że pozostała jej zaledwie kropla? Dlaczego matki każą synom mścić przodków, których nikt by nie rozpoznał, nawet gdyby powstali z grobów?

- Może to ma niewiele wspólnego z przodkami, Veroniko? - mruknął Dempsey. - Nie przyszło ci nigdy do głowy, że zemsta jest tylko pretekstem, a w rzeczywistości powoduje nimi zazdrość i chciwość?

- Zazdrość i chciwość?

- W Blackcastle jest mnóstwo skarbów. Może opowieści o tych skarbach przechodzą z pokolenia na pokolenie i to one przyciągają tu złych ludzi, którzy mówią o zemście tylko po to, by wydać się bardziej honorowymi?

- O tym nie pomyślałam - przyznała Veronika. -

W moim przekonaniu zemsta nie ma nic wspólnego z honorem, ale wiem, że niektórzy mężczyźni tak właśnie myślą. W Blackcastle rzeczywiście nie brakuje skarbów. Thorne'owie zawsze byli bardzo bogaci.

- To mi coś przypomniało - powiedział Dempsey, patrząc w dół i starając się nie ruszyć, bo pragnął cały czas czuć ciężar Veroniki na swoim ramieniu.

- Co takiego, Richardzie?

- Wisiorek, który mi pokazałaś. Kiedy go zgubiłaś?

- O mój Boże! - wykrzyknęła Veronika, spuszczając stopy na podłogę. Wyprostowała się tak gwałtownie, że zaniepokojony Theophilus głośno zaszczekał. - Wisiorek zginął w tę niedzielę, gdy Julian zabił pana Dighta i jego współników. Dałam go Williamowi do zabawy, żeby odwrócić jego uwagę od tego, co się dzieje. A potem nigdzie nie można go było znaleźć. William nie mógł sobie przypomnieć, co z nim zrobił.

- Czy szukaliście zguby w kościele?

- Szukaliśmy wszędzie, w kościele, w Blackcastle, na drodze.

- Coś mi przyszło do głowy. Czy nie sądzisz, że William mógł upuścić wisiorek na podłogę podczas zabawy, a wtedy ktoś związany z panem Dightem zabrał go i schował? Czy to możliwe, by pan Dight miał więcej współników? Może czwarty mężczyzna ukradł wisiorek, pojechał do domu, a teraz wrócił?

- Nie wiem. Zaczekaj. Był pewien starszy dżentelmen nazwiskiem Tweed, którego Julian wynajął do skatalogowania swojej kolekcji, ale on pracował wiele miesięcy przed pojawieniem się pana Dighta. I nie mógłby z pewnością teraz powrócić, bo byłby sędziwym staruszkiem.

- A jednak przypomniałaś go sobie, Vernie. Dlaczego?

- Dlatego, że wyjechał dzień po zejściach w kościele. Wtedy nie zwróciło to mojej uwagi. Był bardzo spokojnym człowiekiem i bez wątplenia przeraziło go to, co się wydarzyło. Pomyślałam nawet, że zapewne nie zechce już pracować dla Juliana, ale nie przypuszczałam,

że wyjedzie już następnego dnia. Jules nazwał go strachajłem i powiedział, że płakać po nim nie będzie.

- I nigdy więcej nie widziałaś tego człowieka? Zastanów się, Veroniko. Czy w okolicy nie ma nikogo, kto mógłby być tym panem Tweedem?

- Nie - pokręciła głową księżna. - Przypomniałam sobie tego człowieka, ponieważ wyjechał następnego ranka.

- A może jest ktoś do niego podobny? Kto mógłby być jego młodszym bratem? Albo synem? Ktoś nowy, kto pojawił się tu dopiero niedawno? No, przynajmniej dziewięć miesięcy temu, bo tyle czasu upłynęło od śmierci twojego męża. Czy ktoś rozpoczął pracę w Blackcastle mniej więcej wtedy?

- Chyba nikt. Gdy zniknął David Hancock, zatrudniliśmy Patricka McClane'a, ale to było ze cztery miesiące przed śmiercią Juliana. Całe szczęście, że się tu zjawił. Skończył właśnie pracę u lorda Rodericktona i jechał z listami polecającymi do markiza Erndine. Zatrzymał się na noc w Barren Wycche i Julian spotkał go w gospodzie. Tak mu się spodobało w naszej okolicy, że Jules bez trudu go przekonał, by przyjął posadę rządcy w Blackcastle.

- A kto zniknął? - zapytał Dempsey.

- Nasz poprzedni rządcą. Pewnego dnia nigdzie nie można go było znaleźć. Richardzie! Czy to możliwe, by David Hancock wcale nie zniknął? Czy to możliwe, że ukrywa się gdzieś w okolicy i odpowiada za to, co się stało?

- Ten człowiek zapewne wie wszystko na temat skarbów Blackcastle. I dobrze zna okolicę - mruknął Dempsey. - I jeśli ma

jakiś związek z tym panem Tweedem, a tamten był w rzeczywistości wspólnikiem Dighta...

Księżna Berinwick zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała prosto w usta.

- Richardzie! Jesteś najwspanialszym, najinteligentniejszym i najbardziej przenikliwym człowiekiem na świecie! - wykrzyknęła, odsunawszy się od niego trochę. - W ogóle nie zastanawiałabym się nad historią wisiorka, gdybyśmy się dziś nie spotkali. I wciąż rozmyślałabym o zemście z za grobu. A tymczasem to nie żaden mściwy Pole zamordował Juliana, strzelał do Williama i do nas. To nie żaden Pole, który chce zniszczyć Thorne'ów. To po prostu jakiś wspólnik Dighta, któremu udało się umknąć, może nawet David Hancock. Ktoś, kto ma chrapkę na kolekcję Juliana. Och, Richardzie. Kamień mi spadł z serca. Dzięki tobie ujrzałam wszystko w innym świetle. Niewykluczone, że odgadłeś, kto się za tym kryje.

- To tylko jedna z możliwości, Vernie.

- Tak, ale możliwość całkiem prawdopodobna. Potrafię sobie wyobrazić kogoś zazdrosnego i chciwego. Natomiast wizja coraz to nowych Pole'ów szukających zemsty wprawiała mnie w konfuzję. Jesteś naprawdę cudownym człowiekiem.

- Dlaczego patrzysz na mnie w taki sposób, Vernie? Czy zamierzasz mnie jeszcze raz pocałować? - zapytał Dempsey, czując na sobie jej śmiałe spojrzenie.

- Owszem, Richardzie, Zamierzam. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Nic a nic - odparł. - Możesz mnie całować do woli -powiedział, wstając z sofy i otwierając ramiona.

Dempsey nie miał pojęcia, co się z nim dzieje. I nawet się nad tym nie zastanawiał. To był najwspanialszy pocałunek i pastor nie troszczył się o to, czy zrobi się fioletowy z braku powietrza, czy zemdleje z powodu palpacji serca, czy też straci ucho, które Veronika uciskała ramieniem. Nie chciał, by ich usta kiedykolwiek się rozstały. I dlatego, gdy Theophilus drapnął go w stopę, odepchnął go nogą.

Theo przysiadł ze zdumienia i popatrzył na swego pana, który od lat nic takiego mu nie zrobił. Przyglądając się nie najlepszym wzrokiem swemu panu i tej miłej damie, którą pan poznał mniej więcej wtedy, gdy zawarł znajomość z tym wielkim koniem, doszedł do wniosku, że oboje znaleźli się w nie lada tarapatach. Gdy pastor znów nie zwrócił uwagi na jego łapę, Theophilus doszedł do wniosku, że ma rację. Nie zdarzyło się bowiem, by pan ignorował go tak zupełnie.

Theophilus znów usiadł i zaczął się przyglądać scenie z wielką troską. Nos mówił mu, że ma przed sobą dwoje ludzi, ale widział tylko jedną osobę. Przyszło mu do głowy, że ta miła dama przykleiła się do jego pana, tak jak on przykleił się kiedyś do tapety. Gdy sobie przypomniał tę nieprzyjemną sytuację i walkę, którą musiał stoczyć z szeleszczącą tapetą, wydał z siebie groźny pomruk. A potem rzucił się do przodu, by rozdzielić tych dwoje, nim skleja się tak mocno, że nie obejdzie się bez wycieczki do pompy i bez litrów zimnej wody, nie wspominając już o spienionym mydle.

- Co się dzieje, do diabła! - wykrzyknął Dempsey, gdy rozdzielił ich pies.

- Och, Richardzie! Pomocy! - Veronika ze śmiechem próbowała odzyskać równowagę.

- Hau, hau - szczekał bojowo Theophilus.

- Theo! Przestań! Przestań natychmiast! - zawołał Dempsey, z trudem powstrzymując śmiech. Ale pies nie ustawał w wysiłkach rozdzielania pary, skacząc i poszczekując na przemian. - Co ty wyprawiasz, wariacie? - Ale było już za późno na tego rodzaju pytania. Veronika odchyliła się w tył i gdy pastor starał się ją podtrzymać, oboje stracili równowagę. Cała trójka wylądowała na różowo--czerwonym dywanie między sofą a kominkiem, pośród śmiechu i poszczekiwań.

To był istotnie zdumiewający widok i nic dziwnego, że Berinwick stanął jak wryty na progu, gdy otworzył drzwi do wartowni.

- C-co się tu dzieje, do diaska? - zawołał, gdy udało mu się złapać oddech, którego mu zabrakło po szaleńczym pędzie wzdłuż podjazdu. - Mamo?

- Och, Williamie, nic takiego - uspokajała go księżna ze śmiechem, usiłując wstać z podłogi.

Berinwick podszedł i pomógł jej się podnieść.

- Szedłem właśnie odwiedzić Triumphę, gdy usłyszałem tego cerbera - mruknął, otaczając matkę ramieniem. - Pomyślałem, że znów będziemy mieć do czynienia z jakimś morderstwem lub okaleczeniem.

- Nie, nie z morderstwem. No, może z okaleczeniem - zachichotała księżna. - Richardzie, czy nic ci się nie stało?

- Nic - odparł pastor, starając się stanąć na własnych nogach i przybrać poważny wyraz twarzy.

Berinwick zmarszczył brwi i, wciąż obejmując matkę ramieniem, podał pastorowi rękę, by pomóc mu wstać.

- Co pan tu robi o tej porze sam na sam z moją matką?

- Nie byliśmy sami - wtrąciła księżna. - Zapomniałeś o cerberze, Williamie.

- Mniejsza o psa. Tarzaliście się po dywanie we dwójkę!

- We trójkę - poprawił go Dempsey i znów zachichotał. - Nie mam pojęcia, co mu strzeliło do głowy, Veroniko. Naprawdę. Czasami Theophilus zachowuje się bardzo zagadkowo.

- Nie tak zagadkowo jak jego pan - mruknął Berinwick. - Wyzywałem mężczyzn na pojedynki za mniejsze przewinienia niż tarzanie się po dywanie z... moją matką i z tym... psem. Jest pan pastorem! Powinien pan umieć się zachować!

- Nic się nie stało, Williamie, naprawdę - powiedziała księżna, onieśmielona spojrzeniem syna. - Chcieliśmy tylko porozmawiać, nie przeszkadzając nikomu w domu.

- Mam nadzieję, że skończyliście już rozmowę, bo zamierzam osobiście odprowadzić cię do domu - oświadczył Berinwick, podając matce ramię. - Która z tych latarni należy do ciebie, mamo? Ta? Świetnie. Panie Dempsey, proszę zgasić świece i ogień w kominku, nie przestawiać żadnych mebli, wziąć swoją latarnię i pójść do domu. Nawiasem mówiąc, pańskie ucho znów krwawi.

- Co wyście robili, że jego ucho zaczęło znów krwawić? -
Berinwick zwrócił się do matki, prowadząc ją w stronę drzwi. -
Mniejsza z tym. Mniejsza z tym. Miałbym ochotę upuścić mu więcej
krwi, ale nie zrobię tego. W każdym razie nie dziś.

Dempsey stanął w drzwiach i patrzył, jak matka i syn oddalają
się w stronę zamku. Uśmiechnął się szeroko i czuł, że dziś już nie
przestanie się uśmiechać, i to nie tylko z powodu pocałunku i
niezwykłej przygody, ale także dlatego, że księżę wciąż otaczał matkę
ramieniem, a ona wydawała się z tego zadowolona.

Hanna zgasła lampę i przebiegła przez swą sypialnię, by oprzeć
się o poduchy w oknie i zapatrzeć w niebo usiane gwiazdami. Nie
słyszała szczekania Theophilusa. Nie widziała matki i brata na
podjeździe, nie miała pojęcia, że pan Dempsey z promiennym
uśmiechem na twarzy gasi świece i ogień w kominku w kordegardzie,
a szczęśliwy Theophilus płacze się mu koło nóg. Nic nie widziała i nie
słyszała, bo sypialniane okno było jej prywatną bramą do krainy
marzeń i gdy w nim siadała, świat rzeczywisty natychmiast przestawał
istnieć.

Z położonej w zachodnim skrzydle zamku sypialni Hanny widać
było szeroki trawnik, ograniczony starym, wałącym się murem, tu i
ówdzie wysokim, tu i ówdzie niskim. Północną część trawnika
atakował niepostrzeżenie Grydwynn Wood, jakby chciał rozszerzyć
swoje posiadanie, nim się ktokolwiek zorientuje. W południowej
części trawnika, tuż pod murami zamku, wytryskiwał spod ziemi
strumyk, który wił się przez jakiś czas, by znów zniknąć pod ziemią i
wytrysnąć trzy mile dalej. Wiosną i latem trawę skubało stadko owiec,

nigdy jednak nie było ich tyle samo, ponieważ zawsze dwie albo trzy znikwały w głębi labiryntu, który znajdował się na samym środku zielonej przestrzeni. Kwitnące różami i głógiem ściany labiryntu, zasadzonego przed wielu laty przez jedną z prapraprababek Hanny, miały z osiem stóp wysokości i kusiły nie tylko owce, ale i młode dziewczęta. Hannę także niejednokrotnie ratował z tej pułapki jakiś pasterz, tak jak się to często przytrafiało owcom.

W świetle okrągłutkiego księżyca sceneria zamigotała w oczach Hanny jak baśniowa kraina, którą widzą tylko księżniczki o czystym sercu i wielkiej wyobraźni, zdolne zaludnić ją rycerzami i czarnoksiężnikami, czarownicami i smokami. Hanna patrzyła właśnie na rycerza w lśniącej zbroi, który stał u wejścia do labiryntu. Jego waleczny koń z rozwianą grzywą i strymowanym ogonem stał tuż za nim. W pierwszej chwili Hanna sądziła, że to sir Galahad albo sir Lancelot, ale szybko doszła do wniosku, że to król Artur we własnej osobie.

Hanna była tak zatopiona w swoich marzeniach, że wcale nie odczuwała zdziwienia, śledząc króla Artura, który jechał w głąb labiryntu na spotkanie ze swą Ginewrą. Wcale nie czuła się nieswojo. Od lat przecież zaludniała tę przestrzeń postaciami znanymi z książek i opowieści. Zwłaszcza że powieki zaczynały jej coraz bardziej ciążyć.

I wtedy głowa króla Artura spadła.

Hanna natychmiast szeroko otworzyła oczy i wróciła do rzeczywistości.

- Co się dzieje? - mruknęła, przecierając oczy pięściami. Król Artur właśnie podnosił swoją głowę z trawnika. Nie. Nie głowę, bo głowę miał na właściwym miejscu. Okazało się także, że koń nie przypomina rycerskiego wierzchowca, ale starą Penn, tyle że polaną śmietaną. I niezależnie od tego, kim był w rzeczywistości ten król Artur, to wcale nie zamierzał wejść do labiryntu. On z niego właśnie wyszedł. - Muszę o tym natychmiast powiedzieć Willowi - postanowiła Hanna i zerwała się z miejsca, by poszukać pantofli. - Natychmiast.

Berinwick patrzył na siostrę ze zdumieniem.

- Powtórz, proszę, Hanno - powiedział. - Słyszę, co mówisz, ale nic nie rozumiem. Przyszłaś tu ze swojej sypialni, żeby mi powiedzieć, że...

- Że w labiryncie był jakiś dżentelmen.

- Ale już go tam nie ma.

- Nie. Nie sędzę, by był w pobliżu labiryntu. Zanim znalazłam pantofle i lampę oliwną, zanim zeszłam do gabinetu - spodziewałam się, że cię tam zastanę, bo przecież przesiadujesz tam aż do świtu. No więc zanim to wszystko zrobiłam, a potem przybiegłam aż tutaj...

- Dobrze, ale opowiedz mi o tym człowieku. - Berinwick wziął znów surdut, który przed chwilą oddał lokajowi, i dał mu znak, by wyszedł z pokoju. - Idź i poczytaj coś albo napij się herbaty, Nordstrom - rozkazał. - Wygląda na to, że znów się wybiorę na spacer. Zadzwoń, gdy wrócę. Powiedziałaś, Hanno, że w labiryncie był jakiś człowiek, któremu głowa spadła na ziemię, tak?

- Powiedziałam, że tak mi się wydawało.

- No właśnie. Spadła?

- Co?

- Głowa?

Hanna westchnęła, położyła dłonie na biodrach i spiorunowała brata wzrokiem.

- Will, przestań się wygłupiać. Nie spadła mu głowa, ale coś w rodzaju starego kapelusza. I gdybyś był tam, gdzie powinieneś być, moglibyśmy pobiec do labiryntu i już wiedzielibyśmy, kto to był i co tam robił. Może to człowiek, który zamordował papę i zaatakował mamę i wielebnego pana Dempseya dziś po południu.

- Kto wie, czy nie był to wielebny pan Dempsey we własnej osobie - mruknął Berinwick, narzucając surdut.

- Pan Dempsey? Dlaczego pan Dempsey miałby...

- Nie wiem. Ale ten dżentelmen zazwyczaj pojawia się tam, gdzie nie powinien, i robi to, czego robić nie powinien - mruknął Berinwick, stając na podnóżku, by zdjąć z szafy skórzaną walizeczkę.

- Niedawno zastałem go w kordegardzie w towarzystwie naszej matki.

- Wielebnego pana Dempseya?

- Tak.

- W naszej kordegardzie?

- Owszem.

- Sam na sam z mamą?

- Niezupełnie. Towarzyszył im pies. - Berinwick uniósł wieczko i wyjął jeden srebrny pistolet, by go naładować i odbezpieczyć. Potem odłożył broń i wyjął drugi pistolet. - Pójdę do labiryntu i zobaczę, co się da zobaczyć - mruknął, ładując drugi pistolet. - Wątpię, czy

zobaczę cokolwiek. Ale może w świetle księżyca i latarni zdołam odkryć ślady czyichś stóp albo coś w tym rodzaju.

- Idę z tobą.

Berinwick spojrział na młodszą siostrę i niemal się uśmiechnął.

- Nie pójdziesz chyba w koszuli nocnej, moja droga. A raczej nie ma czasu, byś się przebrała.

- Ależ Will...

- Szzsz, Hanno. Nie mogę ci odmówić odrobiny przyjemności.

Weź pistolet. Pójdziesz ze mną do zachodnich drzwi i tam zaczekasz. Jeśli dopisze mi szczęście, może przepłoszę jakiegoś królika, który pobiegnie w twoim kierunku.

- I mam do niego strzelić?

- Nie, nie. Masz tylko strzelić gdzieś koło niego. Bo niewykluczone, że to będzie wielebny pan Dempsey, a mama nie wybaczyłaby nam, gdybyśmy go postrzelili po raz drugi tego samego dnia.

Berinwick nie miał pojęcia, jakim cudem wszyscy nazajutrz wiedzieli o intruzie bez głowy, który wyłonił się z labiryntu. Nie zdołał bowiem go przepłoszyć, nie rozległy się żadne strzały, oboje z Hanną udali się spokojnie na spoczynek. Książę zapomniał o tym, że na początku i na końcu tej przygody towarzyszył mu Nordstrom. Lokaj pomógł mu przebrać się w nocny strój i zabrał buty do czyszczenia. Księciu nawet nie przyszło do głowy, że Nordstrom podzielił się tym, co wie, z resztą służby podczas śniadania. Tymczasem Nordstrom tak właśnie postąpił i cała historia rozniosła

się po Barren Wycche, podobnie jak opowieść o ataku na pastora i księżną.

Nic więc dziwnego, że w najbliższą niedzielę, gdy wielebny pan Dempsey miał zainaugurować swoją posługę pod na poły załatanym dachem kościoła, nie tylko w głównej nawie, ale i w bocznej oraz na dziedzińcu było mnóstwo ludzi z Blackcastle, z Barren Wycche, a nawet z sąsiednich hrabstw. Był książę Berinwick i Ellie, pomywaczka, był pan Tofar i mały Charlie Thistledown, młynarz George Miller i Prudence Angser, córka stolarza, wszyscy przyjezdni Walijczycy, których najał książę, oraz Tom Hasty, Davey Lancaster, Trewellyn, Overfled i Arnold Nordstrom. Wszyscy mieli oczy i uszy otwarte, a ręce w pogotowiu.

I nie liczyło się to, że niektórzy z nich byli katolikami, a inni kwakrami i nie należeli wcale do parafii St. Milburga's of the Wood. Nie miał znaczenia fakt, że remont kościoła nie został jeszcze dokończony. Nikt nie zwracał uwagi na to, że nowy pastor ma zabandażowane ucho, a obok ambony leży i poziewuje podstarzały pies. Ważne było tylko to, że jakiś drań miał czelność strzelać do nowego pastora w obecności księżnej i że najprawdopodobniej mierzył właśnie w nią. Ważne było także i to, że jakiś nieznany osobnik bez głowy wyłonił się ze starego labiryntu, do którego nie zaglądał nikt oprócz pasterzy, i że, co gorsza, wyłonił się stamtąd w niecnym zamiarach. Najważniejsze było wszakże to, że rodzina Thorne'ów of Barren Wycche znalazła się w niebezpieczeństwie. A tego nikt nie mógł zlekceważyć. Wszyscy przyszli do kościoła dobrze przygotowani.

Księżę Berinwick siedział w swej rodowej ławce wraz z matką i siostrą, pastor Dempsey nie mógł więc nie zauważyć rapiera, który wisiał u jego boku. Wielebny pan Dempsey nie wiedział jednak, że pan Tofar przyniósł w kieszeni mały pistolet, że Angser schował nóż w bucie, że Waliyczycy zaciskają w kieszeniach pięści gotowe na wszystko i że kobiety schowały do swych torebek świeżo zaostrzone nożyczki i noże do papieru. Wszyscy dorośli zabrali w tę niedzielę do kościoła jakiś rodzaj broni, by w razie potrzeby stawić czoła wrogom rodziny Thorne'ów, nawet z narażeniem własnego życia. Zamierzali także bronić nowego pastora, ponieważ wieść gminna niosła, że księżna Berinwick bardzo go lubi. Wierni woleli więc zadbać o bezpieczeństwo wielebnego pana Dempseya.

Pan Dempsey nie posiadał się ze zdziwienia, że gdy mówił w swym kazaniu o kościele w St. Milburga's jako sanktuarium, miejscu schronienia przed przemocą, miejscu, w którym można każdemu wybaczyć i wszystko naprawić, to wierni zaczęli mruczeć coś pod nosem. Jeszcze bardziej zdumiał go fakt, że gdy wyszedł na kościelny dziedziniec, by się ze wszystkimi przywitać, ludzie zachowywali się bardzo dziwnie, a czasem wręcz nie patrzyli mu w oczy.

- Co ja takiego powiedziałem, Veroniko? - zapytał, gdy on i księżna zostali przez chwilę sami przed drzwiami kościoła. - Długo pracowałem nad tym kazaniem. Co wprowadziło ich w taki niepokój?

- Jakież to urocze miejsce - stwierdził Dempsey, gdy w następny czwartek po południu Veronika prowadziła go przez trawnik w stronę labiryntu. Theophilus skakał wesoło, udając, że goni owce, które kurtuazyjnie beczwały, gdy się zbliżał, i odsuwały się o kilka kroków, gdy znalazł się już całkiem blisko. W ten sposób i pies był szczęśliwy, i owce spokojne.

- Theo jest chyba zachwycony - uśmiechnęła się Veronika.

- Nie martw się, Vernie. Przysięgam, że nie zrobi krzywdy twoim owcom ani nie wystraszy ich tak, by gdzieś uciekły.

- Ty także się nie martw, Richardzie. Przysięgam, że nasze owce nie zrobią krzywdy Theophilusowi. Podejrzewam, że dobrze się bawią. Od lat nie byłam w tym labiryncie.

- Ale znasz jego tajemnice?

- Tajemnice?

- Wiesz, jak dojść do środka i jak się stamtąd wydostać? Co jest w centrum tego labiryntu?

- Wydaje mi się, że pamiętam drogę, ale William ma dokładną mapę, gdybym przypadkiem coś pomyliła. Zaczekaj trochę, to zobaczysz, co jest w środku.

- Mamo, pospiesz się - zawołała Hanna. - Will twierdzi, że droga przez trawnik zabierze wam więcej czasu niż jemu poszukiwania mapy labiryntu. A przecież szukał jej przez cały tydzień.

- Sam widzisz, Richardzie, jak bardzo mój syn chce się dostać do środka. Nie zamierzam biegać, Hanno. Przekaż to swojemu bratu. Tylko nie wchodźcie tam sami. Umówiliśmy się przecież, że wejdziemy wszyscy razem.

- Tylko czy wyjdziemy stamtąd wszyscy razem? - zapytał Berinwick, wyłaniając się z wejścia do labiryntu i kładąc ręce na ramionach siostry. - Czy ktokolwiek z nas stamtąd wyjdzie?

Hanna zachichotała.

- Nie sądzę, byśmy spotkali jakiegoś ducha o drugiej po południu, wasza wysokość - stwierdził Dempsey, gdy oboje z księżną stanęli przed młodymi ludźmi. - Theophilusie! Chodź tu natychmiast! Dość tej zabawy z owcami.

- O tej porze powinno tam być całkiem bezpiecznie - orzekł Berinwick. - Byłoby jednak lepiej, gdyby założył mu pan smycz. Wolelibyśmy chyba, żeby nie zabłądził. Ja zawiążę linę dokoła ręki Hanny, żebyśmy jej także nie zgubili.

- Och, Will! - Hanna wywróciła oczami, gdy pastor przypinał smycz swemu psu.

- Hanno, jeśli odłączysz się od nas w labiryncie, na pewno zabłądzisz.

- Will, przestań już - syknęła dziewczyna.

- Nie chciałbym cię stracić, droga siostrzyczko. Sama wiesz najlepiej, jak łatwo tam zabłądzić.

- Will, proszę cię, zamilknij.

- Hanno, czy ty byłeś w labiryncie? Mimo wyraźnego zakazu?

- Wiem, że oboje z papą zakazaliście mi tam wchodzić, ale nie mogłam uwierzyć, że mówicie poważnie. Na pewno się domyślaliście, że będę musiała tam zajrzeć, skoro ten tajemniczy labirynt kusił mnie dniami i nocami.

- Na pewno oboje z ojcem o tym wiedzieliście, mamó - powiedział Berinwick. - Nawet ja o tym wiedziałem. Oczywiście nie wspomnę, Hanno, ile razy któryś z pasterzy musiał spieszyć ci na pomoc.

- Hanno! - wykrzyknęła księżna. - Żaden z pasterzy nawet się na ten temat nie zająknął.

- Oni także to rozumieli, mamó - wyjaśnił Berinwick. - Tak jak Hanna powiedziała. Labirynt tu jest i dlatego trzeba go było zbadać. Pasterze nie mówili ci także, ile razy mnie stamtąd wyciągali. Ja także próbowałem dotrzeć do centrum, choć może nie miałem tylu okazji, co Hanna.

- Za późno, by ich za to łąać - powiedział Dempsey, trafnie odczytując intencje księżnej. - Zwłaszcza że lada moment wszyscy tam wejdziemy i nie opuścimy labiryntu, póki nie dotrzemy do centrum.

- Lub przynajmniej póki nie dowiemy się, czego tam szukał król Artur bez głowy - dodał Berinwick. - Niewykluczone, że on wcale nie był w środku labiryntu. Może już po kilku zakrętach zagadka zostanie wyjaśniona.

Berinwick, z mapą w ręku, szedł na czele, za nim Hanna, potem księżna, a na końcu Dempsey z psem. Na początku żywopłot był ładnie przystrzyżony, ale po pewnym czasie krzaki stały się gęstsze.

Kolczaste gałęzie czepiały się damskich spódnic i męskich spodni. Miejscami labirynt stawał się mroczny, bo krzaki, zrosnięte u góry, tworzyły tunel.

- Wydaje mi się, że pańscy ogrodnicy nie przykładają się za bardzo do pracy, Berinwick. W każdym razie ci, którzy zajmują się labiryntem, muszą być dość leniwi.

- Leniwi? Moi ogrodnicy? O nie. Labiryntem zajmują się Crawford i Davis, a oni... zaraz zaraz... zdaje się, że od paru tygodni nie widziałem żadnego z nich - powiedział Berinwick, zatrzymując się nagle. - Co się mogło z nimi stać? - Księżę podrapał się w policzek i spojrzał na swoją siostrę. - Na pewno pochłonął ich ten labirynt. Niech pan każe swojemu psu wywęszyć ich ciała, panie Dempsey. To byli dobrzy ludzie. Zaslужują na chrześcijański pochówek.

- Williamie, przestań straszyć swoją siostrę. Dobrze wiesz, że Crawford i Davis pomagają przy sianokosach.

- Naprawdę? Widziałaś ich, mamó? Bo ja nie - odparł księżę przyciszonym głosem.

Hanna pisnęła, a potem zasłoniła usta dłonią i zachichotała.

- A tak nawiasem mówiąc, droga siostró, czy ten pastor nie nazwał mnie przypadkiem „Berinwick”?

Dziewczyna pokiwała głową.

- Tak właśnie sądziłem. W takim razie odwołuję wszystko, co powiedziałem. Panie Dempsey, pański pies nie będzie szukał ciał ogrodników, ale pewnego wielkiego, starego ciała, które zamierzam porzucić w tym labiryncie.

- Trzęsę się ze strachu, wasza wysokość.

- Williamie, nie powinieneś mówić, że pan Dempsey jest stary - upomniała syna księżna. - To niegrzeczne.

- Ależ on jest stary i z każdym dniem coraz starszy. Czasami trzeba spojrzeć prawdzie prosto w oczy.

- Will, cicho bądź - szepnęła Hanna, zauważywszy, że oczy matki nagle posmutniały. - Pan Dempsey jest młodszy od mamy.

- Och. Dobrze. Zapomniałem o tym. Ale nigdy bym się tego nie domyślił. Pan Dempsey znacznie szybciej się postarzał. Zapewniam jednak, że nie zdąży postarzeć się bardziej, jeśli jeszcze raz tak się do mnie zwróci.

Wielebny pan Dempsey roześmiał się na głos, Hanna zachichotała, a księżna skinęła dłonią na znak, że trzeba iść dalej.

Czasami trzeba spojrzeć prawdzie prosto w oczy. Veronika nie mogła zapomnieć słów syna. Niezależnie od tego, jak trudne to się okaże. Bez względu na to, jak bardzo chciałabym tego uniknąć, trzeba spojrzeć prawdzie prosto w oczy. Oboje z Williamem musimy temu sprostać. Ani dla mnie, ani dla niego prawda nie będzie bardziej bolesna niż lata, które spędziliśmy tak daleko od siebie. Prawda nie będzie źródłem gorszych ran niż te, które oboje od lat na sobie nosimy. Nie pozwolę, by ta straszna noc w dalszym ciągu przesłaniała mi prawdziwy obraz mego syna. Ani Richard, ani Hanna wcale nie widzą w nim zgorzkniałego człowieka bez serca. To moje własne poczucie winy sprawia, że takim go postrzegam. Poczucie winy, strach i mur, który sama między nami zbudowałam.

- To nie jest najlepszy moment, moja droga - szepnęła Dempsey.

Veronika zadrżała, czując tak niespodziewanie jego oddech na swym uchu.

- Słucham, Richardzie?

- To nie jest najlepszy moment, by mu o wszystkim powiedzieć, Veroniko. Idę tuż za tobą. Widzę, jak rozprostowują się twoje ramiona i jak unosi się twoja broda. Czuję, jak wzbiera w tobie odwaga. W moich uszach także wciąż dźwięczą słowa Williama: „Czasami trzeba spojrzeć prawdzie prosto w oczy”. Ale to nie jest właściwy moment. Choćby dlatego, że jest tu Hanna, że jestem tu ja.

Veronika zatrzymała się, odwróciła i podała mu rękę.

- Ale ja nie chcę już dłużej utrzymywać tego w tajemnicy. Nie mogę. Sam tak twierdziłeś i ja się z tobą zupełnie zgadzam. Ty wiesz o wszystkim. William musi się o tym dowiedzieć. Chcę, żeby Hanna także to usłyszała i spróbowała zrozumieć. Chcę, żeby Hanna dowiedziała się, jak straszne rzeczy mogą się wydarzyć, gdy młoda kobieta myśli tylko o sobie, o swoich przyjemnościach i uczuciach, zapominając o tym, co jest w życiu naprawdę ważne.

- To bardzo dobry pomysł, Vernie. Daję słowo. Ale najpierw musisz porozmawiać z samym Williamem. To jemu wyrządziłaś krzywdę i dlatego musisz uszanować przede wszystkim jego uczucia. Nie wiesz, jak zareaguje na twoje słowa, nie wiesz, co zrobi. Może nie będzie sobie życzył, by ktokolwiek o tym wiedział. Sądzę, że tak właśnie może być. Na początku. Może nie będzie sobie życzył, by Hanna kiedykolwiek się o tym dowiedziała. A już na pewno wolałby nie dowiadywać się prawdy w mojej obecności. My jesteśmy

przyjaciółmi od wielu, wielu lat, ale dla twojego syna wciąż jestem obcym człowiekiem.

- Dlaczego ja wciąż jestem taka głupia? - westchnęła Veronika. - Dlaczego wciąż koncentruję się na sobie i nawet mi nie przyszło do głowy, że William może życzyć sobie czegoś innego niż ja? - Veronika znów ciężko westchnęła. Objęła Richarda w pasie i oparła głowę o jego szeroką pierś, czerpiąc w ten sposób pocieszenie. - Nigdy nie postępowałam tak gorączkowo, Richardzie. Nigdy.

Czyż Dempsey mógł się oprzeć pokusie i nie przygarnąć jej jeszcze bliżej? Ściągnął smycz psa i zerknął ponad głowę księżnej, czy Hanna i William nie patrzą w ich stronę, po czym przytulił Veronikę. W głębi duszy pragnął ją trzymać w ramionach do końca życia.

Nie jestem godzien takiego zaszczytu, pomyślał, wtulając policzek w miękkie włosy, które kochał najbardziej na świecie. Ona nigdy nie pomyśli o mnie inaczej niż o starym przyjacielu. Ale dobre i to. Muszę się tym zadowolić. Ale w skrytości ducha i tak będę ją kochał całym sercem. I teraz, gdy ją znów odnalazłem, nie pozwolę jej odejść.

- Veroniko - mruknął - nie zamartwiaj się tak, nie bądź smutna. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Powiesz swojemu synowi prawdę. On wszystko zrozumie i wybaczy, i będzie cię kochał jeszcze bardziej niż teraz. Dowiemy się, kto do nas strzelał, i położymy kres złu. Odzyskasz spokój ducha, Veroniko. I nie będą cię już prześladować żadne duchy i żadni Pole'owie. Masz na to moje słowo.

Veronika pokiwała głową i odsunęła się.

- Musimy dogonić dzieci, Richardzie, zanim wrócą, żeby nas odnaleźć. Za chwilę zaczną się dziwić, co się z nami stało.

Dempsey wziął ją za rękę i ruszył naprzód, przekonany, że nos Theophilusa bez trudu doprowadzi ich do Hanny i Williama. Tak też się stało, zanim dzieci spostrzegły ich nieobecność.

- Jeszcze jeden zakręt i powinniśmy być w centrum -zawołał Berinwick, nie oglądając się za siebie. - Tak. Jesteśmy. A niech to diabli!

- Co się stało? - zdziwił się Dempsey.

- William zobaczył, co jest w środku labiryntu - wyjaśniła Veronika.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła zdumiona Hanna.

Wielebny pan Dempsey nie mógł opanować ciekawości, więc puścił się biegiem, ciągnąc za sobą księżną. Weronikę ubawiło jego iście chłopięce podniecenie.

- To belweder - wyjaśniła, gdy wszyscy stanęli przed prostokątnym drewnianym budynkiem, do którego prowadziły trzy stopnie. Dach budowli wspierał się na pięknie rzeźbionych kolumnach, pomalowanych lśniącą białą farbą tak, iż przypominały marmur.

- Tego rodzaju budowle wznosi się zazwyczaj na wzgórzach - mruknął Berinwick. - Co ten robi tu, w środku labiryntu?

- Właśnie. I co przyciągnęło tu króla Artura bez głowy? - dodał Dempsey. - Po drodze nie zauważyłem żadnych śladów jego obecności. To musi być ktoś, kto bardzo lubi roślinność.

- Czy jesteś pewna, że widziałaś kogoś wylaniającego się z labiryntu, Hanno? - zapytał Berinwick. - Nie przyśniło ci się to wszystko?

- Widziałam człowieka - szepnęła Hanna wciąż zachwycona budowlą, której kolumny lśniły w słońcu. - Widziałam człowieka i konia, podobnego do Penn, ale wykąpanej w śmietanie.

- Wykąpanej w śmietanie? A może ten koń został posypany mąką? - zapytał Dempsey, zmagając się z Theophilusem, który zaczął mocno szarpać smycz.

- Mąką? Prawdziwą mąką? Chodziło mi o to, że ten koń przypominał rozmiarami Penn, ale był kremowy. Sądzę, że można to osiągnąć, posypując konia mąką.

- No właśnie. Co się dzieje, Theo? - zaniepokoił się Dempsey, gdy pies zaczął głośno szczekać i znów pociągnął za smycz. - No dobrze. W takim razie prowadź.

Theophilus, nie odrywając nosa od ziemi, pociągnął swego pana na tyły belwederu, podczas gdy reszta weszła do środka.

- Tu nic nie ma - stwierdził Berinwick, rozglądając się dokoła.

- Za to tutaj coś jest! - zawołał Dempsey. - Dobry pies.

Rozwiązałeś jedną zagadkę.

- Co się dzieje, Richardzie? Co odkryłeś? - zapytała księżna, spiesząc w stronę pastora. Dempsey wyciągnął ręce i zniósł ją na dół, jakby nic nie ważyła.

- Coś niezwykłego, moja droga. Tylko popatrz.

- Och! Williamie, chodź tu prędko - zawołała księżna. - Oboje z Hanną musicie to zobaczyć.

Patrick McClane siedział na grzbiecie jednego z koni księcia Berinwicka i patrzył na pole. Wrócił już z Ludlow, przywożąc rzeczy potrzebne pastorowi do remontu kościoła, i podjął swoje obowiązki. Okazało się, że większość pracowników jest uzbrojona. To go zaniepokoiło. Kosiarze nie mieli oczywiście żadnej broni, bo już same kosy stanowiły śmiertelne zagrożenie. Ale wszyscy mężczyźni, którzy powozili, ukryli na swych wozach pistolety albo strzelby. Jeden z nich miał nawet łuk i strzały, a inny bardzo długi bicz. Wiele kobiet trzymało za pazuchą noże bądź nożyczki, dzieciaki natomiast uzbroiły się w proce i kamienie. Patrick McClane nigdy w życiu nie widział nic równie oburzającego.

To nie tylko oburzające, pomyślał, marszcząc brwi. To wręcz niebezpieczne.

Za każdym razem gdy kosiarze Usłyszeli jakiś dziwny dźwięk - szelest liści albo trzaśnięcie gałązki w pobliskim lesie - przerywali pracę i chwyтали za broń. Gdy McClane wyłonił się z lasu, zobaczył kilka łuf i proc wycelowanych w siebie.

Do diabła, pomyślał. Pracują przez to znacznie wolniej. Muszę porozmawiać o tym z księciem. Nigdy nie skończymy sianokosów, jeśli ludzie będą co chwila przerywać pracę i sięgać po broń z powodu byle głupstwa. To zupełnie bez sensu. Czego oni się spodziewają? Czy obawiają się, że z lasu wyjedzie jakiś szaleniec, wymachując szablą, i zacznie im ścinać głowy, póki wszyscy nie padną trupem? Przecież to Thorne'owie są obiektem ataku, a nie ordynarni kosiarze.

McClane zapytał ich oczywiście, po co im ta broń. Stolarz Angser powiedział mu od razu, że ktoś strzelał do księżnej, a Tom Hasty twierdzi, że także do księcia.

- Ale nie z nami takie numery - oświadczył stolarz. -Co to, to nie. Jeśli tylko ktoś się tu pojawi ze strzelbą, mając nadzieję, że zastanie tu księcia i że my nie zwrócimy na niego uwagi, to będzie miał z nami do czynienia. Nieważne, czy to będzie ktoś obcy, czy ktoś znajomy, zwiążemy go w trymiga i zawieziemy do Blackcastle. Nikomu nie będziemy ufać, bo musimy bronić Thorne'ów. Dobrze pamiętamy wielebnego pana Dighta. Wrogowie Thorne'ów potrafią udawać nawet pastorów.

- Nie sądzicie chyba, że wielebny pan Dempsey... - zaczął McClane, ale Angser przerwał mu brutalnie.

- Nie. To nie jest nowy pastor. Do niego też ktoś strzelał. Pan Dempsey nie strzelał przecież sam do siebie.

McClane mruknął z niezadowolenia, przypominając sobie tę rozmowę. Nowy pastor był jedynym przyjezdnym, więc jeśli jego nie podejrzejawają...

Nie, zaraz. Są jeszcze Walijczycy, Walijczycy, których Berinwick zatrudnił, chociaż on, McClane, go przed tym przestrzegał. To chyba jasne, że są tu obcy. Jakże mogłoby być inaczej? Pewnie ci prostacy uważają Walijczyków za swoich, bo pracują razem z nimi na polu, ale przecież zjawili się tu niedawno i nic o nich nie wiemy.

- Najlepiej będzie, jeśli szepnę słówko temu i owemu -mruknął pod nosem. - Zasugeruję, że Walijczycy mogą wcale nie być tymi, za których się podają.

McClane uśmiechnął się do siebie i pokiwał głową. Tak, to dobry pomysł. Wszyscy wiedzą, że on im od początku nie ufał. A to, że księżę im zaufał, jeszcze nic nie znaczy.

- Na Jowisza - mruknął Berinwick, spoglądając z wnętrza belwederu na zakurzoną zbroję, porzuconą w pośpiechu na tyłach budowli.

Dempsey pochylił się i podniósł hełm z żelaza i miedzi. Kiedyś hełm zasłaniał całą głowę rycerza, łącznie z twarzą. Przyłbica była zwieńczona kawałkiem obficie posypanej mąką rudej kity, na której szczycie przytwierdzono stojącą figurkę gryfa.

- To musi być głowa pani króla Artura, lady Hanno - powiedział Dempsey, gdy dziewczyna stanęła obok brata. - To rzeczywiście wygląda jak głowa. Z pewnej odległości futro można wziąć za włosy, a tego gryfa - za kapelusz.

- A więc po to wjechał do labiryntu. Żeby założyć przebranie.

- Albo je zdjąć. Zakładanie i zdejmowanie tego stroju trwa dość długo. Zapewne nie chciał, by ktokolwiek go zaskoczył.

- Sądzę, że potrzebował czyjejs pomocy, by to wszystko na siebie założyć - powiedział cicho Berinwick. - Jesteś pewna, Hanno, że widziałaś tylko jednego człowieka?

- Jestem tego pewna.

- No cóż, nie sądę, by to wszystko było dobrze przymocowane - stwierdził Dempsey. - Gdy przejeżdżał obok mnie i Theophilusa, udając ducha Owaina Glyndwra, wszystko dzwoniło i brzęczało tak bardzo, że trudno się było oprzeć wrażeniu, że zbroja zaraz się

rozpadnie. Tak zresztą wyglądała. Jakby była poskładana z luźnych fragmentów.

- Co jeszcze tam jest, Dempsey?

- Kolczuga, napierśnik, para nagolenników...

- Para czego? - zapytała księżna, klękając koło Dempseya, by przyjrzeć się zbroi.

- Para nagolenników, Vernie. Osłaniały golenie i łydki rycerza.

A to są trzewiki.

- I jeszcze nakolanniki oraz nałokietniki - dodał Berinwick, zeskakując na ziemię i pomagając zeskoczyć siostrze.

- To natomiast z pewnością bez trudu pani rozpozna - powiedział Dempsey do Hanny.

- Rękawice!

- Wygląda na to, że ktoś przyniósł tu całą zbroję z głównego holu. Dziwne, że Gaines nie zauważył, że coś zniknęło.

- Ta zbroja nigdy nie była w głównym holu - stwierdziła księżna, biorąc do rąk przyłbicę. - Na pewno pamiętałabym ten hełm. Jest całkiem inny niż wszystkie.

- Wydaje mi się, że widziałem już kiedyś identyczny hełm - mruknął Dempsey, wyjmując przyłbicę z rąk księżnej. - Tak, na pewno.

- Gdzie? - zapytali wszyscy Thorne'owie.

- Na rysunku z kolekcji biskupa Hereforda i na naszym duchu Owaina Glyndwra. Było za ciemno, żebym mógł rozpoznać figurkę gryfa, ale nie mam wątpliwości, że to ten sam hełm lub jego wierna kopia.

- A-psik - kichnął Theophilus.
- Na zdrowie, Theo. Mąka już całkiem wyschła.
- Tylko jakiś ogromny mężczyzna byłby w stanie jechać w takiej zbroi na koniu - zauważyła Hanna.

- Niekoniecznie wysoki, ale na pewno silny - stwierdził Dempsey. - Proszę spojrzeć na części zbroi. Pasowałyby z pewnością na pani brata. Oczywiście w średniowieczu ludzie, którzy mieli na sobie taką zbroję, wydawali się prawdziwymi gigantami swoim wrogom.

- Jeśli to nie jest kopia, Veroniko, to ten hełm należał do Owaina Glyndwra. Widziałem go na jednym jedynym rysunku i miał na głowie taki właśnie hełm.

- To nie może być oryginał - wzruszył ramionami Berinwick. - Skąd by się tu wziął? Gdyby ktokolwiek odnalazł autentyczny hełm Glyndwra, Królewska Akademia zatrzęsłaby się w posadach. A gdyby dokonał tego jakiś Walijszyk, to w całym kraju huczałoby od plotek, że lada moment Owain Glyndwr wstanie z grobu i poprowadzi ich w bój o niepodległość.

- Jesteś bardzo milcząca, Veroniko - zauważył Dempsey. - Tak? Zamyśliłam się. Ta zbroja należy zapewne do człowieka, który zabił Juliana, pana Thistledowna i lokajów, a potem strzelał do nas. Jakiego wzrostu był pan Hancock, Hanno? Pamiętasz może?

- Pan Hancock? - Hanna spojrzała na matkę ze zdumieniem. - Sądzę, że był wzrostu Williama, mamó. Ale pana Hancocka nie ma w Blackcastle od ponad roku. Nie sądzisz chyba, że gdzieś się ukrywa i udaje ducha?

- To wcale nie jest wykluczone, Hanno, choć nie ma na razie żadnych dowodów. Rozmawialiśmy o tym z panem Dempseyem i...

- Mama mi o tym powiedziała i ja także uważam, że to możliwe - dodał Berinwick.

- Nie, to zupełnie niemożliwe - zaprotestowała Hanna. - Pan Hancock nigdy by nie zamordował papy. Byli przyjaciółmi. I ja także się z nim przyjaźniłam. Musiało mu się przydarzyć coś złego, bo w przeciwnym razie nigdy by nas nie opuścił. On nigdy by nie strzelił do ciebie ani do mamy. Nie pamiętacie, jaki to był miły człowiek?

- Ja nie pamiętam, ale rzadko wtedy bywałem w domu - powiedział Berinwick, przyglądając się oburzonej twarzy siostry z uwagą. - Ale ty nie wierzysz, że zaginiony pan Hancock jest naszym zbrodniarzem?

- Absolutnie nie.

- Może i nie. Może się okaże, że to nie on.

- Mam nadzieję, że wkrótce się przekonamy, o ile tylko podejmiemy odpowiednie kroki - powiedział Dempsey. - Musimy wszystko ułożyć tak jak przedtem. A potem księżę powinien postawić kogoś na czatach niedaleko labiryntu. Gdy ten człowiek wróci, żeby się przebrać, złapiemy go na gorącym uczynku i nie będzie mógł udawać, że jest niewinny.

- Masz rację, Richardzie - rzekła księżna. - To jest ktoś, kto zna dobrze nas i Blackcastle. Nikt obcy nie potrafiłby się dostać do centrum labiryntu. I jeśli to nie jest pan Hancock, to musi być ktoś, komu zaufaliśmy. Oboje powinniście to przemyśleć, Hanno, Williamie.

- Crawford i Davis trafiliby tu z zawiązanymi oczami -szepnęła Hanna. - Nie sądzicie chyba...

- Nie! - zaprotestował Berinwick. - Żaden z nich nie zrobiłby krzywdy komukolwiek w Blackcastle, zwłaszcza zaś ojcu albo matce.

- Ktoś jednak strzelał do nas wszystkich - mruknął Dempsey. - I jeśli lady Hanna nie myli się co do pana Hancocka, to najprawdopodobniej jest ktoś, kto nauczył się poruszać po labiryncie po ciemku. Może któryś z pasterzy?

- Nie.

- Na pewno? Każdy z nich może przecież wchodzić do labiryntu o dowolnej porze, nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

- Liczą owce dwukrotnie po zachodzie słońca, Williamie - podkreśliła księżna. - Najpierw o dziewiątej, a potem o jedenastej. Któryś z nich może wtedy bez trudu wślizgnąć się do labiryntu, założyć zbroję i...

- W takim razie nie możemy powierzyć im czuwania nad labiryntem - mruknął Berinwick. - I choć ufam ogrodnikom, to może im także nie powinniśmy przydzielać tego zadania. Co z moim kamerdynerem, co z pokojowym, co z lokajami? Im także mam nie ufać, Dempsey?

- Lepiej nie.

- Tom Hasty! - wykrzyknęła księżna. - Jemu ufam bez żadnych zastrzeżeń.

- I Harvey Langton. - Twarz księcia rozjaśniła się nieco. - Tylko że jeśli każę mu pilnować labiryntu przez całą noc, to rano nie będzie pan miał z niego żadnego pożytku, Dempsey.

- Nie ma potrzeby angażować Langtona - orzekła Hanna. -
Sądzę, że możemy zaufać Lancastrowi, Overfieldowi, Trewellynowi i
młodemu Johnny'emu. Wszyscy są bardzo lojalni. Wszyscy wzięli
pistolety do kościoła w niedzielę.

- Co zrobili?

- Podczas niedzielnego nabożeństwa wszyscy byli uzbrojeni,
Richardzie - wyjaśniła księżna. - Nawet ja miałam włoski sztylet w
torebce.

- A ja wzięłam świeżo zaostrzone nożyczki - zachichotała
Hanna.

- A ja rapier. No ale mój rapier pan widział - stwierdził
Berinwick. - Tylko ja jeden nie ukryłem broni.

- A więc to dlatego wszyscy mruczeleli coś pod nosem i wbijali
wzrok w ziemię, gdy ich zagadywałem po nabożeństwie? - Dempsey
wodził wzrokiem po ich twarzach. - Czy chcecie mi powiedzieć, że
podczas gdy ja mówiłem o sanktuarium, o azylu, o pokoju i
wybaczeniu, wszyscy moi wierni byli uzbrojeni po zęby?

- Owszem - przyznał Berinwick.

Dempsey odłożył metalową rękawicę, odchylił się na piętach i
ryknął śmiechem. Śmiał się tak serdecznie, że łzy zaczęły mu spływać
po policzkach.

- Will, zrób coś - poprosiła Hanna. - Pan Dempsey wpadł w
histerię.

- Nie, nie - wyjąkał Dempsey. - Tylko to bardzo zabawne.
Szkoda, że nie wiedziałem.

Gdy następnego dnia wieczorem księżna przyjechała do St. Milburga's of the Wood, zastała pastora klęczącego i grzebiącego w kościelnej ścianie przy świetle latarni stojącej na podłodze.

- Szukasz kielicha - stwierdziła, stanąwszy w drzwiach świątyni.

- Veroniko! Co ty tu robisz?

- Przyszłam pokazać ci coś, co się wiąże z labiryntem. Nie powinnam przyjeżdżać tak późno, ale długo się nad tym zastanawiałam i doszłam do wniosku, że powinieneś się o tym dowiedzieć. Czy nie możesz zapomnieć o tym kielichu, Richardzie? Czy to jest aż tak ważne, że choć przez cały dzień ciężko pracujesz, by odrestaurować ten kościół, to nocą znów go dewastujesz?

- Wcale go nie dewastuję, moja droga - oburzył się Dempsey. Podniósł się z ziemi, otrzepał sobie kolana i otarł dłonie o bryczesy. - Zaglądam tylko do każdej szpary i szczeliny wieczorem, gdy nie ma już tu Langtona. A następnego dnia łatamy wszystkie te dziury i szczeliny. Na początku sądziłem, że kielich został ukryty gdzieś na plebanii, że zbudowano ją przede wszystkim po to. Ale zmieniłem zdanie. Nie przyjechałaś chyba sama, Veroniko?

- Nie. Tom Hasty jest tu ze mną. Stoi na straży pod kościołem. - Uśmiechnęła się do pastora, a gdy do niej podszedł, wzięła go za rękę. - Chodźmy stąd, Richardzie. Chcę ci coś dać. Musimy to wziąć od Toma.

Wielebny pan Dempsey uściśnął lekko jej dłoń. Veronika na pewno pomyśli, że chce ją w ten sposób podnieść na duchu. Ale pastor miał inne intencje. Ścisnął jej dłoń z egoistycznych pobudek, by choć przez chwilę mieć poczucie bliskości. W ten sposób dawał

upust namiętności, która płonęła w nim coraz mocniej po każdym spotkaniu. Ten niewinny gest sprawił, że krew w jego żyłach zaczęła krążyć szybciej.

- Co to jest? - zapytał, gdy wyszli z kościoła, pod którym czekał cierpliwie Tom Hasty na swoim koniu, trzymając także wodze siwej klaczy Veroniki. Pod lewym ramieniem miał natomiast jakiś gruby tom.

- Dobry wieczór, Thomas - pozdrowił go pastor.

- Dobry wieczór, panie Dempsey.

- Podaj mi już tę księgę, Tom - poprosiła księżna, podchodząc do stajennego. A potem bez słowa ruszyła w stronę plebanii. Pastor kiwnął więc głową Tomowi i pospieszył za nią.

- Co to jest, Veroniko? Dlaczego nie możesz mi tego pokazać w obecności tak lojalnego sługi, jak Tom Hasty?

- To coś w rodzaju dziennika - powiedziała, gdy stwierdziła, że Tom Hasty już ich nie usłyszy. - No, może raczej coś w rodzaju pamiętnika, bo w rodzinie Thorne'ów tylko mężczyźni byli tak ważni, że mogli prowadzić dzienniki. W każdym razie tę księgę napisała jedna z prababek Juliana. Nie wiem, ile „pra” powinnam dodać, ale z pewnością sporo. Dostałam to od Julesa przed laty. Dał mi wszystkie zapiski kobiet z rodziny Thorne'ów. Nie sądzę, by sam je kiedykolwiek przejrzał.

Dempsey uniósł brew ze zdziwienia.

- Nie przeczytał ich? Nawet nie przejrzał?

- Mnie także wydawało się to niemądre - odparła Veronika. - Julian tak poważnie traktował swoje badania, a jednak sądził

najwyraźniej, że żadna kobieta nie mogła zapisać nic istotnego. Czy ty także żywisz te same uprzedzenia, Richardzie?

- Nie.

- Tak właśnie sądziłam. Pomimo upływu lat w głębi serca wciąż jesteś tym samym chłopcem, którego znałam w Arrandell, chłopcem, który pokazał mi Jezusową Kaplicę, który nauczył mnie łapać kurczęta, i który prosił, bym mu tłumaczyła lekcje, gdy ich nie rozumiał. Nigdy nie zdarzyło się, byś stosował wobec mnie taryfę ulgową dlatego, że byłam dziewczynką.

- Nigdy nie dałaś mi po temu żadnego powodu, Veroniko.

- Nie. Sama także nie stosowałam wobec siebie taryfy ulgowej. Nie rozpieszczano mnie i nie pielęgnowano we mnie głupoty, póki moja matka i ojczym nie wrócili. Na szczęście twoja rodzina nie traktowała mnie jak delikatnego kwiatuszka, który trzeba chronić przed wszystkim i który nie potrafi myśleć samodzielnie. Gdyby nie to, nie znalazłabym w sobie teraz nawet odrobiny niezależności i odwagi, której tak bardzo potrzebuję.

- Nigdy nie uważałem, że jesteś delikatnym kwiatkiem.

- Nie - uśmiechnęła się księżna. - I teraz także oczekujesz, bym podniosła głowę i zrobiła, co do mnie należy. I dlatego ci to przywiozłam. - Veronika podała mu gruby tom. - Nie szukaj już dzisiaj kielicha, tylko przeczytaj strony, które zaznaczyłam czerwoną wstążką, Richardzie. Na pewno tego nie pożałujesz. - Księżna odwróciła się i ruszyła w stronę Toma Hasty.

- Czy nie możesz zostać jeszcze chwilę, Veroniko? - zapytał pastor. - Zrobię herbaty i razem przejrzymy ten dziennik.

- Nie, nie mogę, Richardzie. - Jeszcze raz obróciła ku niemu swoją twarz. - Bardzo bym chciała, ale muszę jeszcze zajrzeć do pani Thistledown, a obiecałam Williamowi, że będę w domu przed zmrokiem. On się o mnie obawia, Richardzie. Nigdy przedtem bym go o to nie podejrzewała i nie wskazują na to wcale jego słowa. Ale uczę się patrzeć na niego bez uprzedzeń i widzę, że troszczy się o moje bezpieczeństwo. Kazał Tomowi zabrać pistolet. - Uniosła dłoń osłoniętą miękką skórzaną rękawiczką i dotknęła policzka pastora. - Tak bym chciała, żebyś znalazł... - urwała. - Mniejsza z tym. Nie musisz mnie odprowadzać, Richardzie. Tom Hasty pomoże mi wsiąść na konia. - Veronika przygryzła dolną wargę i ruszyła w stronę swej klaczy. Hasty pomógł jej wsiąść i oboje odjechali drogą wiodącą do domku pani Thistledown. Wielebny pan Dempsey, nie wypuszczając opasłego tomu z rąk, patrzył za nimi w milczeniu.

- Tak byś chciała, żebym znalazł... Co, Vernie? - szepnął, gdy ucichł już tętent końskich kopyt. - Założę się, że nie kielich Glyndwra. Człowieka, który zabił twego męża? Przysięgam ci, że go znajdę. A może miałaś na myśli coś innego? Powiedz tylko słowo, a znajdę, co tylko zechcesz, i złożę u twych stóp.

Richard Randolph Dempsey spostrzegł, że drżą mu ręce, że zrobiło mu się zimno i że czuje jakiś dziwny ucisk w okolicy serca.

W Blackcastle wszystko dudniło od tupotu nóg, szelestu ubrań, damskich i męskich krzyków. Wszyscy stajenni w pośpiechu siodłali wierzchowce i zaprzęgali konie do wozów, do dwukółki i kariolki.

- Jadę z tobą, Will - oświadczyła Hanna, goniąc brata po korytarzu. - Ja też potrafię podawać wiadra z wodą.

- Dobrze - zawołał Berinwick. - Na pewno się przydasz. Ale włoż rękawiczki do jazdy konnej. Ochronią ci trochę dłonie. Każę osiodłać dla ciebie Marigold. Gaines, ty musisz zostać - dodał księżę do przechodzącego kamerdynera.

- Ja? Ja, wasza wysokość? - Gaines zatrzymał się w miejscu. - Ależ ja nie mogę zostać, wasza wysokość!

- Ktoś musi poczekać tu na moją matkę, powiedziec jej, co się stało, i wysłać do nas Toma Hasty'ego.

- Nie, nie, niech Gaines jedzie z wami - krzyknął Patrick McClane, kuśtykając w ich stronę. - Ja tu zaczekam. Wszystko opowiem księżnej i wyślę Hasty'ego.

- Co ci się stało, do licha? - zapytał księżę, skinąwszy głową Gainesowi, który popędził do letniego salonu, żeby wyjść balkonowymi drzwiami i jeszcze szybciej znaleźć się w stajni.

- Przewróciłem się. - McClane wykrzywił się z bólu. - Obcas mi utknął w jakiejś dziurze i runąłem jak długi, wasza wysokość. Zdaje się, że skręciłem nogę w kostce. Ale to nie szkodzi - dodał. - Jedźcie. Nic mi nie będzie. Zajmiemy się tym, gdy Tofarowie będą już bezpieczni i pożar zostanie ugaszony. Płomienie wznoszą się coraz wyżej. Widać je z padoku. Jedźcie, jedźcie! - ponaglił.

- Już jestem gotowa, Will - zawołała Hanna. Berinwick obrócił się, chwycił siostrę za rękę i oboje popędzili przez letni salon do stajni. Kto żyw biegł z nimi, bo dzwony Tofarów wciąż były jak oszalałe pośród zapadającego zmroku.

Dempsey nie od razu otworzył księgę na stronach zaznaczonych przez Veronikę, ale zaczął czytać od początku, przenosząc się w inny

świat, w świat Dilys Thorne, która wbrew własnej woli, za sprawą machinacji swego małżonka i z rozkazu Henryka IV, została pierwszą księżną Berinwick. Pastor czytał stronicie zapisane pięknym kobiecym pismem. Wydawało mu się, że słyszy głos autorki. Jakby mówiła do niego. Słuchał jej słów i rozumiał. Dilys Thorne zasługiwała na miano prawdziwej kronikarki. Co więcej, była świetną obserwatorką i знаła wszystkie poruszenia serc Thorne'ów, którzy walczyli i umierali, kochali, śmiali się i płakali w pierwszych latach piętnastego wieku. Dzięki niej wszyscy, którzy w owych czasach zaludniali Blackcastle, ożyli na nowo.

Veronika zaznaczyła strony niemal na samym końcu tomu. Nim Dempsey dotarł do tego miejsca, jego oczy były już zmęczone, świece wypaliły się niemal do cna, Theophilus zasnął głębokim snem pod kuchennym stołem. Pastor natomiast zanurzył się w świetle Dilys Thorne bez reszty i nie zamierzał się z nim rozstawać. Pragnął wiedzieć i rozumieć jeszcze więcej, poczuć to, co czuli Torne'owie of Barren Wycche w średniowieczu.

Nic więc dziwnego, że zamiast odłożyć czytanie do następnego ranka, Dempsey wstał, przeciągnął się, a potem wyjął z kuchennej szafki nowe świece i powrócił do lektury.

Tutaj, szeptała do niego jasnoczerwona wstążka. To najważniejsza część. Fragment, który sprawił, że Veronika dziś cię odwiedziła. Wczytaj się uważnie w te strony, by nie uronić żadnego słowa.

Dempsey pokiwał głową. Musnął wstążkę palcem i zapatrzył się we własną wyobraźnię, którą wciąż wypełniał obraz Veroniki

spowitej w cieniu St. Milburga's of The Wood, z wysoko uniesioną brodą.

- Nigdy w życiu samotność nie doskwierała mi tak bardzo jak ostatnio - szepnął do siebie. - Nigdy za żadną kobietą nie tęskniłem tak bardzo i tak szczerze jak za nią. I to od chwili, w której znów ujrzałem jej twarz.

Pastor westchnął i powrócił do czytania. Przeczytał pół zaznaczonej strony, zaklął pod nosem i zaczął czytać jeszcze raz.

- Co, u diabła? - syknął i czytał dalej. Jego stopy poruszały się pod kuchennym stołem, wzbudzając niepokój Theophilusa. Wielebny pan Dempsey wziął głęboki oddech i gwizdnął z wrażenia.

Szczerze mówiąc, sędzę, że jego serce tego nie wytrzyma. Zdradzony, opuszczony, zapomniany, zaczyna tracić swe niespożyte siły. Choroba nie pozwoli mu wrócić do Walii. Musi więc pozostać tu, wśród Thorne'ów. Dziś tylko u nas może się schronić, choć jeszcze niedawno wielu mieszkańców Marches chciało go wspomóc. Teraz nie ma już znaczenia, co o nim myślałam, gdy sprawiał kłopoty Robynowi i całej naszej rodzinie. Owain Glyndwr znalazł drogę do mego serca. To dumny, ale dobry człowiek. Człowiek, który nie przestaje marzyć o wolności, jedności i równości dla Walii. I choć umiera w Anglii, to nie wyrzekł się marzeń o swojej ojczyźnie.

Serce Dempseya biło mocniej niż zwykle. Czy to może być prawda? To musi być prawda. Po co Dilys Thorne miałyby pisać kłamstwa dla samej siebie i swoich potomnych? Owain Glyndwr w ostatnim okresie swego życia znalazł schronienie w Blackcastle! Czy został tutaj? Wygląda na to, że właśnie tu dokonał żywota.

Dempsey przypomniał sobie, że nikt do tej pory nie ustalił daty i miejsca śmierci Glyndwra. Jakież triumf odniosę, gdy przedstawię w Akademii referat z tymi danymi! Jak to możliwe, że Julian Thorne, wspominając o śmierci Glyndwra i zapewniając mnie, że Owain przekazał Thorne'om kielich w Machynlleth, nie napisał, że Walijszyk umarł właśnie w Blackcastle?

Dlaczego nie wspomniał o tym nawet słowem?

- Może nic o tym nie wiedział - mruknął Dempsey pod nosem. - Veronika powiedziała przecież, że jej mąż uważał zapiski kobiet za całkiem nieprzydatne w badaniach historycznych.

Najprawdopodobniej był zdania, że kobiety piszą tylko o nieistotnych uczuciach. Może żaden z mężczyzn z rodu Thorne'ów nie uznał za stosowne wspomnieć o śmierci Glyndwra w swoich dziennikach.

Mężczyźni sądzili, że kielich, który znalazł się w ich posiadaniu, jest ważniejszy. Kto urodzony i wychowany w Anglii lub Walii nie uznałby, że kielich jest bardzo ważny? W kraju, który oddycha legendą króla Artura? Skoro więc mieli kielich, to po co mieliby tracić czas na pisanie o szczegółach śmierci Glyndwra. Owain Glyndwr nie był przecież królem Arturem. Dla Thorne'ów w tamtych czasach był chyba tylko kłopotliwym starym rebeliantem. Nie mieli pojęcia, że on także stanie się legendą. Tylko kobiety to przeczuły, w każdym razie najważniejsze kobiety z rodu Thorne'ów.

Dempsey czytał dalej, a w miarę czytania serce zaczęło mu podchodzić do gardła.

- To niemożliwe - szepnął po chwili. - Belweder? Zasadziła labirynt, żeby zapewnić wieczny spokój jego duszy?

Tego wszystkiego było już za wiele dla pastora. Zamknął dziennik Dilys Thorne i zapatrzył się w ścianę. Potem wstał i zaczął krążyć po kuchni, by po chwili znów usiąść. Czy to prawda?

Dlaczegoż to nie miałyby być prawda?

- Muszę porozmawiać z Veroniką jutro z samego rana - powiedział głosem drżącym z podniecenia. - Langton będzie musiał zająć się tylną ścianą kościoła beze mnie. To sprawa nie cierpiąca zwłoki. Powinienem chyba Osiodłać Norville'a i pojechać do Blackcastle jeszcze tej nocy. Nie, nie mogę tego zrobić. Veronika nie będzie zachwycona, jeśli postawię cały zamek na nogi o tej porze. Jest już całkiem ciemno. Noc zapadła niepostrzeżenie. Mimo wszystko powinienem przedyskutować z nią te zapiski jeszcze dzisiaj.

A skoro już będę ją o to prosił, pomyślał Dempsey, starając się opanować i uspokoić swoje oszalałe serce - skoro już będę ją błagał o rozmowę - to dlaczego nie miałbym poprosić o coś znacznie ważniejszego? Dlaczego nie miałbym poprosić, by zechciała rozważyć, tylko rozważyć, czy nie mogłaby kiedyś zostać moją żoną? Jeśli nie zechce, nie musi tego robić.

Po chwili jednak przywołał się do porządku i skarcił za takie głupie pomysły, jak małżeństwo księżnej ze zwykłym pastorem. Obudził Theophilusa i wyszedł na dwór.

Wielebny pan Dempsey wziął głęboki oddech i wtedy usłyszał człapanie konia i dziwne, syczące wołanie dochodzące od strony kościoła: „Panie Demmmmpssssey”. Pastor wbiegł z powrotem do kuchni i zaczął szukać latarni. Theophilus podążył za nim, usiadł na środku izby i zaszczekał trzy razy.

- Denerwujesz się, staruszkule? - mruknął Dempsey, gdy udało mu się wreszcie zapalić latarnię. - Muszę przyznać, że i mnie zaczynają puszczać nerwy. Trochę za dużo tych duchów. - Pastor podszedł do psa, ukląkł koło niego i zaczął go delikatnie tarmosić za uszy, przemawiając łagodnie, by go uspokoić. Potem podniósł się, wziął latarnię i znów wyszedł.

Stukot kopyt był teraz głośniejszy, podobnie zresztą jak syczący szept.

- Jestem tutaj - zawołał, podnosząc latarnię na wysokość ramienia. - Czy widzisz mnie teraz? Jeśli tak, to podjedź tu.

To nie było najmądrzejsze wyzwanie, bo pastor nie miał przy sobie żadnej broni oprócz pięści. Dempsey nigdy jednak nie cofnąłby swoich słów, nawet jeśli nie przemyślał ich zawczasu.

- Niech ci się nie wydaje, że mnie wystraszysz, sycząc w ciemnościach - zawołał jeszcze głośniejszym głosem. - Po pierwsze, nie boję się duchów. Po drugie, wiem, że nie jesteś żadnym duchem. Jesteś tylko zwykłym draniem i zbrodniarzem, który udaje ducha. Widziałem

twoją zbroję. Zbliź się więc do mnie i stań w kręgu światła. Człapiący powoli koń był coraz bliżej.

- Panie Demmmmpssssey - rozległo się znowu syczenie. Pastor ruszył w stronę tego mrożącego krew w żyłach głosu. Koń się najwyraźniej zatrzymał, ale prychnął chrapami.

- Demmmmpssssey. - Głos był teraz ledwo słyszalny.

Pastor postawił kolejny krok i światło jego latarni padło na fragment końskiego rzędu. Uniósł latarnie nieco wyżej i oświetlił zakrwawiony kłęb konia, a potem jeźdźca leżącego bezwładnie na końskiej szyi. Za plecami Dempseya, w kuchni, Theophilus szczekał i szczekał, jakby serce miało mu pęknąć.

Księżna Berinwick obróciła się na bok i jęknęła.

- Tak bym chciała, żebyś znalazł w swym sercu trochę uczucia dla mnie, Richardzie - szepnęła.

Nie usłyszała własnego szeptu, wiedziała jednak, że wypowiedziała te słowa na głos i że wypowiedziała je szczerze. Wypełnione tęsknotą słowa otuliły ją smutkiem w ciemnościach.

W swej wyobraźni Veronika trzymała dłoń na policzku Richarda i patrzyła w jego błyszczące oczy, dostrzegając w nich współczucie, sympatię i coś jeszcze. Co to było? Miłość? Pożądanie? Nie, to niemożliwe. Po tylu latach rozłąki? Dojrzewali w dwóch różnych światach. Niemożliwe, by udało się im odnaleźć to, co kiedyś między nimi kiełkowało, niemożliwe, by zdołali to wyhodować. Veronika poczuła, jak serce ją zakłuło, i puściła dłoń. Ależ jestem niemądra, pomyślała. Wydaje mi się, że moje marzenia stają się rzeczywistością. A przecież to niemożliwe. On mnie kiedyś kochał, ale to było dawno

temu, oboje byliśmy wtedy bardzo młodzi. To była całkiem inna miłość. Gdy Richard otaczał ją ramieniem, podnosił ją wprawdzie na duchu, ale pragnęła nie tylko jego współczucia, sympatii i przyjaźni.

Księżna poczuła, że bardzo pieką ją oczy, że zeszywniał jej kark, a tył głowy boli ją tak, jakby jej włosy stanęły w płomieniach. Veronika dotknęła oczu dłonią i jęknęła. Po chwili otworzyła je, starając się coś dojrzeć w ciemnościach.

- Richardzie - mruknęła, słysząc tym razem wyraźnie swój własny głos. Gdy usiadła, ból przeszył całe jej ciało. - Wielkie nieba - jęknęła, czując tępy ból w tyle głowy. -Dlaczego czuję się tak fatalnie i dlaczego tu jest tak ciemno? Nie widzę nawet własnej dłoni? Czyżby olej w lampie całkiem się wypalił? Dlaczego Marta nie dołała dość oliwy, by lampa mogła się palić przez całą noc? I co się stało z moim materacem? Jest twardy jak skała.

Veronika uzmysłowiła sobie, że jest jej strasznie zimno, sięgnęła więc po kołdrę, chcąc naciągnąć ją po samą szyję, ale nic nie znalazła. Może to sen? zdziwiła się. To chyba wciąż nieznośny sen. Głowa zaczęła ją boleć jeszcze bardziej, położyła się więc i skuliła, by nie czuć chłodu, i rzeczywiście przestała czuć cokolwiek.

Dempsey postawił latarnię na ziemi i przytrzymał konia.

- Stój spokojnie, mój drogi - mruknął. - Muszę zdjąć Toma z twojego grzbietu.

Gniady, skąpany w poświęceniu księżycy i we krwi, przeniósł cały swój ciężar na jedną stronę i czekał cierpliwie, aż pastor spokojnym, ale zdecydowanym ruchem rozplecie ręce Toma zaciśnięte kurczowo na końskiej szyi, wyjmie stopy chłopaka ze strzemion i przechyli go

tak, by Hasty zsunał się mu na ramiona. Potem Dempsey podniósł latarnię i ruszył powoli w stronę kuchennych drzwi.

Chwiał się trochę na nogach i z trudem łapał równowagę, ale w końcu udało mu się wejść do izby.

- Panie Demmmppssey - wyszeptał Hasty z największym trudem, kołysząc się bezwładnie na ramieniu pastora.

- Wszystko w porządku, Tom - uspokoił go Dempsey, stawiając latarnię na kuchennym stole i idąc w stronę schodów. - Znalazłeś mnie. Jestem przy tobie. Nie mów nic, póki nie położę cię do łóżka.

Theophilus szedł tuż za nimi i lizał Toma po zwisających dłoniach, gdy wspinali się po schodach. Dempsey położył stajennego na swym łóżku, czując, że serce podeszło mu do gardła. Tkwiło tam już od chwili, w której pastor się zorientował, jaki ciężar dźwiga gniady, i nie zamierzało wracać na swoje miejsce, póki jego właściciel się nie dowie, co się tak naprawdę wydarzyło i czy Veronika nie leży gdzieś ranna albo martwa.

O mój Boże, modlił się, zapalając pospiesznie świece w kandelabrze na bocznym stoliku i szukając noża w szufladach, by rozciąć surdut i koszulę Toma i sprawdzić, skąd płynie krew. Dobry Boże, miej Veronikę w swojej opiece. Spraw, by była bezpieczna, póki jej nie odnajdę.

Pastor uporał się wreszcie z zakrwawionym ubraniem Hasty'ego, napełnił miskę wodą i przysunął ją do łóżka. Zebrał wszystkie ręczniki, jakie udało mu się znaleźć, i zaczął obmywać ciało chłopaka z krwi. Krew płynęła z niewielkiej rany tuż nad lewą piersią Toma i z nieco większej rany na jego plecach. Dempsey zabrał się do

tamowania krwi. Kula z pistoletu, pomyślał natychmiast. Niewiele brakowało a trafiłaby prosto w serce chłopaka. Na szczęście kula nie została w ciele. Zwłaszcza że we wsi nie ma żadnego chirurga.

Czy Veronika leży gdzieś raniona tak jak Thomas? Czy jest sama? Czy nie ma przy niej nikogo, kto walczyłby o jej życie?

Nie dowiem się tego. Nie dowiem się tego na tyle szybko, by ją uratować, jeśli nie zajmę się teraz Tomem.

Dempsey obwiązał ranę tak mocno, jak tylko zdołał, a potem podbiegł do swych bagaży i po chwili szperania wydobył proszek z liści bazylii i czarny bez, który jego brat, Goeffrey, przywiózł z podróży do Ameryki. W swej apteczce miał też zmielone orzechy laskowe. Przygotował roztwór z tego wszystkiego i zanurzył w niej szarpie drżącymi rękami. Nigdy przedtem nie stosował tej mieszanki, ale Goeffrey twierdził, że widział, jak właśnie w ten sposób tamowano krwotoki. Dempsey nie miał jednak pojęcia, w jakich proporcjach wymieszać składniki. Niemniej jednak wrócił do rannego, zdjął opatrunek i przyłożył nasączone medykamentem szarpie. Bazylia powinna uchronić Toma przed infekcją. Ale na co się to zda, jeśli dwa pozostałe składniki nie zahamują upływu krwi?

Hasty był blady jak księżyc, gdy pastor zdejmował mu buty i przykrywał kołdrą przyniesioną z sąsiedniej sypialni. Ranny oddychał nierówno i płytko, jego serce biło zbyt szybko, ale podjął wysiłek, by otworzyć oczy i coś powiedzieć.

- Księż... Pojmana koło rozwidłę...

Serce Dempseya znalazło się dla odmiany w okolicach jego żołądka. Pojmana? Ktoś porwał Veronikę. Koło rozwidlenia. Koło którego rozwidlenia?

- Gdzie? - zapytał chłopaka. - Gdzie? Koło którego rozwidlenia?

- Pole Hattera... - jęknął Tom.

A więc chodzi o rozwidlenie, z którego jedzie się do domku pani Thistledown. No tak, pomyślał Dempsey, przecież Vernie zamierzała odwiedzić wdowę. Jeśli jednak ktoś ich zaatakował w okolicy rozwidlenia, to nie dotarli do wdowiego domku. Pastor potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się pajęczyn, które ją oblepiły..

Jeśli Berinwick spodziewał się ich przed zmrokiem, to zapewne już rozpoczął poszukiwania. Przekonał się już najprawdopodobniej, że nie dotarli do wdowy Thistledown. W takim razie, gdzie jest William Berinwick? Dlaczego jeszcze nie zapukał do moich drzwi, dopytując się, co zrobiłem jego matce? Czyżby jemu także coś się przydarzyło?

Dempsey spojrział na Hasty'ego, który przestał walczyć o zachowanie świadomości i omdlał. Nie mogę nic więcej dla niego zrobić, pomyślał pastor, a tymczasem Veronika...

Wybiegł czym prędzej z sypialni, chwycił latarnię i wyszedł na dwór. Gniady zarżał, gdy wielebny pan Dempsey, nie zważając na to, że koń jest zakrwawiony i że on sam nie założył butów do jazdy konnej, wskoczył na siodło. Pastor skierował konia na drogę i puścił się galopem w stronę rozwidlenia. Theophilus, który wyslizgnął się z kuchni za swym panem, popatrzył na znikającego konia, a potem przyłożył nos do ziemi i ruszył ich śladem.

Książę Berinwick, nieświadom, że coś się przydarzyło jego matce i Hasty'emu, koncentrował się bez reszty na swym zadaniu. Jeśli Hades istnieje, to nie może być tam gorzej niż tu, pomyślał, ledwo umykając przed walącym się sufitem w holu Tofarów. Odczekał chwilę, by sprawdzić, czy nie zagraża mu jakieś inne niebezpieczeństwo, a potem znów ruszył przed siebie. Przez te wszystkie lata zdążył się przyzwyczać do tego, że dysponuje tylko jednym okiem. Wydawało mu się, że nie stanowi to żadnego problemu. Nauczył się jeździć konno, skakać przez przeszkody, wspinać się i biegać jak wszyscy inni chłopcy. Ale pośród gęstniejących wciąż kłębow dymu jedno oko przestało mu wystarczać. Nie miał pojęcia, co się dzieje po jego prawej stronie. Nie mógł dostrzec ruchu płomieni, nie mógł dostrzec żadnego ruchu kątem oka, bo oka po prostu nie miał. Przez chwilę pomyślał, że lepiej będzie, jeśli zawróci. Jeśli Anna Tofar jest w domu -a gdzie mogłaby być, skoro nie znalazł jej w tłumie podających sobie wiadra z rąk do rąk - jeśli więc jest w domu, to najprawdopodobniej już się udusiła dymem.

Udusiła się albo spłonęła żywcem, pomyślał Berinwick, zasłaniając usta i nos mokrą szmatą, co i tak nie na wiele się zdało. Gdyby Tofar wcześniej się zorientował, że Anna... Nie, to niesprawiedliwe. To nie jego wina. Zresztą Tofar byłby tu teraz na moim miejscu, gdybym go nie przekonał, że lepiej dam sobie radę, bo jestem młodszy niż on.

Gdy w stajni Tofarów wybuchł pożar, gdy ktoś podłożył ogień, jak twierdził jeden ze stajennych, który widział kogoś umykającego z miejsca, gdzie trzymano siano, Tofar i wszyscy mężczyźni zajęli się

wyprowadzaniem koni z budynku. Kto żyw wybiegł z domu, by gasić ogień, który zaczął już rozprzestrzeniać się na inne zabudowania. Nie udało im się jednak opanować pożaru i złowrogi poryw wiatru przeniósł kilka iskier na dach domu, który okazał się idealną pożywką dla płomieni. Było jednak sporo czasu, by wszyscy zdążyli opuścić dom. Anna także powinna wyjść. Hanna nie znalazła jednak swej najlepszej przyjaciółki w tłumie, a od histeryzującej matki dziewczyny niczego nie można się było dowiedzieć.

- Natrę jej uszu, jeśli ona także wpadła w histerię i siedzi gdzieś w całkiem bezpiecznym miejscu, podczas gdy ja za chwilę upiekę się żywcem - mruknął Berinwick, po-kaślując. Wyjął na chwilę mokrą szmatę z ust i zawołał, starając się przekrzyczeć hałas płomieni: - Anno! Anno!

Nasłuchiwał uważnie, choć nie spodziewał się żadnej odpowiedzi. Nawet jeśli dziewczyna jest gdzieś w domu, nawet jeśli nie straciła przytomności albo życia, to trudno przypuszczać, że usłyszy jego wołanie pośród tego hałasu albo że on usłyszy jej odpowiedź. Berinwick był więc niezmiernie zaskoczony, gdy do jego uszu dotarło rytmiczne stukanie. Bam! Bam! Bambambam! A potem jeszcze raz i jeszcze raz w tym samym rytmie.

Księżę doszedł do wniosku, że stukanie dochodzi z parteru. To najprawdopodobniej Anna, a nie żaden przypadkowy dźwięk. Dzięki Bogu, że dziewczyna żyje i jest na dole.

- Jeszcze raz, zastukaj jeszcze raz, Anno! - krzyknął.

- Bam! Bam! Bambambam! - usłyszał. Annie była gdzieś w tylnej części domu. Berinwick ruszył przed siebie, omijając ostrożnie płonące fragmenty sufitu i ścian.

Veronika znów się obudziła. Tym razem nieco przytomniejsza. Oczy ją wciąż bardzo piekły, a głowa bolała straszliwie, ale nie było już tak ciemno. Czowała ból w każdej części ciała, gdy spuściła nogi na podłogę. To wcale nie jest podłoga, stwierdziła z przerażeniem. To raczej nierówna droga z gliny i kamieni.

- Nieprawdopodobne - mruknęła. - To przecież niemożliwe, bym spała w jakimś dziwnym łóżku na samym środku drogi. - Rozejrzała się dokoła i stwierdziła, że źródłem światła są trzy nierówne świece, płonące w srebrnym kandelabrze, umieszczonym między dwiema skałami. Ktoś musiał wejść do tego dziwnego pomieszczenia, gdy spała. Kto? I gdzie się znalazła? Dlaczego ten, kto przyniósł świece, znów wyszedł? Veronika zadrżała i poczuła, że zaczyna szczeakać zębami. Wiedziała tylko, że jest w jakimś zimnym, wilgotnym, nieprzyjemnym miejscu, choć nie mogła dostrzec nic poza kręgiem światła. Na domiar złego ktoś tu wszedł, a ona nic o tym nie wiedziała. - Dlaczego się nie obudziłam? - szepnęła, a jej szept odbił się echem od ścian. - Kto to był? Gdzie ja jestem? Jak się tu znalazłam?

Spróbowała wstać, ale od razu usiadła z jękiem. Strasznie mi się w głowie kręci, pomyślała. I wszystko mnie boli. Dlaczego?

I wtedy sobie przypomniała. Zostaliśmy zaatakowani! Thomas Hasty i ja zostaliśmy zaatakowani w drodze do domku wdowy Thistledown!

- Och! - szepnęła Veronika i przycisnęła pięści do ust na wspomnienie tego, co się wydarzyło.

Znów usłyszała to przekłęte wołanie, które zatrzymało ich niespodziewanie na rozwidleniu.

- Wasza wysokość, Hasty, musicie zaraz wracać! Zdarzył się wypadek! Księżę jest ranny!

I wtedy ten potwór zatrzymał się na wprost Toma i nim biedny chłopak zdołał się zorientować, że coś jest nie tak, wyciągnął pistolet i strzelił mu prosto w serce.

- Och, Tom! - westchnęła Veronika. Łzy napłynęły jej do oczu. Znała Toma od czasów jego niemowlęctwa. Urodził się zaledwie trzy lata wcześniej niż jej William. Od czasu gdy jego rodziców uśmierciła ta sama zaraza, która odebrała życie Charlocie, chłopak wychowywał się w Blackcastle, psocąc wciąż i dokazując zawsze w czarujący sposób. - Och, Tom! Jak on mógł cię zamordować? Czy mu kiedykolwiek zrobiłeś coś złego? Nic! Nic!

Veronika przypomniała sobie, jak zaszokowana dotknęła chłopaka, który osunął się na siodło, a potem na ziemię. Na palcach poczuła krew Toma. W powietrzu wciąż unosił się zapach prochu i słychać było krzyk, który z siebie wydała. Potem napastnik zepchnął ją z siodła z taką siłą, że wyleciała jak z katapulty.

Spadłam na ziemię z wielkim hukiem, pomyślała. Zabrakło mi tchu. I wtedy on mnie podniósł i zaczął okładać pięściami.

- Och - jęknęła, przypomniawszy sobie swoje przerażenie i paniczną walkę. - Och, dobry Boże, sądziłam, że chce mnie zabić.

Ale najwyraźniej nie chciał, skoro tu jestem, pomyślała. Obolała, drżąca i przerażona, ale żywa. Powinnam się cieszyć, że nie straciłam życia. Bo przecież mogę próbować stąd uciec.

Veronika nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Znow się podniosła, tym razem ostrożnie, gotowa przeczekać zawroty głowy. Nie zwracając uwagi na ból, podeszła do kandelabra, wciśniętego między dwa wielkie kamienie. Veronika uniosła świecznik do góry i rozejrzała się dokoła. Przeszła trzy kroki w prawo, potknęła się i obniżyła świecę, by spojrzeć na nierówną podłogę. Ostrożnie obesła całe pomieszczenie, usiłując odtworzyć obraz całości z fragmentów, widocznych w błyskach świec, ale nie na wiele się to zdało. W pewnej chwili spostrzegła łukowate przejście, okazało się jednak, że za nim kryje się tylko ciemność mroczna jak śmierć.

Podłoże było nierówne i niebezpieczne. Tu i ówdzie sterczały ostre kamienie, w innych miejscach były dziury, jeszcze gdzie indziej kamienie stały się gładkie i śliskie od kapiącej z góry wody.

Jestem pod ziemią, pomyślała, gdy w końcu wróciła do prymitywnego łóżka i usiadła na nim. To musi być jaskinia, ale znacznie większa niż te, po których chodziłam kiedyś z Julesem, gdy szukaliśmy miejsca spoczynku króla Artura. To na pewno jest jaskinia. Tego rodzaju miejsce nie może istnieć nad ziemią.

- O Boże - szepnęła księżna. - Błagam cię, by ten potwór nie mówił prawdy na temat Williama. Oby tylko mój Will nie został raniony w jakimś wypadku ani przez wroga. I oby Tom Hasty nie umarł. Niechaj się stanie cud. Ty potrafisz czynić cuda. Zrób to dziś. Niech pani Thistledown albo ktoś, kto będzie szedł drogą, znajdzie

Toma, oby Tom do tego czasu nie przestał oddychać i walczyć o życie. Wyglądał jak nieżywy, ale jeśli Ty się nad nim ulitujesz, to nic mu nie będzie. I chroń moją najdroższą Hannę przed machinacjami tego łotra. Ona jest taka niewinna. Okaż miłosierdzie niewinnym i uchron ją przed nim. I przyślij anioła, by mnie wyratował z tego ciemnego, wilgotnego więzienia - dodała. - Przysięgam, że wszystko naprawię, jeśli przyślesz anioła, który wyprowadzi mnie z tych piekielnych ciemności ku światłu. To nie musi być żaden wspaniały, ważny anioł. Wystarczy jakiś niepozorny i skromny, byle tylko wzięł mnie za rękę i wyprowadził stąd.

Dempsey wyszeptał modlitwę dziękczynną. Veronika nie leżała zimna i martwa na rozwidleniu dróg. Pastor znalazł wprawdzie ślady krwi na ziemi, ale uznał, że to musi być krew Hasty'ego, bo chłopak stracił jej bardzo wiele. Nie dopuszczał do siebie myśli, że mogłaby to być krew Veroniki.

- Nie do wiary - mruknął. - Czyżby Hasty spadł z konia, gdy został postrzelony, i zdołał wdrapać się na niego Z powrotem? Ileż w nim odwagi i determinacji! Utrzymał się jakoś na końskim grzbiecie przez całą drogę do plebanii - a wszystko po to, by uratować Veronikę. Jakież to lojalny sługa.

Na niebie nie było żadnej chmury, gwiazdy migały, jakby chciały pastorowi ułatwić poszukiwania, choć on wolałby, żeby świecił raczej księżyc w pełni. Ale z księżycą został tylko rogalik. Dempsey wzruszył ramionami. Dobrze, że nie ma chmur i mgły. Wstąpiła w niego nadzieja, ponieważ to, że nie znalazł martwego ciała Veroniki na rozstajach dróg, było dobrą nowiną. Pastor na kolanach

przyglądał się drodze i przydrożnej trawie. Trawa w pewnym miejscu była udeptana, ale trudno było wyciągnąć z tego jakiś wniosek. Może właśnie tu Veronika stoczyła bój z wrogiem, a może po prostu baraszkował tu jakiś lis, ciesząc się pięknym wieczorem. Dempsey wstał i uniósł latarnię na wysokość ramienia. Obrócił się dokoła, wołając Veronikę, i odczekał chwilę. Nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Zagwizdał i znów wstrzymał oddech, mając nadzieję, że usłyszy parskanie konia księżnej. Nie usłyszał jednak nic poza zwykłymi leśnymi odgłosami. W pewnej chwili przyłączyło się do nich charakterystyczne węszenie. Dempsey uśmiechnął się od razu.

- Theo, czy to ty? - zawołał. - Poszedłeś za mną, stary łobuzie? - Tym razem zamiast węszenia rozległo się wesołe szczekanie i z ciemności wyłonił się szczęśliwy pies. - Tak, tak, udało ci się mnie znaleźć! - powiedział Dempsey, klękając, by przytulić podopiecznego. - Dobry z ciebie pies, Theophilusie. I jaki mądry! Nie miałeś nic oprócz węchu, by mnie odnaleźć. Chodź, staruszk. Przejdziemy się trochę, my dwaj i gniady Toma. Może Veronika uciekła jakoś temu draniowi. To całkiem możliwe. Może udało jej się dojechać do wdowy Thistledown i jest już bezpieczna?

Dempsey ujął wodze konia i ruszył w stronę domku wdowy Thistledown. Oby Veronika tam była, modlił się po cichu. Albo oby pani Thistledown widziała ją jadącą w stronę Blackcastle. Stąd można chyba dojechać inną drogą do Blackcastle. Berinwick wspomniał przecież, że zatrzymał się tu w drodze do domu. Może Vernie zdołała wykorzystać moment, w którym ten łotr strzelał do Toma, i uciekła do

domu. To całkiem możliwe. Widziałem przecież, jak Veronika jeździ konno. Potrafiłaby prześcignąć każdego mężczyznę.

- Veronikę Longwood stać na wszystko - powiedział Dempsey na głos. - Gdy tylko wyzwoli się z poczucia winy i tej skorupy zależności, w którą wtłoczyła ją nadopiekuńcza matka i ten jej okropny ojczym. No i mąż. Gdy Vernie zdobędzie się na odwagę, podbije świat. Wiem, że jest do tego zdolna, Theo. Znam jej siłę i moc z dawnych lat. Pamiętam ją z czasów, gdy nie była jeszcze spętana bezradnością, gdy potrafiła być kimś więcej niż tylko piękną zabawką jakiegoś księcia. Nie, jestem niesprawiedliwy - skarcił się, idąc szybko w obranym kierunku. - Nie znałem przecież Juliana Thorne'a. Wiem o nim tylko tyle, ile można odgadnąć na podstawie jednego listu. Niewykluczone, że pogodził się ze słabością Veroniki i z jej kapryсами, ponieważ bardzo ją kochał i nie chciał jej w żaden sposób zranić. Na pewno nie była dla niego tylko piękną ozdobą. Przecież wziął ją za żonę. Dlaczego obwiniam go o coś, do czego sam byłbym zdolny? Wiesz, co to oznacza, Theo? - zapytał zaskoczony. - Wszystko wskazuje na to, że jestem zazdrosny. Na pewno jestem zazdrosny. Jestem zazdrosny o nieżyjącego człowieka, który ożenił się z kobietą, którą kochałem. Co za głupota! Skoro jednak już wiem, że jestem zdolny do zazdrości, to muszę przestać ją w sobie podsycać. Veronika go przecież także kochała. I to bardzo, z tego, co zdążyłem zauważyć. Muszę nauczyć się szanować pamięć Juliana Thorne'a. Dzięki temu Veronika będzie go przy mnie wspominać. Kobieta, która straciła męża, musi mieć możliwość snucia wspomnień. Powinienem ją do tego zachęcać.

Dempsey miał świadomość, że plecie trzy po trzy. Wiedział, że robi to z powodu niepokoju, który nie opuszczał go ani na chwilę. Theo nie miał najwyraźniej nic przeciwko wynurzeniom swego pana. Gdyby nie pies, Dempsey dosiadłby gniadego i ruszył galopem do domku wdowy Thistledown, ale Theophilus był już zbyt stary, by dotrzymać kroku koniowi na tak długim dystansie. A poza tym, jeśli pastor nie zastanie Veroniki u wdowy Thistledown, będzie musiał natychmiast wyruszyć do Blackcastle. Powinien więc oszczędzać siły konia i psa.

Pani Thistledown, bosa, we flanelowej koszuli nocnej, na którą zarzuciła ogromny szal, i w przekrzywionej szlafmocy, stała na progu swego domku, trzymając świecę w dłoni, i patrzyła na pastora z ogromnym zdziwieniem.

- Księżna? - powtórzyła. - Szuka pan tu księżnej, panie Dempsey? Zupełnie nie rozumiem, dlaczego.

Pani Thistledown nie rozumiała, dlaczego pastor w ogóle szuka księżnej o tak późnej porze, ale była zbyt dobrze wychowana, by zadawać tego rodzaju pytania.

- Nie widziała pani, by księżna przejeżdżała drogą nieco wcześniej? - zapytał. - Przed paroma godzinami? O zmroku. Niewykluczone, że pędziła na swojej siwej klaczy przez pole Hattera. Tamtędy można chyba dojechać do Blackcastle?

- Czy zechce pan wejść i usiąść na chwilę, panie Dempsey? - zaproponowała wdowa. - Razem z psem?

- Nie. Nie. Bardzo dziękuję. Jeśli nie widziała pani księżnej, to muszę natychmiast pojechać do Blackcastle. Można się tam dostać, przejeżdżając przez pole? Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

- Owszem. Ale na pana miejscu nie jechałabym tamtędy. Jest stanowczo za ciemno, a na tym polu dzieją się różne rzeczy... - gospodyni urwała.

- Jakie rzeczy, pani Thistledown?

- Tam straszy - szepnęła. - Widziałam tam ducha nie dalej jak dziś wieczorem. Straszliwego ducha. To nie był Owain Glyndwr ani nawet Dusiciel ze Stiperstone. Istny demon, prosto z Hadesu! Miał dwie głowy, a nogi i ręce latały mu dookoła jak szalone.

Dempsey wyobraził sobie postać, której portret nakreśliła pani Thistledown. Czy nie mógłby w ten sposób wyglądać mężczyzna, niosący nieprzytomną kobietę?

- Gdzie go pani widziała? Tego demona?

- Wszedł do stodoły i już więcej się nie pokazał.

- Może wyszedł, dopiero gdy pani wróciła do domu? Czy miał konia? Białego konia?

- Nie. Ani białego, ani żadnego innego. Szczerze mówiąc, to wcale nie czekałam, aż stamtąd wyjdzie. Tak się przeraziłam, że popędziłam czym prędzej do domu.

- Rozumiem - pokiwał głową Dempsey, czując przypływ nadziei. Veronika zemdląła i ten człowiek zaniósł ją do stodoły Hattera. Może ona jest tam do tej pory! Może więc on, Dempsey, zdążył na czas i nie tylko uratuje Veronikę, ale jeszcze złapie tego

łotra? Może Veronika, wdzięczna za uratowanie życia, zechce wysłuchać jego oświadczeń i przyjmie je?

- Pani Thistledown - zapytał, postukując nerwowo latarnią w swoje kolano - czy dziś wieczorem nie zaglądał do pani książkę?

- Książkę? Nie, panie Dempsey. Pan jest dziś moim pierwszym i jedynym gościem.

No tak, pomyślał pastor. Berinwick gdzieś zniknął. Co zrobię, jeśli nawet dopadnę tego drania i uratuję Veronikę, ale okaże się, że Berinwick znalazł się w tarapatach? Jeśli jest poważnie ranny? Albo martwy? Co zrobię? Veronika z pewnością wolałaby, żebym najpierw uratował jej syna.

- Bardzo panią przepraszam za to najście. - Dempsey starał się zdobyć na uprzejmość, choć myślał tylko o tym, by czym prędzej wsiąść na konia i pojechać do stodoły. -Gdy tylko wytłumaczy mi pani, jak się dostać do Blackcastle najkrótszą drogą, to przestanę pani przeszkadzać. I bardzo dziękuję za to, że zechciała pani ze mną porozmawiać mimo późnej pory.

- Musi pan pojechać w lewo drogą, która się zaczyna za polem Hattera. Potem natrafi pan na pole zasiane pszenicą na skraju Grydwynn Wood- Trzeba przejechać przez nie na przelaj. Droga, na którą pan wtedy wjedzie, zaprowadzi pana do Blackcastle. Ale ja bym tego na pana miejscu nie robiła - ostrzegła go raz jeszcze. - W każdym razie nie dzisiaj. Dobranoc, sir.

- Dobranoc, pani Thistledown.

Gdzie, u licha, podział się Berinwick, zastanawiał się Dempsey, spiesząc w stronę konia. Chłopak spodziewał się powrotu matki przed

zmrokiem. Dlaczego więc nie zjawił się u wdowy Thistledown przed paroma godzinami? Dlaczego nie przyjechał do mnie? Czy to oznacza, że Vernie zdołała uciec swemu prześladowcy i jest już w Blackcastle? Ale w takim wypadku Berinwick powinien szukać Toma Hasty'ego. Nawet gdyby sądził, że stajenny został zabity, to przecież nie zostawiłby jego ciała na rozstajach dróg. To nie w jego stylu. A to oznacza, że wkrótce powinien zapukać do wdowy Thistledown i na plebanie.

Dym w gabinecie pana domu nie był tak gęsty jak w korytarzu, ponieważ izba ta leżała po przeciwnej stronie domu. Wszystko wskazywało jednak na to, że pożar dotarł już do korytarza na piętrze. Z sufitu spadła belka, uderzając w bok ogromnej, francuskiej szafy, która przechyliła się niebezpiecznie, stojąc na jednej tylko nodze, oparta o ścianę w narożniku pokoju. Stukanie, które sprowadziło tu Berinwicka, dochodziło z wnętrza tej szafy.

- Anno? - zawołał.

- Czy to ty, Will? -Tak.

- Och, to dobrze! Jestem tu. W szafie. Całe szczęście, że nas znalazłeś!

Nas? Co to dziecko ma na myśli? Berinwick nie słyszał, by ktokolwiek, poza Anną, zaginął podczas pożaru.

- Nie możemy się stąd wydostać, Will. Coś wielkiego spadło na nas z sufitu, gdy zbierałam je wszystkie. Wskoczyłam więc do szafy, żeby uniknąć śmierci, no i teraz nie możemy się wydostać. Stukam i stukam, ale to nic nie pomaga. A tu jest strasznie gorąco, coraz bardziej gorąco.

- Nic dziwnego - odparł Berinwick. - Dom się pali. -Berinwick rzucił mokrą szmatę, którą zasłaniał usta i nos, podszedł do szafy i pociągnął za najniższe drzwiczki. Wcale się nie ruszyły. Podjął więc próbę otwarcia wyższej części, ale i tym razem jego wysiłki na nic się nie zdały. -Co się dzieje? - krzyknął zdesperowany.

- Sądzę, że są zamknięte.

- Jak? Czy ktoś je zaryglował trzema metalowymi sztabami?

- Nie wiem, Will - odparła Anna, jakby miała się rozplakać, choć starała się za wszelką cenę udawać odważną. - Są zamknięte na jakiś zamek. Papa zawsze zamykał tę szafę. W każdym razie robił to dopóty, dopóki Kitty nie wskoczyła tu, żeby urodzić kocięta.

- Chcesz powiedzieć, że siedzisz tam razem z kotem?

- I z sześcioma kociakami. Wróciłam do domu, żeby je stąd zabrać.

Berinwick szukał klucza na biurku gospodarza. Dym stawał się coraz gęstszy, a jego zapach, który już dawno przyprawił go o ból głowy, zaczynał mącić mu powoli świadomość.

- Cóż za głupota! - ryknął, rzucając pierwszą szufladą o ścianę. - Wracać do płonącego domu po kocięta! - Na ścianie wylądowała druga szuflada. Książę szperał w trzeciej, czując, że oko zachodzi mu mgłą i że robi się coraz bardziej gorąco. Za chwilę znów coś spadnie z sufitu. O ile nie spadnie im na głowy cały sufit.

- Nie mogłam przecież pozwolić, żeby spłonęły żywcem, Will. Ty byś też na to nie pozwolił. I nie mów mi, że byś pozwolił, bo wiem lepiej. Możesz sobie udawać, że jesteś mrukiem i okrutnikiem, ale ani

mnie, ani Hanny nie oszukasz. Obie dobrze wiemy, że tylko grasz taką rolę. Och, Will, nie udało ci się znaleźć klucza? Tu jest tak gorąco i...

Berinwick chwycił klucz, rzucił się w stronę szafy i włożył go do zamka. Usłyszał kliknięcie i drzwi stanęły otworem. Chwycił Annę na rękę i popędził do wyjścia.

- Zaczekaj, Will! - krzyknęła dziewczyna, choć oczy miała zaczerwienione od dymu. - Mam tylko Diddle i Marshalla!

- Do diabła ciężkiego! - wrzasnął Berinwick, ale postawił Annę na podłodze i wrócił do szafy. Kociaki miauczały i piszczały przeraźliwie. Jeden uczeplił się łapkami krawędzi, drugi wcisnął się w kąt na najwyższej półce, trzeci usiłował znaleźć wyjście przez dno szafy, a czwartego matka trzymała zębami za kark. - Nie ruszaj się, kocico - rozkazał Berinwick, przygważdżając matkę do półki siłą swego spojrzenia. Podniósł ją do góry i wyjąwszy kociaka z jej zębów, schował go za pazuchę. Potem włożył sobie kotkę pod pachę. Usłyszał, że Anna kaszle, ale nie odwrócił się, by sprawdzić, co się z nią dzieje. Sięgnął natomiast na górną półkę, by wziąć stamtąd prądkowanego kotka i umieścić go w sąsiedztwie czarnego braciszka, za pazuchą. - Nie mam pojęcia, jak mógłbym was zabrać i wyjść stąd szczęśliwie - powiedział do pozostałych dwóch zwierzaków.

- Tutaj, Will - zawołała Anna, ciągnąc go za rękaw. Zerwała jedną zasłonę z okna i zrobiła coś w rodzaju mieszka. - Daj mi Liddy i te dwa, które masz za pazuchą, i zajmij się tamtymi. Szybko, bo spłonimy żywcem.

- Dopiero teraz ci to przyszło do głowy? - zapytał Berinwick, podając jej trzy koty i sięgając po następne.

- Myślałam o tym na samym początku, ale gdy tu weszłam, pożar nie był jeszcze taki straszny. Weszłam przez drzwi ogrodowe.

Berinwick umieścił dwa pozostałe kotki w zasłonie, po czym zawiązał ją dokładnie. Podał tłumoczek Annie i wziął ją na ręce. Gdy przeskoczył próg gabinetu, usłyszał za swymi plecami straszliwy huk, który oznaczał bez wątpienia, że jego przeczucia się spełniły i że sufit się w końcu zawalił.

- Gdzie są te drzwi do ogrodu? - zapytał. - Nie mogę sobie przypomnieć.

- Za rogiem - wskazała dziewczyna, a jej oczy zrobiły się okrągłe z przerażenia, gdy obejrzawszy się do tyłu, zobaczyła pracownię ojca stojącą w płomieniach.

- Veroniko! - krzyknął Dempsey po raz ostatni, rozglądając się po pustej stodole.

- Hau, hau - szczekał Theophilus ze współczuciem, czując smutek w głosie swego pana. - Hau, hau!

- Nie martw się, Theo - pocieszył go Dempsey i przyciągnął psa do siebie. Uciszywszy go, zaczął znów nasłuchiwać. Ale i tym razem jego wołanie pozostało bez odpowiedzi. - Nie ma jej tutaj. Ten łotr musiał zabrać ją gdzie indziej, jeśli pani Thistledown widziała właśnie jego i Veronikę.

Dempsey starał się przekonać samego siebie, że pani Thistledown nic nie widziała, że wyobraziła sobie tego swojego demona. Jeśli tak rzeczywiście było, to nic dziwnego, że nie znalazł tu żadnego śladu obecności Veroniki. I nie powinien uważać się za starego głupca, który niewiele widzi w świetle latarni.

- Jeśli jednak pani Thistledown naprawdę widziała człowieka, który niósł Vernie, Theo, to obawiam się, że straciliśmy jej ślad. Nie ma sensu biegać po nocy po polu Hattera, skoro nie mamy pojęcia, w którą stronę pojechał czy może poszedł.

Theophilus, poruszony do żywego tonem głosu swego pana, podskoczył, starając się polizać go w policzek. Potem wyrwał mu się i zaczął węszyć. Obwąchiwał wszystkie kąty, podczas gdy Dempsey czekał na niego ze smutnym uśmiechem na twarzy.

Powinienem wrócić na plebanię i zająć się Tomem, pomyślał. Źle zrobiłem, zostawiając go samego. Chociaż to przecież on chciał, żebym wyruszył na poszukiwanie Veroniki. Co do tego nie ma wątpliwości.

- Dlaczego, mój dobry Boże, stworzyłeś mnie tylko w jednej osobie? - zapytał. - Nie mogę być jednocześnie w kilku miejscach.

Może wrócę do wdowy Thistledown i poproszę, by poszła na plebanię zająć się Tomem. Choć przecież ona musi się opiekować swoimi dziećmi, bo najstarsze z nich nie jest jeszcze dorosłe. Nie, nie mogę jej prosić, by zostawiła dzieci same w domu, skoro w okolicy grasuje jakiś wariat z pistoletem. Nie powinienem też lekceważyć faktu, że Berinwick nie zaczął jeszcze szukać matki i Toma. To jest bardzo podejrzane.

- Chodź, Theo - zawołał Dempsey ściszym głosem. - Pojedziemy do Blackcastle i sprawdzimy, co tam słychać. Może nasza piękna księżna jest cała i zdrowa i całkiem niepotrzebnie tracimy czas w tej starej stodole? Coś ty znalazł, staruszkę? - zapytał pastor, gdy pies przyniósł mu nagle coś w zębach.

Theophilus zaskomlał i upuścił swoją zdobycz.

Dempsey nie musiał zbliżać latarni, żeby się zorientować, co ma w ręku. Pies znalazł wisiorek, który Veronika pokazywała mu na tym samym polu tego dnia, w którym podarowała mu Norville'a. Wisiorek, który Julian Thorne dał jej w noc poślubną. Wisiorek, który zamierzała przekazać synowi.

- A więc jednak tu była - syknął Dempsey z przejęciem. - Theo, gdzie ty to znalazłeś? Pokaż mi, staruszk.

Pies tylko patrzył na niego.

- To jest wisiorek pani, którą tak lubisz, Theophilusie - wyjaśnił mu Dempsey, kładąc wisiorek na dłoni, by pies mógł go powąchać. - Tej miłej pani, która lubi brać cię za łapę i śmieje się głośno, gdy dokazujesz. Veroniki. Możesz ją znaleźć? Potrafisz ją znaleźć dla mnie?

Theophilus dokładnie obwąchał wisiorek, wziął go ostrożnie w zęby i pobiegł do tylnej części stodoły, wymachując ogonem.

Lepiej nie mieć żadnych złudzeń. Theo sądzi, że to tylko zabawa. Chciałby mnie zadowolić, ale nie ma pojęcia, czego od niego chce.

A jednak w serce Richarda wstąpiła nadzieja, że uda mu się odnaleźć Veronikę całą i zdrową, że jeszcze tej nocy odprowadzi ją do domu.

Grupka przemoczonych, ubłoconych i wycieńczonych, ale zwycięskich samozwańców strażaków wracała do Blackcastle wzdłuż Widowen Lane. Niektórzy szli piechotą, ale większość siedziała w siodle bądź w wozach i dwu-kółkach. Słysząc było przede wszystkim pokasywanie i pochlipywanie. Pochlipywała głównie pani Tofar. I nic w tym dziwnego, skoro biedna kobieta przez tyle godzin patrzyła, jak ogień trawi jej dom, jej dobytek. Niewiele brakowało, a strawiłby także jej córkę. Wprawdzie na tle ciemnego nieba nie igrały już pomarańczowoczerwone płomienie, ale nad miejscem, w którym jeszcze po południu stał dom Tofarów, unosiła się chmura dymu. Gdy pani Tofar oglądała się za siebie, widziała jak na dłoni ogrom swojej straty.

Na miejscu została grupka mężczyzn, którzy mieli zadbać o to, co pozostało, i nie dopuścić do tego, by pożar wybuchł od nowa. Berinwick polecił swoim stajennym, by wspólnie z ludźmi Tofara zajęli się ocalałymi zwierzętami. Mieli sprowadzić je do Blackcastle i dopiero tam opatrzyć im rany. To było trudne zadanie.

Równie trudne zadanie dostała służba w Blackcastle, która miała przygotować łóżka i posłania dla wszystkich pogorzalców, zapewnić wodę, by goście i domownicy zdołali się umyć, zgromadzić dość świeżych ubrań. Nie brakowało też ran i oparzeń, którymi trzeba było się zająć.

- Nie wiem, jak panu dziękować, Berinwick - powiedział Tofar.

- Niech pan o tym nie myśli, Tofar. Każdy sąsiad postąpiłby tak samo. Przykro mi, że nie udało się uratować domu.

- Dom? Dom to drobiazg. Dom można odbudować. Trzeba tylko pieniędzy i czasu. Dziękuję panu przede wszystkim za to, że ocalił pan moją Anię.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Odważna z niej dziewczyna.

- I głupia. Jak można wracać do płonącego domu po kocicę i jej kocięta? Powinienem uszy jej poobrywać.

Berinwick zjechał na pobocze i zatrzymał swego konia, zmuszając w ten sposób Tofara, by ten zrobił to samo. O ile chciał kontynuować rozmowę.

- Sądzę, że nie powinien pan tego robić - powiedział książę, przyglądając się wycieńczonemu starszemu człowiekowi i ze współczuciem. - Nie powinien pan jej uszu obrywać. Powinien pan wziąć ją w ramiona i przytulić z całej siły.

Tofar już to zrobił. Ze trzy razy. I miał zamiar zrobić to jeszcze raz, gdy tylko zsiądzie z konia przed Blackcastle. Zdziwił się jednak, słysząc taką radę z ust Berinwicka. Młody książę nie słynął wszak z nadmiernej wrażliwości.

- Przykro mi także z powodu żrebaka - dodał Berinwick. - Widziałem, jak Trewellyn podawał go Hannie, siedzącej na jednym z wozów. Eloquent szalała z niepokoju, gdy na to patrzyła.

- Za dużo dymu dla takiego maleństwa - mruknął Tofar. - Jeśli nawet przetrwa, to nie będzie mieć zdrowych płuc. Powinienem raczej

skrócić jej męczarnie. Ale nie byłem w stanie tego zrobić i nie mogłem obarczać tym nikogo innego. Nie dziś.

- Można to zrobić jutro, jeśli się okaże, że nie jest z nią lepiej. Nie powinien pan sobie tym głowy zaprzętać dziś wieczorem. Zajmiemy się źrebięciem. Jeśli komukolwiek można je powierzyć w tym stanie, to tylko Tomowi Hasty'emu.

- Tak, tak. Tom to prawdziwy zaklinacz koni. Nie widziałem go dziś, Berinwick. Chyba z wami nie przyjechał? A może wyjechał wcześniej?

- Wybrał się z moją matką na plebanię - wyjaśnił książe. - Wyruszyli, nim zaczęły dzwonić wasze dzwony pożarowe. Matka znalazła coś, co chciała koniecznie pokazać pastorowi. Nie mogłem jej przekonać, by poczekała z tym do rana. Zamierzała też wpaść na moment do wdowy Thistledown. Zdaje się, że wciąż martwi się o tę rodzinę, choć gdy ja ich ostatnio odwiedzałem, cała czwórka radziła sobie całkiem nieźle. Nie sądzę, by dźwięk waszych dzwonów dotarł na plebanię albo do domku pani Thistledown, ale powiedziałem McClane'owi, żeby wysłał Toma na farmę Tofarów, gdy tylko odprowadzą księżnę do domu. Może jednak matka wolała, by Tom został w Blackcastle i pomógł przyszykować miejsca dla pogorzalców. - Berinwick uśmiechnął się, wyobraziwszy sobie stajennego, który przygotowuje posłania dla niespodziewanych gości. - Na zamku został tylko McClane, bo skreślił sobie nogę w kostce. W tej sytuacji nie można by chyba na niego liczyć. A wracając do pożaru...

- Tak?

- Jeden z pańskich ludzi twierdził, że widział kogoś, kto podłożył ogień.

- To był chyba Michaels. Michaels widział, jak ktoś uciekał. Twierdził, że ten człowiek wsiadł na konia, który stał przywiązany nieopodal, i pogalopował, jakby sam diabeł deptał mu po piętach.

- Nie udało mu się rozpoznać tego człowieka?

- Nie. I nie pojechał za nim. Pobiegł po wodę i zaczął krzyczeć, żeby ostrzec innych.

Berinwick ponaglił konia i po chwili obaj jeźdźcy dołączyli do karawany.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ktoś chciał podpalić pańską stajnię. Czy cały świat oszalał? Czy ktokolwiek mógł na tym skorzystać?

- Nie mam pojęcia - mruknął Tofar. - Nie mam zielonego pojęcia.

Obaj panowie byli zbyt zmęczeni, by zmusić konie do szybszego stępu. Żaden nie chciał tracić resztek energii na dalszą rozmowę.

Gdy wreszcie cała kawalkada dotarła do Blackcastle, w starym zamczysku czekało pogorzalców ciepłe i miłe powitanie. Stare mury niemal tańczyły pośród migocących pochodni. McClane zapalił chyba wszystkie lampy i kandelabry w komnatach.

- Ten widok powinien podnieść panią Tofar na duchu - zauważył Berinwick.

- Słucham? - Tofar najwyraźniej nie dosłyszał.

- Nic takiego - odparł książę. - Myślałem głośno. Berinwick patrzył na swój dom, w którym drzwi stały otworem, jakby zamek

chciał przygarnąć zarówno jego, jak i wszystkich tych nieszczęsnych, obdartych ludzi do swego serca. Księżę zawsze postrzegał Blackcastle w ten sposób - jako żywy, oddychający organizm, zawsze gotów na przyjęcie potrzebujących. Nigdy w życiu nie przyznałby się, że właśnie takie uczucia budzi w nim ta kupa kamieni. Ale tak było zawsze, od kiedy ojciec wysłał go do szkoły.

Wtedy Berinwick spostrzegł McClane'a, który, kulejąc na jedną nogę, wybiegł z domu i wmieszał się w tłum, by w pośpiechu zajrzeć do kilku wozów i bryczek. Potem zagadnął o coś kilku jeźdźców. W końcu stanął w środku tłumu i zawołał księcia.

Berinwick podjechał do rządcy.

- O co chodzi, McClane? - zapytał, zsiadając z konia.

- O księżnę - odpowiedział natychmiast rządcą. - Księżna jeszcze nie wróciła, wasza wysokość. Ani ona, ani Tom

Hasty. Czekałem i czekałem, ale mimo iż zapadł zmrok, to nikt nie nadjechał. Przyszło mi więc do głowy, by zajrzeć do stajni i sprawdzić, czy nie został tam jakiś koń. Chciałem go osiodłać i pojechać w stronę domku pani Thistledown, nie zważając na ból w nodze. I właśnie wtedy...

- Co się wtedy zdarzyło. McClane?

- Wtedy usłyszałem tętent kopyt, więc wybiegłem, żeby zobaczyć, kto nadjeżdża w takim pędzie.

- I? - zniecierpliwił się Berinwick, gdy rządcą przerwał.

- To była klacz księżnej. Biała klacz księżnej. Galopowała w stronę stajni, jakby ją diabeł gonił. Tylko że księżna wcale nie

siedziała w siodle! Koń wrócił do domu sam! Coś złego musiało się przytrafić księżnej! Coś złego musiało się przytrafić im obojgu!

Dempsey z westchnieniem odwrócił się od kąta, w którym usiadł Theophilus. Znalazł tam tylko stary, złamany pług oparty o pozbawiony wieka kufer. Pastor sądził, że Theo wskazał mu to miejsce, bo właśnie tu znalazł wisiołek Veroniki. Serce Richarda Dempseya zatrzymało się na chwilę. Wyobraził sobie, że w tym starym, obrzydliwym kufrze leży ciało księżnej. Zmusił się, by zajrzeć do środka. Ale nie było tam ani martwej, ani żywej Veroniki. Z równie wielkim niepokojem zajrzał za kufer, lękając się najgorszego, nie znalazł jednak nic poza brudną podłogą.

- Chodź, Theo - zawołał, kierując się w stronę drzwi. - Nie ma tu naszej ślicznej pani. Nic tu nie ma. To tylko stara, pusta stodoła. Wiemy, że wróg ją tu wniósł. Mamy na to dowód w postaci wisiora. Nie wiemy jednak, dokąd ją stąd wyniósł, i raczej nie natrafimy na jej trop w środku nocy, skoro mi wzrok nie dopisuje, a ty nie bardzo rozumiesz, że chciałbym, aby twój węch pomógł nam odszukać Veronikę. Żałuję, że czytałem ten pamiętnik. Naprawdę żałuję. Gdyby nie to, z pewnością widziałbym znacznie lepiej. Moje oczy nie byłyby tak zmęczone. Theophilus usiadł tam, gdzie stał, i zaskomlał.

- Theo! Idziemy! - rozkazał psu Dempsey. Pies odchylił łeb do tyłu i zaszczekał.

Wielebny pan Dempsey zaczął się zastanawiać, o co mu może chodzić.

- Theo, proszę cię, chodźmy już - powiedział łagodnie. - Jestem bardzo zmartwiony. Dziś i tak nie znajdziemy ślicznej pani, a musimy

jeszcze zajrzeć do Blackcastle. Coś się musiało stać Berinwickowi. Powinniśmy chyba uważnie rozejrzeć się dookoła, zanim zapukamy do jego drzwi. Jeśli nie zauważymy nic podejrzanego, zastukamy tak, że zatrzęsą się stare mury. Ty będziesz szczeakał, a ja będę walił w drzwi pięściami, póki nam ktoś nie wyjaśni, dlaczego księżę nie zaczął szukać swojej matki.

Pies wyszedł za swoim panem. Pastor wsiadł na gniadego i pojechał we wskazanym przez panią Thistledown kierunku. W końcu trafił na drogę, która miała go zaprowadzić do Blackcastle. Na wszelki wypadek trzymał się pobocza, a gdy już dotarł do granicy Blackcastle, zsiadł z konia i poprowadził go w stronę zamku, zachowując ostrożność.

Wielebny pan Dempsey wciąż czuł, jak wielki ciężar dźwiga na swych ramionach. W miarę jak zbliżał się do zamku, ogarniał go coraz większy niepokój. Coś się musiało stać Berinwickowi. Dempsey wiedział, że nie może pozwolić, by jemu także przytrafiło się coś złego, bo wówczas mieszkańcy Blackcastle nie dowiedzieliby się, że księżna Berinwick została porwana i że Tom Hasty, bardzo poważnie ranny, leży na plebanii.

Gdy zza kolejnego zakrętu wyłoniła się bryła zamczyska, Dempsey stwierdził ze zdziwieniem, że Blackcastle wygląda jak rozgwieżdżone niebo. We wszystkich komnatach paliły się lampy i kandelabry, na gankach i na rogach płonęły pochodnie. Pastor chwycił właśnie psa za kark, by Theo nie pomknął jak strzała w kierunku zamku, gdy zza zakrętu wyłonił się rozpędzony koń. Rumak stanął dęba, a potem, kierowany wprawną ręką, ruszył w stronę Dempseya.

Obaj, jeździec i koń, byli tak czarni, że trudno byłoby ich spostrzec pośród ciemności, gdyby nie rozświetlały ich płomienie pochodni.

- Wystarczy tętent tych kopyt, by wszyscy zmykali czym prędzej z drogi - mruknął pastor, odciągając gniadego i psa w cień. - Kto to może być, u licha? Ten osobnik jest znacznie bardziej przerażający niż duch Owaina Glyndwra. Theo! - krzyknął Dempsey nagle, gdy pies wyrwał mu się i pobiegł na drogę, wściekle ujadając. - Theo, nie!
- Pastor wypuścił wodze i pospieszył psu na ratunek, lękając się, że czarny koń strątuje jego ulubieńca.

- A niech to diabli! - krzyknął Berinwick, słysząc psie ujadanie i głos Dempseya. Pociągnął mocno za wodze, skręcając pysk konia w lewo i zmuszając go do zatrzymania. - Do licha! - denerwował się książę, zeskakując z konia. - Kto to? I co się dzieje? - Wówczas dojrzał swym jednym okiem jakieś cienie na drodze. Pochylił się do przodu i smagnął batem własny but.

- Do stu tysięcy piorunów! Berinwick, czy to pan? - zapytał Dempsey, prostując się, ale nie wypuszczając psa z żelaznego uścisku.
- Wolę nawet nie mówić, kogo mi pan przypomina!

- Dempsey! Dlaczego włóczy się pan wokół mojego domu po nocy? Czy to Theo szczekał? Nic mu się nie stało? Mam nadzieję, że Triumph go nie strącił.

- Niewiele brakowało, a strąciłoby nas obu - odparł Dempsey, puszczając psa i podnosząc się z klęczek.

- To dobrze. Nie chciałbym zrobić krzywdy zwierzęciu. Co pan zrobił z moją matką, Dempsey? Pojechała z Tomem, żeby zawieźć

panu jakiś dziennik, i do tej pory nie wróciła. Zjawiała się tylko jej klacz.

- Wiem o tym.

- Wie pan o tym?

- Pańska matka przywiozła mi ten dziennik. Zostawiła go i powiedziała, że wybiera się jeszcze na chwilę do pani Thistledown.

- Rzeczywiście. Taki miała zamiar.

- Ale nie dotarła do wdowy Thistledown, Berinwick. Ktoś zaatakował ją i Hasty'ego na rozstajach dróg. Tom został postrzelony i leży ciężko ranny na plebanii. Pańska matka najprawdopodobniej nie zdołała uciec swemu prześladowcy i została porwana.

- Moja matka została...

- A pan gdzie się podziewał, Berinwick? - przerwał mu bezpardonowo Dempsey. - Dlaczego nie zjawił się pan u mnie o zmroku, gdy odkrył pan, że Veronika nie wróciła do domu? Gdyby dzielny Tom Hasty nie zdołał... mniejsza z tym, mniejsza z tym. Całe szczęście, że pana nikt nie porwał, nie zabił, nie uwięził w Blackcastle. Obawiałem się, że najpierw będę musiał uratować pana, żeby pomógł mi pan uratować Veronikę.

Veronika nie mogła sobie przypomnieć, kiedy usnęła, ale musiała usnąć, bo z trudem otwierała oczy. Prawie wszystkie świece, z wyjątkiem jednej, już się wypaliły i świat stawał się znów coraz czarniejszy. Tym razem jednak nie było jej tak zimno.

Przyzwyczajam się powoli do tej temperatury, pomyślała. Nie jest aż tak zimno, jak mi się wydawało. Doskwiera mi raczej wilgoć. Męczą mnie jednak już te ciemności. O co chodzi człowiekowi, który

mnie tu umieścić? Czy chce mnie oślepić? Niech się tylko pojawi w tej izbie, to zobaczymy, kto kogo oślepi.

- Czy jest tu kto? - zawołała głośno. - Czy ktoś mnie słyszy?

Jej głos bardzo długo odbijał się echem, ale nie nadeszła żadna odpowiedź. Veronika zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna ruszyć w stronę łuku, który zauważyła, gdy płonęły jeszcze trzy świece. Mogłaby przejść do sąsiedniego pomieszczenia. Wzięłaby ze sobą tylko ogarek, który się jeszcze nie wypalił.

W tamtej izbie też było całkiem ciemno, ale może tylko dlatego, że trwała jeszcze noc. Może nastał już dzień i jakaś choćby wąska strużka światła będzie się sączyła przez powagę albo przez którąś ze ścian? A może znajdzie przejście do sąsiedniego pomieszczenia, a potem do kolejnego.

Wtedy Veronika przypomniała sobie jaskinie, które odwiedziła razem z Julianem, i zawahała się. Jaskinie nie mają zazwyczaj regularnych ścian i równej podłogi. Jest w nich natomiast mnóstwo kamieni i rumowisk, ścieżki urywają się nagle na brzegu przepaści, z powały zwisają stalaktyty, z ziemi sterczą stalagmity, a o niektóre z nich można się nieźle poranić. Julian tłumaczył jej, że w niektórych jaskiniach płyną strumienie i tworzą dzikie wodospady. Jeden fałszywy krok może kosztować człowieka życie.

A ja w świetle tego ogarka będę w stanie dojrzeć bardzo niewiele. Niewielki krąg światła nie zdoła objąć sufitu i podłogi za jednym zamachem.

- Co więc zamierzasz zrobić, Veroniko Longwood Thorne? - zapytała głośno, siedząc beczynn timer na skraju łóżka i starając się nie

zwracać uwagi na ból. - Będziesz tu siedzieć i czekać na swojego prześladowcę, czy raczej spróbujesz stąd uciec za wszelką cenę? Oczywiście, że spróbuję uciec - uśmiechnęła się nieznacznie, narażając się na ból dolnej wargi. Dotknęła obolałego miejsca językiem i poczuła smak krwi.

Do licha, pomyślała, niech no tylko dostanę tego łobuza w swoje ręce, to przegnam go aż do Ludlow, nie szczędząc bata.

Właśnie wtedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Wzięła do ręki palącą się świeczkę i zaczęła poruszać się ostrożnie po pomieszczeniu, trzymając świeczkę raz nisko, raz wysoko. Jeśli pamięć jej nie zwiodła, to sufit wszędzie był dość wysoko, ale w pewnym miejscu można się było wspiać po kamieniach i go dotknąć. Jeśli jej więzienie przypomina inne jaskinie, to ze sklepienia powinny sterczeć jakieś korzenie, z których można by zrobić pochodnię.

Berinwick zjawił się na plebanii o świcie ze swym najmłodszym stajennym u boku. Ominęli frontowe drzwi i skierowali się do drzwi kuchennych.

- Nie ma się czego bać, John - powiedział Berinwick pokrępiąco, gdy zsiadli z koni. - Jeśli Tom Hasty przeżył noc pod opieką wielebnego pana Dempseya, to ty go z pewnością nie zabijesz.

- T-tak, wasza wysokość. - Młody Johnny nie mógł opanować nerwów.

- Nie prosiłbym cię o to, Johnny, gdyby nie fakt, że tylu naszych ludzi zostało na farmie Tofarów. Tam jest tak dużo roboty. A przecież nie mogę pozwolić, by jakaś kobieta się nim opiekowała. Tom natarłby mi za to uszu.

- T-tak, wasza wysokość.

- Wkrótce zjawi się Langton. Na pewno ci pomoże. Jego żona i córka z przyjemnością udzielą ci porad, jak powinieneś opiekować się Tomem. Kobiety uwielbiają udzielać porad mężczyznom. Niechże pan otwiera, Dempsey! - zawołał Berinwick, waląc pięścią w drzwi.

- Założę się, że urodził się pan po to, żeby budzić umarłych - stwierdził pastor, otwierając szeroko drzwi. - Czy księżę słyszał kiedyś o takim obyczaju, jak pukanie do drzwi?

- Pukałem.

- Walił pan w drzwi pięściami. A to spora różnica.

- No i co z tego. Jak się miewa Tom? Nie udało się panu go zabić, prawda? Młody John posiedzi z nim do naszego powrotu. Tom żyje, prawda? - zapytał Berinwick nieco ciszej, widząc, że pastor ociąga się z odpowiedzią.

- Nie. Nie. Chyba jest z nim trochę lepiej. Oddycha swobodniej, bardziej regularnie, krwotok ustał. Może pan spojrzeć na niego, jeśli pan chce. Leży na górze, w pierwszym pokoju po lewej stronie. - Pastor wprowadził ich do korytarza. Księżę i stajenny pobiegli na górę, przesadzając dwa schodki na raz. Dempsey pokręcił głową z podziwem. - Za dawnych czasów ja także miałbym tyle energii po nocy spędzonej na gaszeniu pożaru, Theo - mruknął do psa, który go nie odstępował nawet na krok. - Przykro mi to przyznać, mój stary, ale dziś mogę pokonywać schody tylko pojedynczo.

Berinwick przystawił Johnowi krzesło do łóżka, a sam usiadł na krawędzi materaca. Twarz Toma Hasty'ego była blada jak ściana, ale

stajenny rzeczywiście oddychał swobodnie. Dłoń Berinwicka drżała, gdy ją położył na czole rannego.

- Nie ma już tak wysokiej gorączki - powiedział Dempsey, stając w progu. - Myślałem, że będzie martwy, gdy wrócę, choć zrobiłem dla niego wszystko, co mogłem zrobić. Ale nie mogłem z nim zostać, Berinwick. Musiałem szukać pańskiej matki. A potem musiałem pojechać do Blackcastle, bo...

- Nie musi się pan tłumaczyć ze swych decyzji, Dempsey - przerwał mu książkę. - Zrobiłbym to samo na pańskim miejscu. A poza tym Tom przecież żyje. Nie wiem, co pan dla niego zrobił, ale najwyraźniej uratował mu pan życie.

- Chyba tak. Zioła mego brata zatrzymały krwotok, a bazylia zapobiegła zakażeniu.

- Posłałem Lancastera do Ludlow, po lekarza - mruknął Berinwick. - Twierdził pan, że nie trzeba wzywać chirurga, bo kula wyszła z drugiej strony.

- Tak. Kiedy można się spodziewać lekarza?

- Nie sądzę, żeby się zjawił wcześniej niż jutro, nawet jeśli Lancaster namówi go na całonocną podróż. Prosiłem też Gainesa, żeby wysłał kogoś do East Hill Downs, do aptekarza. Fatalnie, że nie mamy tu swojego lekarza. Ale żaden nie chce zostać. Wszyscy marzą o posiadzie w Londynie albo przynajmniej w jakimś dużym mieście. Czują się wtedy ważniejsi. Czy Tom powiedział coś dziś rano? Czy powiedział, kto ich zaatakował?

- Nie. Mówił coś bez ładu i składu, język mu się plątał. Może później powie coś do rzeczy, ale nie możemy na to czekać. Pańska matka jest w wielkim niebezpieczeństwie.

- Otóż to.

- Tu jest woda dla Toma, Johnny - powiedział Dempsey. - A tu jego szklanka. Proszę mu podać wodę, jeśli poprosi. Najlepiej jednak, żeby spał jak najdłużej.

- Musimy jechać, Johnny - dodał Berinwick. - Powiedz Langtonowi, co się stało. Powiedz, że posłaliśmy już po pomoc. Zaopiekujesz się Tomem, prawda?

- Zaopiekuję się nim, jakby był moim własnym ojcem - odparł młodzieniec. - Księżę może mi zaufać.

Berinwick pokiwał głową i wyszedł z pokoju, przepuszczając pastora przodem.

- Gaines znalazł tę karteczkę na stoliku w holu, gdy już wszyscy udali się na spoczynek - powiedział księżę, wydobywając kawałek papieru z kieszeni kurtki myśliwskiej, gdy obaj panowie schodzili po schodach.

- I co tam jest napisane? - Dempsey szedł w stronę drzwi kuchennych. - Muszę osiodłać Norville'a - dodał. - Zaczeka pan tu, czy pójdzie ze mną?

- Pójdę z panem, ale proszę się pospieszyć, Dempsey. Wiem, że jest pan stary i tak dalej, ale proszę pamiętać, że nie mamy ani chwili do stracenia. Bóg jeden wie, co ten drań zrobił z moją matką.

Pastor przyspieszył, żeby dotrzymać kroku Berinwickowi. Za nimi dreptał poziewujący Theophilus. Dempsey miał zamiar osiodłać

Norville'a przed przybyciem księcia, ale zasnął na sofie i drzemał przez godzinę albo dwie, a potem zmieniał opatrunek Tomowi. Szczerze mówiąc, nie spodziewał się, że Berinwick zjawi się o świcie. Księżę najprawdopodobniej w ogóle nie spał. Nawet się nie przebrał. Jego ubranie i buty były ubłocone i przesiąknięte zapachem dymu. Berinwick umył tylko twarz i ręce oraz wyczesał pył i paprochy z włosów.

- Co było napisane na tej kartce? - zapytał Dempsey powtórnie, gdy weszli do stajni.

- Że ten drań więzi moją matkę - mruknął Berinwick.

- Domyślam się. I co jeszcze? - Dempsey wziął ogłowie i siodło i zaczął przygotowywać Norville'a do drogi.

- Że jeśli chcę ją jeszcze zobaczyć, to muszę się pożegnać z tą starą paterą Pole'ów, którą panu pokazywałem.

- Z paterą Pole'ów? Wielkie nieba, czy chce mi pan powiedzieć, że mamy do czynienia z kolejnym Pole'em?

- Nie wiem. Nie sędzę. W tej notatce nie ma mowy o porachunkach z przeszłości. Nie ma mowy o zemście. Nie ma nawet wzmianki o tym, że patera była własnością Pole'ów, choć opis jest na tyle dokładny, że od razu się domyśliłem, o co chodzi. Na kartce nie leżał też symbol Pole'ów, lew trzymający w łapach koronę ozdobioną gryfem. A sędzę, że prawdziwy Pole nie odmówiłby sobie tej przyjemności. Brakuje jeszcze dwóch lwów, podobnych do tego, którego znalazł pan na plebanii. Gaines powiedział, że na kartce leżał zwykły kamień. Podejrzewam, że ten drań żąda patery, ponieważ łatwo ją przetransportować, a jest warta krocie. Pozostałe przedmioty,

które wymienia, są także bardzo wartościowe. To musi być ktoś, kto doskonale zna kolekcję mojego ojca.

- Czy jest pan skłonny rozstać się z przedmiotami wymienionymi na tej liście?

- Jeśli nie będzie innego wyjścia. Wolałbym jednak rozstać się z moim rapierem. Z przyjemnością zostawiłbym go w piersi tego łotra. Chciałbym też dowiedzieć się, z kim mamy do czynienia.

- Nie robi pan tego, wasza wysokość.

- Czego?

- Nie przebije go pan rapierem.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- W Anglii obowiązuje prawo. Tego człowieka nie ominie stosowna kara. Nie zabije go pan, o ile nie będzie pan do tego zmuszony w obronie własnej lub w obronie życia kogoś, kogo pan kocha. Ja na to nie pozwolę.

- Pan na to nie pozwoli?

- Dobrze pan usłyszał. Nie pozwolę, by pan kogokolwiek zamordował. Zabić kogoś w obronie własnej lub w obronie ukochanego człowieka to coś całkiem innego niż zamordować drania za to, że jest draniem.

- Przeklęty pastorzyna - mruknął Berinwick.

- Otóż to - uśmiechnął się Dempsey. - Jestem pastorem i zarówno jako duchowny, jak i jako człowiek mam obowiązki wobec pańskiej osoby, mój chłopcze, ale przede wszystkim - wobec pańskiej duszy. I przekona się pan, że traktuję te obowiązki bardzo poważnie.

- Proszę tak do mnie nie mówić - zdenerwował się Berinwick. - Nie jestem chłopcem. A już na pewno nie jestem pańskim chłopcem. Jeszcze się przekonamy, czy przebiję tego łotra, czy nie.

- O co chodzi? - zapytał Dempsey, gdy Berinwick zerknął znów na kartkę i się zasepił.

- Słucham?

- Co pana tak nagle zmartwiło?

- Nic. To nieważne, Dempsey. Ten człowiek i tak nic nie dostanie. Znajdziemy matkę i uwolnimy ją. Dowiemy się, kto to jest, i wyprawimy go na tamten świat. Chodzi tylko o to, że gdyby nie udało nam się jej znaleźć... Na tej liście jest coś, o czym nigdy nie słyszałem. Nie mam pojęcia, co to może być. Muszę przejrzeć katalogi i mieć nadzieję, że pan Tweed wymienił ten przedmiot i dokładnie go opisał.

- A co to ma być? - zapytał Dempsey, wyprowadzając swego konia ze stajni.

- Chyba coś w rodzaju kielicha. Ojciec zgromadził mnóstwo kielichów Ze starych klasztorów. Tu jest napisane, że mam dostarczyć temu porywaczowi jakiś kielich Glyndwra. Nie sądzi pan chyba, że chodzi o Owaina Glyndwra? Owain Glyndwr nie jeździłby chyba po polach bitewnych z kielichem przypiętym do pasa? A może trzymał go za kolczugą. Dempsey, co się panu stało? - zaniepokoił się książę, zauważywszy, że pastor nagle zwolnił kroku.

Patrick McClane, który zapewnił Berinwicka, że nie złamał nogi i że nie potrzebuje pomocy chirurga, pokuśtykał do stajni. Okazało

się, że musi osiodłać swojego konia, bo w pobliżu nie dostrzegł żadnego ze stajennych.

Pożar nie pożar, pomyślał, a ja muszę zająć się sianokosami. To będzie fatalny dzień, skoro tylu ludzi zostało na farmie Tofarów. Przyjdą oczywiście ludzie z wioski, dzierżawcy i ci przekłęci Walińczycy. Ale najpierw będę musiał wysłać tu kogoś po wozy, a to oznacza, że zaczniemy znacznie później niż zwykle. Mam nadzieję, że Berinwick nie oczekuje ode mnie, że sam się zabiorę do koszenia. Do moich obowiązków należy tylko nadzór. Szkoda, że nie postawiłem się pierwszego dnia sianokosów, gdy Berinwick wynajął tych przeklętych Walińczyków, pomyślał rządcą, wsiadając na konia. Powinienem był natychmiast wymówić mu posadę.

- Jestem przecież szlachetnie urodzony. Dlaczego muszę służyć Berinwickowi?

On, oczywiście, nie nazywa mnie sługą, ale też nie traktuje mnie inaczej niż swego lokaja czy kamerdynera. Podobnie było z jego ojcem. No, ale jego ojciec nie przyjeżdżał przynajmniej na pole i nie wtykał nosa w moje sprawy.

- Nie będę musiał już dłużej znosić jego fanaberii - mruknął, pochylając głowę, by wyjechać ze stajni.

- Co on powiedział? - zapytała Anna.

- Nie wiem. Nie słuchałam - odparła Hanna, głaszcząc czarny łeb, leżący na jej kolanach. - Szkoda, że nie ma Toma. Tom Hasty wiedziałby, jak pomóc temu maleństwu.

- Nie rozumiem, dlaczego martwisz się tak o żrebaka, skoro powinnaś się raczej martwić o swoją mamę - zdziwiła się Anna,

klepiąc konika po boku i zerkając na Liddy, która wymościła sobie posłanie w kącie stajni i teraz myślała starannie swoje kocięta. - Ja byłabym przerażona, gdyby to moja mama została porwana.

- Wcale nie - stwierdziła Hanna. - Nie byłaś wcale przerażona wczoraj w nocy, gdy dom palił się na twoich oczach. I coś mi się zdaje, że to właśnie ty wbiegłaś do płonącego gabinetu, żeby uratować Liddy i jej kocięta.

- Tak, ale przeraziłam się śmiertelnie, gdy zrozumiałam, że nie wyjdę z tej szafy i że wszyscy spłonimy żywcem. Gdyby Will mnie nie znalazł...

- Ale cię znalazł - przerwała jej Hanna. - Jesteś cała i zdrowa. Podobnie zresztą jak Kitty i jej kocięta. A teraz Will pojechał na ratunek mamie, więc wcale nie muszę się martwić. Jeśli Will się do czegoś zabiera, to bez wątplenia sobie z tym poradzi.

- To prawda - pokiwała głową Anna. - Twój brat jest prawdziwym bohaterem.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak. I kocham się w nim do szaleństwa - zachichotała Anna. - Ale o tym nikomu ani słowa. Dotrzymasz tajemnicy, prawda Hanno?

- Oczywiście. Ale przecież Will jest dużo starszy od ciebie.

- Tylko o dziesięć lat i dwa miesiące. Teraz wydaje się, że to strasznie dużo, ale będzie całkiem inaczej, gdy skończę dwadzieścia albo trzydzieści lat.

- Chyba nie zamierzasz wyjść za mąż, mając trzydzieści lat, Anno? Na pewno do tego czasu spotkasz kogoś, kto ci się znacznie bardziej spodoba. O, idzie Trewellyn. Trewellyn! - krzyknęła Hanna,

przekładając głowę żrebaka na kolana przyjaciółki i zrywając się na równe nogi. - Trewellyn, czy jesteś bardzo zmęczony? - zapytała. - Och, przecież wiem, że jesteś - westchnęła Hanna, zakładając ręce za plecy i wbijając wzrok w swoje trzewiki. - Spędziłeś pół nocy, gasząc pożar, drugie pół, opiekując się poparzonymi końmi Tofarów.

Trewellyn z uśmiechem spojrział na panienkę.

- A czego sobie pani życzy, milady? - zapytał głosem lekko zachrypniętym od dymu.

- Miałam nadzieję, że... - Hanna spojrzała na niego spod rzęs. - Miałam nadzieję, że zerkniesz na żrebaka Eloquent.

- Na żrebaka? Myślałem, że Tom Hasty się nim zajmuje.

- Nie - odparła Hanna, patrząc na stajennego ze zdumieniem. - Nic nie wiesz? Tom Hasty został postrzelony, a moja mama porwana.

- Co takiego? - wrzasnął Trewellyn.

- Tom na pewno wyjdzie z tego - dodała Hanna czym prędzej. - Pan Dempsey zajął się nim na plebanii. Wielebny pan Dempsey potrafi czynić cuda. Mama w to wierzy. On chyba zostanie świętym. Will wysłał Lancastera do Ludlow, po lekarza, a Gaines posłał Tibbsa do East Hill Downs do aptekarza. Mama też wkrótce będzie bezpieczna, bo Will i pan Dempsey pojechali jej na ratunek. I tylko żrebakiem nie ma kto się zająć. Ja i Anna chętnie byśmy się nim zaopiekowały, gdybyśmy wiedziały, co zrobić. Czy mógłbyś nam powiedzieć, jak mu pomóc?

Veronika siedziała na samym czubku sterty gładów, próbując odpiłować korzeń gruby jak jej własne ramię kawałkiem ostrego kamienia. Resztkę świeczki postawiła dość daleko, by nie zgasić jej

przez przypadek. W związku z tym niewiele jednak widziała. W tej sytuacji przedsięwzięcie okazało się bardzo trudne i niebezpieczne. Nie zawsze udawało jej się natrafić kamieniem na bruzdę, którą zdołała wyźłobić, pod rękawiczkami miała mnóstwo siniaków i ran. Ramiona bolały ją ogromnie od trzymania rąk w górze. W oczach miała pełno ziemi, która wciąż spadała ze sklepienia jaskini.

- Poddaj się wreszcie, ty przeklęty korzeniu - mruzczała. Serce Veroniki zabiło niespokojnie, gdy spojrzała na dopalającą się świeczkę. - Zostało mi zaledwie parę minut, nim zapadną kompletne ciemności. A nie zamierzam zostać tu pod ziemią, nie mając ani cienia nadziei na to, że potrafię znaleźć wyjście.

W tym momencie udało jej się oderwać korzeń, więc Veronika odetchnęła z ulgą. Nie miała jednak czasu do stracenia. Trzeba było jak najszybciej spreparować pochodnię. Pośpiesznie zdjęła rękawiczki i zaczęła odpinać swą spódnicę jeździecką, która już była podarta w wielu miejscach. Veronika dokończyła więc dzieła, porwała spódnicę na kawałki i owinęła strzępami korzeń. Podobny los spotkał halkę. Potem sięgnęła do kieszonki pod spódnicą, żeby wyjąć wisiorek i wykorzystać rzemyk do zamocowania płótna na korzeniu.

- Gdzie on jest? - krzyknęła, gdy jej palce nie natrafiły na znajomy kształt. - O Boże, gdzie on może być? Jak zamocuję płótno bez rzemyka? Płótno spłonie w okamgnieniu, zanim korzeń zacznie się tlić. - Łzy napłynęły księżnej do oczu. Miała ochotę rzucić pseudopochodnię w kąt, ukryć twarz w dłoniach i popłakać. Natychmiast przywołała się jednak do porządku. I na cóż się zdadzą łzy? Jeśli teraz się rozszoła, to nie tylko nie znajdzie wyjścia, ale

zamarznie w samej bieliźnie, o ile jej prześladowca nie zjawi się tu szybko.

Wtedy ją olśniło. Może przecież przymocować płótno do korzenia za pomocą sznureczków, którymi przywiązywała kieszonkę pod suknią. Czym prędzej odwiązała kieszonkę, wyjęła z niej balsam, którym od czasu do czasu smarowała dłonie, i obwiązała swoją pochodnię najlepiej jak umiała. Veronika wiedziała, że pochodnie, które oświetlają ganki na zamku, zanurza się w smole, by płonęły jak najdłużej. Nie miała jednak nic, co by przypominało smołę. Nic oprócz cytrynowego balsamu do rąk. Veronika wzruszyła ramionami i polała płótno olejkiem.

Ogarek ledwo się tlił, gdy pochodnia była wreszcie gotowa. Księżna wstrzymała oddech i szepcząc modlitwy, uniosła świeczkę i przytknęła płomień do nasączonej olejkiem pochodni. Na początku nic się nie wydarzyło, ale po chwili płótno zaczęło skwierczeć i pojawił się na nim płomyczek, który zaczął pełznąć powoli w górę.

Theophilus wbiegł do stodoły, merdając wesoło ogonem.

- Właśnie tutaj znalazłem wisiołek, który dałem panu minionej nocy - powiedział Dempsey. - W tej stodole. Tak naprawdę to Theogo znalazł. Ja sam niewiele widziałem w ciemnościach.

- W tej stodole nic nie ma - wzruszył ramionami Berinwick. - Zazwyczaj trzymamy w niej pszenicę. Na polu Hattera wspaniale rośnie pszenica, choć nie sialiśmy jej przez ostatnie dwa sezony. - Berinwick przywiązał konia do pała, klepnął zwierzę po zadzie na pożegnanie i ruszył w stronę stodoły długimi krokami. Dempsey, wcisnąwszy ręce do kieszeni, pospieszył za nim.

- Czemu pan milczy, Dempsey?
- Ja? Rozmyślam sobie.
- O czym?
- Pańska matka opowiadała mi o tym polu. Mówiła, że powinny tu rosnać rzepa i buraki pastewne.
- Owszem. To by użyźniło glebę. Ale McClane zapomniał o tym.
- Właśnie. Pan był zajęty pogrzebem, a pański rządca zapomniał. Dlaczego zapomniał, wasza wysokość?
- Dlaczego? - wzruszył ramionami Berinwick. - To były trudne chwile dla wszystkich w Blackcastle. Sądzę, że także dla McClane'a.
- Ale on chyba dostaje pensję, żeby o tym pamiętać? Gdy weszli do stodoły, Theophilus siedział w kącie koło starego kufra i zamiatał ogonem podłogę.
- Chwileczkę. - Berinwick przytrzymał pastora za ramię. - Tu mogą być jakieś ślady.
- Tu jest mnóstwo śladów, wszędzie - odparł Dempsey. - Zauważyłem to już wczoraj wieczorem. Głównie ślady butów do jazdy końskiej, ale też trochę śladów dziecięcych bucików...
- Byłem tu z Millie i z Charliem - pokiwał głową książe - ale nigdy nie wchodziliśmy tam, gdzie siedzi pies.
- Ja tam byłem - mruknął Dempsey. - Chciałem się przyjrzeć miejscu, w którym Theophilus znalazł wisiołek pańskiej matki. Wtedy nie myślałem o szukaniu śladów. Myślałem tylko o tym, że Veronika może leżeć w kufrze albo za kufrem. Ale podszedłem do kufra tylko raz - dodał pastor, przyglądając się uważnie podłodze. - I nie

zmieniałem butów. Nie miałem czasu, by założyć buty do jazdy konnej.

Theophilus skomlał niecierpliwie, gdy panowie przyglądali się trzem parom śladów na podłodze. Ślady męskich trzewików prowadziły do kufra i z powrotem, podczas gdy ślady butów do jazdy konnej urywały się w miejscu, w którym siedział pies.

Theophilus niecierpliwiał się coraz bardziej, zaczął nawet drapać kufer; potem odwrócił się w stronę obu dżentelmenów i zaszczekał. Obaj podbiegli do niego.

- Proszę przesunąć ten pług - powiedział Dempsey. - Ja się zajmę kufrem.

- Co to takiego? - Berinwick odsunął pług i chwycił rączkę kufra, by pomóc pastorowi go przestawić. - Co to jest, u diabła? - powtórzył, wpatrując się w dziurę w podłodze. - Skąd się wziął tu ten kufer?

- Ktoś go tu postawił - odparł podniecony Dempsey. - Ten sam ktoś, który wniósł tu pańską matkę. - Pastor przyklęknął i pochylił się nad dziurą. - Veronika? Vernie, czy słyszysz mnie?

Odpowiedziało mu tylko echo.

- Niech pan nie krzyczy - szepnął Berinwick, klękając obok pastora. - Co będzie, jeśli ten drań jest tam z nią?

- Dowie się, że odkryliśmy jego tajemnicę! - krzyknął Dempsey. - I dowie się, że za chwilę zejdem na dół, żeby mu własnoręcznie ukręcić łeb.

- Przed chwilą pouczał mnie pan, że nie powinienem przeszywać tego drania rapierem - zauważył Berinwick.

Dempsey zmiążdżył księcia wyniosłym spojrzeniem.

- Tylko dlatego, że jestem duchownym i że odpowiadam za pańskie zbawienie - oświadczył. - A to, co się stanie z moją własną duszą, nie powinno pana obchodzić. Jak on śmiał? Jak on śmiał porwać moją Vernie i wsadzić ją pod ziemię jak jakiś worek kartofli?

- Jeśli jest na dole, to dlaczego nie odpowiada? - mruknął Berinwick. - Dlaczego nie daje żadnego sygnału?

- Schodzę tam - postanowił Dempsey, spuszczać się na rękach. - Nie ma tu żadnej drabiny - poinformował swego towarzysza i skoczył w dół.

Berinwick usłyszał spadające kamienie, okrzyk bólu i tąpnięcie.

- Dempsey? Nic się panu nie stało? Czy znalazł ją pan? Jest nieprzytomna?

Nikt mu nie odpowiedział, ale zarówno Berinwick, jak i Theophilus, obaj pochyleni nad otworem, słyszeli jęki pastora i widzieli zarysy jego ciała. Po chwili na dole słychać już było kroki Dempseya.

- Ja także schodzę na dół - zawołał Berinwick. Usłyszał tylko długie gwizdnięcie, a potem jeszcze raz odgłosy kroków. Gdy księżę zamierzał skoczyć, w dziurze ukazała się twarz Dempseya.

- Proszę na razie tego nie robić.

- Dlaczego? Co się stało? Do kroćset! Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że ona nie żyje?

- Nie, wasza wysokość. Księżnej tu nie ma. To znaczy nie ma jej w tym pomieszczeniu.

- W tym pomieszczeniu?

- To nie jest zapuszczona piwniczka - wyjaśnił Dempsey. -
Będzie nam potrzebna drabina i kilka latarni.

RS

Theophilus krążył dookoła dziury w podłodze, siadał i szczeakał na przemian. Dwanaście stóp niżej jego pan także krążył nerwowo, ale nie siadał. Może by i zaszczekał, gdyby czuł, że mu to pomoże, ale nic na to nie wskazywało. Wołał natomiast Veronikę, choć odpowiadało mu tylko echo.

Dokąd on poszedł po te latarnie? zastanawiał się pastor. Mam nadzieję, że nie został zaatakowany po drodze! Nie, to byłoby niemądre posunięcie. Tamten łotr żąda przecież okupu. Nic by nie dostał, gdyby zabił księcia. A jednak zabił jego ojca. Tylko że wtedy nie myślał o okupie.

- Veroniko! - krzyknął raz jeszcze.

W tej części jaskini było dość jasno, bo światło wpadało tu przez otwór w podłodze stodoły. Niżej byłoby jednak całkiem ciemno. Dempsey pragnął wprawdzie za wszelką cenę wyruszyć jak najszybciej na poszukiwanie Veroniki, wiedział jednak, że po chwili zatrzymają go kompletne ciemności.

Wtedy wielbny pan Dempsey natrafił stopą na ścieżkę znacznie szerszą niż ta, po której szedł przedtem. Potknął się natychmiast o sterczący stalagmit, zachwiał się na nogach tak, że musiał wykonać dość dziwny taniec, żeby odzyskać równowagę. W końcu zatoczył się na ścianę, krzycząc: „Au! A niech to diabli!”, bo uderzył łokciem o kamień i poślizgnął na glinianym podłożu, powodując małe trzęsienie ziemi.

- Do diabła! - wrzasnął, osłaniając głowę ramionami przed gradem kamieni i ziemi, który nagle na niego spadł. Zakasłał, jęknął i czynił nadludzkie wysiłki, by chronić jednocześnie swój łokieć, swoją stopę i kolano. Na samym końcu bombardowania spadły mu na głowę trzy świece. - A jednak Pan mój mi błogosławi - mruknął i otarł twarz rękawem, rozsmarowując fantazyjnie pył i brud. Pastor wsunął dwie świece do kieszeni surduta, wyjął krzesiwo i zapalił trzecią. Przykazał surowo Theophilusowi, by czekał na tego zrzędliwego księcia, który nosi skórzane bryczesy, a potem wstał i ruszył w głąb jaskini. Im bardziej oddalał się od otworu, tym czarniejszy stawał się świat dokoła. Im ciemniej było w jaskini, tym mniejsze znaczenie miało światło, które dawała pojedyncza świeczka. Dempsey wyjął z kieszeni dwie pozostałe i zapalił je od pierwszej. Nic się nie stanie, nawet jeśli wszystkie się wypalą jednocześnie. Berinwick będzie tu przecież wkrótce z latarniami.

Patrick McClane był coraz bardziej zadowolony ze swego pomysłu. Na pewno nikogo nie zdziwi jego decyzja w takich okolicznościach, a jemu będzie łatwiej zrealizować swój plan. Nie warto nawet zaczynać sianokosów, skoro brakuje koni, wozów i rąk do pracy z powodu pożaru u Tofarów.

Mój plan powiedzie się lepiej, niż przypuszczałem, pomyślał z uczuciem satysfakcji. Zdążę odwiedzić swojego gościa, a jednocześnie będę mógł służyć pomocą księciu, gdyby mnie potrzebował w trakcie swych poszukiwań. Wszystko idzie jak po maśle. Wystarczy jeden uśmiech fortuny, by pokonać wszelkie przeciwności. McClane puścił się galopem. Wierzył, że fortuna, która

uśmiechnęła się do niego wczoraj wieczorem, nie przestanie się uśmiechać i dzisiaj. Oby tylko nie odwróciła się od niego, póki nie zrealizuje wszystkich swoich planów.

Gdy McClane wjechał na leśną ścieżkę prowadzącą na północną łąkę, postanowił nie ufać bez reszty kapryśnej fortunie. Spędził już ładnych parę miesięcy, dozorując chłopów i dzierżawców Berinwicka, i doskonale wiedział, że pomimo jego gróźb i ostrzeżeń ci głupcy wciąż mają broń pod ręką. McClane nie miał ochoty ujrzeć luf skierowanych w swoją stronę. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

- Prostacy - mruknął pod nosem, kierując konia na krótszą drogę.
- Myślałby kto, że potrafią rozpoznać wroga tego swojego księcia. Na pewno w końcu pozabijają się nawzajem, bo będą mierzyć na oślep we wszystko, co się rusza. Cale szczęście, że już niedługo nie będę się musiał z nimi użerać.

Wjechał na łąkę normalnie, drogą, tak by wszyscy go widzieli: wyprostowanego jak struna, wysokiego, barczystego dżentelmena w czarnym surducie jeździeckim i skórzanych bryczesach, z nieco sztucznym uśmiechem na twarzy. Gdy dojechał do miejsca, w którym się zebrali, zeskoczył z konia i wszedł w tłum.

- Sądzę, że nie dotarły jeszcze do was najnowsze wieści - powiedział, marszcząc czoło.

- Jakie wieści? - zapytał jeden z mężczyzn.

- Posiadłość pana Tofara została zniszczona podczas pożaru ostatniej nocy - poinformował ich McClane. - Straszna historia.

W tłumie rozległy się niespokojne pomruki.

- Spłonął prawie cały dom i główna stajnia. Na szczęście wszyscy uszli z życiem. Zarówno rodzina, jak i służba. W Blackcastle wszyscy układają się teraz do snu, ponieważ to właśnie dzięki naszym wysiłkom udało się ugasić pożar. A to oznacza, że zabraknie nam rąk do pracy.

- Na to wygląda - westchnął jeden z dzierżawców, który wprawdzie zebrał już własne siano, ale zależało mu na zarobkach w Blackcastle, ponieważ chciał obsiać pszenicą jeszcze trzy akry i zbudować nową stodołę. - Pewnie będziemy musieli pracować więcej za mniejsze pieniądze.

- Niezupełnie - odparł McClane. - Doszedłem do wniosku, że będzie najlepiej, jeśli przerwiemy dziś pracę w polu. Wszyscy powinniście pojechać do Tofarów i pomóc w porządkowaniu terenu. Dostaniecie za to normalną dniówkę, ma się rozumieć.

- Pojedzie pan z nami, panie McClane? - zapytał stolarz Angser.

- Nie. Raczej nie. W Blackcastle też nie brakuje problemów.

Pojadę do zamku, może przydam się na coś księciu.

- A co się dzieje w Blackcastle?

- Czy księciu i księżnej nic nie zagraża, panie McClane? Może znowu ktoś do nich strzelał?

Wszyscy pytali jednocześnie, a McClane starał się udzielić im wszystkim odpowiedzi.

- W Blackcastle nie dzieje się nic strasznego. Drobne kłopoty. Sądzę jednak, że księżę potrzebuje mojej pomocy, i chciałbym być u jego boku. A więc wy jedźcie do Tofarów, a ja wracam do Blackcastle. A jutro od samego rana zabieramy się do sianokosów.

- Wszyscy się tu zjawimy, żeby skończyć, cośmy zaczęli - mruknął jeden z Walińczyków.

Inni pokiwali głowami. Część mężczyzn, kobiet i dzieci ruszyła w stronę swoich koni i wozów, część poszła piechotą. McClane, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że został w jakiś sposób zbrukany poprzez fakt, że stał pośród tych ludzi, strzepnął dłonią pył z surduta i wsiadł na swego konia, by odjechać do Blackcastle.

Veronika wetknęła pochodnię w skalną szczelinę i usiadła. Przesunęła dłonią po włosach, szukając szpilek, które jeszcze w nich pozostały. Jej ciemne, przetykane srebrnymi nitkami loki opadły w dół. Pojedyncze, krótsze kosmyki przykleiły się do wilgotnych policzków. Veronika była zmarznięta, zmęczona, obolała, a teraz jeszcze głodna.

W takiej chwili, pomyślała, uśmiechając się pomimo niewesołej sytuacji. W brzuchu mi burczy.

Dźwięki, które wydawał jej żołądek, rozbawiły ją ogromnie. Odchyliła się do tyłu i roześmiała, a potem skuliła się i ukryła twarz w dłoniach. Po jej policzkach płynęły ogromne łzy. Veronika łkała i szlochała przez minutę albo dwie, a potem wzięła głęboki oddech i przestała płakać. Nie mogła przecież tracić czasu na uzalanie się nad sobą.

Jeśli nie chodzę w kółko, to wkrótce uda mi się stąd wydostać, pomyślała, ocierając oczy. Jeśli idę w stronę wejścia, a nie w głąb jaskini.

- O Boże - szepnęła - błagam, spraw, żebym szła we właściwym kierunku. Nie pozwól, bym się błąkała w tych podziemiach aż do

śmierci. Nie pozwól, bym umarła tu w samotności, nie mając przy sobie nikogo, kto wzięłby mnie za rękę.

Księżna wstała, wzięła swą pochodnię i ostrożnie ruszyła naprzód małymi kroczkami. Jak widmo spowite w poświatę pochodni, ruszające na podbój podziemi.

Żreback stanął na nogi i zaczął ssać. Eloquent była uszczęśliwiona. Trewellyn uśmiechnął się do dwóch młodych dam, które wisały na płocie w niezbyt eleganckich pozycjach, i podszedł do nich.

- Powinna dać sobie radę - zapewnił dziewczęta. -Dzielny z niej żreback. Jeśli zacznie chodzić, jej płuca będą w znacznie lepszym stanie, milady. - Trewellyn uśmiechnął się specjalnie do Hanny. - Panienki mogą śmiało iść do domu. Skoro lady Hanna namówiła mnie, bym się zajął tym żrebackiem, to może na mnie liczyć. Muszę tylko umyć sobie ręce i twarz i zagrzać trochę wody.

- Och, Trewellyn! Przepraszam! - zawołała Hanna. -Ale jestem bezmyślna. Nie spałeś całą noc, a ja cię proszę, żebyś zaopiekował się żrebackiem.

- To żaden problem, milady - zapewnił ją stajenny. -Przyniosę sobie koc i zostanę z nimi tu, na padoku.

- My możemy zostać - zaproponowała Hanna - a ty odpoczniesz trochę.

- Tylko co książę na to powie? - zapytał Trewellyn, choć doskonale znał odpowiedź, podobnie zresztą jak Hanna. - To panie powinny być w domu po tak strasznej nocy. A jeśli ja nie jestem

prawdziwym mężczyzną, który dba o damy, to księżę znajdzie sobie innego stajennego.

- Niemożliwe. Naprawdę by tak powiedział? - zapytała Anna.

- Dokładnie - westchnęła Hanna.

- Ale przecież my spałyśmy - protestowała panna To-far, gdy dziewczęta szły już w stronę domu.

- Tylko dlatego, że położyłyśmy się razem do mojego łóżka, które na nas czekało. Nikt inny nie spał do późna. Pamiętasz chyba, że nawet Gainesa i kucharza nigdzie nie było widać, gdy zeszliśmy rano na dół.

- Tak. Ale pan McClane wstał wcześniej i pojechał doglądać sianokosów.

- Ale on nie pomagał gasić pożaru - odparła Hanna. - Nie sądzę, by zrobił cokolwiek poza zapaleniem świec i pochodni. Gaines na pewno wysłał go szybko do łóżka, żeby się go pozbyć.

- Tak myślisz?

- Jestem tego pewna. Och, mam wspaniały pomysł! - wykrzyknęła Hanna.

-Jaki?

- To najważniejszy moment!

- Najważniejszy moment na co?

- Najważniejszy moment na wyprawę do centrum labiryntu.

Wczoraj wieczorem mówiłaś, że chciałabyś zobaczyć zbroję i belweder. Nie nadarzy się lepsza okazja. Teraz nikt nie kontroluje wejścia. Wszyscy stajenni, poza Tomem i Trewellynem, są w domu.

Will pojechał szukać mamy, a pasterze jeszcze śpią. Nikt nam nie zabroni wejść do środka.

- Masz mapę? - zapytała Anna.

- Nie, ale widziałam, gdzie Will ją schował.

Dwie młode damy pobiegły do gabinetu księcia Berinwicka, gdzie Hanna otworzyła jedną z ksiąg, by wyjąć z niej mapę.

- To jest ta mapa? Will nie chowa swoich rzeczy zbyt dobrze - orzekła Anna, wyjmując mapę z rąk przyjaciółki, by przyjrzeć się jej z zainteresowaniem. - Wygląda na bardzo starą.

- On jej wcale nie schował. Włożył ją do tej książki, żeby nie zapomnieć, gdzie jest.

- Aha. Chyba nietrudno się nią posługiwać.

- To prawda. Poprzednim razem nie mieliśmy żadnych problemów z trafieniem. Sądzę, że znalazłabym drogę nawet bez mapy.

- Ale i tak ją ze sobą weźmiemy - zdecydowała Anna. - Będziemy się czuły idiotycznie, jeśli zostawimy ją tutaj, a potem się zgubimy i będziemy musiały czekać na pomoc.

Pięć minut później dwie podekscytowane młode damy wychodziły już przez drzwi w zachodnim skrzydle. Hanna zatrzymała się na progu. W oddali słychać było beczenie owcy.

- Kto to jest? - zapytała Anna, zerkając przez ramię Hanny.

- To pan McClane - odparła dziewczyna, patrząc na rządcę, który wyszedł z lasu i skierował się do labiryntu. - Co on tu robi? I gdzie zostawił swego konia? O, tam go przywiązał, pod dębami. Czy

McClane nie powinien być teraz na północnej łące i nadzorować sianokosów?

- Rozgląda się dokoła - zauważyła Anna. - Czy sądzisz, że szuka pasterzy?

- Och! On sprawdza, czy stajenni znów stoją na warcie! - zawołała Hanna przyciszonym głosem, odpychając przyjaciółkę i zamykając drzwi. - To on! Anno! Pan McClane jest tym człowiekiem, który się przebierał w zbroję. To on zabił mojego papę!

- Ależ to niemożliwe - zaprotestowała Anna. - On jest tylko waszym rządcą. Skąd mógłby wiedzieć, że ktoś pilnuje labiryntu? Sama mówiłaś, że to wielka tajemnica i że nie wie o niej nikt poza rodziną, stajennymi i panem Dempseyem.

Hanna spojrzała na przyjaciółkę w zamyśleniu, a potem znów otworzyła drzwi. McClane zniknął z pola widzenia.

- Niewykluczone, że podsłuchiwał rozmowę stajennych. Wszedł do labiryntu - oświadczyła Hanna.

- A może tylko stwierdził, że nie ma tu jeszcze pasterzy, i wrócił przez las na północną łąkę? Nie, jego koń wciąż stoi pod dębem. Hanno? Co ty robisz?

- Idę po broń - odparła dziewczyna - a potem wejdziemy do labiryntu. Przekonamy się, która z nas ma rację. Co ty na to, Anno?

Anna pokiwała głową.

- Sama zobaczysz, Hanno, pan McClane szuka pasterzy. To wszystko. On nie może być mordercą. Rządcy nie bywają mordercami.

- Co to może być, do diaska? - Dempsey zatrzymał się i zaczął węszyć. - Hm - mruknął. - Czyżby ktoś palił tu cytryny? Veroniko? - zawołał. Sam nie wiedział, dlaczego to zrobił. Przestał nawoływać jakiś czas temu, gdy świece prawie mu się stopiły w rękach i gdy doszedł do wniosku, że Veronika leży gdzieś nieprzytomna albo związana i zakneblowana.

- R-richard?

Dempsey zaniemówił. Jej wołanie odbijało się echem od ścian, mógł zanurzyć się w słodkich dźwiękach jej głosu.

- Vernie? Nie ruszaj się. Idę do ciebie.

- Richard! - zawołała raz jeszcze. - Tutaj jestem! Tutaj!
Zgubiłam się w tej przeklętej jaskini!

Uśmiechu, który zakwitł na twarzy pastora, nie można z niczym porównać. Dempsey próbował odróżnić prawdziwy głos Veroniki od echa i doszedł do wniosku, że księżna jest gdzieś z przodu. Nie powinien więc zmieniać kierunku.

- Czy słyszysz mnie, jeśli nie krzyczę? - zapytał. - Czy rozumiesz, co mówię?

- Tak - odparła głośno. Jej głos brzmiał tak, jakby znajdowała się w drugim końcu holu w Blackcastle.

Dempsey ruszył do przodu, starając się nie iść za szybko, żeby ruch powietrza nie zgasił jego świcy. I tak szedł szybciej, niż powinien, a płomień świcy chwiało się niespokojnie.

- Richardzie! Och, Richardzie, czy to naprawdę ty? To maleńkie światełko?

Wielebny pan Dempsey zatrzymał się natychmiast. W pewnej odległości ujrzał płomienie tańczące z cieniami. A gdy zmrużył nieco oczy, zobaczył Veronikę.

- Vernie? Teraz cię widzę. Nie ruszaj się. Ja podejść do ciebie, dobrze? Co to za zapach? - dodał szeptem.

Zgasił własne świece i pomachawszy trochę nimi, żeby ostudzić knoty, schował ogarki do kieszeni. Zmarszczył nos, bo zapach stawał się coraz bardziej intensywny. Po chwili przestał się jednak przejmować dziwną wonią, bólem kolana, łokcia czy pleców. Od Veroniki dzieliło go już zaledwie kilka stóp. Wreszcie wyjął z jej dłoni tę przedziwną pochodnię i wetknął między skały. Zdjął surdut i pomógł jej go założyć, choć niewiele brakowało, a byłaby w nim utonęła. Zapiał powoli wszystkie guziki, patrząc na jej uśmiechniętą twarz. A potem wziął ją w ramiona i przytulił z całej siły. Obsypał gradem pocałunków jej czoło, jej oczy, jej policzki, jej brodę. Dotknął wargami jej ust. Po chwili przywołał się jednak do porządku, przestał ją całować i odsunął odrobinę.

- Przepraszam cię, Veroniko - powiedział miękko, patrząc jej w oczy. - To było całkiem spontaniczne. Nie mogłem się powstrzymać... Czy nic ci nie jest? Czy nie jesteś ranna?

- Jestem posiniaczona od stóp do głów, Richardzie. Ale nie odsuwaj się ode mnie. W tej chwili najbardziej na świecie pragnę być w twych ramionach.

- Naprawdę?

- Naprawdę - szepnęła. Położyła dłonie na jego policzkach i dotknęła jego ust swymi chłodnymi, jedwabistymi wargami. Objęła go

za szyję, a palce wplotła w jego włosy. Twarz Veroniki oblał rumieniec, oddech zaczął się rwać, a serce w jej piersiach trzepotało jak szalone. Całowała go tak długo, póki nie poczuła, że jakimś cudem przeniosła się z mrocznego podziemia w rozświetlony słońcem świat w kolorze do złudzenia przypominającym barwę oczu Richarda Dempseya.

Odrętwiałą po całonocnym niepokoju duszę wielebnego pana Dempseya w jednej chwili wypełniła po brzegi miłość. Jego serce tańczyło taniec radości. Jego dusza śpiewała pieśń triumfu, bo przecież trzymał w ramionach Veronikę, całą i zdrową.

Co to za zapach? dziwił się wróg, marszcząc nos pod wpływem woni palącego się balsamu cytrynowego.

Uniósł latarnię wyżej i zmarszczył czoło na widok pustego łóżka i wypalonych świec w srebrnym kandelabrze. Gdzie się podziała ta przeklęta baba? Nie zostawiłem jej przecież tylu świec, by mogła się gdziekolwiek ruszyć. Chodziło mi tylko o to, żeby nie wpadła w panikę, gdy się obudzi. Zresztą nie byłaby chyba w stanie nigdzie pójść. Wydaje mi się, że zadbałem o to. Czy kobietę należało zbić jeszcze mocniej, żeby się nie ruszała z miejsca?

- Brakuje jednej świecy - mruknął. - Nie mogła jednak odejść daleko, mając jeden ogarek. Musi być gdzieś nieopodal. Na pewno zemdląca i leży w jakiejś kałuży. Albo usnęła ze zmęczenia na jakimś kamieniu, gdy wypaliła jej się świeczka.

Mrucząc pod nosem przekleństwa i dysząc ze złości, wyruszył na poszukiwanie. Skoro nie potknął się o nią w drodze do podziemnego pokoiku, w którym sam czasem sypiał i jadał, to

najprawdopodobniej powinien jej szukać z drugiej strony. Musiała pójść w stronę wyjścia w stodole na polu Hattera, którym wniósł ją tu minionej nocy. To niedobrze. Tuż obok ścieżki, którą oczyścił przed piętnastoma miesiącami, jest niebezpieczna rozpadlina. Z własnego doświadczenia wiedział, jak groźne jest to pęknięcie. Na początku zachowywał się dość nieostrożnie i niewiele brakowało, a sam by w nie wpadł.

- Nie zejść po nią, jeśli tam wpadła - postanowił, rozglądając się na prawo i lewo. - Jeśli połamała sobie kości, to może tam zostać i umrzeć. Tak czy inaczej będę musiał ją zabić, gdy już dostanę od Berinwicka to, co mi się należy.

Problem w tym, że Berinwick może nie chcieć spełnić mego żądania, póki nie zobaczy jej żywej. A niech tam, pomyślał. Jeśli księżna nie żyje, trzeba będzie uwięzić lady Hannę. Ona będzie równie dobrą zakładniczką. Gdybym mógł się dostać do tej komnaty ze skarbami, nie musiałbym się bawić w pisanie listów z żądaniem okupu. Mógłbym zabić ich wszystkich i zabrać tyle, ile zdołam unieść. Ale nie wiem, gdzie on trzyma klucz, a bez klucza nie sposób się tam dostać.

Złoczyńca przeszedł jeszcze cztery czy pięć jardów, gdy zwrócił jego uwagę jakiś błyszczący w świetle latarni przedmiot, leżący u podnóża skały. Co to jest, u diabła? mruknął. Przytknął buteleczkę do nosa i poczuł zapach cytryn. Wsunął znaleźisko do kieszeni i zatoczył szeroki krąg latarnią. Zauważył, że nieco wyżej leżą skórzane rękawiczki, wspął się więc, by je podnieść. Odstawił lampę i zaczął

się im przyglądać. Okazało się, że są porozcinane i zakrwawione w wielu miejscach, że kleją się i pachną żelazem.

Dlaczego te rękawiczki są zniszczone i dlaczego ona ma krew na dłoniach? Czyżby coś sobie zrobiła? Z pewnością wspięła się na tę skałę, ale niemożliwe, żeby aż tak się przy tym poraniła.

Mężczyzna wstał, uniósł latarnię i zaczął się rozglądać. Między kamieniami leżały porozrzucone strzępy czarnej i białej tkaniny. Spostrzegł też resztkę świeczki, która została zabrana z kandelabra. Zaklął pod nosem i wspiął się na sam szczyt skały. Kamienie były także zakrwawione, a ze sklepienia zwisał urwany korzeń.

- A niech to diabli! - syknął. - Jak ona na to wpadła? Jak to możliwe, by kobieta wymyśliła coś takiego? Skręcę kark tej diablicy własnymi rękami, gdy tylko ją dostanę.

- Dlaczego wielebny pan Dempsey całuje naszą księżną? - rozległ się jakiś cieniutki głosik za plecami pastora.

- I dlaczego nasza księżna ma na sobie tylko bieliznę i surdut? - dziwił się inny, równie cienki głosik.

- Co pan sobie wyobraża, Dempsey? - ryknął znacznie grubszy głos. - Ręce precz od mojej matki, ty stary rozpustniku. Albo gnaty ci połamię!

- To Berinwick, prawda, Vernie? - szepnął Dempsey, wtulając policzek w ucho księżnej i rozkoszując się miękkością jej włosów. Postanowił, że nie odwróci się w stronę księcia, przeczuwał bowiem, że za jego plecami gromadzi się coraz większy tłum.

- Tak, to William oraz maluchy pani Thistledown.

- Powiedz im, żeby sobie poszli, Veroniko.

- Pan Dempsey chciałby, żebyście się oddaliły na chwilę, dzieci
- powiedziała księżna, nie odrywając policzka od ramienia swego
wybawiciela. - Ja też was o to proszę.

- Co to, to nie, madam - powiedział Berinwick, podchodząc do
przytulonej pary z latarnią w ręku. - Nie zamierzam pozwolić, by ten
człowiek cię wykorzystał... Mamo, jesteś ranna - szepnął bez tchu,
gdy w świetle latarni ukazała się posiniaczona twarz księżnej,
opuchnięte usta oraz rozcięty policzek i łuk brwiowy.

Dempsey westchnął. Pożegnał się ze światem swoich marzeń i
odsunął od księżnej.

- Tak, pańska matka jest ranna, Berinwick - oświadczył,
zwracając się do księcia i dzieci. - I potrzebuje naszego wsparcia i
pocieszenia.

- To nic poważnego - zaprotestowała Veronika, podchodząc do
syna, by wziąć go za rękę. - Obaj zachowujecie się tak, jakbym miała
umrzeć w ciągu najbliższych pięciu minut. Dam sobie radę bez
waszego użalania się nade mną. Williamie, wyprowadź nas z tych
lochów. I powiedzcie mi, że znaleźliście Toma Hasty'ego i że nic mu
nie będzie. Richardzie, chodźmy stąd, pora opuścić to miejsce.

Berinwick przyprowadził nie tylko dzieci, ale także panią
Thistledown, nie wspominając o drabinie oraz trzech latarniach.
Zaprzągnął Norville'a do starej dwukółki, która stała na podwórzu pani
Thistledown, i przywiózł wszystkich do stodoły, nie zważając na
wertepy.

- Przypuszczałem, że możesz potrzebować kobiecej pomocy,
mamo - wyjaśnił, pomagając dzieciom wspiąć się po drabinie. - Nie

mieliśmy przecież pojęcia, co ten napastnik ci zrobił. A pani Thistledown zaproponowała, by poszły z nami dzieci, które mogłyby nieść dodatkowe latarnie.

- Cieszę się, że dzieci i pani Thistledown chciały mi pomóc - zapewniła go Veronika, uśmiechając się do wdowy, która pomagała maluchom wydostać się na powierzchnię. -Chciałabym skorzystać z uprzejmości pani Thistledown, zanim wrócimy do zamku, Williamie. Z przyjemnością bym się trochę obmyła. I może pani Thistledown znajdzie jakąś wystarczająco szeroką suknię, żebym nie musiała pokazywać się w domu w samej bieliźnie i surducie pana Dempseya.

- Oczywiście - pokiwał głową Berinwick.

- Człowiek, który cię porwał, Veroniko, mieszka w Blackcastle, prawda? - zapytał Dempsey.

-Tak.

- Kto to jest, mamó?

- To Patrick McClane - odparła księżna, stawiając stopę na pierwszym szczeblu. - Ale nie życzę sobie, byście rzucili się na niego z gołymi rękami, Williamie i Richardzie. Chciałabym, żebyśmy wszyscy usiedli w bawialni pani Thistledown i wymyślili plan, dzięki któremu złapiemy wroga, nie dopuszczając do tego, by zranił lub zabił kogoś, kogo kocham. Już idę, pani Thistledown - dodała, spoglądając z uśmiechem na kobietę, która czekała na górze z wyciągniętą ręką, by pomóc swojej księżnej wdrapać się do stodoły.

Theophilus, Charlie i Millie tańczyli taniec radości dookoła dziury w podłodze. To z mojego powodu tak tańczą, pomyślała księżna. Cieszą się, że wróciłam z podziemnej krainy. Na przekór złu,

które nas otacza, niewinność, lojalność, wiara i wzajemne zaufanie triumfują. I znów jest dzień. Piękny dzień.

- Och! - wykrzyknęła Anna na widok belwederu. - Jaki śliczny!

W takim dziwnym miejscu.

- Szszz - uciszyła ją Hanna, rozglądając się podejrzliwie. - On cię może usłyszeć.

- Kto?

- Pan McClane.

- Nie ma go tutaj, Hanno. Na pewno byśmy go zobaczyły, gdyby tu był.

- Chyba że schował się za belwederem - szepnęła Hanna.

- O tym nie pomyślałam. Powinnyśmy chyba sprawdzić - szepnęła panna Tofar. - Ty pójdziesz tędy, a ja tamtędy.

- Trzymaj broń w pogotowiu - ostrzegła przyjaciółkę Hanna, gdy rozstawały się u stóp schodów prowadzących do belwederu.

Kiedy spotkały się na tyłach budowli, Anna miała uśmiech na twarzy, a Hanna zmarszczone czoło.

- A nie mówiłam! Nigdzie nie ma ani śladu pana McClane'a. To zwykły rządcą. Nie może być złoczyńcą. Na pewno szukał tu tylko któregoś z pasterzy.

- Nie sądzę - odparła Hanna. - Anno, tu właśnie leżała zbroja. Teraz zbroja zniknęła. Razem z panem McClane'em.

- Nie zdążyłyby przecież dojść do samego centrum labiryntu, zabrać stąd zbroję, wyjść i zniknąć bez śladu. Nie straciłyśmy tak wiele czasu na szukanie broni, drogę też znalazłyśmy bez trudu. Albo

ktoś inny zabrał zbroję, albo pan McClane ukrył się gdzieś w labiryncie.

Hanna obróciła się dokoła własnej osi z rapierem gotowym do ciosu. Zajrzała w krzaki, rosnące obok belwederu, a potem za wszystkie kolumny, szukając ubrania rządcy. Anna poszła w drugą stronę.

- Widzisz go gdzieś? - zapytała ściszym głosem.

- Jeszcze nie.

- W takim razie już sobie poszedł - uznała panna To-far, opuszczając broń.

- Musiałybyśmy spotkać go po drodze. Nie ma dwóch wyjść z labiryntu. Istnieje tylko jedna ścieżka, która prowadzi do wyjścia.

- A zatem wyszedł jakąś inną drogą. - Anna powiesiła sobie pogrzebacz u boku.

- Jaką? - Hanna oparła ojcowski rapier o ramię. - Może w krzakach ukryte są jakieś sekretne drzwi.

- W krzakach albo w belwederze! - wykrzyknęła Anna. - Gdzie leżała zbroja?

- Tutaj.

Dziewczęta rzuciły broń, padły na kolana i zaczęły stukać w drewno między posadzką belwederu a kamieniami, na których siedziały. Pukały i popychały, popychały i pukały.

- Tu się coś rusza - zawołała podekscytowana Hanna.

- Gdzie?

- Tu. I widać jakąś ryse. Zaczekaj, Anno. - Hanna sięgnęła po pogrzebacz i wsunęła go w ledwo widoczną szczelinę. Część

drewnianego zabezpieczenia podestu, na którym wzniesiono belweder, spadła na ziemię.

Dziewczęta zajrzały czym prędzej w głąb otworu, a potem zaczęły go obmacywać.

- Nic nie widać - westchnęła Hanna. - Tylko ręce sobie pobrudziłam.

- Ja też - potwierdziła jej przyjaciółka. - Musimy przynieść jakieś świece albo latarnie, jeśli chcemy sprawdzić, co tam jest. Zaczekaj tu, Hanno. Musisz usiąść na podeście tuż nad otworem z pogrzebaczem w rękę. - Anna wstawiła deski na miejsce. - Gdy pan McClane uzna, że już sobie poszłyśmy, i wyślizgnie się stamtąd, musisz go natychmiast zdzielić pogrzebaczem w głowę.

- Dobrze - zgodziła się Hanna. - Zrobię to.

- W porządku. W takim razie ja wrócę do domu po latarnię albo coś w tym rodzaju.

- Przeprowadź jakąś pomoc. Tylko nie Trewellyna. On już i tak dużo robił, wolałabym nie prosić go o kolejną przysługę.

- Dobrze. Daj mi mapę. Wrócę tak szybko, jak tylko zdołam.

Hanna sięgnęła do kieszonki przewiązanej pod spódnicą, bardzo podobnej do tej, którą miała jej matka. Nic jednak w niej nie znalazła.

- Nie ma tu mapy.

- Jesteś pewna?

- Tak. Nie ma jej tutaj.

- Może nie schowałaś jej do kieszeni, tylko gdzieś położyłaś.

- Gdzie?

- W belwederze? Tam, gdzie pierwszy raz podniosłaś broń?
Może gdzieś tu, gdy szukałyśmy wejścia?

Dziewczęta zaczęły rozglądać się za zgubą. Obeszły całą budowlę ze wszystkich stron. Szukały w trawie, która ją otaczała. A potem pod krzakami, które tworzyły wewnętrzne ściany labiryntu. Mapy jednak nigdzie nie było.

McClane poruszał się szybko, choć uchylił tylko jedno okienko w latarni. Przemierzał tę ścieżkę tyle razy, że nie potrzebował żadnego światła. Tu ścieżka schodzi łagodnie w dół. Pięć kroków dalej ze sklepienia zwisa ogromny stalaktyt, pod którym trzeba się mocno schylić, jeśli się nie chce stracić głowy. Osiem kroków dalej, po prawej stronie ścieżki, rozpoczyna się niebezpieczna rozpadlina. McClane zatrzymał się obok szczeliny, odsłonił drugie okienko swej latarni i, zachowując ostrożność, spojrzął w dół. Trudno powiedzieć, czy pochodnia, którą sobie zrobiła księżna, długo przetrwała. Nie mówiąc już o tym, że księżna mogła wpaść do dziury, nie zauważywszy jej wcale. Pochylając latarnię nad tajemną przepaścią, McClane zobaczył tylko kości Davida Hancocka.

- Złapię ją, zanim zdąży się stąd wymknąć - syknął. -Nie ma obawy. Nie po to czekałem tyle lat na okazję, by pomścić śmierć mego ojca i zgarnąć niezłą fortunę, żeby patrzeć bezradnie, jak moje plany sypią się w gruzy z powodu jakiejś zwariowanej baby. Berinwick razem ze swoją rodziną zapłaci za śmierć mego ojca. Zabiorę stąd wszystko, co ma jakąś wartość i da się wynieść. Przekonasz się, Hancock. Przekonasz się!

Zatrzasnął drugie okienko latarni. Lepiej nie dawać księżnej szansy, by się gdzieś skryła na widok światełka jego latarni. Za przepaścią droga jest znacznie bezpieczniejsza - wystarczy pokonać parę zakrętów, pochylić się tu i ówdzie, uważać na śliskie podłoże i spadające łupki.

Księżna nie ma jednak pojęcia, że jaskinia nie kryje już żadnych pułapek. Będzie więc szła powoli, nie wiedząc, czego się spodziewać. Na pewno ją dogonię. A wtedy zadbam o to, żeby już nigdy mi nie uciekła.

McClane był wielce zdumiony, gdy przebył dwie mile, nie natrafiwszy na ślad księżnej. Nawet jeśli spreparowała sobie całkiem niezłą pochodnię, to trudno uwierzyć, by ośmieliła się iść tak długo, nie mając pojęcia, czy nie schodzi coraz głębiej.

- Żadna inna kobieta by tego nie zrobiła - szepnął McClane. - To tylko dlatego, że ona należy do przeklętej rodziny Thorne'ów i ma nadludzką moc.

Wisiołek! przypomniał sobie. Dziewczyna wzięła wisiołek i zawiozła go matce. To on jest źródłem jej mocy - ten przeklęty wisiołek. McClane nie mógł sobie darować, że stracił to świecidełko. Ale gdy nadarzyła się okazja, by pojmać lady Hannę jako zakładniczkę i rzucić w ten sposób na kolana zarówno matkę, jak i syna,

McClane nie zdołał oprzeć się pokusie. Myśl o słodkiej zemście zmaciła mu rozum. Podjął decyzję impulsywnie. Nie przemyślał tego. Uznał, że los sam mu podsunął niepowtarzalną szansę. I rzeczywiście

dzieciak zobaczył błyskotkę i wjechał do lasu. Niewiele brakowało, a już by miał w garści Hannę Thorne.

Wymknęła mu się jednak w okamgnieniu. Wystarczył krzyk Lancastera, by chwyciła wisiołek i w szalonym pędzie ruszyła do domu. McClane'owi nie pozostawało nic innego, jak zmusić stajennego, by wjechał do lasu, a potem zaskoczyć go od tyłu i pobić do nieprzytomności.

- To tylko wyobraźnia. Bzdury - mruknął rządcą. - Co mnie obchodzi jakiś kawałek starego żelastwa. Takie przedmioty nie mają żadnej mocy. Tak długo bawiłem się w duchy, że zaczynam tracić rozsądek. Kiedy dorwę tę diabolicę Juliana Thorne'a, zerwę jej wisiołek z szyi gołymi rękami. Wtedy zobaczymy, kto ma większą moc. - Nagle poczuł, że cytrynowy zapach, który mu towarzyszył podczas całej wędrówki, staje się coraz mocniejszy. Zatrzymał się i zatrzasnął ostatnie okienko latarni. Tak! W oddali widać błysk światła.

Teraz poruszał się cicho jak pająk snujący sieć. Gdy światełko zaczęło się powiększać, uśmiechnął się szeroko. Płomyk, który zauważył, najwyraźniej się nie poruszał; migotał i skwierczał - bo już słyhać było skwierczenie -w jednym miejscu.

Poddała się wreszcie, pomyślał McClane. Nawet nie ma pojęcia, jak blisko jest wyjście z jaskini. Odłożyła pochodnię i zapewne siedzi gdzieś kompletnie zrezygnowana. Już mam tę przekłętą kobietę! McClane zbliżał się do pochodni triumfalnym krokiem. Już się jej nie uda taka sztuczka. Już ją ma...

McClane zatrzymał się i zamrugał ze zdumienia. Pochodnia zrobiona z korzenia i jakiegoś płótna, wetknięta między skały płonęła

i śmierdziała, ale księżnej Berinwick nigdzie nie było. McClane zamruczał coś pod nosem, otworzył okienko w swojej latarni i wrócił pędem na ścieżkę, nie troszcząc się już o to, czy uciekiniarka go zobaczy, czy nie, czy obejrzy się przez ramię. Musi ją złapać. Przecież nieopodal jest wyjście z jaskini przez starą stodołę na polu Hattera.

Podłoga jest za wysoko, by zdołała jej sięgnąć, przypomniał sobie, próbując opanować nagłą panikę, która go ogarnęła. Będzie próbowała znaleźć moją drabinę, ale to się jej nie uda bez pochodni.

Dlaczego zostawiła pochodnię? zastanawiał się. Zaszła już tak daleko. Dlaczego więc się jej pozbyła? McClane zwolnił, wprawiając w ruch swoje szare komórki. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Obawiał się, że popełni jakieś głupstwo, którego będzie bardzo żałował, że natknie się na kobietę, czającą się na niego z wielkim kamieniem w rękach. Okiełznał swój gniew i antypatię. Zostawił tylko jedno okienko latarni uchylone i zaczął skradać się brzegiem ścieżki, tuż pod skalną ścianą. Jego podejrzliwość i ostrożność zostały nagrodzone, bo po chwili zobaczył kolejne, znacznie jaśniejsze światło i usłyszał głos księżnej.

- To Patrick McClane - mówiła. - Ale nie życzę sobie, byście rzucili się na niego z gołymi rękami, Williamie i Richardzie. Chciałabym, żebyśmy wszyscy usiedli w bawialni pani Thistledown i wymyślili plan, dzięki któremu złapiemy wroga, nie dopuszczając do tego, by zranił lub zabił kogoś, kogo kocham. Już idę, pani Thistledown.

McClane przykleił się do ściany. Na jego brodzie pojawiła się strużka śliny. Niestety, pomyślał. Książę i ten przeklęty pastor znaleźli

ją. I teraz zamierzają obmyślić jakiś plan, by mnie złapać i nie dopuścić do tego, by ktokolwiek został ranny. Jeszcze zobaczymy, co z tego wyniknie. Lady Hanna jest przecież w Blackcastle i nie ma pojęcia, co się wydarzyło. Do głowy jej nie przyjdzie, by się mnie strzec, póki tamci nie wrócą. Nikt w Blackcastle nie ma o niczym pojęcia. A tymczasem oni zamierzają tracić czas, siedząc w domku wdowy Thistledown i obmyślając jakiś bezużyteczny plan. Ha! Dużo im z tego przyjdzie!

Po raz pierwszy tego dnia Patrick McClane włożył rękę do kieszeni surduta i z lubością pogłaskał stalową lufę niewielkiego pistoletu, który się tam idealnie mieścił. Na jego twarzy pojawił się lodowaty, martwy uśmiech. Potem obrócił się na pięcie i wrócił tam, skąd przyszedł. Do labiryntu.

- Jesteśmy w pułapce - westchnęła Anna, siadając koło przyjaciółki na podłodze belwederu. - Zajrzyj jeszcze raz do kieszeni, Hanno.

- Zaglądałam do kieszeni pięć razy. Nie zamierzam już tego robić - odparła Hanna, odymając wargi. - Szukałam już wszędzie i mam tego dość. Mapa zniknęła i już.

- To niemożliwe - zaprotestowała Anna. - Rzeczy nie znikają tak zupełnie. Gdzieś musi być.

- Owszem, ale nie możemy jej znaleźć, więc nie ma się co pocieszać, że gdzieś musi być. Gdzie jest to „gdzieś”?

- Może powinniśmy zacząć iść z powrotem. Może przypomnimy sobie drogę.

- Phi! Wydawało mi się, że pamiętam drogę do belwederu. I co? Wcale nie pamiętałam. Musiałyśmy wiele razy zaglądać do mapy. Nie sądzisz więc chyba, że w tej sytuacji przypomnę sobie drogę do wyjścia? Obawiam się, że musimy poczekać, aż ktoś usłyszy nasze wołanie o pomoc i przyjdzie, żeby nas stąd wyprowadzić.

- Przecież nie wołamy o pomoc - zauważyła Anna.

- Sądzę, że powinniśmy, ale na razie jestem taka zła na siebie, że jakoś nie mogę się do tego zabrać. - Hanna zgarbiła się trochę i zaczęła wymachiwać nogami, stukając piętami w tylną ścianę podestu.

- Wyobrażałam sobie, że zostaniemy prawdziwymi bohaterkami, że

wszyscy będą dumni z tego, jak zdemaskowaliśmy i złapaliśmy McClane'a.

- Myślałaś, że go złapiemy? Naprawdę?

- Miałam nadzieję, że tak będzie. Ale oczywiście nic się nam nie udało. Podejrzewam, że McClane jest już daleko stąd i że Will uratował już mamę i depcze temu złoczyńcy po piętach. A ja wpakowałam nas w pułapkę, z której nie wyjdziemy, póki nas ktoś nie znajdzie. Och! - zawołała Hanna, gdy jej pięty natrafiły nagle na pustą przestrzeń. -Och! - zawołała jeszcze głośniejszym głosem, gdy poczuła, że ktoś ciągnie ją za kostkę. - Anno! Ten łotr złapał mnie za kostkę!

Anna natychmiast zeskoczyła z podestu. Chwyciła broń, która leżała najbliżej.

- Puść ją natychmiast, ty draniu! - krzyknęła, kłując ostrzem rapiera dłoń w rękawicze, zaciśniętą na nodze przyjaciółki.

- Au! Co się dzieje, do diabła?

Anna uniosła broń i jeszcze raz dźgnęła wrogą rękę.

- Proszę ją natychmiast puścić!

Obca dłoń wypuściła stopę Hanny, próbując złapać rapier, ale Anna cofnęła broń tak błyskawicznie, że napastnik tylko się zranił i znów krzyknął z bólu.

Hanna zerwała się na równe nogi z pomocą przyjaciółki i chwyciła pogrzebacz. Dziewczęta zbiegły po stopniach ogrodowej budowli.

- Na waszym miejscu nie wbiegałbym do labiryntu -usłyszały. - Nie dość że zabłądzicie, to jeszcze bardzo mnie zdenerwujecie. A ja i tak was znajdę, moje drogie. -Patrick McClane stał po drugiej stronie

belwederu i patrzył na dziewczęta. Widziały go wprawdzie tylko od pasa w górę, ale i to ogromnie je zdeprymowało.

- Dlaczego pan sądzi, że zabłądzimy? - zapytała Anna, z trudem powstrzymując się, by nie przypaść do ziemi. Zdobyła się nawet na to, by rzucić McClane'owi równie stalowe spojrzenie jak to, którym on je terroryzował.

- Niech no pomyślę. Aha, już wiem. Zdaje się, że podsłuchałem pewną rozmowę na temat zaginionej mapy - odparł McClane, rozmasowując dłoń zranioną rapierem.

- Siedział pan cały czas pod belwederem i podsłuchiwał nas? - wtrąciła Hanna. - I co pan tam robił? Tarzał się pan w błocie jak pies, którym pan rzeczywiście jest?

- Hanno! - syknęła panna Tofar, widząc nienawiść, malującą się coraz wyraźniej na twarzy rządcy i słysząc złowrogie szyderstwa, którymi obrzucił Hannę.

- To pan zamordował mojego papę - oskarżyła go Hanna, nie zważając na ostrzeżenia przyjaciółki. - Zamordował pan papę, pana Thistledowna i innych, nie dając im żadnej szansy na obronę. Proszę nie zaprzeczać, dobrze wiem, że to prawda. To pan jest duchem, którego widział Harvey Langton. To pan założył zbroję, żeby wystraszyć konie papy.

- A pani ojciec zamordował mojego - odparł McClane z zatrważającym spokojem. - Nie mówiąc już o tym, że jeden z pani przodków ukradł wszystko, co powinno należeć dziś do mnie.

- To bzdura - oświadczyła Hanna. - Nigdy nikogo nie obrabowaliśmy. Thorne'owie nie kradną. A mój papa nikogo nie zamordował.

- Niech pani zapyta matkę - syknął rządcą. - Albo brata. Niech pani tylko wspomni dżentelmena nazwiskiem Dight.

- Anno, czy potrafisz posługiwać się rapierem? - szepnęła Hanna, nie spuszczać wzroku z McClane'a.

-Nie.

- W takim razie oddaj mi go. Dziewczęta zamieniły się bronią.

- Chyba nadeszła pora, by wołać o pomoc - mruknęła Anna pod nosem.

- Owszem - przytaknęła Hanna. - Biegnij do labiryntu i krzycz, a ja będę pilnować McClane'a.

Na północnej łące nie było ani McClane'a, ani nikogo innego. Berinwick rozejrzał się dokoła ze zdumieniem. Przyjechał tu prosto z domku pani Thistledown. Tak bardzo urzekła go prostota matczynego planu, że nawet nie zaprotestował, gdy okazało się, że wielebny pan Dempsey ma sam odwieźć księżną do Blackcastle.

- Gdzie się wszyscy podziali? - mruknął. - Ten przekłety łotr nie porwał chyba wszystkich moich kosiarzy. Bo i po co?

Plan księżnej opierał się na założeniu, że rządcą wykonuje swe obowiązki związane z sianokosami, nie chcąc wzbudzać żadnych podejrzeń. Nie powinien więc mieć czasu na swoje ciemne sprawy przed końcem pracy w polu. Dopiero wtedy odkryje ucieczkę zakładniczki. Wszyscy uznali, że skoro McClane nie wie, że księżna została uwolniona i go zdemaskowała, to nie wzbudzi jego podejrzeń

wizyta Berinwicka, podczas której książę powie mu o znalezieniu martwego ciała Toma Hasty'ego, o swoim niepokoju o bezpieczeństwo matki i poprosi o pomoc w pakowaniu skarbów, których zażądał porywacz.

Wieść o pożarze u Tofarów księżna przyjęła z żalem. Przykro jej było z powodu strat, jakie ponieśli sąsiedzi, ale zauważyła też, że w związku z tą sytuacją William będzie miał doskonały pretekst, prosząc McClane'a o pomoc. Będzie mógł powiedzieć, że służba i domownicy są zbyt zajęci lub zbyt zmęczeni i że nie ma nikogo, kto pomógłby mu spakować czym prędzej przedmioty, które mają stanowić okup. McClane z pewnością mu uwierzy i wróci z księciem do Blackcastle, gdzie powita go księżna z pastorem, Belowesem i Gainesem, podczas gdy jeden ze stajennych pojedzie do Barren Wycche, żeby sprowadzić posterunkowego Lewisa.

- Całkiem rozsądny plan - powtórzył Berinwick - tylko gdzie, u diabła, jest McClane? I gdzie są moi kosiarze?

Czyżby skończyli pracę na tej łące i przenieśli się na następną? Nie, przecież na pierwszy rzut oka widać, że nie skończyli.

Książę obrócił się w siodle, słysząc tętent kopyt na drodze.

- Co się dzieje? - mruknął na widok Johna, który spinał właśnie konia, by przeskoczyć żywopłot. - John, co ty tu robisz? Nie chcesz chyba powiedzieć, że Tom nie żyje?

- Nie, wasza wysokość. Tom czuje się coraz lepiej. Pan Langton mnie wysłał do księcia. Pani Thistledown powiedziała, że tu mam księcia szukać. Zatrzymałem się u niej na chwilę, żeby sprawdzić, czy

wszystko w porządku, i zapytać, dokąd księżę pojechał. To pan McClane strzelał do Toma i porwał księżną.

- Wiem o tym - wtrącił Berinwick.

- No tak. Jasne, że księżę wie. Pani Thistledown powiedziała, że księżna została już uwolniona. No to na pewno księżna sama waszej wysokości o tym powiedziała.

- Johnny, buzia ci się nie zamyka, a niczego się jeszcze od ciebie nie dowiedziałem. Czy Langton przysłał cię, byś mi powiedział, że Tom rozpoznał napastnika?

- Tak, ale nie tylko to, wasza wysokość. Giles Pervis przyszedł na plebanie, do Beth. Oni są zaręczeni. W każdym razie przyszedł, żeby opowiedzieć Langtonom o pożarze u Tofarów i o tym, że McClane wysłał jego i wszystkich innych na farmę Tofarów, do pomocy.

- McClane jest u Tofarów?

- Nie, wasza wysokość. I o to właśnie chodzi. Pan McClane wcale z nimi nie pojechał. Powiedział, że musi wrócić do Blackcastle, żeby pomóc księciu. No cóż, wszyscy wiemy, że to nieprawda. No więc ani chybi, McClane ma jakieś tajemnicze plany.

- Kiedy? Kiedy McClane odesłał wszystkich z pola? -Berinwick poczuł, że zaczyna go ścisnąć w dołku.

- Z samego rana, wasza wysokość. Wygląda na to, że ten drań od rana urzęduje w Blackcastle.

- Czy wielbny pan Dempsey był u wdowy Thistledown, gdy tam wstąpiłeś? Dempsey i moja matka? Czy powiedziałeś im to samo, Johnny?

- Nie, wasza wysokość. Pojechali już do Blackcastle.

Pomyślałem, że najlepiej będzie, jak zawiadomię czym prędzej księcia, bo oni pewnie i tak wpadli już w łapy tego łotra.

Ucisk w dołku Berinwicka był coraz bardziej dotkliwy. Książę odwrócił konia i puścił się galopem przez Grydwynn Wood. Młody Johnny nie miał wielkiego wyboru, ruszył więc na łeb, na szyję za swym panem.

Anna bała się zostawić Hannę sam na sam ze złoczyńcą, wiedziała jednak, że jeśli nie wymknie mu się, to nie uda jej się zawołać o pomoc. Wbiegła więc do labiryntu i zaczęła krzyczeć. Na pewno ktoś ją usłyszy. Na pewno pasterze są już w ogrodzie. Słońce zawędrowało tak wysoko. Na pewno usłyszą jej wołanie i wbiegną do labiryntu.

- Ratunku! Ratunku! - krzyczała. - Lady Hanna i ja siedzimy w samym środku labiryntu z mordercą, który chce nas zabić! - Panna Tofar miała nadzieję, że ta ostatnia informacja sprawi, że pasterze wezmą ze sobą broń i przyspieszą kroku. Krzyknęła raz jeszcze, a potem jeszcze raz. A gdy zamilkła, by zaczerpnąć tchu, usłyszała strzał i poczuła zapach prochu. - O rany! Ten człowiek ma pistolet! Strzelił do Hanny! Ratunku! Pomocy! On strzelił do lady Hanny! - zawołała, a potem obróciła się na pięcie i pobiegła do centrum labiryntu, zaciskając palce na pogrzebaczku.

W środku Blackcastle, gdzie nikt nie mógł słyszeć wołania Anny Tofar, Harold Belowes wpadł do gabinetu księcia z pistoletami w skórzanej walizeczce. Za nim wbiegł kamerdyner Berinwicka z prochem i kulami.

- Nordstrom wiedział, gdzie tego szukać, ale nie wiedział, jak naładować broń - wyjaśnił Belowes. - Gaines pobiegł po Trewellyna i Overfielda.

- Proszę mi to podać - powiedział Dempsey, wyjmując walizeczkę z rąk służącego, by postawić ją na biurku i otworzyć. Przez chwilę przyglądał się pistoletom z podziwem, a potem wyjął jeden z nich z walizeczki, poprosił Gainesa o proch i naboje, posłał obu służących, by wypatrywali McClane'a, i zaczął ładować broń.

- Gdzie się tego nauczyłeś, Richardzie? - zapytała księżna, gdy lokaje oddalili się wystarczająco. - Twój ojciec nigdy chyba nie miał pistoletów.

- Nie, ale pleban, który włóczy się tam, gdzie się włóczyć nie powinien, i szuka rzeczy, o których nie powinien nic wiedzieć, czasem potrzebuje broni.

- Richardzie!

- Nie patrz na mnie w ten sposób, Veroniko. Nigdy nikogo nie zastrzeliłem. Nie sądzę, bym zdołał trafić w ścianę stodoły nawet z bliska. Ograniczałem się najczęściej do tego, by dać otoczeniu do zrozumienia, że mam pod ręką jakąś pukawkę.

- Ze względu na złodziei?

- Owszem, ze względu na złodziei, na innych amatorów staroci, na przemytników - odparł, odkładając pierwszy pistolet i sięgając po drugi. - Wiem, że ludzie mają duchownych za nudnych, świętoszkowatych gamoniów, ale ja raczej nie byłem nudny, Veroniko. Mam sporo wad, ale nie jestem nudny.

- Nigdy tak o tobie nie myślałam, Richardzie - powiedziała, stając za jego plecami i obejmując go ramionami. - Teraz tym bardziej tak nie myślę. Nie jesteś także świętoszkowatym gamoniem. Ale jesteś umorusany i nie pachniesz najpiękniej - zaśmiała się księżna.

- Nie możesz mnie obwiniać o ten smród, Vernie - zaprotestował Dempsey, odkładając broń. Obrócił się i wziął ją w ramiona. - To zapach twojej pochodni, którym przesiąkło moje ubranie. Ja nie zmieściłbym się w żadną spośród sukni pani Thistledown.

- Jaka szkoda, że żadnej nie przymierzyłeś - zachichotała Veronika, opierając się o jego tors. - Richard, który usiłuje się wcisnąć w damską suknię! Twoja twarz byłaby czerwona jak wiśnia, a uszy jeszcze czerwiejsze. A suknia natychmiast pękłaby w szwach.

- Bawi cię to? Ją to bawi, Theophilusie - poinformował pastor psa, który wygrzewał się w słońcu.

- O, tak! Bardzo mnie to bawi - potwierdziła Veronika. - Richardzie? Gdy już złapiemy McClane'a i przekazemy go posterunkowemu Lewisowi, chciałabym cię o coś zapytać.

- Tak? Pytaj od razu.

- Nie, nie teraz. Wolę nie pytać się teraz, gdy tyle spraw cię zaprzęta.

Dempsey pocałował ją delikatnie w lewą brew.

- Już - mruknął. - Wystarczy taki magiczny moment, bym zapomniał o całym świecie, z wyjątkiem ciebie jednej. Pytaj, Veroniko.

- Ja.. Ja... Richardzie?

- Tak. Zamieniam się w słuch, Vernie.

- Chciałam tylko... gdy zostawiłam ci dziennik Dilys Thorne, poczułam... nie sądziłam, że to w ogóle możliwe, ale...

- Chciałaś, żebym znalazł... - przypomniał Dempsey. -I tu przerwałaś i wybiegłaś.

- Pamiętasz?

- Pamiętam każde słowo, które do mnie powiedziałaś od chwili, gdy spotkaliśmy się na wzgórzu. Pamiętam też niemal wszystko, co do mnie mówiłaś w dzieciństwie, Veroniko. Co chciałaś wtedy powiedzieć? Co mam znaleźć?

Od lat wiodę życie poszukiwacza. Jestem w tym całkiem niezły. Powiedz tylko, czego mam szukać, a złożę to u twoich stóp.

- Chciałabym - zaczęła księżna raz jeszcze. Nadzieja, która zatliła się w jej sercu, gdy Richard odnalazł ją i pocałował w jaskini, zapłonęła jeszcze większym płomieniem. - Chciałabym, żebyś znalazł w swym sercu uczucie dla mnie. Ale nie przyjaźń, tylko miłość. Prawdziwą miłość. Czy sądzisz, że to możliwe, Richardzie? Bo ja kocham cię całym sercem.

- Czy ja mogę odnaleźć w swym sercu miłość dla ciebie? Czy sądzę, że to możliwe? Veroniko, od wielu tygodni z trudem się powstrzymuję, by ci nie powiedzieć, że to właśnie do ciebie czuję. Podejrzewam, że pokochałem cię całym sobą już wtedy, gdy miałem siedem lat i nawet nie przypuszczałem, jaką moc może mieć takie uczucie. Dzieci tego nie przeczuwają. Ale teraz jestem już dorosły i doskonale wiem, że nigdy nie czułem nic podobnego wobec żadnej innej kobiety. Nie przypuszczałem tylko, że ty także możesz mnie w

ten sposób pokochać. I sądziłem, że byłoby wielką zuchwałością pielegnować nadzieję, że to się kiedykolwiek stanie.

- Zuchwałością? Co ty mówisz, Richardzie!

- Jestem tylko zwykłym pastorem, Veroniko. Nie mam tytułu, nie mam majątku. Starczy mi pieniędzy, by wieść przyzwoite życie, ale nie potrafiłbym ci zapewnić tego, co miałaś tu, w Blackcastle. Nie jestem arcybiskupem Canterbury. I mogę cię zapewnić, że nigdy nim nie będę.

- Richardzie Dempseyu, jesteś taki naiwny! Zupełnie jakbyś sądził, że kobiety kochają mężczyzn za tytuły i pieniądze. Dla kobiet, które naprawdę kochają, liczy się to, kim mężczyzna jest, a nie to, co posiada. Nie pokochałam Juliana dlatego, że był księciem Berinwick, i to bardzo bogatym księciem. Naprawdę. I nic nie poradzę na to, że kocham ciebie, choć nie masz ani tytułu, ani pieniędzy. Fascynujesz mnie jako człowiek. Budzisz we mnie miłość, jakiej nie obudził jeszcze nikt, nawet mój najdroższy Jules. Masz w sobie coś niezwykłego, Richardzie - cudowny sposób widzenia świata, którym potrafisz zarazić innych, wiarę w ludzi, w ich siłę i dobroć, jesteś całkiem wyzbyty egoizmu i masz cudowne poczucie humoru. Mogłabym ciągnąć tę listę w nieskończoność. Listę tego, za co cię kocham.

- W końcu uwierzyłem, że mnie jednak kochasz, że kochasz mnie jak kobieta kocha mężczyznę, za którego chciałaby wyjść za mąż - zdradził Dempsey. - Kiedy pozwoliłaś mi się pocałować i gdy sama mnie pocałowałaś zupełnie inaczej niż wtedy, w stróżówce. W pierwszej chwili pomyślałem, że w tym pocałunku jest prawdziwa

miłość. A potem pomyślałem, że to tylko radość z powodu odzyskanej wolności. I że jutro wszystko będzie inaczej.

- Jutro rzeczywiście wszystko będzie inaczej - mruknęła Veronika, odsuwając się, by spojrzeć mu w oczy. - Jutro będę kochać cię jeszcze bardziej niż teraz, Richardzie. I tak już zostanie. Każdego dnia będę cię kochać bardziej niż poprzedniego.

Dempsey, z rozplómiętym namiętnością wzrokiem, musnął językiem usta ukochanej i złożył na jej wargach pocałunek.

- Wasza wysokość! Panie Dempsey! - Dźwięk alarmującego głosu, który rozległ się w korytarzu, sprawił, że odskoczyli od siebie jak oparzeni. - Wasza wysokość! Panie Dempsey! Szybko! - Do gabinetu wpadł Gaines, zapominając całkowicie o dobrych obyczajach kamerdynera. - Panna Tofar krzyczała przed chwilą w labiryncie, że obie z lady Hanną są w samym centrum i że zaatakował je ten złoczyńca. Słysząc było strzał. Harry Belowes i Nat Tine - on pilnował owiec i jak usłyszał krzyk, to od razu do nas przybiegł - obaj już ruszyli na pomoc, ale nigdy nie wiadomo...

Buty wielbnego pana Dempseya dudniły już na korytarzu. Theophilus wypadł za swym panem, nim Gaines zdołał dokończyć zdanie.

- Richardzie! - zawołała księżna. - Richardzie, zapomniałeś pistoletów. - Veronika pospiesznie zapakowała pistolety do walizeczki i wręczyła je Gainesowi. - Za mną - rzuciła, zbierając fałdy spódnicy, pożyczonej od pani Thistledown, i pobiegnęła za pastorem. Gaines przycisnął walizeczkę z bronią do piersi, obrócił się na pięcie i pomknął za nią.

- Zdaje się, że pan chybił - zauważyła Hanna opanowanym i chłodnym głosem, wyłaniając się zza kolumny, by znów spojrzeć w twarz McClane'owi. Starła się zachowywać jak Will. Will potrafił doskonale odgrywać każdą rolę. Cały czas udawał, że jest mrukiwy i na wszystko obojętny; na pewno uda jej się ta sama sztuka, zwłaszcza że od tego zależy życie najdroższej przyjaciółki i jej własne. - Chciałby pan jeszcze raz spróbować? - zapytała nonszalanckim tonem, który Will często przybierał wtedy, gdy bał się tego, co może usłyszeć lub czego doświadczyć. -Tutaj jestem. Proszę strzelać, jeśli pan musi.

- Sądzi pani, że tego nie zrobię? Niemądrze - odparł McClane, mierząc w nią raz jeszcze. - Na wypadek, gdyby pani zachowanie było podyktowane bezmyślnością, pragnę panią poinformować, że z tej broni można strzelić trzykrotnie.

- W każdym razie taką ma pan nadzieję.

- To najnowszy wynalazek. Dzieło najlepszego fachowca z Paryża.

- Francuski, a więc bezużyteczny - prowokowała go dalej. - Anno, nie zbliżaj się! - krzyknęła, gdy przyjaciółka wypadła zza żywopłotu.

Hanna zeskoczyła z podestu i przewróciła pannę To-far w chwili, w której McClane wystrzelił po raz drugi.

- M-myślałam, że cię zastrzelił - jęknęła Anna.

- Nie - odparła Hanna. - Nie wstawaj, Anno. Został mu jeszcze jeden strzał. Potem pistolet będzie bezużyteczny.

- Nie zamierzasz chyba tam wrócić?

- Owszem. On wcale nie potrafi strzelać, Anno. Chciał strzelić do Willa, a trafił Triumphę. Potem próbował strzelić do mamy, a trafił w pana Dempseya. Dopóki będzie celował we mnie, nic mi się nie stanie. Wolałabym jednak, by nie postrzelił ciebie przez przypadek. - Hanna wstała i wbiegła na schody belwederu, trzymając rapier w wyciągniętej dłoni. McClane przesunął się na środek labiryntowej budowli.

- Bardzo przepraszam, panie McClane, za chwilową nieobecność - wycedziła. - Widzę, że wykorzystał pan ten czas, by poprawić swoją pozycję. Proszę podejść jeszcze bliżej, sir. Śmiało. Proszę stanąć w zasięgu mego rapiera.

- Zabiję cię gołymi rękami, ty córko diablity.

- Doprawdy? Przyznaje pan więc, że nie potrafi pan we mnie trafić z tego pistoletu?

McClane nacisnął spust i pistolet wypalił. Hanna usłyszała świst kuli koło ucha i podziękowała Bogu, że nie uskoczyła w bok.

Rządca rzucił w nią pistoletem i ruszył ostrożnie naprzód, patrząc, czy Hanna nie zamierza użyć rapiera. Ma się rozumieć, że mógłby ją bez trudu złapać i odebrać jej broń. Ostrożności jednak nigdy za wiele,

- Panno Tofar! - krzyknął Harold Belowes, biegnąc za Natem Tinem przez labirynt i ufając, że stary pasterz dobrze zna drogę. - Niech się pani odezwie, jeśli to możliwe.

Anna rzuciła się do labiryntu.

- Tutaj! - krzyknęła. - W samym środku! Pospieszcie się! Nie udało mu się zastrzelić Hanny, ale gotów jest rzucić się na nią z gołymi rękami.

Anna wróciła pod belweder i zauważywszy, że wróg zbliża się coraz bardziej do jej najlepszej przyjaciółki, wskoczyła na podest i stanęła koło niej, ściskając pogrzebacz obiema rękami.

Hanna trzymała rapier w gotowości i czekała, aż McClane podejdzie jeszcze bliżej. Postawa dziewczyny, blask jej oczu i wyraz determinacji, malujący się na jej twarzy, kazały McClane'owi przystanąć. Może ta dziewczyna potrafi fechtować. Czyż nie jest córką tego samego Juliana Thorne'a, który przeszył rapierem jego własnego ojca w kościele w St. Milburga's of the Wood? Może Thorne'owie uczą fechtunku nie tylko synów, ale i córki?

Dlaczego nie? Dlaczego nie? Wystarczy popatrzeć, jaką piekielną siłą natchnął ten człowiek swoją żonę. Nie należy zakładać, że zaniedbał edukację swojej córki.

Własne wątpliwości trzymały go w szachu. Wątpliwości i widok pogrzebacza w rękach tej drugiej pannicy. Trzeba zachować ostrożność. Wielką ostrożność.

Wtedy do centrum labiryntu wtargnęli dwaj mężczyźni. Kamerdyner, Belowes, i pasterz, Tine. McClane od razu ich rozpoznał. Zauważył wszakże i to, że nie mieli broni. Żadnej. Belowes, młody i silny, mógł stanowić zagrożenie, nawet nie mając żadnej broni. Ale o pasterzu nie dałoby się tego powiedzieć. Tine był niskim, chudym, starym człowiekiem. Mężczyźni się rozłączyli u stóp schodów. Chcą mnie zająć od tyłu, pomyślał McClane. Przygotowują

atak od tyłu. Belowes sądzi, że to da mu pewną przewagę nawet wtedy, gdy nie będzie mógł liczyć na pomoc Tine'a.

McClane, nie odrywając wzroku od dziewcząt, przesunął się trochę w bok, a potem obrócił gwałtownie i zeskoczył na trawę. Odczekał chwilę, aż tamci dwaj zajmą się dziewczętami, i cofnął się na tyły budowli. Zostawi im te dzieciaki i skryje się w jaskini. Wróci, gdy nadejdzie właściwa pora. McClane dał nurka w podziemia.

Czyjaś dłoń

chwyciła go jednak za surdut. To nie może być ten głupi lokaj, ani ten prostak, pasterz, pomyślał. Żaden z nich nie jest taki szybki. Próbował uwolnić się od żelaznego uchwytu, ale tajemnicza dłoń nie przestawała wyciągać go z nadludzką wprost siłą spod belwederu. Ujadowanie psa przeszło McClane'a dreszczem.

Veronika wpadła do centrum labiryntu zaledwie parę sekund później niż Dempsey, który z kolei deptał niemal po piętach kamerdynerowi i pasterzowi. Wbiegła po schodach i zatrzymała się, zdumiona widokiem Hanny, Anny, Harolda i Nata, stłoczonych w tylnej części budowli i wpatrzonych w ziemię.

- Gdzie jest pan Dempsey, wasza wysokość? - zapytał Gaines, z trudem łapiąc oddech, gdy wreszcie dogonił swą panią. Postawił walizeczkę na podłodze i wyjął oba pistolety. - O, dzięki Bogu! Lady Hanna i panna Tofar są bezpieczne. Ale gdzie się podział pan Dempsey?

Księżna i jej kamerdyner pospiesznie dołączyli do czwórki pozostałych. Veronika otworzyła usta na widok klęczącego

Dempseya, który nieubłagane wyciągał wijącego się McClane'a spod belwederu.

Rządca, doszedłszy do wniosku, że na nic się zda opór, przestał się szamotać i pozwolił, by pastor dopiął swego.

Dempsey wciągnął go na podest i postawił na równe nogi. Wówczas zwolnił swój uchwyt.

Rządca natychmiast wymierzył mu cios pięścią.

Wielebny pan Dempsey nie pozostał mu dłużny, zrewanżował się natychmiast prawym sierpowym w szczękę i lewym sierpowym w brzuch. McClane jęknął i zgiął się we dwoje.

Pastor, mrużąc coś gniewnie pod nosem, chwycił złoczyńcę za kołnierz i za pasek od bryczesów, zakręcił nim w kółko i rzucił nim o podłogę.

Rządca stracił przytomność.

- Ho, ho - mruknęła Hanna.

Dempsey podniósł wzrok i zobaczył, że cała gromadka stoi bez ruchu, wpatrzona w niego.

- Bardzo przepraszam - powiedział. - Zazwyczaj nieco inaczej traktuję kłopotliwych ludzi. Nie polecam też takich metod swoim parafianom. Tak postępować nie należy.

- To prawda, pastorze - przyznał Nat.

- W rzeczy samej - potwierdził Harold Belowes i zagwizdał z podziwu.

Nat Tine wyprowadził ich wszystkich z labiryntu, przyciskając walizeczkę z pistoletami księcia do piersi. Harold Belowes i Gaines nieśli nieprzytomnego McClane'a. Hanna i jej przyjaciółka deptały im

prawie po piętach, trzymając broń w pogotowiu, na wypadek gdyby przestępca odzyskał świadomość. Księżna i pan Dempsey, w towarzystwie biegającego dokoła nich Theophilusa, szli w pewnym oddaleniu, trzymając się za ręce pod osłoną szerokiej sukni pani Thistledown. Gdyby nie bezwładne ciało McClane'a, można by pomyśleć, że cała gromadka wybrała się na letnią przechadzkę. Gdy jednak wyszli z labiryntu do parku, szeroko otworzyli oczy ze zdumienia.

- Kim są ci wszyscy ludzie? - zapytał Nat po cichu.

- Zdaje się, że zebrali się tu w komplecie mieszkańcy Barren Wycche i Blackcastle - szepnął Harold Belowes.

W niewielkim parku tłoczyło się mnóstwo ludzi. Było ich tak wielu, że owce zaczęły się niepokoić, przeczuwając, że wkrótce nie starczy dla nich trawy. Theophilus dla odmiany zaczął węszyć radośnie, podekscytowany wonią wielu różnych butów. Czuł też zapach owiec i tej ślicznej damy, która szła obok jego pana i od czasu do czasu się schylała, żeby połaskotać go w ucho. Czyż życie może być piękniejsze?

- Co tam się działo? - ryknął Berinwick, podchodząc do nich, by złapać siostrę za rękę i wyjąć z jej dłoni rapier. Pan Tofar równie gwałtownie chwycił w objęcia swą córkę, wyjmując z jej rąk pogrzebacz.

- Niech ktoś uwolni Gainesa i Belowesa od ciężaru tego łotra. I proszę go wnieść do mojego gabinetu - rozkazał Berinwick. - Zwiążcie go mocno i nie spuszczajcie z oka, póki się nie zjawię.

Pięciu Walińczyków ochoczo wzięło McClane'a na swoje barki. Gaines poszedł za nimi, żeby wskazać drogę do gabinetu.

- Hanno, nic ci się nie stało? - zapytał książę. - Tofar powiedział, że jesteście w labiryncie i że ktoś was zaatakował. A ja nie mogłem znaleźć ani jednego ogrodnika czy pasterza, który przeprowadziłby mnie przez labirynt, musiałem więc szukać mapy. I nie znalazłem. Co się stało z mapą?

- Zgubiłyśmy ją, Will - wyznała Hanna, wbijając wzrok w czubki swoich butów. - Szukałyśmy wszędzie i... O mój Boże! - Hanna zakryła usta dłonią i zarumieniła się ze wstydu.

- Co się stało?

- Przypomniałam sobie, gdzie jest mapa. Zwinełam ją i wsunęłam pod kapelusz, żeby się nie zawieruszyła! - Hanna rozwiązała wstążkę pod brodą, zdjęła niewielki słomkowy kapelusz i podała Berinwickowi mapę.

- Mądra dziewczyna - mruknął Dempsey.

- O, nie - ryknął Berinwick, piorunując pastora wzrokiem. - Na pewno nie jest mądra. Niewiele brakowało, a obie z Anną straciłyby życie.

- No cóż, jestem pewna, że Hanna miała całkiem inne intencje. - Panna Tofar wystąpiła w obronie przyjaciółki. - A poza tym to właśnie ona stawiała czoła wrogowi i uratowała nam obu życie.

- Ale to Nat i Harry wystraszyli McClane'a na dobre i zagnali go do kryjówki - dodała Hanna. - A wielbny pan Dempsey wyciągnął go i złoił mu skórę.

Berinwick patrzył na obie dziewczęta i ulga, którą czuł w głębi serca, zaczęła powoli łagodzić wyraz jego twarzy.

- Williamie? Skąd się wzięli tu ci wszyscy ludzie? - zapytała księżna. - Wygląda na to, że cała parafia St. Milburga's of the Wood zebrała się na tym trawniku.

- O ile dobrze rozumiem, to krzyk Anny z głębi labiryntu sprawił, że z Blackcastle wylegli wszyscy, co do jednego. Byłem wówczas w gabinecie i szukałem mapy. Powiedziano mi także, że Giles Pervis, który pomagał przy sianokosach, a dziś udał się na farmę Tofarów, wstąpił na plebanię, żeby odwiedzić swoją narzeczoną. Dowiedział się od niej, że Tom Hasty został postrzelony, a ty, mamó, uprowadzona. Tom odzyskał wówczas siły na tyle, żeby zdemaskować McClane'a. Giles wrócił więc na farmę Tofarów, żeby na wszelki wypadek sprowadzić tu ludzi na pomoc.

- Och - wzruszyła się Veronika. - Musimy coś dla nich zrobić, Williamie. Musimy się im jakoś odwdzięczyć.

- Wystarczy, że widzimy waszą wysokość w dobrym zdrowiu - zawołał ktoś z tłumu.

- Pewnie - zawołał inny głos. - Zostaniemy jeszcze chwilę, jeśli wasza wysokość pozwoli. Chcemy mieć pewność, że posterunkowy Lewis zabierze tego łajdaka. Część z nas odeskortuje posterunkowego do Barren Wycche.

- O, tak! - przyłączyły się inne głosy.

- A reszta wróci na farmę Tofarów, żeby dokończyć to, cośmy zaczęli. Niech się wasza wysokość o nas nie martwi.

Berinwick, Hanna, Veronika i Dempsey weszli do gabinetu, stawiając Walijczyków na straży pod drzwiami i pod oknami.

McClane, związany ciasno rzemieniem znalezionym w stajni, siedział na krześle. Reszta przysunęła się do niego.

- Powiedział, że papa zamordował jego ojca - zaczęła Hanna. - Kazał mi zapytać ciebie, mamó, i Willa o pana Dighta.

- Jest pan synem Dighta? - zapytała zaszokowana Veronika.

- A czy pani razem z mężem myślała, że pan Dight nie miał żadnej rodziny? Że żaden z mężczyzn zamordowanych wtedy w kościele nie miał rodziny? Sądziście, że nie ma nikogo, kto prędzej czy później pociągnie was do odpowiedzialności?

- Jak pan śmie! - zdenerwowała się księżna. - Jak pan śmie mówić o odpowiedzialności, skoro to pański ojciec tu przyjechał z zamiarem zamordowania mojego męża, mnie i Williama. Skoro to pański ojciec chciał nas okraść i spalić Blackcastle! Odpowiedzialność za śmierć pańskiego ojca spoczywa wyłącznie na nim.

- Gdyby pan Dight tu nie przyjechał, mojemu ojcu nawet nie przyszłoby do głowy, by go szukać. Pan Dight żyłby do dziś. Zarówno on, jak i jego ludzie - dorzucił Berinwick.

- Ale to nie od ojca ani od żadnego z jego towarzyszy dostał pan mój wisiołek, McClane - powiedziała Veronika. - A to przecież pan umieścił wisiołek na drzewie.

- Owszem. A ona natychmiast chwyciła przynętę. Gdyby nie Lancaster, miałbym ją wówczas w garści.

- Skąd miał pan mój wisiołek?

- Może pan śmiało powiedzieć - mruknął Dempsey, patrząc na arogancką twarz McClane'a. - Na pewno nie ma go w okolicy, a nikt z Blackcastle nie zamierza go szukać. On zresztą już wtedy był dość stary, bo w przeciwnym razie wsparłby tamtych.

- Czy chce pan powiedzieć, że pan wie, kto mu dał wisiołek, Dempsey? - zdziwił się Berinwick.

- Domyślam się. Sądzę, że to ten sam człowiek, który karmił go kłamstwami na temat pańskiego ojca. I opowiedział mu zapewne historię Pole'ów i ich krzywdy. Nawiasem mówiąc, z przyjemnością wysłuchałbym całej historii któregoś dnia. Ale nie mam wątpliwości, że człowiek, o którym mówimy, dał McClane'owi kopię katalogu zbiorów pańskiego ojca, Berinwick. To z tego katalogu McClane wybrał przedmioty, których zażądał w charakterze okupu.

- Sądzi pan, że on dysponuje katalogiem kolekcji mego ojca?

- Tak. W przeciwnym razie nie wiedziałby przecież, czego żądać. Nie dawał mu pan chyba klucza do komnaty na wieży, prawda?

- Nie, ale...

- To był pan Tweed, prawda, McClane? Człowiek, którego Berinwick wynajął do skatalogowania swoich zbiorów. To Tweed nasaczył pański chłopięcy jeszcze umysł nienawiścią, chciwością i marzeniami o władzy, prawda? - zapytał Dempsey, ściskając Veronikę za rękę, by ją wesprzeć na duchu. - Czy był pańskim krewnym?

- Ten pastorzyna ma łeb na karku - przyznał McClane. - To był mój wuj. Zobaczył, jak chłopak upuścił wisiołek na podłogę, podniósł go i zabrał do domu. Mówił mi, że to magiczny przedmiot, ale to nieprawda.

- Istotnie - mruknął Dempsey.

- Czy pański wuj jeszcze żyje? - zainteresował się Berinwick.

-Nie.

- Jak się naprawdę nazywał? - zapytała Veronika dość niepewnie. - Jak się naprawdę nazywał pan Dight? I jak się pan nazywa?

McClane spiorunował ją wzrokiem i nie odpowiedział.

- Proszę mi odpowiedzieć! - zażądała księżna.

- To nie twoja sprawa, ty jędzo - rzucił przez zaciśnięte wargi.

- To jej sprawa - oznajmił Dempsey, cedząc słowa. -I powiesz jej wszystko, czego chce się dowiedzieć - dodał, mrużąc oczy. - Odpowiesz na wszystkie pytania księcia, księżnej i lady Hanny albo się policzymy, McClane, i natychmiast trafisz do piekła. Jestem pastorem. Wiem sporo na temat piekła i z przyjemnością cię tam zapowiem.

- Nie nazywam się Pole, jeśli o to wam chodzi - odparł złoczyńca. - Ha! Tego się obawiała. Głupia baba! Nazywam się Hurley. Tak samo jak mój ojciec i wuj. Ale w moich żyłach płynie trochę krwi Pole'ów. I ta patera należy do mnie. Mój ojciec miał jej fragment, żeby to udowodnić.

- Czy pan ma jakiś kolejny fragment tej patery? - zapytał cicho Berinwick. - Srebrnego lwa, trzymającego koronę z gryfem?

- Nie.

- To dobrze. Cieszyłbym się, gdyby mój ojciec mylił się w tej sprawie. Mam też nadzieję, że nie ma pan żadnych synów, którzy pewnego dnia będą chcieli pana pomścić, Hurley. I gdy już pan

zawiśnie na szubienicy, to nie ujrzymy więcej nikogo z domieszką krwi Pole'ów. Zaczynam podejrzewać, że Pole'owie byli w istocie zdrajcami, za jakich ich uważali moi przodkowie, i że zasłużyli na to, by odebrano im majątek i tytuły i zesłano do Francji.

- Williamie, przestań. Nie masz o tym pojęcia.

- Nie, ale popatrz tylko na niego, mamó. To morderca i złodziej, a w jego żyłach płynie tylko kropla tamtej krwi. To fatalne dziedzictwo.

- Mylisz się, Williamie - oświadczyła księżna. Nie wiedziała, dlaczego to robi, ale coś ją do tego zmuszało. - Czytam właśnie pamiętniki i dzienniki przodków twego ojca i jeśli uważasz, że na podstawie postępowania jednej osoby można wystawić świadectwo całej rodzinie, to zarówno ciebie, jak i Hannę należałoby uznać za przeklętych zdrajców, pozbawionych jakichkolwiek skrupułów.

A przecież nimi nie jesteście, moi kochani - dodała natychmiast.

- Nawet Will nim nie jest? - zapytała Hanna, mając nadzieję, że matka zdołała wreszcie dostrzec prawdziwe oblicze swego syna.

- Co to ma znaczyć? - burknął Berinwick. - Nawet Will? Uszy ci za to poucinam, ty gałganie.

- Och, już się trzęsę ze strachu - odparła Hanna. - Chyba widzisz? Boję się ciebie tak jak tego łotra.

- Czyli w ogóle - podsumował Dempsey.

Do drzwi gabinetu zapukał Gaines, po czym wszedł, nie czekając na odpowiedź.

- Posterunkowy Lewis - zaanonsował.

- Ma pan szczęście, Dempsey - powiedział Berinwick cicho. - To pana uratowało przed karą.

- Och, czyżbym znów się zwrócił niewłaściwie do waszej wysokości? - zapytał pastor, a w jego oczach zabłyśły iskiereki śmiechu. - Wygląda na to, że posterunkowy uratował mi życie.

RS

Sianokosy zostały szczęśliwie zakończone i zbliżała się pora żniw. Nikt już nie myślał o Patricku McClane'ie. Wszystkich zaprzętały raczej piętnaste urodziny Hanny. Pewnego dnia, wczesnym popołudniem, Veronika poprosiła syna, by zszedł z nią do jaskini pod belwederem.

- Nie bardzo rozumiem, po co tu przyszliśmy, mamó? - powiedział Berinwick, stawiając latarnię na ziemi i sadowiąc się na skale koło matki. - Rozumiem to, że kazałaś wyczyścić zbroję i chcesz ją podarować Dempseyowi. To właśnie on powinien ją dostać, skoro tak bardzo interesuje się antykami. Choć jeśli to rzeczywiście jest zbroja Glyndwra, to wkrótce Dempsey będzie bardzo bogatym pastorem, a my nic z tego mieć nie będziemy.

- A chcielibyśmy coś z tego mieć, Williamie?

- Nie, w zasadzie nie.

- No właśnie. Prosiłam, żebyś zszedł ze mną na dół, z powodów osobistych. Czy wiesz, że istnieje pamiątek pierwszej księżnej Berinwick? W jej zapiskach...

- Czy to ta prapraprababka, której zawdzięczamy labirynt?

- Właśnie. W swoim dzienniku zapisała, że kazała zbudować belweder nad grobem Owaina Glyndwra.

- Żartujesz. -Nie.

- Jesteś pewna, że dobrze odcyfrowałaś jej zapiski? Sądzę, że powinnaś przeczytać to jeszcze raz. Podejrzewam, że napisała tylko, że kazała zbudować belweder nad jaskinią Owaina Glyndwra.

- Może masz rację, Williamie - uśmiechnęła się księżna - bo trudno mi sobie wyobrazić, gdzie mógłby znajdować się grób Glyndwra, skoro ta przeklęta jaskinia zajmuje całą przestrzeń pod belwederem. Bo chyba nie sądzisz, by ciało Glyndwra zostało pochowane między podłogą belwederu a sklepieniem jaskini?

- Nie sądzą. Gdyby jednak tak było, to należałoby zburzyć belweder.

- Człowiek, który odnalazłby miejsce spoczynku Owaina Glyndwra - zamyśliła się księżna - odniósłby wielki triumf. Zapewne natychmiast zostałby członkiem Królewskiej Akademii.

- Wydawało mi się, że Dempsey już nim jest.

- Owszem. Próbowałam sobie tylko wyobrazić, jaką satysfakcję miałby, gdyby mógł stanąć na forum Akademii, opisać grób Glyndwra i zademonstrować przedmioty w nim znalezione. Nazwisko Richarda zostałoby wyryte złotymi zgłoskami w holu Akademii.

- A mają tam jakiś hol?

- Nie wiem. Nigdy przedtem się tym nie interesowałam. Interesowałam się oczywiście kolekcją twego ojca, ale nie wiem, gdzie bywał w Londynie.

- Chyba nie chcesz naprawdę zburzyć belwederu, mamo?

- Nie i nie sądzą, by Richard tego pragnął. Ale nie jestem tego pewna. Chciałabym tylko wiedzieć, czy uznałbyś to za czyn

niedopuszczalny, gdyby Richard o to poprosił? Czy zabroniłbyś to zrobić?

- Jakże mógłbym ci czegokolwiek zabronić? - odparł Berinwick.

- Przecież jesteś moją matką. - Książkę wziął ją za rękę. - Rób to, co uważasz za stosowne. Czy to jest ta osobista sprawa, którą chciałaś ze mną omówić? Zburzenie belwederu? Wydaje mi się, że to tylko wstęp do spraw znacznie bardziej osobistych. Chyba zakochujesz się powoli w tym przeklętym pastorze.

- Ja już dawno się w nim zakochałam, Williamie. Sądzę, że zawsze go kochałam. Czyż nie jestem najszczęśliwszą kobietą pod słońcem? Kochałam i byłam kochana przez twego ojca. A teraz mam szansę na drugą miłość.

-Nie.

- Nie?

- Nie sądzę, by miłość do wielbego pana Dempseya można było nazwać wielkim szczęściem. Nie to, żebym go nie lubił, ale nawet ty musisz przyznać, że jest bardzo dziwnym człowiekiem.

- Zapewne jest dziwny pod wieloma względami. Zaprosiłam cię tu jednak jeszcze z innego powodu. Chcę ci powiedzieć coś, co dość długo odkładałam, ponieważ chciałam się nacieszyć możliwością ujżenia cię w całkiem innym świetle niż do tej pory, Williamie. - Veronika wstała, splotła ręce za plecami i odeszła od syna, wbijając wzrok w kompletne ciemności. - Ale muszę ci to powiedzieć. To bardzo poważna sprawa, więc mam nadzieję, że nie zaczniesz żartować w samym środku mojej opowieści. I... i nie będę się dziwić,

jeśli uznasz, że nie chcesz mnie już nigdy widzieć. Ani rozmawiać ze mną. Nadeszła pora, żebyś poznał prawdę.

Berinwick widział, z jakim trudem szukała właściwych słów. Odwróciła się do niego plecami, ale układ jej ramion i pleców zdradzał napięcie, a zaciśnięte za plecami dłonie pobieleły. Książę zrozumiał jednak szybko, widząc jej wysoko uniesioną brodę i słysząc ton jej głosu, że nic jej nie powstrzyma przed powiedzeniem tego, co ma mu do powiedzenia.

William z trudem trzymał język za zębami, gdy tłumaczyła mu, w jaki sposób stała się samolubną, ambitną i przesadnie dumną kobietą. Wcale jej za kogoś takiego nie uważał i nie rozumiał, dlaczego opisuje siebie takimi słowami. Dopiero gdy zaczęła mówić o WYPADKU, pojął, dlaczego w ten sposób siebie charakteryzowała. A im dłużej mu się zwierzała, opowiadając o tym, że nie mogła ścierpieć jego widoku z powodu własnej słabości i lęku przed prawdą, że ojciec nigdy nie pozbyłby się go z domu, gdyby nie jej egoizm, tym bardziej bolało go serce, choć tak często i znakomicie udawał, że go nie posiada. Wydawało mu się, że serce podchodzi mu do gardła. Zmusił się więc do spokoju i słuchał cierpliwie, w ciszy, nie przerywając matce nawet słowem.

Gdy skończyła i obróciła się do niego, jej twarz była mokra od łez. W świetle latarni słone krople lśniły na jej policzkach jak kryształki na miękkim, białym aksamicie.

- Oto przyczyna, dla której cię tu zaprosiłam, Williamie. Nie potrafiłabym powiedzieć ci tego wszystkiego w świetle dnia, nie potrafiłabym znieść widoku bólu, gniewu i nienawiści na twojej twarzy,

nie zniosłabym nawet litości. Teraz wiem już, jaki naprawdę jesteś, i nie mam wątpliwości, że mogę liczyć na twoją litość. Tu, w ciemnościach, nie muszę jednak patrzeć na to wszystko. Twoja twarz jest skryta w cieniu. Sam widzisz, że wciąż jestem słabą kobietą. Wydawało mi się, że odnalazłam w sobie siłę, ale to jeszcze za mało, żeby wyznać ci wszystkie moje grzechy przeciwko tobie w świetle dnia.

Berinwick odwrócił wzrok. Zapatrzył się w posadzkę jaskini, nie mówiąc ani słowa. W podziemnej grocie zapadła śmiertelna cisza.

- Gdzie ona jest? - zapytał Dempsey Hanę, idąc do stajni, by sprawdzić, jak się miewa źrebak Eloquent.

- Pod belwederem, razem z Willem. Naprawdę. Najpierw powiedziała, że potrzebuje pomocy Willa, bo chce sprawdzić, czy zbroja została zabrana z podziemi i odesłana do polerowania, a potem została z nim sam na sam. Sądzę, że zeszli na dół.

- Rozumiem.

- Naprawdę? Bo ja nic nie rozumiem. Dlaczego mama chciała tam zejść? Po wszystkim, co przeżyła. Na jej miejscu nigdy w życiu nie zeszłabym do żadnych podziemi.

- Ale pani matka odnalazła w sobie źródło wielkiej siły, gdy była w tej jaskini, lady Hanno. Może poczuła, że znów potrzebuje tej siły? A może właśnie w tej chwili znów szuka drogi wyzwolenia, drogi, która wiedzie z ciemności ku światłu?

- Teraz mówi pan jak jakiś kaznodzieja - zmartwiła się Hanna. - Zazwyczaj nie mam takich skojarzeń.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Nie miałam takich skojarzeń w kościele w ostatnią niedzielę. Nawiasem mówiąc, zaczyna mi się tam teraz podobać - dodała z uśmiechem.

- Czy w ostatnią niedzielę nie zachowywałem się, jak przystało na kaznodzieję? - zdziwił się Dempsey, unosząc jedną brew tak zabawnie, że Hanna natychmiast zachichotała. - Wiele godzin pracowałem nad tym kazaniem. I wydawało mi się, że całkiem nieźle mi poszło.

- Wcale nie twierdzę, że to nie było wspaniałe kazanie. Tylko że okropnie pan wszystkich rozśmieszał. Gdy porównał pan naszą gospodę do wieży Babel, pan Langton nie wytrzymał i parsknął śmiechem na głos, aż pani Langton musiała go zdzielić po głowie swoją nową torebką. Ale wtedy nie wytrzymał Tom Hasty.

- Skąd pani to wszystko wie? Siedziała pani przecież w ławce rodziny Thorne'ów.

- Której wciąż brakuje tylnej i bocznej części, panie Dempsey. Chyba zresztą nie przypuszcza pan, że mogłabym się nie obrócić do tyłu, słysząc śmiech pana Langtona? No i jeszcze ten Theophilus.

- Theo? A co on ma wspólnego z tym, że nie wyglądałem, jak prawdziwy kaznodzieja?

- On czał - wyjaśniła spokojnie Hanna. - Podczas kazania. Wiele razy. Nawet Will miał kłopoty z zachowaniem powagi i marsowego oblicza. Nie pogniewa się pan, jeśli pana o coś zapytam?

- Miałbym się na panią pogniewać? Nigdy w życiu.

- Czy każdy pastor przyprowadza swojego psa do kościoła w niedzielę i każe mu leżeć przed amboną? Bo żaden z tych

wędrownych kaznodziejów nie miał psa. Nie było też ambony. Oni przeważnie stawali na placu w Barren Wycche, przed pulpitem zrobionym z paru skrzynek. O, tu jest nasz źrebak! Zamierzam ją kupić. Dla Willa. Na urodziny. Pan Tofar obniży trochę cenę. Twierdzi, że robi to dlatego, że jej płuca poważnie ucierpiały podczas pożaru, ale w gruncie rzeczy nic się jej nie stało. Pan Tofar jest wdzięczny Willowi za uratowanie Anny i za pomoc, której mu Will udzielił. Ich dom jest już prawie odbudowany.

- Czy pani czasem milczy? - uśmiechnął się Dempsey. - Podczas naszego pierwszego spotkania nie mówiła pani tak dużo. Wydawało mi się, że jest pani nieśmiała,

- Nieśmiała? Lady Hanna? - zdziwił się Tom Hasty, który wyszedł właśnie ze stajni, żeby się przywitać z pastorem. - To jakieś nieporozumienie. Przyszedł pan obejrzeć Najdroższą, panie Dempsey?

- Najdroższa? Czy tak się nazywa źrebak?

- Tak ją nazywamy. I chyba tak już zostanie. Jego wysokość zazwyczaj nie zmienia koniom imion.

- Raczej tego nie robi - zaśmiała się Hanna. - Wszyscy uznaliśmy, że to będzie bardzo zabawne, gdy Will, galopując, zacznie pokrzykiwać: „Dalej, Najdroższa. Szybciej Najdroższa! Do diabła, co ty wyprawiasz, Najdroższa?”

- No cóż - powiedział Berinwick, gdy Veronika sądziła, że ta śmiertelna cisza ją zabije. Patrzyła na jego spuszczoną głowę przez pięć minut, modląc się, by nie wyszedł stąd bez słowa, by rzucił jej przynajmniej jakieś spojrzenie. - No cóż - powtórzył, patrząc w twarz

matki. - Całkiem inaczej to sobie wyobrażałem. Całe szczęście, że sam sobie nie wydhubałem tego oka.

- Och, Williamie!

- Zawsze tak mi się wydawało. Ze zrobiłem coś strasznie głupiego. Nikt nigdy o tym nie mówił. Ani ty. Ani ojciec. Ani nawet służba.

- To moja wina - mruknęła Veronika.

- Co takiego?

- Że nikt nigdy o tym nie mówił. Wszyscy się bali, że mnie zranią.

- Rozumiem. Czujesz się winna także i tego, że chłopcy w szkole ze mnie drwili i mi dokuczali?

-Tak.

- I że tyle wakacji spędziłem poza domem?

- Tak, Williamie.

- I że mam krewki temperament, cięty język i że moje spojrzenie onieśmieliłoby nawet rozwścieczonego byka?

- T-tak. To moja wina.

- Nie sądzę, mamó.

- Proszę?

- Powiedziałem, że nie sądzę, by tak było, moja najdroższa mamó - powtórzył Berinwick, biorąc ją za rękę. - Włożyłem sporo wysiłku, by wyrobić sobie taki temperament, taki cięty język i takie spojrzenie, nie wspominając już o fatalnej reputacji pośród bywalców londyńskich salonów. Nie życzę sobie, byś zbierała za to wszystkie laury. Wspomniałaś o tym, co ojciec mi powiedział, że pewnego dnia

zostanę księciem Berinwick i że muszę się nauczyć zachowywać jak księżę Berinwick.

- To było bardzo okrutne! Zrobił to ze względu na mnie, Williamie! Wiem, że tak było.

- Co takiego straszego zrobił? Poinformował mnie o tym, jaki los mnie czeka. Jestem już dorosły, mam. Jestem księciem Berinwickiem. I całkiem nieźle mi to idzie. Muszę to podkreślić na wypadek, gdyby uszło to twojej uwagi. Jestem niemal idealnym księciem Berinwickiem.

- Nawet teraz udajesz, że nie masz serca - szepnęła Veronika.

- Owszem - szepnął William, puszczać jej ręce tylko po to, by stanąć za nią i objąć ją ramionami. - W tym także jestem niezły. Potrafię ukrywać swoje uczucia, mam. I wiele razy ustrzegło mnie to przed poważnymi kłopotami.

- Ale nie znalazłeś przez to miłości.

- Ależ mam! Wątpię, by w całej Anglii znalazła się choćby jedna dama, która chciałaby mieć za męża jednookiego diabła. Gdyby jednak taka się znalazła, to sądzę, że byłaby na tyle mądra, by dostrzec moje serce, i na tyle odważna, by wydobyć je ze skorupy.

- Wydawało mi się, że zniszczyłam twoje serce - powiedziała Veronika, wdzięczna za to, że syn trzyma ją w ramionach, i za to, że czuje jego brodę na swojej głowie. - Dopiero Richard i Hanna sprawili, że spojrzałam na ciebie bez przesłony moich własnych win. To twoja siostra oraz Richard pokazywali mi prawdziwe oblicze mego syna. I pewnego dnia sama zobaczyłam twoje serce. Takie samo jak

przed tą straszną chwilą, w której wyrzuciłam ci niewybaczalną krzywdę.

- To zaślepienie to chyba jedyna twoja wina, mamó. Gdybyś przyszła do mnie wcześniej i wyjaśniła, jak się torturujesz, powiedziałbym ci z przyjemnością, że mam takie samo serce i takie same uczucia, jak każdy inny człowiek. Jak mogłaś się o to martwić? Już nie będziesz, prawda? Bez względu na to, co powiem i jak się będę zachowywał.

- Już nie będę, Williamie.

- To dobrze, bo jeśli znów zaczniesz, to będziesz musiała zamieszkać w drewni Thistledownów razem z panią Quillbristle.

- Z panią Quillbristle?

- To jeż. To jeż Millie i Charliego. Możemy już stąd wyjść? Bardzo proszę. Nie wiem, jak ty, ale ja nigdy nie przepadałem za jaskiniami i im dłużej w nich przebywam, tym większą mnie napawają niechęcią. O co jeszcze chodzi? - zapytał, biorąc latarnię i podając matce dłoń, by pomóc jej wspiąć się na drabinę.

- Czy... czy ty mnie nie znienawidziłeś, Williamie? Nawet odrobinę?

- Człabyś się nieswojo, gdybym powiedział, że nie, prawda? No dobrze. Znienawidziłem cię, mamó, na... -niech no pomyślę - na ułamek ułamka sekundy. Lepiej się teraz czujesz? Dlaczego miałbym cię nienawidzić? Czyż nie dość już wycierpiałaś? Wiem, że mnie kochasz. Zawsze to wiedziałem. W dzieciństwie trochę się dziwiłem, że nigdy mnie nie przytulasz, ale nigdy mi nie przyszło do głowy, że mnie nie kochasz. Wyświadcz mi tę przysługę i nie myśl o tym już

nigdy więcej. Przenigdy. Bez względu na to, co powiem i co zrobię. Bo zrozumiałaś już chyba, że cię kocham, mamó. Co było, to minęło - mruknął pod nosem, wspinając się po szczeblach drabiny. - Przeszłości nie da się zmienić, można najwyżej wspominać ją z uśmiechem, uczyć się na jej podstawie, a resztę wyrzucić na śmietnik.

Dwa dni później Berinwick, Hanna, Veronika, Dempsey i Theophilus spotkali się po obiedzie w najmniejszym spośród zamkowych salonów.

- Czy pan nigdzie się nie rusza bez tego psa? - zapytał Berinwick, kołysząc kieliszek brandy w dłoni.

- Zostawiam go na plebanii tylko wtedy, kiedy pani Langton coś piecze w kuchni. Choć właśnie w tej chwili chciałbym się z nim na chwilę rozstać.

- Naprawdę?

- Owszem. Byłbym wielce zobowiązany, Berinwick, gdyby pan wraz z lady Hanną zechciał popilnować go przez jakiś kwadrans.

- Teraz?

- Właśnie teraz. Zrobi to pan, prawda? W końcu ma pan wobec mnie dług wdzięczności.

- Naprawdę?

- Zarówno pan, jak i lady Hanna. Proszę nie patrzeć na mnie z takim niedowierzaniem, Berinwick. Czy modłę się więcej niż raz przed obiadem? Czy błogosławię każdy groszek i każdego ziemniaka? Nie. A mógłbym. Tylko ze względu na was, moi drodzy, hamuję swoje naturalne skłonności.

- Niech pan przestanie do mnie mówić „Berinwick”, bezczelny, stary pastorze.

- Przepraszam. Wyrwało mi się. Tak czy inaczej ma pan wobec mnie dług wdzięczności. Proszę popilnować psa. Siostra panu pomoże. Pańska matka i ja musimy o czymś porozmawiać. Na osobności.

- Doprawdy? - uśmiechnęła się Veronika. - Nie mam pojęcia, o co może chodzić.

- Chodź ze mną, moja droga, to nie będziesz musiała się dłużej nad tym zastanawiać. Powiem ci od razu - oświadczył, biorąc ją za rękę i wyprowadzając z salonu. Weszli do sąsiedniego pomieszczenia.

- Na Boga, co to takiego?

- To sala balowa, Richardzie. W każdym razie kiedyś to była sala balowa. Nie mam pojęcia, dlaczego Gaines zapalił świece we wszystkich kandelabrach. Ileż to pracy!

- Prosiłem go o to.

- Co takiego?

- Poprosiłem, żeby zapalił wszystkie światła w pokoju sąsiadującym z salonem. No to zapalił. Popatrz tylko, jak lśni teraz podłoga, Veroniko! Można się w niej przejrzeć.

- Rzeczywiście - zaśmiała się księżna.

- Nigdy nie widziałem sali balowej. Oprócz stworzonej naprędce z dwóch sąsiednich salonów. Zapewne wygląda jeszcze wspanialej udekorowana i pełna ludzi.

- O, tak. Znacznie wspanialej. Richardzie? Po co tu przyszliśmy?

- Chcę ci coś powiedzieć, Vernie. Muszę przyznać, że miałem nadzieje, na jakieś krzesła. A nie ma ani jednego. Nie ma nawet stołu. Nic oprócz kandelabrow.

- Richardzie - Veronika przywołała go do porządku tonem swego głosu. - Papłasz bez ładu i składu, jak dziecko. Czy coś się stało? Powiedz mi od razu. Jeśli mogłabym coś zrobić... - pogłaskała go po policzku, który nagle zrobił się zupełnie czerwony. - Dlaczego się tak zarumieniłeś?

- Nie zarumieniłem się. Ja...

W sąsiednim pokoju rozległy się dźwięki pianina. Veronika natychmiast się zorientowała, że to nie będzie żadna melancholijna melodia, ale pieśń pełna ciepła i łagodności, a zarazem przesiąknięta skrywanym śmiechem. Pieśń Williama. Teraz cały zamek zamiera w zaśluchaniu. Ona także. I Richard. Wszyscy pozwalają, by dźwięki pianina wciągnęły ich w świat marzeń.

Richard Randolph Dempsey objął ramionami księżną Berinwick. Przytulił policzek do jej twarzy i zaczął się kołysać w rytm zmysłowej muzyki. Veronika czuła bicie jego serca. Zamknęła oczy i kołysała się razem z nim, czując się tak bezpiecznie w jego ramionach, zatracając się całkowicie w muzyce i w czułości. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że popełnia największy grzech w swoim życiu. Ale nie zamierzała przestać. Wówczas Richard szepnął jej do ucha:

- Kochałem cię kiedyś, gdy oboje wkraczaliśmy w wiosnę swego życia. Teraz, gdy nadeszła jesień, czuję, że w dalszym ciągu cię kocham. Wiesz o tym. Mówiłem ci wiele razy, jak bardzo cię kocham. I chciałbym zapytać, czy pozwolisz, bym cię kochał aż do samego

końca zimy i potem przez całą wieczność? Czy zechcesz zostać moją żoną? - Richard spojrzał jej prosto w oczy swoimi niesamowicie błękitnymi oczami, lśnącymi nadzieją i miłością.

- Czy sądzisz, że mogłabym odmówić? Och, Richardzie, czy mogłabym ci odmówić? - odparła cicho Veronika, podając mu usta.

Gdy w końcu wrócili do salonu, Berinwick znów siedział koło kominka, a Hanna w największym fotelu.

- Hanno? Nic ci nie jest? - zapytała Veronika. - Masz rumieńce na policzkach i oddychasz tak, jakbyś właśnie skądś przybiegła.

- Bo przybiegła - wyjaśnił Berinwick. - Dlatego ma rumieńce. Założyłem się z nią, że nie dobiegnie do stajni i z powrotem przed końcem mojego utworu.

- Williamie!

- Nie złość się na mnie, mamó. Wygrała. Czy podobała ci się moja pieśń, mamó? Całkiem niespodziewanie przyszła mi do głowy. Takie romantyczne bzdury.

- Była przepiękna, Williamie. Jeśli naprawdę nic ci nie jest, Hanno, to Richard i ja chcieliśmy wam coś powiedzieć.

- Podziałało - zachichotała Hanna, patrząc triumfalnie na brata.

- Jasne, że podziałało - odparł arogancko. - I gdyby ten nieznośny pies nie deptał po wszystkich pedałach, chcąc poobgryzać moje buty, to podziałałoby jeszcze lepiej. Jeszcze by ich tu z nami nie było.

- Co ty mówisz, Will? - zdziwiła się księżna.

- Nic szczególnego. Przepraszamy, że ci przerwaliśmy, mamó. Mów dalej.

- Gdy zakończy się już okres mojej żałoby, wyjdę za mąż za Richarda.

- Ten stary gałgan nawet mnie nie zapytał o pozwolenie na oświadczyzny - wycedził Berinwick.

- Ten obyczaj nie dotyczy matek - odparł Dempsey, bo Veronika zaniemówiła i patrzyła na syna z otwartymi ustami. - Powiedz, że się cieszysz, ze względu na nią, Berinwick.

- Skoro zamierzasz za niego wyjść, to najprawdopodobniej będę musiał pozwolić, by tak się do mnie zwracał.

- Chyba że wolisz, żeby mówił do ciebie po imieniu, Williamie. Nie sądzę, byś mógł nalegać, na to, żeby zwracał się do ciebie „wasza wysokość”. Już teraz z trudem przechodzi mu to przez usta. A co dopiero wtedy, gdy zostanie twoim ojczymem.

- Niech więc będzie Berinwick - mruknął książę. - Ale ustalmy raz na zawsze, Dempsey, że nie będę do pana mówił „papo”. - William uśmiechnął się nieoczekiwanie, a w jego oku pojawiły się takie same iskry, jakie igrały niegdyś w oczach jego ojca. - Życzę ci szczęścia, mamó. I panu także, Dempsey. Moje gratulacje - powiedział, wyciągając dłoń do pastora i całując matkę w policzek.

- I ja także życzę ci szczęścia, mamó - dodała Hanna, nie podnosząc się z miejsca. - Bardzo się cieszę, że będzie pan moim ojczymem, panie Dempsey. Oboje z Willem zastanawialiśmy się, czy pan kiedykolwiek poprosi mamę o rękę. I kiedy dziś wieczorem wyszłicie razem z salonu, obudziła się w nas nadzieja, że jednak pan to zrobi. Teraz, Will? - zapytała brata.

Berinwick pokiwał głową. Hanna wstała, biorąc do ręki coś, co wcisnęła w miękki fotel za swoimi plecami. Podała tajemniczy przedmiot pastorowi.

- Trzymaliśmy to specjalnie dla pana, czekając na tę właśnie okazję. Pobiegałam po to do stajni, gdy zajrzałam do sali balowej i zobaczyłam was oboje. Witamy w rodzinie, panie Dempsey.

- Dziękuję, moja droga - odparł ze wzruszeniem, gdy Hanna podała mu prezent i wspiąwszy się na palce, ucałowała w policzek.

- Hanno, gdzie to znalazłaś? - zapytała Veronika, gdy Dempsey uniósł podarowany przedmiot i zaczął obracać go w dłoniach, otwierając oczy ze zdumienia.

- A niech mnie diabli porwą! - wykrzyknął. - To wprawdzie niemożliwe, ale ten przedmiot odpowiada znanym opisom kielicha Glyndwra.

- Naprawdę? - zapytał Berinwick z błyskiem w oku. -A gdy Hurley zażądał tego kielicha w charakterze okupu, byłem przekonany, że to musi być co najmniej srebrne naczynie. Hurley dowiedział się o istnieniu kielicha z listu, który ojciec napisał do pana. Przeczytał go przed opieczętowaniem. A tymczasem to nie jest żaden kielich, tylko zwykły gliniany kubek z jakimiś dziwnymi znakami.

- Te znaki są najważniejsze - odparł Dempsey.

- Tak też powiedziała mama, gdy poprosiłem ją, by mi opisała ten przedmiot.

- Will ma go już od roku albo i dłużej - uśmiechnęła się Hanna.

- Otóż to. Znalazłem go w północnej wieży St. Milburga's of the Wood, gdy Langton mnie tam wezwał, bym zobaczył, w jaką ruinę

popada kościół. Cegły niemal rozsypywały się w pył na moich oczach. I gdy kilka z nich rzeczywiście się rozkruszyło, wypadł zza nich ten kubek. Umocniliśmy ściany na tyle, na ile było to możliwe, a ja zabrałem kubek do domu. Od tamtej pory służył do mieszania mikstur i maści w stajni.

- Do mieszania mikstur i maści w stajni? Berinwick, czy pan wie, co to jest? Jeśli okaże się, że jest autentyczny?

- Wiem, że najprawdopodobniej Owain Glyndwr dostał go od jakiegoś starego mężczyzny w Machynlleth.

- Dostał to od czarnoksiężnika, może nawet od samego Merlina - wyjaśnił Dempsey, prowadząc Veronikę w stronę sofy. Kielich postawił na stoliku. - Usiądźcie, a opowiem wam jedną z najpiękniejszych historii, jakie kiedykolwiek słyszeliście. Historię tego kielicha, który został podarowany pewnego wieczoru samemu królowi Arturowi w największej tajemnicy.

- Królowi Arturowi? - zapytała zaskoczona Hanna, sadowiąc się wygodnie w fotelu.

- Owszem. Przykazano mu także, by nigdy się z nim nie rozstawał. Jeden łyk wody z tego naczynia miał bowiem kurować nawet śmiertelne rany. Jeden łyk wody z tego naczynia miał wystarczyć, by martwy człowiek, no, może nie każdy człowiek, ale w każdym razie król Artur - powstał z grobu, by znów rządzić krajem. O, to naprawdę pasjonująca opowieść o tym, kto dał ten kielich Arturowi, w jaki sposób kielich został ukradzony i w czyich rękach znalazł się na końcu.

- Bez wątpienia w pańskich rękach, Dempsey - zauważył przytomnie Berinwick. - Jeśli to naprawdę ten sam kielich. I jeśli legendarny kielich kiedykolwiek istniał, w co szczerze wątpię. Myślę, że o wiele...

- O wiele ważniejszy jest ten skarb - przerwał mu Dempsey, otaczając ramieniem Veronikę. - Skarb, który wreszcie odzyskałem. Mądry z pana gość, Berinwick. Bardzo mądry. Mądry na tyle, by wiedzieć, kiedy należy dyskretnie się ulotnić. Razem z siostrą.

To rzekłszy, wielbny pan Dempsey odwrócił się plecami do kielicha, do księcia i do lady Hanny, wziął Weronikę w ramiona i zaczął ją całować zupełnie inaczej niż zwyczajny pastor.